

HENRYK SIENKIEWICZ

LISTY Z AFRYKI

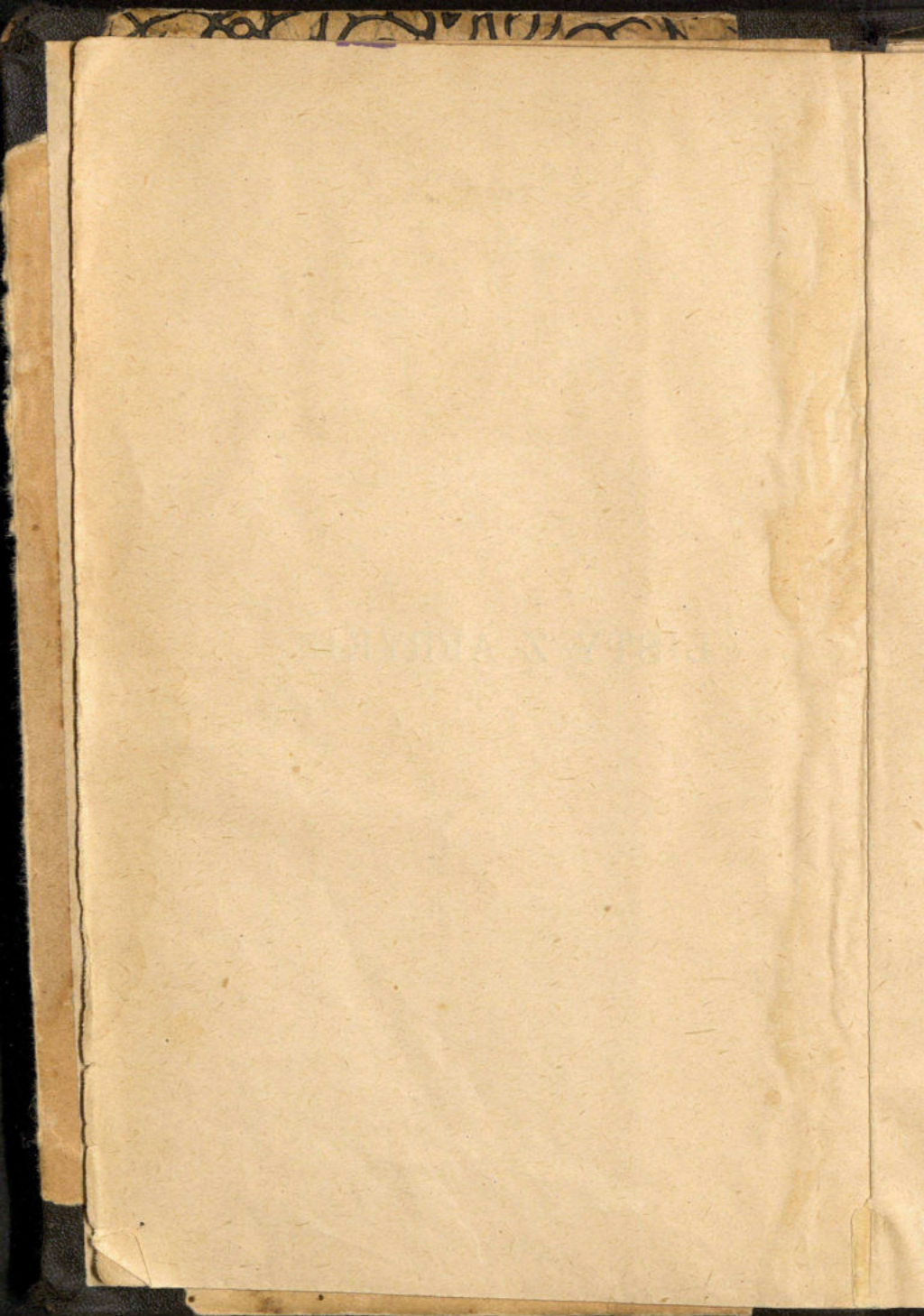
WYDANIE NOWE



NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
POZNAN — WILNO — ZAKOŁANE



LISTY Z AFRYKI



HENRYK SIENKIEWICZ



LISTY Z AFRYKI

WYDANIE NOWE



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE



51E.
L15.

-161

NAKLAD I WŁASNOŚĆ WYDAWCÓW

SKŁADY GŁÓWNE:

THE POLISH BOOK IMPORTING CO, INC. NEW YORK
„KSIĘGARNIA POLSKA NA ŚLĄSKU, SP. AKC.” KATOWICE

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
1923

I.

Kair, 18 stycznia 1891 r.

W Neapolu. — Oczekiwanie. — Wigilja. — Schliemann. — „Ravenna“. — Podróż. — Morze. — Cieśnina Messyńska. — Podróżni. —
Dwa dni chwiejby. — Ranek. — Pogoda. — Damietta.

Nie mam bynajmniej zamiaru opisywać Egiptu, z którego opisów możnaby złożyć drugą bibliotekę Aleksandryjską. Posyłam wam tylko pierwszy snopek moich osobistych wrażeń i postanawiam nie przekraczać ich granicy, w przekonaniu, że tak będzie lepiej i dla waszego odcinka i dla mnie.

Trudno mi się dziś jednak i na tę łatwą robotę zdobyć. Przeszedłem przez ciężką chorobę gardłaną, która na dobitkę chwyciła mnie zdala od Kairu, zatem zdala od wszelkiej pomocy. Pośpieszny powrót wśród kurzu pustyni pogorszył mój stan, tak, że zaledwie od kilku dni nastąpiło stanowcze przesilenie. Wszystko to, razem wzięte, stanowi może pomyślną okoliczność ze względu na moją dalszą podróż, ale narazie, gdy i ręka słaba i głowa po wczorajszej jeszcze gorączce zmęczona — ręka nie chce prowadzić pióra, a głowa snuć myśli. Ponieważ jednak za-

powiedzieliście moje listy na pierwszy kwartał roku, więc posyłam wam ten pierwszy, byle uczynić początek¹⁾.

Ruszyłem z Neapolu statkiem angielskim „Ravenna“ (z *Peninsular and Orient Company*), w sam dzień Bożego Narodzenia, ale już pod wieczór. Statek ten nie zatrzymuje się nigdzie po drodze, aż dopiero na brzegach egipskich, skąd dalej dąży do Indji. Obwiał mnie też zaraz wiatr wielkich, egzotycznych podróży. Już na pokładzie takiego statku widzisz nieznane ci z europejskich wędrówek twarze i słyszysz nieznaną w Europie mowę. Załoga „Ravenny“ składa się prawie wyłącznie z Hindusów. Kilkunastu angielskich oficerów, dwóch lub trzech tejże rasy majtków, zresztą same ciemne postacie, w białych opończach, w zawojach, smukłe, chude, o nogach i rękach tak drobnych, jak u naszych dzieci i o ruchach, mających coś małpiego.

Pogoda dobra, niebo błękitne — toń wygina się, jak lśniąca blacha, ale nie załamuje się w fale. Naokół rozlegają się monotonne głosy Hindusów, ciągnących liny; statek potężnym rykiem daje znać, że godzina odjazdu wybiła, i drży wewnętrznie. Podnoszą mostek, po którym wchodzi się na pokład; łódki pełne wszelkiego rodzaju przekupniów, stojące

¹⁾ Autor zwraca się tu do redakcji „Słowa“, w którem listy te były pomieszczane.

(Przyp. wyd.).

w dole, oddalają się zwolna; tu i owdzie powiewa kilka chustek — statek odzywa się po raz drugi — wreszcie *go ahead!* — ruszamy!

Wolę to, niż czekać. Neapol jest cudem świata, snem greckim — ale czekać jest złe, nawet w Neapolu. Zresztą chcieliśmy *vedere Napoli e poi...* Egipt! — więc nam się dłużyło. Szczególniej poprzedni dzień był ciężki — tem bardziej, że to była wilja. Siedząc owego wieczora w hali hotelowej na Piazza Umberto, rozmyślałem o lasie zakopańskim, jasno oświeconych oknach, o radosnych okrzykach dzieci na widok drzewka i myślałem sobie, że tego nie zastąpi ani Santa Lucia, ani przepyszny pióropusz Wezuwjusza, który od czasu do czasu przebłykiwał czerwono na ciemnem niebie.

Takie widzenia z odległości są jak mgły. Prześlaniają światło i czynią człowiekowi dzień smutnym. A gdym tak siedział w owych mgłach, nadomiar smutnych wrażeń wniesiono do hotelu umierającego człowieka. Niosło go czterech ludzi, on zaś głowę miał opadłą zupełnie na piersi, zamknięte oczy, ziemistą cerę i zwisłe ręce. Posępna ta grupa przesuwała się tuż koło mnie, po chwili zaś zbliżył się do mego krzesła zarządca hotelu i zapytał:

— Czy panu wiadomo, kto jest ten chory?

— Nie.

— To jest wielki Schliemann.

Biedny „wielki Schliemann!“ Odkopał Troję i Mikeny, zdobył sobie nieśmiertelność i — umierał...

Od tego czasu gazety już nawet tu, do Kairu, przyniosły wiadomość o jego śmierci.

Oto, z jakiego szeregu wrażeń składała się moja wigilja — i oto dlaczego usłyszałem na drugi dzień z pewną radością: *go ahead!*

Zatoka była gładka; nie tak niemiłosiernie morderca, jak bywa czasem morze Śródziemne, ale raczej koloru niezapominajki, z odblaskiem pereł, opalu, miedzi, dymnego srebra. Blaski owe, migocąc, łącząc się i rozbiegając, tworzyły jakby jakąś irytującą się sieć na wodzie, pełną drgań i zmian nagłych. Co było przepyszne — to delikatność i miękkość ogólnego tonu, niełatwa do zobaczenia na morzu Śródziemnem, które wogóle jest w tonie raczej twarde. Ale zatoka Neapolitańska stanowi pod tym względem wyjątek. Rzekłbyś, że Grecy, którzy niegdyś obsiedli rojem te brzegi, przynieśli ze sobą morzu grecką, łagodną świetlistość Archipelagu.

Słońce stacza się zwolna za Ischię. „Ravenna“ ani pyta, tylko bije śrubą na białą miazgę turkusy, perły, opale i pochylona cokolwiek na bok, sunie, jak rybitwa. Mijamy Sorrento; następnie przemykamy się między wyniosłością Campanelli i stromym wiszarem Capri — i na pełnej roztoczy zasuujemy się zwolna w mrok nocny.

Postanawiam czuwać, by zobaczyć wyspy Liparyjskie i wulkan Stromboli, który, niespokojniejszy od Wezuwjusza, oświeca jeszcze co noc, jak olbrzymia latarnia, ciemną pustosz morską. W tym celu, po obiedzie wieczornym, wychodzę na pokład. Wietrzno i chłodno. Okręt poczyną się wspinać na falach, ale czyni to z fantazją, bez trudu, jak delfin, który igra w morzu. Znać dobry statek! Ale do wysp Liparyj-

skich jeszcze daleko; jeszcze ani śladu ognia w dali. Tymczasem chmury, które przez dzień ukrywały się, nakształt smoków, w szczelinach gór, teraz, jakby korzystając z nocy i ciemności, wypadają ze swoich dziennych komyszy i zaczynają pędzić po niebie. Co chwila przesłaniają księżyc i gwiazdy; wiatr zgania je i rozgania, jak pies owczarski stado. Coraz nowe ich zastępy podnoszą się za statkiem — i zdają się go ścigać.

Upływa jedna godzina i druga. W salonie na dole gasną światła, lampy elektryczne na pokładzie również; zostaje tylko kilka kolorowych latarni — ruch ludzi ustaje — słychać jeno w różnych odstępach czasu dzwon strażniczy, któremu z przodu statku odpowiadają Hindusi. Zresztą — cisza.

Cisza względna, bo maszyna nie śpi nigdy i swem miarowem: „gda, gda, gda!“ znaczy drogę i czas pracy. Naokół szumi też morze, tym dziwnym nocnym szumem, w którym odróżnisz jakby głosy i nawoływania ludzkie, jakby wielkie westchnienia, a czasem łkania. Jest w tem coś ogromnie smutnego, bo ponieważ z pojęciem nocy łączy się mimowoli w umyśle ludzkim pojęcie snu i spoczynku, więc ten nocny ruch, to szarpanie się fal, wydaje się jakby męką i zarazem skargą żywiołu, któremu nigdy spocząć nie wolno.

Deszcz obfity spędził mnie z pokładu i nie pozwolił zobaczyć Stromboli. Ranek zastał nas już w cieśninie Messyńskiej. Dzień blady i chłodny. Brzeg sycylijski przedstawia się szaro i smutnie, bo gdy słońca brak, wszystko jest smutne, a tej zimy niema

za wiele słońca nawet w Egipcie. Jeden promień — a owa Sycylja zagrałaby odrazu, Bóg wie, ilu barwami! Mgła zniża horyzont i przypłascza nawet góry. Przypomina mi się urywek, raczej ułamek tylko, z „Wandy“ Deotymy:

„Póki serce nie kochało,
„Życie jest jak okolica,
„Której słońce nie oświeca.
„Może ona i wspaniała,
„Cóż gdy noc z niej farbę starła?
„Ziemia leży, jak umarła.

„Lecz niech tylko zorza w dali
„Porozrywa chmur spowicia,
„Każdy pyłek się zapali
„Nieśmiertelną iskrą życia.
„Wszystkie barwy świt odnowi,
„Wszystkie kształty dzień wyciosa,
„Cóż się stało obrazowi? —
„Słońce weszło na niebiosy!“

Ale — słońce nie wschodzi. Statek mknie bliżej sycylijskiego brzegu, tak szybko, jakby się przekradał. I istotnie, niegdyś przekradano się ze strachem przez te wody, bo to tu przecie była siedziba Scylli i Charybdy:

„Dalej są dwie opoki: jednej szczyt się jeży
„Aż w niebiosy, a na nim gruby obłok leży,
„Co nie znika ni latem, ni czasu jesieni;
„I ten szczyt się nie złoci od słońca promieni.
.....
„We środku ma jaskinię; otwór jej zwrócony

„Ku ciemnościom Erebu — więc ową jaskinię
„Określ twój, Odyseju, niechaj tak ominie,
„By z pomostu w ten otwór żadna nie doniosła
„Strzała, ciśniona ręką łucznika z rzemiosła.

„W tej jamie Skilla siedzi: słyhać ją zdaleka,
„Skomli jakby miot szczeniąt, jak złaja psów szczeka...
„Okropna to poczwara, i nikt jej widoku
„Nie zniesie; sam Bóg nawet nie dotrzyma kroku.
„Łap dwanaście szkaradnych jest u tej bestyi,
„I sześć szyj wyciągniętych, a na każdej szyi
„Łeb sprosny; w paszczy zębów trzy rzędy, a przytem
„Gęstych i chropocących z przeraźliwym zgrzytem.
„Zwykle na dnie pieczary leży tułów spory,
„A lby tylko wystawia z głębi onej nory,
„I łapczywie czatując, w paszczę swoje chwytą
„Delfina, psa i wszystko, co ma Amfitryta
„W swoim państwie podwodnem — wszystko, co się zdarzy..

.....
„Blisko od niej zobaczysz drugą taką skałę,
„Lecz niższą, bo przerzucisz przez nią każdą strzałę.
„Jest tam figowe drzewo ze skały zwieszone,
„Pod niem groźna Charybda łyka morze słone,
„Trzykroć w dzień je wyrzuca, trzykroć wciąga w siebie,
„A gdy wciąga — o niechże nie będzie tam ciebie“.

Dziś się czasy zmieniły: Charybda nie wciąga już w siebie słonej wody, a Scylla straciła zapewne zęby ze starości i nie porywa marynarzy. Cieśnina nie należy już nawet do niebezpiecznych przesmyków morskich. Dla naszej „Ravenny“, która kilkanaście razy na rok przechodzi groźne zawsze morze Czerwone i groźniejszy jeszcze Bab-el-Mandeb — to prawdziwa zabawka.

Zresztą, przed przybyciem do Neapolu, „Ravenna“ przeszła burzę, co się nazywa — i teraz nie robi sobie z byle czego wielkich rzeczy. Fala urwała szalupę. Pasażerowie wylatywali, w czasie tej burzy, z łózek; pewien młody Anglik potłukł się nawet porządnie. Ale opowiadają o niej spokojnie, jak o jednym ze zwykłych epizodów podróży. Wszyscy jadą z Londynu, więc już przywykli do morza; nie choruje nikt. Większość dąży do Kalkuty, nie zrobili więc nawet jeszcze połowy drogi.

Podróżni, prócz nas i młodego Hindusa — sami Anglicy. Jest kilka *missek* — między niemi jedna, zasługująca na nazwę *miseczki*, bo i młoda i ładna. Ta przechadza się cały dzień po pokładzie, tłumiąc zapomocą parasolki swoje suknie, które niedyskretny wiatr żenie, jak mu się podoba. Młody Hindus siedzi a raczej leży, cały Boży dzień na fotelu, z nogami w górze, wykonywając i to z niechęcią tylko te ruchy, których wymaga zapalenie fajki. Schodzi także na dół, ilekroć dają jeść; zresztą nie widziałem, żeby choć ręką ruszył. Jest to zapewne jakiś znakomity Hindus, może syn jakiego radży, wracający z Oxford lub Cambridge. Jego złotawo-zielona cera i czarne jak aksamit oczy, ślicznieby się zapewne wydawały, gdyby nosił turban — ale w szarym pidżaku angielskim i w szarej, o dwóch daszkach, czapce na głowie, młody radża wygląda, jak usmolony kapcan. Zresztą wydaje się nadzwyczaj sfatygowany podróżą, nauką lub życiem i zaledwie odpowiada Anglikom, którzy od czasu do czasu do niego zagadują.

Wogóle brak na pokładzie charakterystycznych

figur. Nawet kapitan ma minę nie wilka morskiego, ale dobrotliwą twarz angielskiego fermiera. Widocznie jednak zna się na swem rzemiośle — i patrząc na niego, nie wiem dlaczego, nabiera się wiary, że ten człowiek ani sam nie utonie nigdy, ani też ludzi nie potopi.

Szary czas, szaro usposabia — i na twarzach znać trochę nudy. Jakieś kilkomiesięczne *baby* stanowi *great attraction* — i trzeba mu przyznać, że robi, co może, by zwrócić na siebie powszechną uwagę, wrzeszczy bowiem od rana do wieczora wniebogłosy, a po nocach spać nam nie daje. Młody doktor, podobny do lorda Byrona i równie piękny, zajmuje się bardzo troskliwie *baby* a niemniej i jego matką, niepodobną wprowadzić do lorda Byrona, ale także bardzo przystojną.

Pogoda zmienna. Od czasu do czasu deszcz przetrzepuje przechadzających się po pokładzie tak nie spodzianie, jakby im chciał zrobić na złość a sobie na uciechę. Ogół podróżnych wolałby zapewne albo zupełną pogodę, albo jakąś uczciwą burzę. Byłaby przynajmniej rozrywka.

Jakoż trzeciego dnia, zdaje się, iż stanie się za-
dość temu ostatniemu życzeniu. Od rana poczynamy się mocno huścić. W południe chwiejba powiększa się, a z nią razem przychodzi nieodłączny zawrót głowy i apatja. Morze przybiera barwę ciemną i ciemnieje coraz bardziej, na tem zaś posępnem tle widać, jak okiem sięgnąć, białe ruina fal, piętrzących się coraz wyżej. Statek poczyną pracować, wspina się, zanurza dziobem w odmęt, to znów siada w wydrąże-

niach fal, przechyla się z boku na bok i skrzypi. Czuby bałwanów przelewają się przez pokład. Jesteśmy na wysokości zachodniego cypla Kandji. Wieczór nie przynosi folgi, noc również, a na drugi dzień jest jeszcze gorzej. Nie przeszkadza to nabożeństwu, bo niedziela, ale do obiadu, zamiast osób czterdziestu, siada ledwie piętnaście. Szklanki, kieliszki i talerze są w ramach. Mijamy teraz wschodni cypel Kandji. Statek wije się i przewraca, zupełnie jak chory człowiek. Ma się wrażenie, że cierpi na boleści brzucha i że sam nie wie, co z nim zrobić. Tak upłynął dzień trzeci i czwarty.

Piątego — zupełna zmiana. Budzi nas promień słońca. Wychodzimy na pokład: niebo pogodne, ale blade, morze blade i spokojne. Jakaś nieopisana słodycz napełnia powietrze — wiatru niema — cisza zupełna — i czuć technienie wiosny. Mgła zbiega się na krańcach widnokregu, jakby w jakieś fantastyczne, nikłe budynki, które załamują się łagodnie i opadają w morze. Wśród tej ciszy i słodyczy statek idzie naprzód spokojnym ruchem, a za nim ciągną całe stada mew, których nie było dni poprzednich. Nagle rozlegają się głosy: *Look here! look here!* i kilkanaście rąk wyciąga się, ukazując na burcie łodzi. Patrząc i spostrzegam małą ptaszykę, podobną zupełnie do skowronka, siedzącą na linie tuż koło burty i spoglądającą z wielką ufnością na ludzi swemi małemi, jak czarne paciorki, oczkami. Jest w tem doprawdy coś wzruszającego, bo taki ptaszek — to istotny zwiaśtun ziemi — to znak, że podróż ukończona. Wkrótce nadlatuje ich cała gromadka. Jedne siadają, gdzie

który może, inne lecą nad okrętem, lotem, który wydaje się bardzo powolny, dlatego, że i sami jesteśmy w ruchu.

Słońce podnosi się coraz wyżej, i z każdą chwilą czyni się cieplej. To przecie już egipskie słońce nam przyświeca. A jaka wiosna, jak się oddycha łatwo i szeroko! Morze i powietrze pełne są teraz blasków. W tych blaskach poczyną coś majaczyć, wynurzać się, bielić, świecić, rysować się coraz wyraźniej.

— Co tam widać? — pytam stojącego obok oficera.

— Damietta — odpowiada Anglik.

Lecimy do kabinek po szkła. Przez szkła widać nietylko budynki Damietty, ale palmy i żółte, świecące mocno w słońcu piaski. Aleksandrję i Rosettę minęliśmy na taką odległość, że ich wcale nie było widać. Zatrzymamy się dopiero w Port-Saïd, skąd, po kilkogodzinnym postoj, udamy się przez kanał do Izmailji.

Tymczasem z dziwnem wrażeniem spoglądałem na ów świetlisty rąbek ziemi, który wciąż już był w granicy naszego wzroku. Po raz pierwszy w życiu miałem zobaczyć Egipt i Afrykę.

II.

Port-Saïd. — Miasto. — Ławice. — Nil i morze. — Przyjazd. — Arabowie. — Krętanina. — Kanał. — Pustynia. — Jej charakter. — Stary Testament.

Doki, latarnie, magazyny i zbiór zwykłych, mniej więcej odrapanych kamienic, pomalowanych żółto i wzniesionych na żółtym piasku ławicy, oto Port-Saïd. Jeszcze statek nie stanął, jeszcze stoimy na pokładzie z lornetkami w rękę, a już widzimy, że miasto niema w sobie nic godnego uwagi. Tu i owdzie wznosi się wieżyczka kościelna, tu i owdzie błyszczy w słońcu wysmukły minarecik, jak świeca, zapalona nad miastem; ale wszystko to nowe, wczorajsze, pozbawione cech i charakteru Wschodu. Bo też miasto powstało przy budowie kanału. Przedtem była to piaszczysta zaspą bezwodna, ziemia mew, czapli, czerwonaków i pelikanów, które żyły tu w niezmaconym pokoju, bo nawet łodzie rybackie nie zawijały do jałowej ławicy. Gdy zaczęto kopać kanał, miasto urosło nagle, jak grzyb, a ptasie sejmy musiały sobie szukać innych zasp, co zresztą nie przyszło im trudno, jest ich tu bowiem cały labirynt.

Dawne, peluzjackie ramię Nilu, jest niemi zupełnie zatkanie. Wszędzie, gdzie okiem rzucić, widać owe łąwy, zaspy, długie rzuty piaszczyste, mniejsze nasypy, progi i groble sztuczne, które wzniosła lub ustaliła ręka ludzka; wszystko to poprzedzielane krętymi wstęgami wody, poplątanemi tak, że w tym chaosie świeżo przybyły podróżnik nie wie, gdzie się kończy morze, gdzie poczynają się wody jeziora Menzaleh, co należy do Afryki, co do Azji.

Bo też, naprawdę, żadna z tych ławic, a więc i ławica na której wznosi się Port-Saïd, nie należy ani do Afryki, ani do Azji, tylko do morza. Na całej szerokości Delty, Nil, przez wszystkie ramiona i przez wszystkie kanały, wrzuca w morze czarny muł, naniesiony z wnętrza Afryki, a ono, jakby rozgniewane za to, że rzeka mąci jego przezroczę, bije w nią piaskiem i zatyka jej ujścia. Stąd wjazd do wszystkich portów egipskich jest trudny, i nawet do Aleksandrii większy statek nie może wejść bez pilota.

Obchodzą się bez pilotów jakoby jedynie austrjackie, kierowane przez Dalmatyńców, którym w znajomości morza Śródziemnego i biegłości żeglarskiej nie wyrównywają nawet Anglicy. Być może, że tą ich sprawnością tłumaczy się bitwa pod Lissą i zwycięstwa Tegetthoffa. Ale wracając do Port-Saïd, co stanowi prawdziwy wdzięk tej miejscowości, to ogromna przestrzeń wód i nieba, w stosunku do szczupłej rozległości ziemi, na której stanęło miasto. Skutkiem tego wydaje się ono drobną, świetlistą plamką, zgubioną wśród dwóch niezmiernych błękitów — i rzekłbyś: istnieje poto tylko, by promienie słoneczne miały

się na czem zebrać i co rozświecić. Błyszczy też, jak bryłka jasnego złota, aż oczy mrużą się pod nadmiarem blasku.

Statek zbliża się coraz bardziej. Gwałtowny ruch śruby łagodnieje, i wpływamy do portu. Dziesiątki większych i mniejszych łodzi otaczają wnet parowiec. Miasto, jak powiedziałem, niema żadnego charakteru, ale, spojrzawszy na te łodzie, mówi się sobie: jednakże to Wschód! Jeszcze balkony statku zamknięte i schodki nie spuszczone, a już tam na dole wre, jak w kotle. Co za gwar, wrzask i jarmark! Arabowie, Beduini, Sudańczycy, nawpół ubrani, z piersią nagą i w jaskrawych kefijach na głowie, krzycząc w niebogłosy, odpychają sobie wzajem łodzie bosakami i wiosłami. Każdy chciałby się pierwszy dostać na statek i porwać rzeczy podróżnych, którzy wysiadają w Port-Saïd. Widząc te rozpalone twarze, wytrzeszczone oczy, zęby przeblyskujące z czarnych lub sinawych warg, słuchając tych słów, wyrzucanych jakby w najwyższem uniesieniu wściekłości, sądzićby można, że za chwilę ludzie ci porwą się za gardła i poczną się rozdzierać zębami. Ale nic z tego! Robią to co dzień, lub kilka razy na dzień, za każdym przybyciem statku. To tylko wschodni sposób dobijania się o zarobek. A gdy wreszcie wpadną na pomost nakształt krwiożerczych korsarzy lub złych duchów, kij flegmatycznego Anglika wnet przyprowadza ich do porządku.

Już balkon otwarty, i schody opuszczają się ku wodzie. Na dole współzawodnictwo wioślarzy przybiera pozory bitwy, a wrzaski stają się jeszcze prze-

rażliwsze. Nie wysiadam w Port-Saïd, nie będę zmuszony bronić pakunków, więc cóż mnie to może obchodzić! Staję oparty o poręcz pokładu i patrzę. Dzioby łodzi obiegły już schody, tak, że niema miejsca na szpilkę. Czarne ręce wyciągają się ku podróżnym. Mało kto wysiada na dobre, ale wiele osób chce zwiedzić miasto, mamy bowiem trzy godziny czasu. Pojadę i ja, ale tymczasem chcę się napatrzeć tej krętaninie, tym łodziom i tym egzotycznym postaciom, które oświeca afrykańskie słońce. Wielu Arabów, szczególnie przekupniów, dostało się już na pokład, który traci skutkiem tego swój zimny angielski charakter a zmienia się w malowniczy bazar, na którym sprzedają maty, tkaniny wschodnie, korale, wyroby drewniane, dywaniki itp.

W jednym miejscu gromadka Anglików gapi się na arabskiego kuglarza; inni, przechyleni przez poręcz, patrzą, jak młody Beduin, nagi do pasa i ulany jakby ze spiżu, skacze na dno za pieniędzmi, które mu rzucają z pokładu. Po pięciodniowej podróży morskiej, jednostajnej i trochę nudnej, ten ruch i to gorączkowe, nieznane w Europie życie, ma swój nie mały urok.

Siadam do łodzi, i jedziemy do miasta. Prócz mieszkańców, nic w niem ciekawego. Ulice przecinają się pod kątem prostym, domy bez charakteru; na europejskich murach trochę wschodniego brudu — i oto wszystko. Jenó na krańcach miasta kilka domów arabskich wśród śmieci i piasku, a koło nich gromady brudnych dzieciaków i kłapouchych a bezrogich kóz. Na głównych ulicach ukrop taki sam, jaki

był przy statku. Ani myśleć tam o spokojnej przechadzce lub rozmowie z towarzyszem. Dziesięciu Arabów leci za każdym Europejczykiem, wrzeszcząc po angielsku, po francusku, po włosku, lub w tej mieszanej gwarze, która na Wschodzie zwie się „lingua franca”. Jedni napraszają się za dragomanów, drudzy ciągną do sklepów, inni sami sprzedają rozmaite drobiazgi. Potrafią cię zagłuszyć, potrafią ci dokuczyć i uprzykrzyć cię w ciągu jednej godziny. Schroniliśmy się przed ich natręctwem do jakiejś kawiarni, złożonej z dwóch sal: w jednej około tuzina Niemek, o twarzach mocno wypudrowanych, grało na waltorniach i innych dętych instrumentach, w drugiej warczała ruletka.

A tymczasem „Ravenna” skończyła brać węgiel, który z ogromnej krypy ładowali na nią murzyni — i trzeba było wracać. Około trzeciej ruszyliśmy dalej i minąwszy długie kamienne moło, wpłynęliśmy na kanał.

O kanale można powiedzieć, że jak każda prawdziwa wielkość przedstawia się skromnie. Tyle się nasłuchało o doniosłości tego dzieła, że mimowoli oczekuje się czegoś nadzwyczajnego — i doznaje się zawodu. Dzieło jest wiekopomne, i o doniosłości jego możnaby tomy pisać, ale zewnętrznie przedstawia się jako wstęga wody, o brzegach ujętych w niskie, piaszczyste tamy, nie szersza nad sto metrów, na której dwa duże statki mogą się minąć z pewną trudnością. Pierwszy lepszy kanał francuski lub belgijski takie samo czyni wrażenie. Tylko że ten oddziela dwie części świata a jednocześnie łączy je

z trzecią, bo otwiera dla Europy cały wschód Afryki i południe Azji.

Po jednej stronie niska tama zabezpiecza kanał na długiej przestrzeni od wód jeziora Menzaleh — po drugiej widać dziką pustynię.

Widzi się ją tam po raz pierwszy po przybyciu do Afryki i na widok jej zapomina się o wszystkim innym.

Człowiek, który ją bardzo pragnął widzieć, przedewszystkiem zadaje sobie pytanie, czy ona jest taka, jak ją sobie wyobrażał, i czy mu dopisuje?

Piasek i niebo — w tych dwóch słowach mieści się pustynia, ale nie mieści się jej dusza. Trudno ją określić, tak, jak trudno w pierwszej chwili zdać sobie sprawę z własnych wrażeń; ale po niejakim czasie odczuwa się doskonale, że między piaskami i niebem jest coś trzeciego, co stanowi istotę rzeczy. Jest to niesłychana martwota, tak straszna, że o podobnej nie miało się dotąd żadnego pojęcia. Piasek, pomarszczony w taki sposób, jak marszczy się toń pod wiatrem, wygląda jakby skostniały; niebo nad nim szkli się, jak oczy umarłego człowieka, przez które nie patrzy dusza. Tu po raz pierwszy rozumie się, że pustka może być żywą lub martwą, bo naprzykład na pełnem morzu, gdy oko nic nie dostrzega, prócz wód niezmiernych, czuje się jednak ruch. Tu jest kraina zastygła. Spokój na morzu jest ukojeniem się żywiołów; spokój pustyni — odrętwiałością. Istnieje tu wszystko, co kojarzy się z pojęciem śmierci, więc i ogromna groza, i ogromna cisza, i melancholja, i rozdzierający smutek, który leci nad duszą ludzką



gdzieś z głębin pustyni, ogarnia ją, uciska i napełnia niepokojem. Niepokój ów potęguje się wreszcie do tego stopnia, że człowiek poczyną się z nim zmagać i mimowoli zadaje sobie pytanie, skąd się to bierze? Ale o odpowiedź trudno. W pustyni odczujesz wszystko, z czego się składa śmierć, nie odczujesz tylko miłosierdzia. W stężonych wydmach i tem stężałem niebie tkwi coś nieubłaganego. Po prostu mówiąc, ma się to niesłychanie gnębiące wrażenie, że z tego umarłego nieba nikt nie patrzy, że wśród tych płowych piasków nikt nie słyszy, i że na pustyni próżnoby rozpacz wołała o ratunek. Stąd ucisk, stąd niepokój, stąd strach. Gdyby pustynia przedstawiała się człowiekowi wrogą, mniej byłaby straszną, bo gdzie jest wrogi żywioł, tam możliwą jest walka, jak np. w czasie burzy na morzu — ale pustynia jest tylko względnie obojętną, a taka trupia obojętność ma w sobie coś więcej przerażającego, niż rozpętany gniew.

Nie widziałem huraganu, traturującego piaski; ale w huraganie jest przynajmniej namiętność i ruch, a zatem i życie, przez które pustynia upodabnia się do reszty świata — w ciszy zaś i milczeniu zdaje się ona należeć do jakiejś zupełnie innej planety-cmentarza, na której wszystko jest zgasłe i nieruchome. Dlatego przypuszczam, że w ciszy pustynia jest bardziej przejmującą.

Wieczór zapadł. Słońce zanurzało się w wodach jeziora Menzaleh. Piaski po stronie arabskiej przybrały barwę różową, która zwolna przechodziła w ton liljowy, coraz delikatniejszy i bledszy. Ale te łagodne

tony, które gdzieindziej napełniają słodyczą całą naturę, nie odjęły pustyni jej surowości i biblijnej powagi. Trudno wypowiedzieć, do jakiego stopnia przypomina się w tych stronach na każdym kroku Biblia. Później widziałem, koło Tel-el-Kebir, szereg wielbłądów, idących przez pustynię. Ciągną one długim sznurem, jeden za drugim, kołysząc jukami na obie strony, każdy z szyją wygiętą w hak, przed każdym człowiek w długich szatach, z białym zawojem na głowie. I tło i obraz — zupełnie karta ze Starego Testamentu. Takie to jakieś smutne, proste, takie pełne powagi i odwiecznej tradycji, że wygląda bardziej na biblijne widzenie, niż na rzeczywistość. Człowiekowi wydaje się, że się naczytał o czasach Jakóba a potem zasnął i śni. Istotnie trudno uwierzyć, że się żyje w czasach dzisiejszych.

Takie obrazy stanowią urok pustyni.



III.

Nocna wycieczka do Piramid. — Noce wschodnie. — Różnica widoków. — Piramidy. — Sfinks przy świetle księżyca. — Pustynia. — Nokturn.

Niema zapewne Europejczyka, któryby bawiąc w Kairze, nie odwiedził kilkakrotnie Piramid i Sfinksa, ale mało kto czyni tę wycieczkę w nocy. Mnie również nie przyszłoby to do głowy, gdyby jeden ze znajomych nie opowiadał mi o wrażeniu, jakie czyni Sfinks, widziany przy świetle księżyca. Postanowiłem najać w Kairze powóz i jechać.

Wycieczka to łatwa, musiałem jednak czekać kilka dni, albowiem noce były chmurne. Nakoniec przyszła jedna, jeśli nie zupełnie pogodna, to przynajmniej pogodniejsza od innych; więc nie odkładając dłużej, wyruszyłem, wraz z trzema towarzyszami, przed północą, z placu Ezbekieh.

Już sama droga przez uśpione dzielnice miasta, przez most na Nilu i ciągnące się za nim aleje, przedstawia nocą szczególny widok. Głównem wrażeniem, jakie się otrzymuje na Wschodzie, przebiegając w dzień ulice, mosty i place, jest wrażenie natłoku i waru

ludzkiego życia. Miasta wydają się tak rojne i zgiełkliwe, jak nigdzie. Przez ten sam most na Nilu, przez te same aleje, trudno się w dzień przecisnąć. Na bocznych chodnikach przepychają się Arabowie, Beduini, Żydzi, Koptowie, Murzyni, Grecy i Anglicy, środkiem ciągną szeregi wielbłądów, wozy zaprzężone w bawoły i pojazdy paszów, z biegnącymi przed końmi saisami. Widzisz wszystkie barwy skóry i słyszysz wszystkie języki. Ruch i gwar taki, że w głowie się kręci. Pod akacjami przydrożnymi i pod palmami całe obozowiska; gromady kramów, barwne tkaniny, zawoje, stosy bakalij, pęki trzciny cukrowych, znów wielbłądy, znów stada osłów. Między nimi wrzaskliwy tłum przewodników: cały obraz w rażącym blasku lub czarnych cieniach, bez ogólnego tonu, o barwach lokalnych, tak natężonych i tak ogromnie wyraźnych, że po dłuższym czasie męczą one oczy północnego człowieka i stają się niemal dokuczliwe.

W nocy cisza i pustka. Świat, oparem nilowym przesłonięty, zatarty i niewyraźny. Z pojęciem Wchodu tak dalece łączy się pojęcie wyrazistości i blasku, że ze zdziwieniem zapytujesz siebie, czy ta rzeka, dymiąca mgłą, jest Nilem — a to miasto Kairem? Może latem inaczej, bardziej po wschodniemu wyglądają te noce; w zimie przenoszą nas one jakby pod północne niebo i sprawiają nam pewien zawód. Ale też zato wyobraźnia, zmęczona jaskrawością dziennych wrażeń, odpoczywa w nich doskonale.

Drogę z Kairu do Piramid przebywa się w ciągu półtorej godziny. Niegdyś jechało się dłużej, przez malownicze arabskie i beduińskie wioski, to blisko

nad rzeką, to dalej, przez laski palm i pola bujne. Dziś inżynierowie wytknęli nieubłaganą linię prostą, która skraca czas drogi, ale pomija wszystko, co jest godne widzenia. Nawet w dzień wioski zostają poza granicą wzroku; w nocy nie widać nic, prócz pni akacyj przydrożnych, rozświecanych przez latarki powozu. W pobliżu Piramid kończy się kraj uprawny i kończy się, jak prawie wszędzie w Egipcie, bez żadnych przejść. Po zielonej runi zbóż, która w nocy wygląda czarno — poczyną się nagle wielka, odkryta, jaśniejsza przestrzeń — to już piaski — pustynia: na niej widać trójkątne sylwety Piramid.

Jesteśmy na miejscu. Zajeżdżamy do Mena. Jest to hotel angielski, w którym staro-egipską i arabską ornamentykę ożeniono z nowożytnym komfortem. Mieszkają tu chorzy, by oddychać powietrzem pustyni, lub ci, którym do porannej kawy na werandzie potrzebny jest widok Piramid. Północ dawno już wybiła, gdy nasz powóz zatrzymał się pod bramą. W Mena uśpione wszystko. Budzimy zamieszkałego przy bramie szejka, który zapewne jest zarazem odźwiernym hotelu, ale rozespany Beduin nie bardzo rozumie, czego od niego chcemy i po krótkiej rozmowie z naszym woźnicą, wraca spać.

Idziemy sami, bo Piramidy widać i drogę znaleźć łatwo. Księżyc już zeszedł, ale ukrywa go szeroki pas chmur. Nie są to jednak owe ciężkie, zawalne chmury, zawierające, wedle słów Szekspira: „kufy pełne wody, gotowe pęknąć lada chwila“. Jest to ten rodzaj lekkich obłoków, które w dzień wyglądają, jak stada owiec, pasące się na wysokościach,

a po zorzy wieczornej, która rumieni ich wełnę, zbijają się w jedną gromadę i układają do snu nad ziemią. Światło księżyca nie przedostaje się przez nie, ale rozświeca je od zewnątrz, więc noc nie jest zbyt ciemna — raczej szara, niż srebrna.

Idzie się jednak cokolwiek poomacku. Piramidy, które zdaleka rysowały się czarno, zbliższa wydają się szare. Przychodzimy tuż pod Cheopsa. Stojąc u samych stóp, nie widzi się szczytu, bo trójkątna płaszczyzna, idąc pochyło w górę, usuwa się z promienia oka, skutkiem czego piramida wygląda, jak obłe wzgórze. Opodal majaczeje Cefren. W tym mroku oko dostrzega i rozróżnia przedmioty, ale kształty są niepewne; zarysy ich rozpraszają się, topnieją i zlewają z otoczeniem. Wszystko jest bladoszare — i piasek pustyni, i głazy piramid, i utworzone z pokruszonych kamieni stopy odłamów, wszystko jakieś niezwarłe, widziadłowe, senne, jakoby pozbawione bryłowości i ciężaru.

Cisza — aż w uszach dzwoni! Można ją nazwać grobową, bo przecież jesteśmy wśród grobów. Naokoło świat obumarły. I my mówimy cicho — i mało. Wspiąwszy się nieco na piramidę Cheopsa, siedzimy w milczeniu, i każdy stara się uświadomić sobie własne wrażenia. To wszystko, co nas otacza, takie jest odmienne od tego, co się w życiu widziało, takie dziwne i tak jakoś bezwzględne w swym ogromie — wśród nocy i ciszy, że naprawdę doznaje się tylko rozmaitych poczuć, bo myśl onieśmielona wydaje się sama sobie tak marną, jak marnym jest człowiek wobec tych olbrzymów.

Z rozmyślań budzi nas dopiero, dochodzące z od-
dali i mroku, jęklive skomlenie szakala. Jest tu ich
jakoby dużo, i Anglicy, zamieszkujący Mena, zasa-
dzają się na nie często, wśród samych Piramid, w cza-
sie księżycowych nocy. Schodzimy wreszcie, by zbli-
żyć się do Sfinksa, bo przez chmury widać, że księ-
życ wzniesie się wkrótce nad ich pas i wyrzy na
czyste niebo.

Mijamy gromadkę pomniejszych Piramid. Są one
grobowcami tych Faraonów, którzy panując przez
krótkie lata, nie zdołali sobie wznieść równie olbrzy-
mich mauzoleów, jak Cheops, Cefren i Menkera. Z tych
mniejszych wybierano przez całe wieki kamienie,
skutkiem czego zostały zrujnowane prawie doszczę-
tnie i zwłaszcza po nocy wyglądają, jak bezkształtne
masy gruzu.

Wszędy rozrzucone kamienie — większe i mniej-
sze; grunt pokryty rumowiskiem, doły powybijane
w piasku; wszędy ślady spustoszenia; droga nie-
pewna i żmudna. Ale oto na tle nocnego nieba za-
rysowyywa się coś przed nami, jakby olbrzymia ciemna
plama — to Sfinks.

Przychodzimy bliżej. Sfinks nie jest taki szary,
jak Piramidy. Niezmierna jego głowa, wykuta z czer-
wonego kamienia, jest zupełnie czarna, jakby sku-
piała w sobie noc. Rysów twarzy nie widać, ciała
również, albowiem spoczywa ono w dole, niżej od
poziomu pustyni. Nie tak dawno, jak odrzucono na
obie strony pokrywające je piaski, że zaś jest jednej
z niemi barwy, więc w mroku oko nie może go wy-

różnić — i tylko głowa wznosi się nad pustynię, ogromna i tajemnicza.

Stanowczo Sfinks większe czyni od Piramid wrażenie. Piramidy są to, bądź co bądź, geometryczne bryły. Niema w nich duszy, natomiast jest coś tak suchego, jak w matematyce. Tymczasem Sfinks, to olbrzymia istota. Stanąwszy przed nim, mimowoli przypuszczasz, że w tem głuchem milczeniu on coś rozważa i myśli o rzeczach wielkich i tajemniczych.

Księżyc wytoczył się wreszcie z za zrębu chmur na czyste niebo, i wówczas zaczęła się dla mnie jedna z najpiękniejszych nocy, jakie w życiu widziałem. Głowa Sfinksa z czarnej stała się ciemno-zieloną, niby stary bronz; płaszczyzna twarzy wypełniła się ludzkimi rysami, zbudziła się, jakby ze snu, i rozśmiała do księżyca. W oczach naszych spełniają się czary; w jednej chwili tworzy się jakiś mistyczny związek między Sfinksem a księżycem. Zapominam o dzisiejszym świecie i zdaje mi się, że żyję w dawnym Egipcie. Oto Izys na niebie, oto Sfinks szepce coś do niej; oto za chwilę nadciągnie od Piramid szeregi białych hierodulów, i pocznie się jakiś obrzęd święty i tajemniczy. To, co było dla mnie tylko teorją księżycową, zmienia się w taką rzeczywistość, że aż jakaś trwoga zabobonna przejmuje duszę. Sfinks staje się do tego stopnia żywym, że próżno sobie powtarzać, iż to tylko złudzenie światła. Niepodobna oczu oderwać od tej twarzy, która, zwrócona wprost na księżyc, uśmiecha się ciągle. Widziałem ją potem we dnie, ale przy świetle słońca dostrzec można w niej szczyrby, które porobił czas — w nocy zaś,

w srebrnym blasku, jest to zupełnie twarz ludzka, która drga, myśli i czuje.

Widać teraz rozkopane piaski, które pokrywały ciało Sfinksa, ale w nocy czyni to takie wrażenie, jakby on sam je odrzucił i podniósł się z pod ziemi, aby powitać księżyc i pogadać z nim o dziejach tak dawnych, jak nikt prócz nich nie widział, nie zapamiętał i nie zapisał.

Bo czego on nie widział, ten Sfinks — on, którego początek jest tajemniczą zagadką — on, którego już Cheops naprawiał? Stał już, gdy wznoszono Piramidy, i tenże sam Cheops chronił się zapewne w jego cień przed skwarem słońca. Potem widział Mojżesza i Kambyzesa, Aleksandra i Ptolomeuszów, Cezara i Marka Antonjusza, Kleopatrę i Najświętszą Pannę, łunę pożaru Aleksandrii i dzikiego Amru, świętego Ludwika i Napoleona. Wszystko to widział — i uśmiechał się tak samo nocami do księżyca. Wszystko to przeszło — on jeden został. Jest tak odwieczny, że się go prawie nie uważa za dzieło rąk ludzkich — i mimowoli widzi się w jego ogromie coś niemal kosmicznego, jakby był stworzony z tego samego żywiołu, co i ten księżyc, z którym rozmawia w jasne noce.

I patrzą tak obaj na siebie, w srebrnym świetle, wśród śpiącej pustyni. Płowe jej piaski stają się teraz jasno-zielone; opodal błyszczą się Piramidy, za nimi przestrzeń pusta bez końca. W stosunku rzeczy ze sobą istnieje zgoda lub niezgoda. Tu wszystko dobrane. Ogrom, tajemnica, samotność i wielkie groby, a oprócz nich naokół nic — żadnej różnorodności przed-

miotów, żadnej możności porównań; jenó w krąg pustynia, zalana blaskiem uroczystym i ogromnie smutnym.

Ale w owej melancholji niema nic przykrego. Przeciwnie, jest to wielka i nad wszelki wyraz doskonała symfonia, której pojedynczemi akordami są Piramidy, Sfinks, księżyc i pustynia. Bierze ona duszę ludzką i kołysze ją, jak do snu. Warto przyjechać do Egiptu, by się raz w życiu taką symfonią upoić!

Spokój naokół. Tylko księżyc wzbija się wyżej i wyżej. Z rozgrzanej w dzień od promieni słonecznych ziemi wstają opary i pełzną po pustyni, choć niema najmniejszego wiatru. Na chwilę przesłoniły Sfinksa, ale księżyc wnet go wydobył, opar zaś poszedł dalej i obwinął piramidę Menkera, która niewiem dla czego, ze srebrnej, stała się nagle różową, potem zgasła, a potem odzyskała znów swą księżycową barwę.

Do świtu było jeszcze daleko, bo ni księżyc, ni gwiazdy nie bladły; ale noc ubiegała. W namiotach beduińskich, leżących w głębi pustyni, ozwało się pianie koguta, a za tym pierwszym ozwał się drugi, trzeci, dziesiąty; nagle dało się słyszeć skrzywienie piasku i jakieś głosy: widocznie ktoś się zbliżał. Jakoż po chwili, na piaszczystem wzniesieniu, za Sfinksem, zarysowała się sylwetka wielbłąda, a pod zgiętą jego szyją dwóch Beduinów, przybranych w długie białe szaty.

I ten biblijny wielbłąd, oraz ci dwaj podobni do nocnych widziadeł ludzie, byli jakby ostatnim akordem nokturnu.

IV.

Zawód. — Rozmyślania. — Suez. — Miasto i port. — Widoki. —
„Bundesrath“. — Wyjazd.

Statek francuski z kompanji Messageries Maritimes, którym miałem się puścić na morze Czerwone i ocean Indyjski, sprawił wszystkim okrutny zawód. W agencjach zapowiedziano nam, że do Suezu przyjdzie 19 stycznia, tymczasem on sobie przyszedł i wyszedł 18-go. Jak sobie radzili ci, którzy, kupiwszy naprzód bilety, bawili, ubezpieczeni terminem, aż do 19 w Kairze lub na wycieczkach w okolice — niewiem. Byłem tyle ostrożny lub tyle leniwy, że m biletu naprzód nie kupił. Swoją drogą, wiadomość o tym figlu kompanji, czy kapitana, wprawiła mnie w najgorszy humor, miałem bowiem teraz do wyboru, albo czekać cały miesiąc na następny statek francuski, albo jechać innym. Wszystkie inne zaś, nie wyłączając angielskich, idą wolniej, są daleko gorsze i daleko mniej wygodne.

Pomyślałem sobie jednak: widocznie statki nie są to koleje, które trzymają się ściśle godziny, a nawet i minuty, oznaczonej w rozkładach; jedźmy tedy do Suezu i rozpatrzmy się na miejscu w terminach.

Pobyt w Suezie uśmiechał mi się z różnych powodów. Naprzód jako nowość. Kto ma trochę natury żyda wiecznego tułacza, ten nigdzie długo miejsca nie zagrzeje. Powtóre, chodziło już nie o zagrzanie miejsca, lecz o rozgrzanie siebie, albowiem też sama niebywała zima, która w tym roku zasypywała śniegiem pułki francuskie w Algierze, dała nam się porządnie we znaki i nad Nilem. Mówiąc poprostu, szczękaliśmy zębami w naszych hotelowych pokojach, w których od czasów Cheopsa nikt nigdy pieca nie widział. Szczególnie nocami było tak zimno, że w Wielkiem Muzeum poczerwieniały, jak mówiono, nosy mumjom wszystkich Ramzesów, Setów, Thutmesów i Pepich, co się podobno od czterech tysięcy lat nie zdarzyło. Ponieważ, na dobitkę, chorowałem mocno na gardło, liczyłem więc, że w Suezie klimat okaże się na mnie łaskawszy. Przecie to już jeszcze prawdziwsza Afryka, przecie to już morze Czerwone — i zima powinna mieć w tamtych stronach trochę wstydu w oczach.

Prawie każdy człowiek, gdy go ma spotkać w życiu coś niezwykłego a bardzo pożądanego, pełen jest obaw i niepokojów, czy go ta rzecz pożądana nie minie. Ze mną było to samo. Miałem zobaczyć podzwrotnikową Afrykę, którą życzyłem sobie widzieć oddawna, ale mimowoli myślałem: nie uwierzę, że tam pojadę, dopóki nie będę na pokładzie. Otóż Suez zbliżał mnie do pokładu. Zdawało mi się, że gdy raz tam stanę, to już obwieje mnie wiatr wielkich podróży, i sama podróż mnie nie minie. Sądziłem również, że w tem portowem mieście,

w którem spotyka się ludzi, wracających ze wszystkich kątów oceanu Indyjskiego, łatwiej zasięgnę wiadomości o Massawie, Zanzibarze i stałym lądzie afrykańskim. W Kairze udzielano nam informacji tak sprzecznych, że nie wiedzieliśmy, co sądzić. Jedni utrzymywali, że tak zwana „massika“, to jest pora dżdżysta, w czasie której nie można i nie warto podróżować, zaczyna się w styczniu; inni uważali styczeń i następne miesiące za najodpowiedniejsze do podróży; jedni grozili nam febrą, drudzy zapewniali, że przyjedziemy w porze najzdrowszej. Radziliśmy się jednak ludzi, którzy byli niewątpliwie w Zanzibarze i w głębi. Ale być i mieszkać, są to dwie rzeczy różne. Prawdziwych informacji może udzielić tylko stały mieszkaniec kraju. Podróżnik, który spędził w nim kilka miesięcy, nic nie wie, a natomiast rzadko umie uchronić się od wyciągania wniosków ogólnych. Wszędzie, na przykład, może się zdarzyć wyjątkowo dżdżyste lato, ale mniej bacznego podróżnika, gdy na takowe gdzie trafi, gotów wywnioskować, że w takim a w takim kraju lato bywa zawsze dżdżyste, mgliste i chłodne.

Ze zbyt pośpiesznych uogólnień płyną całe rzeki błędów i w życiu i w podróżach. Czytałem niegdyś anegdotę o pewnym Angliku, który, ścigany w Sudanie przez krokodyla, wlażł na palmę i począł wywijać pękiem liści, chcąc dać znać o swem rozpaczliwym położeniu. Drugi Anglik, spostrzegłszy to zdaleka, zapisał zaraz z powagą w swej podróżniczej książeczce, że w Sudanie są palmy, które nawet w chwilach zupełnej ciszy, za zbliżeniem się

człowieka, wywijają liśćmi, jakby go zapraszały na daktyle.

Czemu miłość własna nie pozwala na przyznanie, że się czegoś nie wie? Będąc już w Suezie, dowiedziałem się, że wprost z Zanzibaru przyjechał kupczyk grecki, który za handlem chodził i w głąb lądu. Był to brat mego gospodarza, więc łatwo mi go było sprowadzić i wypytywać. Zapewniał mnie, że był wszędzie, ale że czasem odpowiedzi jego wydawały mi się jakoś niepewne, więc na próbę pytam:

— Czy Bagamoyo to duże miasto?

— Tyle a tyle mieszkańców.

— A Kilima-Ndżaro?

— Tyle samo.

Otóż Kilima-Ndżaro jest górą, nie miastem. Łatwo zrozumieć, że po takiej odpowiedzi poradziłem memu kupcykowi, żeby sobie poszedł na przechadzkę po Suezie.

Nie przestałem jednak chodzić po agencjach, jak również rozmyślać, gdzie mam jechać. Wahałem się jeszcze w wyborze okolicy. Dzięki uprzejmości i stosunkom rzymskim Siemiradzkiego, miałem listy i do Massawy. Za Massawą przemawiało wiele. Naprzód podróż to znacznie bliższa i mniej utrudniająca, a że po chorobie w Kairze nie byłem w pełni sił, więc musiałem się z tem liczyć. Następnie klimat Massawy, mimo słynnych tamtejszych upałów, jest zdrowy; niema tam febr błotnych, bo niema błot; tam Abisyńczycy biorą poprostu człowieka i skrecają mu kark, co nie musi być rzeczą zbyt nieprzy-

jemną, skoro się Abisynja tak Włochom podoba, że na skręcenie karku do niej lecą. Kraj na brzegach ma charakter pustynny, jak Arabia lub Egipt. Wody wprowadzie brak, ale ktoby tam pijał wodę, kiedy jest tyle lepszych rzeczy na świecie. W głębi wznoszą się góry, pokryte bujną roślinnością, pełne dzikich zwierząt, zamieszkałe przez lud zarazem dziki i chrześcijański.

To ostatnie nie jest wprowadzie wielką osobliwością, ale wogóle biorąc, Abisynja przedstawiała wielkie ponęty. Z drugiej jednak strony trudno mi było dowiedzieć się, jakie są w tej chwili stosunki Włoch z Abisynją. Co to jest nie odbierać gazet warszawskich! Gdyby stosunki te były nateżone, lub gdyby zbierało się na wojnę, najneutralniejszy podróżnik łatwoby mógł zostać powieszony na własnej neutralności. To mi się mniej uśmiechało. Naprawdę, musiałbym siedzieć na piaszczystej wysepce lub równie piaszczystym wybrzeżu, bez możliwości zapuszczenia się w głąb lądu. Obiecywano mi wprowadzie, że w każdym razie będę mógł dotrzeć do Kerenu — ale z liczną eskortą. Otóż liczna eskorta pociąga za sobą liczne wydatki. Ostatecznie było więcej, niż prawdopodobne, że jeżeli zapuszcę się do Abisynji, to już nie będę mógł zwiedzać Zanzibaru i pobliskiego stałego lądu.

Zanzibar zaś i przyległy mu ląd wydawały mi się więcej egzotyczne. Ponieważ taką wyprawę czyni się raz w życiu, więc, żeby nabrać ochoty do uczynienia jej drugi raz, trzeba dotrzeć daleko i widzieć rzeczy prawdziwie ciekawe. Pomyślałem prócz tego

że jeśli starczy zdrowia i pieniędzy, to przecie Mas-sawa leży na powrotnej drodze z Zanzibaru...

Stało więc na Zanzibarze.

Potem, jak zwykle po każdym postanowieniu, nastąpił koniec rozmyślań, folga, nudy i pogodzenie się z losem. Jesteśmy przecie w kraju, w którym wierzą w przeznaczenie. Ono widocznie chciało, bym nie jechał statkiem francuskim „Amazone“, lecz niemieckim „Bundesrathem“, i bym pod równikiem jadł Leberwurst, Sauerkraut i Kalbsbrust mit Kartoffel-salat. Niechże i tak będzie! Tymczasem mam przed sobą pięć dni czasu, który mogę przepędzić w sposób, jeżeli nie rozkoszny, to przynajmniej oryginalny, to jest, klnąc na zimno w Afryce i chodząc w ciepłym paltocie nad morzem Czerwonym.

Tego mógłby mi każdy Anglik pozazdrościć.

Morze Czerwone odznacza się przedewszystkiem tem, że jest zielone. Rankami szczególnie widywałem wody barwy zupełnie szmaragdowej. W ciągu dnia błękitnieją one coraz bardziej, nigdy jednak nie stają się tak modre, jak toń morza Śródziemnego. Jest to tem dziwniejsze, że kanał zachowuje kolor odmienny i wygląda jak niebieska wstęga, rzucona na złote piaski Arabji i Egiptu.

Suez — to już kąć zapadły i daleki. Miasto samo nie przedstawia nic ciekawego. Jest to zbiór domów, pozbawionych wszelkiej oryginalności i przypominających kamienice naszych podrzędnych miast. Gmachy rządowe, dworce kolejowe i hotele są miżerne. Europejczyków mało. Większa ich część mieszka w porcie Ibrahim; we właściwem mieście

istnieje wprawdzie europejska dzielnica, ale spotyka się w niej najczęściej Greków. Tłum Arabów i murzynów jeszcze brudniejszy, wrzaskliwszy i więcej natrętny, niż w innych miastach egipskich. Jest to zbiór najbardziej zakazanych figur, jakie zdarzyło mi się spotkać gdziekolwiek w świecie. Arabowie wydają się malowniczo nawet w łachmanach, ale każdy z nich ma coś takiego w twarzy, jakby dwa dni nie jadł. W ich gwałtownych ruchach i natarczywości, przechodzącej wszelką miarę, tkwi jakaś gorączka głodowa. Trudno z początku zdać sobie sprawę, dlaczego się tak dzieje. Miasto zdaje się być położone doskonale, bo przy samem ujściu kanału. Nie setki, ale tysiące wielkich okrętów, jadących w tę i tamtą stronę, zatrzymuje się w tutejszym porcie. Suez jest niejako bramą otwartą na wielkie przestworza morskie, na szlak Indyj, Afryki i Australji; koleje żelazne łączą miasto z Izmailją i Kairem, a jednak znać tu wszędy piętno zastoju, ubóstwa i nędzy.

Podróżny jest tu poprostu łupem, na który rzuca się miejscowy tłum, jak stado szakali. Kto się nie umie bronić, to go rozerwą.

Ale wogóle przejezdnych tu niewiele. Ci, którzy chcą jechać z Egiptu w dalsze strony, siadają na statki zwykle w Port-Saïd. Powracający również rzadko tu wysiadają. Powinno być inaczej, bo przejazd kanału jest drogi, ale pomimo to ruch podróżniczy jest stosunkowo nieznaczny.

Statki zatrzymują się tu wprawdzie tysiącami, ale poto tylko, by zaawizować w inspekcji portowej

swe papiery — i zaraz ruszają dalej. Gdyby Suez stał się kiedyś środkowym punktem handlu między Egiptem z jednej a wybrzeżami morza Czerwonego i Abisynji z drugiej strony, począłby niechybnie porastać w ludność i dostatki. Tak, jak dziś jest, położenie jego przypomina poniekąd położenie Tantala. Niezmierne bogactwa przesuwają się tuż koło niego, ale tylko przesuwają, i ni ręce, ni usta pochwycić ich nie mogą. Port-Saïd zabrał Suezowi wszystko, nawet chleb powszedni.

Nudno było nadzwyczaj w tym Mrzygłodzie egipskim. Ból gardła dokuczał mi ciągle, i nie mogłem sobie pozwolić na wycieczkę do źródeł Mojżesza, leżących po drugiej stronie zatoki. Zimno było ciągle, ale chmurno nie zawsze, więc w chwilach pogody chodziłem do portu Ibrahim, długą na trzy kilometry groblą, poprowadzoną przez zalewisko morskie. W czasie odpływu, wody schodzą z niego w znacznej części, i żółte piaski wyszczerzają się na słońce. Wpobliżu miasta i głębiej, pod amfiteatrem wzgórz, znajdują się miejsca niższe, z których woda się nie cofa — prawdziwe rojowisko krabów i mięczaków o kręconych muszlach. Tuż pod miastem, owe wielkie gładkie kałuże barwią się, zapewne pod wpływem brudów miejskich, jak szyby przepalone słońcem, w rozmaite tęczowe odbłyski. W czasie przypływu, zielona fala pokrywa wszystko i leci tak wartko, że nawet na koniu umknąć przed nią nie można. Wiadomo, że Napoleon mało się nie utopił w czasie jednego z takich przypływów.

Całe zalewisko wygląda w czasie pełni wód, jak wielkie jezioro, ograniczone kręgiem wzgórz. Owe wyniosłości pokrywa mgła oddalenia, przez co w dniu pogodne wydają się ciemno-błękitne a raczej jakby subtelnym błękitnym muslinem przysłonięte. O zachodzie stają się coraz wyraźniejsze, omaszczone na czubach złotem i purpurą, na skłonach liljowe, powiewne, delikatne. Potem bledną i gasną w mroku.

Wzgórza te mają swój urok, wznoszą się bowiem, jakby mury na granicy życia i śmierci. Tu na dole miasto, port, grobla, ruch statków, pociągów i łodzi — tam wieczne milczenie. Nikt tam nie chodzi, bo niema po co. Tam zaczyna się kraina skał i pustych wydm. Może gdzie niegdzie porasta je wrzos czerwony, może tu i owdzie róża jerychońska wychyla zeschłe gałązki z pod piasku, zresztą ni drzewa, ni krzaka, ni kropli wody; ogromne przestrzenie zupełnie głuche i niepokojące w swej głuszy, bo mimowoli nasuwa się pytanie, naco one istnieją, naco zdał się ich ogrom, i komu one świadczą? Jest w nich jakby jakaś ślepa bezcelowość, i trudno na ich widok oprzeć się myśli, że nie świat istnieje dla życia, ale że ono czepia się tylko tam, gdzie wypadkowo ucześcić się może — jak pleśń.

Kto naprzykład choć raz w życiu patrzył z obserwatorium przez teleskop na księżyc, ten łatwo sobie przypomni, jak bardzo pognebiają myśl ludzką owe pola księżycowe, umarłe, a tak poszarpane, tak dziko bezładne, jakby skonały w konwulsjach. Owóż wzgórza sueskie, widziane zwłaszcza w nocy, w zie-

lonawem, zimnem światłem, wyglądają zupełnie, jak odłam tych pól.

Później przekonałem się, że oba brzegi morza Czerwonego i dalej jeszcze: wybrzeża zatoki Adeńskiej, aż do przylądka Guardafui, czynią podobne wrażenie martwoty.

Lecz w dzień słychać u podnóża wzgórz świst lokomotyw, którym odpowiadają z portu rykiem wielkie parowce. Piaski półwyspu Synai świecą się wesoło w słońcu. Po niebieskiej wstędze kanału mkną w tę i tamtą stronę łodzie, lub feluki arabskie, podobne zdala do stad dzikich kaczek albo gęsi. Czasem przesunie się parowiec, ogromny, jak wieloryb. Okrągłe jego okna świecą w blasku, jakby z pod równika wiozł tuziny słońc na sprzedaż do zimnych krajów, a z komina bucha kłębamii dym, tworząc czarne plamy na błękitcie. Wszędy moc powietrza i światła. Stada mew pławią się w niem rozkosznie, to błyskając białemi brzuchami pod słońce, to jakby topniejąc w oddaleniu. Kto się chce napatrzeć na grę światła, niech patrzy na żagle feluk. W chmurny dzień są one jednostajnie białe, ale gdy słońce uderzy na wody i piaski, świecą złoto, różowo, błękitnie, mieniają się jak tęcza, i wówczas rozumie się, że owa jaskrawość barw w obrazach „plenerzystów“ nie jest taką swawolą, jak się na pierwszy rzut oka wydaje.

Ale dni chmurnych więcej było, niż pogodnych, zatem i mało wrażeń kolorystycznych. Poznałem wreszcie i miasto, i port Ibrahim, i dygi, i wszystkie statki, i prawie że wszystkie twarze Arabów. Aż

wreszcie którejs nocy nadszedł „Bundesrath.“ Nie widziałem go, jak przechodził przez kanał. Tegoż samego jednak wieczora opuściliśmy miasto i pojechali do portu, by nazajutrz do dnia stanąć na pokładzie. Co za nocleg w porcie! Nędzny i brudny hotel zajęty był od góry do dołu, jak się zdaje, przez urzędników kompanji, stale zamieszkujących na miejscu, dano więc nam łazienkę. Zapach z rur wanny, karaluchy, prusaki i inne mniejsze, ale bardziej krwiożercze istoty, nie dały nam oczu zmrużyć. Nabrałem po tym noclegu szacunku dla armji miejscowej. Egipska jazda może być niewiele warta, ale piechota odznacza się nadzwyczajną zaciekłością.

Jeszcze nie dniało, gdy zbudził nas murzyn hotelowy — i w towarzystwie Arabów, niosących rzeczy, ruszyliśmy nad kanał, gdzie przed niemiecką agencją stał mały parowczyk, mający nas zawieźć do „Bundesrathu.“ W mieście spało wszystko. Obładowani małemi pakunkami, byliśmy podobni do rabusiów, pragnących się wymknąć z miasta. Ale oto przy bulwarku widać błękitne światło latarki: to nas parowczyk. Siadamy, bierzemy rzeczy, płacimy Arabów — i jazda. Na statku jest jeszcze jakiś Grek, jadący również do Zanzibaru, i kilku Arabów, należących do załogi, którzy przy migotliwym blasku latarek wyglądają poprostu fantastycznie. Cisza naokół, słychać tylko chrapliwe a zarazem senne dźwięki arabskiej mowy. Przesuwamy się wzdłuż domów o ciemnych oknach i wpływamy wreszcie na szerszą wodę, ubieloną już świtem. „Bundesrath“ stoi dość daleko, a że pod tą szerokością dzień

wstaje szybciej, niż u nas, więc wkrótce czyni się zupełnie widno. Minąwszy kilka parowców, spostrzegamy wreszcie „Bundesrath“. Nie jest on zbyt wielki, nie większy od „Ravenny“, którą jechałem z Neapolu do Port-Saïd. Jeśli fala weźmie nas od przodu lub z boku, będziemy się kołysali nie na żarty. Ale nie to! Stateczek zbliża się coraz więcej. Przez poręcz wysokiego pokładu wychylają się ku nam głowy niemieckich majtków. Wchodzimy na pokład, a stamtąd do salonu. Statek jest widocznie nowy i porządny. Ściany z politurowanego drzewa, lustra i czerwone aksamitne meble, tworzą całość, jeśli nie zbyt wykwintną, to przynajmniej schludną. Widok stołów, nakrytych białymi obrusami, filiżanek i imbryków na fajerkach, z których pachnie kawa, mile uderza oczy i przypomina, że jesteśmy na czczo. Ale salon jest pusty. Podróżni spoczywają jeszcze widocznie w objęciach Morfeusza, tylko od czasu do czasu pokazują się zaspane twarze stewardów. Biorą nam bilety, obejmujemy w posiadanie kabiny — i oto jesteśmy zagospodarowani na dni czternaście.

Na czternaście — o ile naturalnie wszystko pójdzie pomyślnie.

Pierwszą tualetę na statku robi się zwykle starannie. Jest to kokieterja względem przypuszczalnych towarzyszek podróży. Zresztą, po noclegu w porcie, było to i z innych względów konieczne.

A teraz — inauguracyjna kawa — i pobożne a ciche życzenie, by pierwsza Niemka, która się ukaże, była co najmniej do Gretchen podobna.

W salonie jeszcze pusto — ale to nic. Przecie

to jest niemiecki „Bundesrath“, nie żaden „Fliegende Holländer“. Jakoż słyhać już lekkie kroki, i wchodzi — młody człowiek z bardzo krótko ostrzyżoną czupryną i bardzo długimi żółtymi włosami. Wszedłszy, przedstawia się natychmiast:

— Moje nazwisko jest X. X.

Po zwykłej wymianie grzeczności, zaczyna się rozmowa, której pierwszym niemal pytaniem jest, ilu też pasażerów znajduje się w pierwszej klasie „Bundesrathu“.

— Ja sam tylko — odpowiada młody człowiek.

— Tak? A to będzie luźno. Tymczasem możebyśmy poszli na górę; zdaje się, że już ciągną kotwicę.

Kotwicę zaczynają istotnie ciągnąć, więc wychodzimy. Ranek jest jeszcze wczesny i błądy. Przeczoczysta mgła unosi się nad morzem, widać jednak, że dzień będzie pogodny. Toń gładka i szklista ma w sobie jakąś rzeźwość poranną. Nie załamuje się w fale, jeno się wzdyma lekko i opada, jak piersi człowieka we śnie. Naokół kołyszają się beczki znakowe, powrosła słomy, strzępy papieru, a między niemi pływają mewy, spoglądając pilnie na wszystkie strony, zupełnie jakby im powierzono dozór nad portem. W powietrzu pachnie smołą, ropą morską i dymem węgla kamiennego. Tu i owdzie wielkie parowce stoją na kotwicach, odbijając się w gładkiej wodzie i zdają się drzemać, jakby olbrzymie zwierzęta, znużone długą drogą. Zwykły widok portowy! Wszystko to dla mnie nie nowe, bom już wędrował po rozmaitych morzach, ale zawsze miłe.

Wtem parowiec ryknął, jakby na pożegnanie ziemi i zadrżał. Z tyłu, za statkiem, woda jęła się przewracać i pieniać. Bulwark portowy począł się od nas odsuwać dalej i dalej. W takich chwilach niepodobna nigdy oprzeć się wzruszeniu, zwłaszcza, gdy się jedzie bardzo daleko, na nieznane sobie morza i do nieznanych stron. Nagle zdejmuje człowieka taka ogromna tęsknota do swoich, że gdyby miał skrzydła mewy, toby się zerwał z tego pokładu i wrócił.

Ale stało się! „Suez“ zanurza się coraz bardziej pod wodę — brzeg egipski zdaje się umykać — a przed nami jeno roztocz morza Czerwonego.

V.

Zatoka Sueska. — Temperatura. — Niemcy. — Mały parowiec. — Zachód słońca. — Noc. — Synai. — Pobrzeża. — Zwrotnik. — Latarnie. — Bab-el-Mandeb. — Wiatr. — Zatoka Adeńska. — Aden.

Wypłynąłem z Suezu 2-go lutego, i przez cały ten dzień, oraz następną noc, płynęliśmy zatoką Sueską. Morze Czerwone rozwidła się, jak wiadomo, na północy na dwa ramiona, obejmując niemi półwysep Synai. Zatoka Sueska, jakkolwiek szersza od drugiego ramienia, jest jednak tak wąska, że oba brzegi widać ciągle. Dzień był pogodny; wiatr mieliśmy za sobą, skutkiem czego na przodzie statku rozpięto kilka żagli. Stada mew ciągnęły za nami, rzucając się co chwila w spieniony szlak statku i walcząc o wyrzucane z kuchni resztki. Ponieważ kapitan dał pozwolenie strzelania, poczęliśmy próbować tej zabawy, ale pierwsza postrzelona mewa, trzepocząca mdlejącymi skrzydłami na fali, odejmuje do niej ochotę. Mewy mają to do siebie, że gdy jedna spadnie, inne krążą i zniżają się nad nią tłumnie, z piskiem niezmiernie żalosnym, jakby ją chciały ratować — i ten lament ptasi jest tak wzruszający, że mimowoli człowiek ma uczucie, że spowodował nieszczęście.

Czyniło się coraz cieplej. Grube paltoty, w których wyruszyliśmy z Suez, okazały się już zbyt ciężkie. Słońce przesłaniało się wprawdzie co chwila chmurami, ale w przerwach dopiekało dość silnie. To podnoszenie się temperatury, lubo stopniowe, było tak wyraźne, że chwilami doznawałem takiego wrażenia, jakiego się doznaje, wchodząc z chłodu do ogrzanego pokoju. Nie był to jeszcze upał, ale jakby technienie łagodnej i cieplej wiosny. Od południa nastała pogoda zupełna. Na statku najmniejszej chwiejby. Stąd i humory doskonałe.

Do „lunch'u“ siadło siedm osób, licząc w to kapitana, doktora, dwóch oficerów i owego młodego człowieka, którego poznaliśmy zaraz przy porannej kawie, a który, jak się pokazało, jechał objąć urząd prawodawcy w Bagamoyo. Po „lunch'u“ nastąpiło zwiedzanie statku. W drugiej i trzeciej klasie jechało więcej osób, między niemi młodzi ludzie, przeznaczeni na urzędników do niemieckich kolonij Bagamoyo i Dar-es-Salam. Patrząc na ich czerstwe twarze i rozrosłe na piwie hamburskiem postaci, pomyślałem sobie, jak też ci sami ludzie będą wyglądali za rok — i ilu z nich zobaczy jeszcze Niemcy? Na przodzie statku zapachniało mi, jeśli tak można powiedzieć, środkową Afryką. Oto pokazało się, że prócz zwykłych, należących do okrętu szalup, wiziemy na pokładzie mały parowiec, przeznaczony na Wiktorja-Nyanza. Był on rozłożony na pojedyncze dzwona, i osobna ekspedycja miała je zawieźć aż nad brzegi odległego jeziora. Widok tego parowczyka sprawił mi prawdziwą przyjemność, naprzód dlatego,

że zaraz przeleciał mi przez głowę zamiar przyłączenia się do tej ekspedycji, gdyby to było możliwe, a powtóre, że ta głęboka Afryka, która była dotąd dla mnie rzeczą książkową, przedstawiła mi się jako coś dotykającego. Nieraz już doznawałem podobnego uczucia, a mianowicie zawsze przy zwiedzaniu pomników starożytnego świata w Rzymie, Atenach i Egipcie. Wiemy wszyscy z książek, że i Coloseum, i Forum Romanum, i ateński Parthenon, i Sfinks, i Piramidy istnieją, ale mimo tego są one dla nas tylko teorią, tylko idealnem pojęciem — i dopiero, gdy staniemy przed niemi, gdy obejmiemy je oczyma i rękoma, stają się one dla nas czemś obiektywnem i rzeczywistem. To samo można powiedzieć o zamorskich krajach. Pisałem już o tem w swoim czasie, że właśnie ta zmiana idei na rzeczywistość, to stwierdzanie książkowych teoryj stanowi główny urok podróży i zwiedzania.

Brzegi ciągle były widne, ale jałowe, puste, pustynne. Barwa ich zmienia się, rysunek pozostaje wiecznie ten sam — i człowiek nie ma tego zadowolenia, jakiego doznaje na pełni morskiej, gdy mu myśl i oczy giną w bezbrzeżnem przestworzu, i gdy go obejmuje naokół nieskończoność. Zagubia się wówczas własne ja — i jest w tem wielkie uspokojenie. Tu wzrok nuży się jednostajnością zarysów, i jakoś ciasno nam wśród tych dwóch bliskich brzegów.

Widziałem tego dnia wspaniały zachód słońca. Ozłociło się morze, ziemia i powietrze, a cały widnokrąg zdawał się płonąć. Ta niezmierna, fanta-

styczna powódź blasków ma w sobie coś smutnego, może z tego powodu, że rozświeca pustkowię. W chwilę później zeszedłem, nie pamiętam po co, do salonu i miałem wrażenie, że widzę pożar, tyle czerwonego światła wpływało przez zachodnie okna. Wszystko tam było czerwone, jakby od bengalskiego ognia — i obrusy, i ściany, i lustra, i twarze stewardów. Ale wszystko to trwało krótko. Mrok czynił się tak szybko, jakby ktoś ciemność przesiewał z olbrzymich sit, z nieba na ziemię. Potem niebo zgasło, morze stało się żelazne, i statek zajaśniał nagle we wnętrzu elektrycznym światłem.

Po obiedzie wyszedłem znów na pokład. Noc! gwiazdy! Droga mleczna bardzo wyraźna, ale Wielka Niedźwiedzica daleko niżej nad horyzontem, niż u nas. Wiatr ciepły niesie widocznie dużo wilgoci, bo osadza słony smak na ustach. Fali wielkiej niema, ale morze „gada“, jak mówią marynarze. Czasem też zdaje się wzdychać. Poszedłem na sam tył statku, za koło sternicze. Morze było ciemne, ale w białej smudze szlaku, ciągnącego się za parowcem, połykiwały czasem jasnoblękitne gwiazdy, wyskakujące nagle z głębin, mieniły się pióra pawie, to znów skry czerwone. Szlak fosforyzuje w ten sposób co noc.

Powietrze poprostu przeczyste! Oddycha się tu pełnemi piersiami. Jednostajny odgłos niestrudzonej śruby i szum morza kołyszą jakby do snu. Rozmyśla się i rozpamiętywa doskonale. Kto chce wrócić myślą w przeszłość, ten wróci — i zobaczy ją, jak żywą. Wśród tej nocy, wśród otoczenia

bez kształtów, wśród tego nieokreślonego smutku, którym przesiąknięta jest zawsze ciemność, człowiek przestaje być bryłą a zmienia się w myśl samą, która leci, gdzie chce, i odtwarza, co chce: i drogie chwile i drogie twarze.

Nazajutrz wypływaliśmy już z zatoki na pełne morze. Po lewej stronie widać było jeszcze w świetle poranku wydłużone kształty góry Synai. W tych stronach co nazwa, to jedna większa i bardziej pamiętna od drugiej. Człowiek tak do nich przywyka, że dziwi się wkońcu, iż im się tak mało dziwi. Synai zdawała się wychodzić wprost z morza. Stoki jej można było jeszcze mniej więcej odróżnić, ale szczyt nie bardzo zresztą wyniosły, przedstawiał się raczej jako różowawy obłok, który wkrótce zaczął się zlewać z innemi i topnieć w oddaleniu.

Próbowałem fotografować ten cypel, ale byliśmy już daleko — i na fotografii trudno górę od morza odróżnić.

Koło południa przepłynęły wedle nas dwa statki, idące z Indyj do Suez, a pod wieczór ujrzelśmy na egipskim brzegu góry Bereniki, które wydawały mi się daleko wyższe, niż Synai. Nastąpiła nowa zmiana ubrania, bo uczyniło się jeszcze cieplej. Niebo jednak zaciągnęło się chmurami, i morze nabrało ołowianego koloru. Było w niem coś złowrogiego. Chwilami uciśzało się zupełnie, jakby pragnęło skupić się w sobie i obmyślić coś złego. Ale była to próżna groźba. Noc nastała pogodna. Jasne gwiazdy odbijały się długimi, srebrnymi pasami w cichej toni. Całe morze było niemi jakby naszyte.

Czwartego lutego „Bundesrath“ przebył zwrotnik Raka. Nigdy dotąd w życiu nie byłem tak daleko. Nazajutrz mieliśmy być, według zapowiedzi kapitana w Bab-el-Mandeb.

Morze Czerwone jest bardzo niebezpieczne z powodu mnóstwa koralowych podwodnych raf. Każdy kapitan, który je przebywa, otrzymuje podobno dotąd jakąś nagrodę. W nocy ułatwiają żeglugę latarnie morskie, poustawiane na kilkadziesiąt mil na przyłádkach lub pustych wysepkach. Gdym patrzył na owe światelka, przypominał mi się mój „Laternik“, który był osobą rzeczywiście istniejącą. Tylko że ci, którzy tu mieszkają, są jeszcze bardziej odłączeni od całego świata i samotni. Sądzę, że na większej części latarni niema nawet wcale ludzi, i że zapalają je zapomocą drutów elektrycznych.

Wypadki rozbicia statków zdarzają się jednak często, nawet w dzień. Dość na to najmniejszej nieuwagi kapitana. Natomiast Bab-el-Mandeb, czyli „Brama łez“, mniej ich wyciska, niż dawniej. Była ona i jest niebezpieczna dla żaglowców, tu bowiem wichry z pustyni i morza Czerwonego biorą się za włosy z mussonami oceanu Indyjskiego i tratują wodę, która burzy się i przewraca, jak w gardzieli Charybdy. Ale tęgi parowiec niewiele sobie z tego robi. Wspina się jeno pracowiciej i gniewem na gniew odpowiadając, chłoszcze wodę skrzydłami śruby, jak niegdyś Kserkses różgami.

Koszta wojny ponoszą tylko podróżni, którzy wogóle składają tak jawne dowody, że się nią brzy

dzą, iż „liga pokojowa“ mogłaby ich mianować honorowymi członkami.

Co do mnie, nie okazałem się wprawdzie godnym tytułu członka „ligi pokojowej“, ale nie byłem zdrowszy. Czas jakiś trzymałem się jednak na pokładzie, patrząc na ukropy morskie, rozbijające się woddali z hukiem i wściekłością o groźne wiszary. Rozhuśtana fala uderzyła czasem ciężko o bok statku, to znów w długich odbryzgach wpadała przez poręcz na pokład, jakby chciała kogo porwać i pochłonać. Powietrze nasyciło się słonym pyłem. Szara pokrywa chmur leżała nisko nad ziemią, a w tem posępnem świetle strome i dzikie wiszary wydawały się prawie czarne. Za statkiem pojawiły się znów gromady mew, obok zaś, nisko, prawie tuż nad falą, leciał długi ptak o pomarańczowem upierzeniu i pstrych skrzydłach. Zdaleka wyglądał jak świetny motyl.

Zeszedłem do salonu na „lunch“, ale tam trudniej było wytrzymać, niż na pokładzie. Co za huśtawica! Ściany boczne tańczą, tak, że każda kolejno staje się nieledwie to podłogą, to pułapem. Salon zmienia się wskutek tego jakby w jakąś nieznaną izbę. Siedząc na przyśrubowanem krześle, czujesz się, to wywyższany, bez żadnej z twojej strony zasługi, to poniżany, bez żadnej winy. Czasem huśtawica kładzie cię mniej więcej nawznak, a stół zwiesza się tak nad tobą, iż zdaje ci się, że potrawy same ci będą do ust wpadały, czasem ty jesteś nad stołem, a talerze, gdyby nie rama na stole, uciekłyby w przeciwną stronę. Belkowania skrzypią, okręt drga od energicznego ruchu śruby,

chwilami jęknie, jakby dostał pięścią w brzuch, Rozkoszna jazda!

Nazajutrz zbudziliśmy się już w zatoce Adeńskiej. Morze było przez cały dzień silnie wzburzone, a pokład mokry od fal. Koło godziny pierwszej z południa poczęły się rysować na widnokręgu skały jeszcze wyższe, dziksze, bardziej strzeliste i bardziej poszarpane, niż w Bab-el-Mandeb.

To Aden.

O trzeciej wpłynęliśmy do portu.

* * *

Po kilku dniach podróży doznaje się jednak nie-małego zadowolenia, gdy natężony ruch śruby słabnie i cichnie, gdy okręt zwalnia — i gdy przed sobą widzi się spokojną wodę, na niej statki, odpoczywające nakształt stada w ogrodzeniu, różnobarwne flagi rozmaitych narodów, a w dali, na pobrzeżu, domy z błyszczącymi w słońcu szybami. Port każdy wygląda, jakby jakieś wielkie gospodarstwo, a razem jest w każdym coś gościnnego. Wrażenie to popsuł mi jednak widok trzech masztów, sterczących z wody. Dwa statki z kompanji „Messageries Maritimes“ zderzyły się tu przed kilkoma miesiącami. Ludzi ocalono, ale jeden z parowców poszedł zaraz na dno i służy za schronienie dla węgorzy morskich, krabów, homarów, skrzypłoczy, głowonogów i innego plugastwa Amfitryty.

W chwili, gdy „Bundesrath“ wjeżdżał do portu, wszystko, co w nim żyło, wyległo na pokład, i to

zadowolenie, o którym wspomniałem, malowało się na wszystkich twarzach. Stanęliśmy opodal wielkiego parowca angielskiego, który szedł bodaj z Australji — i widocznie niedawno wpłynął, bo wyrzucał jeszcze z siebie kłęby pary, zupełnie jakby wydechiwał resztki zmęczenia. Wkrótce ujrzelśmy dużą łódź, zbliżającą się ku nam miarowym ruchem wiosel, a w niej zawoje majtków hindustani i białe hełmy urzędników angielskich, portowych i sanitarnych. Za taką łodzią szła gromada innych, większych i mniejszych, pędzonych przez murzynów. Niektóre z nich były tak drobne i wąskie, że chwilami znikwały zupełnie we wgłębieniach fal, lecz w mgnieniu oka ukazywały się znów na górze, całe mokre i błyszczące. Zgraja czarnych otoczyła nas ze wszystkich stron; rozległy się wrzaski i zapraszania do łodzi. Widząc te nagie postacie, opasane tylko szmatą na biodrach, te czarne ramiona, te białka oczu i te wełniste włosy, pokryte skorupą wapna, po raz pierwszy miałem wrażenie, że to już inny świat, prawdziwie egzotyczny. Pokazało się, że owe drobne łódki zajęte są przez wyrostków murzyńskich, których rzemiosłem jest wydobywać z głębiny pieniądze, rzucane im przez podróżnych z pokładu. W łódce bywa ich dwóch, trzech do czterech — i dotychczas nie rozumiem, jakim sposobem takie korytka mogą utrzymać się na morzu i nie przewracają się co chwila. Każda fala zalewa je wodą, a wówczas murzynkowie wykopują ją nogami. Ale oto z pokładu leci pierwszy pieniążek, i natychmiast z kilku naraz łódek cała czereda rzuca się na głowę w morze.

Widać tylko wiązkę czarnych nóg i ogromnych stóp z białymi podeszwami, przez chwilę jeszcze widać ciała pod falą, jak kłębią się, przepychają i biją o pieniążek, zupełnie jak karpie o kruszynę chleba, poczem znika wszystko. Kędzierzawe głowy wypływają nareszcie na powierzchnię, wyrzucając ze wzdętych policzków słoną wodę. Szczęśliwy zdobywca pokazuje pieniążek i w braku innej kieszeni chowa go w usta.

Przez ten czas i później łódki pozostają na łasce morza, murzynkowie zaś unoszą się jak korki na fali. Rzecz nie do uwierzenia, że pływają tak koło okrętu czasem przez pół dnia. Sztukę łowienia pieniędzy pod wodą widziałem swego czasu i w Neapolu i w Port-Saïd, ale takich pływaków, jak tu w Obok, nie widziałem dotąd nigdzie.

Mówiąc nawiasem, i w zatoce Adeńskiej i na wszystkich indyjskich wodach nie brak rekinów, widocznie jednak uważają one tych czarnych pauprów za jakieś pokrewne istoty.

Aden, tak jak Suez, składa się z dwóch dzielnic: jedna stanowi port i zwie się Steamer-Point, druga, będąca właściwem miastem, leży o pięć lub sześć kilometrów dalej. Ponieważ kapitan zapowiedział, że „Bundesrath“ zatrzyma się tylko parę godzin, nie było czasu jechać do miasta. Obiecałem sobie zwiedzić je za powrotem, równie jak i olbrzymie cysterny, wykute w skałach nad miastem przez Portugalczyków a rozszerzone jeszcze przez Anglików. One to właściwie dają życie miastu i portowi, Aden bowiem nie posiada sam przez się ani kropli

słodkiej wody. Bardziej bezpłodnej, bardziej wrogiej wszelkiemu istnieniu miejscowości niema chyba na całym świecie. W mieście, w porcie i w całej okolicy nie dojrzysz nie tylko drzewa lub trawki, ale nawet mchu. Nagie skały, prażone we dnie przez słońce, oddają nocą żar dzienny powietrzu, wytwarzając temperaturę wyższą, niż w Indjach i Zanzibarze. Przed przybyciem człowieka nie zamieszkiwała tu żadna żywa istota. Ale człowiek wdarł się do tych krain śmierci; chciał w nich osiąść — więc osiadł — i stworzył życie, nawet rojne.

Czasem, głównie na wiosnę, przechodzą nad Adenem straszliwe burze. Chmury, pędzone przez przeciwne wichry, uderzając wzajem o siebie, zalewają skały i morze dżdżem nawałnym. Wówczas cysterny napełniają się po brzegi, i mieszkańcy mają dość wody na parę lat.

Cysterny leżą o milę niemiecką od miasta, więc nie mogliśmy ich zwiedzić, ale natomiast postanowiliśmy pojechać do Steamer-Point. Wsiadliśmy w pierwszą lepszą łódź i kazali się wieźć do brzegu. Wioślarze nasi byli to Somali z przeciwległego brzegu Afryki. Nadzy zupełnie, prócz przepaski na biodrach, mieli głowy pokryte białą skorupą z wyschlęgo wapna. Wyglądali, jak w perukach. Rysy ich twarzy nie różnią się prawie od europejskich. Nosy mają wąskie, usta również, prognatyzm jest między nimi rzadką rzeczą i daje się widzieć chyba w mieszańcach z Gallasami. Budową różnią się także od innych murzynów, ciała ich bowiem są wysmukłe, karki i ramiona mniej herkulesowe. Jest to potężny

szczep, zamieszkujący wybrzeża niemal od cieśniny Bab-el-Mandeb i przylądka Guardafui na północy, aż do Mombassa na południu. Są niezmiernie ruchliwi. Pełno ich w Adenie, w Massawie, we francuskim Oboku i w angielskiej Berbera. Z południowym mussonem zapuszczają się też do Zanzibaru, gdzie ich widziałem całe setki. Są po większej części okrutni i zdrańcy. Bardziej przeniewierczego szczepu od tych Chamitów niema podobno w całej Afryce. Podróżnicy, którzy chcieli zwiedzić ich kraj, próbowali niejednokrotnie tworzyć karawany z „oswojonych“ Somalisów, wziętych z Adenu. Ale utworzona w taki sposób karawana poczyniała zawsze od podejrzenia gardła swemu naczelnikowi i zrabowania jego towarów. Mało też podróżników zwiedzało ich siedzibę, albowiem mordują każdego bez litości. Misjonarze nie mogli ich również napocząć. Są to fanatycy muzułmanie, żyjący w ciągłej obawie, że kraj ich prędkiej, później, przejdzie pod panowanie którego z państw europejskich. Podejrzewają szczególnie o podobne zamiary Włochów i podejrzewają słusznie, wybrzeże Somali bowiem w znacznej części już zostało zaliczone do „sfery interesów włoskich“.

Lud to ciekawy. Dziksi i drapieżniejsi od innych murzynów, przewyższają ich jednak o wiele inteligencją i przemyślnością. Broń ich, szczególnie włócznie i noże są rzeczywiście bardzo piękne. Z tego powodu później, w Zanzibarze, wszedłem z nimi w stosunki i przekonałem się, iż przy innych przymiotach mają jeszcze i ten, że są zarazem

oszustami i komedjantami. Po powrocie moim ze stałego lądu, przychodziło ich do mego szpitalnego pokoju wielu. Raz przyszło dwóch, z których jeden usiłował mnie oszukać przy kupnie noża, podstawiając gorsze, zamiast lepszych, drugi przez cały ten czas trzymał ręce złożone przed ustami i oczy wzniesione, jakby w ekstazie, w górę. Nie mogąc wyrozumieć, dlaczego to czyni, zrzuciłem go ze schodów.

Niestychanie ciekawem i doniosłem byłoby zbadanie górnego biegu głównej ich rzeki Dżuba (Djuba). Jest to jeden z najmniej znanych kątów Afryki. Ale podróżnik, któryby taką wyprawę podjął, musiałby mieć ze dwustu zbrojnych Sudańczyków lub Zanzibarczyków, prócz ludzi do juk. Inaczej zostałby odparty zaraz od brzegów, lub zamordowany, jak prawie wszyscy, którzy dotąd próbowali dostać się w górę rzeki.

Wioślarze nasi byli to młodzi ludzie od lat 18-tu do 20-tu. Widząc po raz pierwszy Somalisów, przypatrywałem im się z ciekawością, podziwiałem szczególnie ich rysy, pod czarną skórą prawie zupełnie europejskie. W chwili, gdy siedliśmy do łodzi, jeden z nich zaczął pieśń a raczej jakby litanję, która była zarazem komendą dla wioseł. Czarne ciała i białe głowy jęły się pochylać miarowo, i po upływie pół godziny przybyliśmy do portowego cembrowania. Po raz drugi pomyślałem: co za inny świat! Miało się ku wieczorowi, bo nie zaraz ruszyliśmy z okrętu. Słońce zniżyło się już ku Afryce; domy, skały i powietrze były jakby oblane i nasy-

cone czerwona wem światłem; upał dokuczał jeszcze wielki, i w tych szczególnych, jakby ceglanych blaszkach, w tym żarze, bijącym od rozpalonych kamieni, uwijają się Arabowie, Hindusi, Somali, Gallasowie. Wszystko to nagie lub nawpół przybrane; wszystko przewraca białkami oczu, śmieje się, wrzeszczy, żebrze, macha rękoma, ciągnie w różne strony; wszystko wydaje się dziwne, trochę djabelskie. Zaraz z początku otoczyła nas gromadka dzieci, zupełnie nagich, prosząc natrętnie o jałmużnę. Były między nimi cztero- i pięcioletnie śmieszne figurki, jakby sztuczne, o kędzierzawych okrągłych główkach. o oczach, przypominających perłową masę, oprawną w heban, o wydętych brzuchach i cienkich nóżkach, na których podskakują, jak małe czarne pchełki. Te kupy ludzi o różnych skórach, ta nagość wielkich i małych ciał, namiętne ruchy, ten wrzask rozmaitych języków ma w sobie coś z egzotycznej orgji. Człowiekowi zdaje się, że śni, ale ów sen jest zarazem trochę zmorą. Tkwi w nim coś gorączkowego i złowrogiego. Patrząc na owe rojowiska ludzkie, doznaje się takiego uczucia, jakby się patrzyło na kłębień się robaków. Przytem tu życie skupia się i wre tylko w pojedynczych punktach, naokół zaś wznoszą się ogromne przestrzenie puste i milczące, od których wieje smutek i śmierć na tę wrzaskliwą maskaradę.

Wśród czarnych i oliwkowych tłumów widać od czasu do czasu białe hełmy Europejczyków, przeważnie Anglików. Twarze ich, blade i wycieńczone przez anemię, mają w oczach wyraz zmęczenia

i tęsknoty. Anglicy osiedli tu dlatego, że to jest, mniej więcej, pół drogi do Indyj, i że mają tu potężną stację węglową, którą nawet ufortyfikowali, bo czyni ich ona panami oceanu Indyjskiego — ale, bądź co bądź, życie w Adenie jest wygnaniem.

Pojechaliśmy doróżką, powożoną przez Hindusa, na pocztę. Co to za wielki i pocziwy wynalazek, ta „Poste-restante“. Przyjeżdża się po raz pierwszy w życiu do Adenu i zastaje się już czekające listy — naprzykład... z Zakopanego. Człowiekowi zdaje się, że w tej wieży Babel usłyszał nagle głos kogoś ze swoich najbliższych. I wśród nowych miejsc, nowych ludzi, nowych wrażeń idzie się wówczas z głową pochyloną nad listem i z myślą w nim zatopioną, a to, co się dzieje naokół, zupełnie nas nie obchodzi.

Wzdłuż kamiennego portowego progu ciągnie się w Steamer-Point szereg wysokich kamienic, nie odznaczających się zresztą niczem, bo budowanych przez Europejczyków. Zdobią je tylko szerokie podcienia, w których kryją się agencje, kawiarnie i sklepy. Przed temi sklepami warto się zatrzymać, sprzedają w nich bowiem wszystko, co wydaje pas zwrotnikowy. Widzisz tu w wystawach: skóry lwie, skóry tygrysie i lamparcie, broń indyjską, brzozy i laki japońskie, pióra strusie, wspaniałe wyroby z mosiądzu, wykuwane w Bombaju i Kalkucie, materje tkane w Madras i Kaszmirze, wachlarze z piór pawich, wypchane bengali, korale, wory ryżu, pęki cynamonu i trzciny cukrowej, buńczuki z końskich ogonów, farbowanych w purpurze, kły słoniowe

i tysiące innych, nieznanych przedmiotów, których barwy rozmaite a ciepłe, najczęściej czerwone, żółte ub połyskujące metalicznie, wychylają się ku tobie z zmroku, tworząc jakby przyćmioną tęczę.

Lecz słońce prędko tu zapada, i noc przychodzi znienacka. Czas wracać, bo statek wkrótce ruszy. Pogubiliśmy się z towarzyszami we włóczędże wzdłuż magazynów, a teraz się szukamy. Otacza mnie znów nad wodą gromada czarnych drapichrustów i małych dwunożnych pchełek murzyńskich. Jedni zapraszają mnie prawie przemocą do łodzi, drugie skaczą i żebrzą. Z każdą chwilą zwiększa się ich natręctwo, a zmniejsza moja cierpliwość — gdy wtem nagle pierzcha wszystko. Co się stało? Oto zbliża się policjant angielski — Hindus. Ten, gotów zawsze korzyć się przed białym, jak przed wyższą istotą, nie żałuje bata na kolorowych. W razie potrzeby zapobiega nim nawet zbyt niemu wygórowaniu cen w sklepach.

Tymczasem znajdują się nasi towarzysze, nadchodzi ciężka krypa arabska, i siadamy. Jest nas czterech, licząc w to szafarza okrętowego, który czynił zapasy w porcie, i za którym wnoszą na krypę ćwierci wołu, białe barany z czarnymi głowami, wory ziemniaków i jakieś warzywa, zapewno przywiezione z Anglii albo z Indyj, bo przecie tu nic się nie rodzi. Ruszamy. Podnoszą żagiel, i krypa poczyną kołysać się na fali. Otacza nas ciemność, ale woda po obu bokach krypy fosforyzuje przepysznie. Już nie pojedyncze błękitne gwiazdy wyskakują z głębin, ale całe snopy brylantów.

A teraz, gdzie jest „Bundesrath“? Na ogromnej ciemnej przestrzeni portu błyszczą okienka kilkunastu parowców, jak okienka chałup we wsi; gdyby jeszcze wśród nocy rozległo się szczenie psów lub pianie kogutów, złudzenie byłoby zupełne. A i tak chwilami mi się zdaje, że zbliżam się ku wsi. Przysuwamy się wreszcie pod czarny bok jakiegoś parowca — nie „Bundesrath“! Przysuwamy się pod drugi — także nie „Bundesrath“! Poczynamy się spierać o to, gdzie statek stoi, wreszcie okazuje się, że mój towarzysz pamięta najlepiej, i on ostatecznie wskazuje, gdzie jechać.

Przybijamy z trudnością, albowiem nasz okręt otoczony jest całą gromadą feluk, które przywiozły węgiel kamienny. Przejście z naszej krypy na wysoki pokład połączone jest z ćwiczeniami gimnastycznymi. Jest to czas nocnego przypływu; woda w porcie nie faluje, ale to wzdyma się bardzo wysoko, to zakłęsa się bardzo nisko, wskutek tego jesteśmy naprzemian albo tuż przy pokładzie, albo gdzieś pod brzuchem statku. Trzeba upatrzeć odpowiednią chwilę, chwycić się za poręcz schodów, zmacać je nogami i pyrgać co tchu, na górę, inaczej bowiem krypa, gdy się znów wzniesie, może przycisnąć rękę, nogę, a nawet ją zmiażdżyć.

„Salto mortale“ udaje się nam jednak znakomicie, i niebawem znajdujemy się na pokładzie, nie tylko my, ale barany, ćwierci wołu i worki z ziemiakami. „Bundesrath“ ani myśli ruszać. Kapitan albo umyślnie nam zapowiedział tak krótki postój, albo sam się przeliczył. Żóraw okrętowy bierze

w najlepsze węgle, przyczem turkot kół zębatach i zgrzyt łańcuchów jest tak szalony, że się nie można dosłyszeć. Na statku wszystko drży. O śnie ani myśleć, siedzimy więc na pokładzie, bo w kabinach duszno. Około godziny dziesiątej w nocy nadchodzi parowiec i wiezie jakieś białe fantastyczne figury, widne zdala przy zielonem świetle jego latarek. Nagle rozchodzi się wieść, że to jest harem, który pojedzie z nami do Zanzibaru. Rety! harem! Można dziesięć lat mieszkać na Wschodzie i nie wiedzieć z tak bliska haremu! Wyobraźnia nasza poczyną pracować, gdyż wieść sprawdza się. Parowiec już przybył. Przechyleni przez poręcz, patrzymy chciwie na ładowanie tych pań, które nie idzie łatwo, albowiem woda podrzuca tak parowcem, jak naszą krypą. Jest ich cztery, a z niemi jeden opiekun — bez brody i wąsów. Twarzy nie widać, panie bowiem są pookręcane białemi prześcieradłami od stóp do głów, widzimy jednak ręce, bo trzeba niemi chwycić się za poręcz — i nóżki, bo przy wchodzeniu na schody trzeba nieco unieść czarczatów. Jedna para rąk jest czarna, a jedna para nóżek tak gruba w kostkach, że mogłaby zadowolnić wielkiego Muftego. Lecz „à la mer, comme à la guerre“. Myśl, że harem pojedzie z nami aż do Zanzibaru, że jeśli nawet nie będzie siadał do stołu, to będziemy go spotykać na korytarzu, na pokładzie i tym podobnych „ubikacjach“ okrętowych, bawi nas niewymownie. Kapitan, który, z powodu marudztwa z węglem, był w jak najgorszym humorze, teraz poczyną spoglądać rażniej. Dowiadujemy się od niego dwóch rzeczy: naprzód,

że harem jedzie pierwszą klasą, a powtóre, że jedzie na kredyt.

— Co do opiekuna — mówi kapitan — wpakowałem tego chłystka do drugiej klasy!

Ha, tem lepiej!

— Ale co będzie — pyta któryś z nas — jeśli panu nie zapłacą i w Zanzibarze?

Stary marynarz przymyka jedno oko, na znak, że w każdym razie potrafi wyjść bez szwanku ze sprawy.

Tymczasem te panie zajmują dwie przeciwległe kabiny i zamykają się w nich szczelnie. Zapewne idą spać, co po jakimś czasie czynimy i my, jakkolwiek żóraw ciągle jeszcze terkocze, łańcuchy skrzypią, a statek drży.

Trudno zasnąć, lecz powoli człowiek zapada w półsen, pełen łodzi, Somalisów, Gallasów, Hindusów, fosforyzującej wody i białych, podobnych do pakietów, postaci niewieścich. Wszystko to tańczy w głowie, wrzeszczy, skupia się, rozlatuje, mąci i zapada w tumany sennych mgieł. Nagle nastaje cisza, wskutek której rozbudzam się i myślę prawie przytomnie, że to już żóraw przestał pracować, i że zapewne ruszamy. Jakoż przez ścianę kabiny słychać szeroki, ogromnie tęskny szum fali; statek poczyną się kołysać i kołysze, jak do snu, póty, póki resztki świadomości nie stopnieją zupełnie w tym ruchu, mroku i szumie.

VI.

Ocean. — Przylądek Guardafui. — Harem. — Ryby latające. — Nadzwyczajne zjawisko. — Wrażenie. — Światło zodjakalne. — Nowe gwiazdy. — Upał. — Uroczystość równikowa. — Wypadek na kanale. — Ziemia. — Brzeg Zanzibaru. — Roślinność. — Miasto. — Widok. — Komora. — Hotel. — Mieszkańcy.

Ocean!

Przez dwa dni poprzednie, to jest 8-go i 9-go lutego, wydobywaliśmy się z zatoki Aden. Morze było złe, chwiejba ogromna. Krótkie ale wysokie fale rzucały statkiem, jak im się podobało. Nie chorowałem, czułem się jeno zmęczony i zbity. Przy takim morzu bola człowieka plecy, piersi, ściany żołądka i przepona, a w kościach siedzi takie znużenie, jakby trzy dni rąbał drzewo, lub wspinał się na strome góry. Harem chorował tak, że go było w całym statku słyhać.

Nakoniec z 9-go na 10-go przesunęliśmy się między groźnym Ras-Asir, czyli przylądkiem Guardafui, którym Afryka bodzie, jakby rogiem, ocean, a wyspą Sokotra. Ranek począł się od filologicznej rozprawy, co znaczy nazwa Guardafui. Ponieważ nikt z nas nie umie po portugalsku, każdy czuje się w prawie do zabrania głosu. Jedni utrzymują, że to

znaczy: „*Straż była*“. Rzecz wydaje się jednak wątpliwą. Coby tu jaka straż miała do roboty i czegooby strzegła, wśród tego bezludzia i głuszy? Daleko więcej ma sensu przekład: „*Patrz i uciekaj!*“ Patrzyć jest na co, bo tu sterczą z morza wiszary tak olbrzymie, że okręt wydaje się przy nich chrząszczykiem — a uciekać trzeba, gdyż ukropy morskie, przy lada wichrze, tłuką z niesłychaną potęgą o skały przylądka, obejmując je śnieżną obręczą pian.

My przemknęliśmy się przede dniem, poczem statek zaraz wyprostował na pełne morze, tak, że gdy po rannej kawie wyszliśmy na pokład, nie było już nic widać prócz nieba i nieskończonej roztoczy morskiej. Odtąd trzymaliśmy się stale o sto dwadzieścia mil od brzegu. Tak czynią wszystkie statki w drodze na południe, z powodu nader silnego prądu, płynącego wzdłuż wybrzeża w stronę północną. Zato, wracając, płynie się bardzo blisko od lądu, i wówczas dopiero widziałem dokładnie przylądek Guardafui.

Ocean był rozkołysany. Jechało się jakby po wzgórzach i dolinach. Ale co to za różnica od tej krótkiej, kułakującej fali w zatoce Adeńskiej! Ten szeroki ruch sprawia nawet podwójne zadowolenie, bo naprzód nie nuży, a powtórę widzi się w nim jakby wielmożność oceanu w porównaniu do małych mórz, które, gdy chcą być potężne, są przedewszystkiem złośliwe. Zdaje się, że jest to cecha wspólna wszystkim małościom na świecie? Koło południa wiatr ucichł. Coraz łagodniejsze jego tchnienia zdawały się wygładzać wodę. Niebo stało się błękitne,

ocean przybrał barwę turkusów. Tylko drganie promieni słonecznych w zmarszczkach fal czyniło pozór deszczu ognistego i rozsiewało takie blaski, że oczy ich znieść nie mogły. Całe stada ryb latających poczęły się podnosić z wody. Zrywają się one nagle z pod fali, jak kuropatwy z wrzosów, i lecą kuropatwim lotem nad powierzchnią morza; wkońcu zapadają, tworząc takie wypryski w wodzie, jakie tworzą krople nawalnego dżdżu. Czasem, źle wyimiarkowawszy kierunek, spadają na pokład. Po południu tego dnia kucharz okrętowy przynosi nam jedną, która, uderzywszy się o maszt, wybiła sobie oko. Ma ona sześć do siedmiu cali długości, głowę tępą, grzbiet niebieski, brzuszek srebrzysto-biały. W akwarjum w Neapolu widziałem swego czasu gatunek daleko większy i zabarwiony na czerwono. Ta, widziana zbliżona, podobniejsza jest do motyla, niż do ptaka. Skrzela jej piersiowe, przezroczyste i połyskujące metalicznie, są tak rozwinięte, że sięgają ogona. Kształtem przypominają konika polnego, zwanego babką, który, unosząc się nad wodami, rad siada na tataraku, sitowiu, rdeście wodnym i liljach.

Odtąd do samego Zanzibaru towarzyszyły nam gromady tych ryb, wynoszące czasem po kilkaset sztuk.

W nocy z 10-go na 12-ty widziałem nadzwyczajne zjawisko morskie. Było już bardzo późno, spokój niezmacony. Kapitan grał w karty z młodym Niemcem, jadącym z Bagamoyo, i doktorem, ja zaś czytałem w górnym salonie dla pałących. Znużywszy się czytaniem, wyszedłem na pokład i ujrzałem

nagle, że całe morze jest koloru kredy. Sądziłem z początku, że mnie oczy łudzą, ile żem wyszedł z izby oświeconej elektrycznością na mrok. Rzuciłem oczyma na drugą stronę statku — też sama białosc, jak gdyby morze zmieniło się w mleko. Wówczas zawołałem kapitana, zbudziłem mego towarzysza, śpiącego w kabinie, i po chwili razem przypatrywa-
liśmy się zjawisku.

Cisza była zupełna; woda leżała ciężko, bez ruchu, jakby powierzchnia oceanu skrzepla pod śniegiem. Poszliśmy na przerzutkę (*la passerelle*), by oczyma objąć większy widnokrąg. Wszędy cicho, biało! Kapitan oświadczył nam, że to światło morza, ale, właściwie mówiąc, w tej białosci nie było najmniejszego światła, ani jednego połysku; była ona tak matowa, jak całun. Księżyc nie świecił. Gwiazdy czyniły pozór srebrnych gwoździ, ponabijanych w ża-
łobne obicie, albowiem niebo, w przeciwieństwie do morza, wydawało się czarne, jak kir. Było w tem coś mistycznego, a zarazem przeraźliwie smutnego. Mielśmy takie uczucie, jakby już nas przeniesiono z ziemi na inną planetę, gdzie wszystko jest od-
mienne — i morze i niebo, gdzie panują tylko te dwie trupie barwy, i gdzie wśród tajemniczych mro-
ków życie płynie w dusznym ucisku, w niepokoju i zabłąkaniu.

To wrażenie innego świata, innej planety, było tak silne, że przypuszczam, iż nikt z nas nie mógł mu się obronić. Słyszałem kapitana, jak mruczał do siebie na przerzutce: „*Sehr unangenehm!*“ — a prze-
cie, jeśli kto, to on musiał przywyknąć do przeróż-

nych dziwów. Powiedział nam następnie, że widywał już taką białą wodę, ale nigdy w tym stopniu i nigdy tak daleko od brzegów. Zresztą, widocznie był niespokojny i poszedł zobaczyć barometr, który jednak, jak się pokazało, wcale nie odczuwał zjawiska.

Przez długi czas zostałem na pokładzie, czekając jakichś zmian, ale ta dziwna fosforescencja trwała przez całe godziny. Zdawało mi się chwilami, że morze czyni się jeszcze bledsze, a niebo jeszcze czarniejsze. Było to zapewne złudzenie. Zauważyłem tylko, że szlak ciągnący się za statkiem, który podczas zwykłych nocy widać doskonale, teraz ledwie był dostrzegalny i to tylko dlatego, że wśród ogólnej białości połyskiwał nieco błękitnie. Zjawisko, w miarę, jak przywykały do niego oczy, stało się wreszcie przez samą długość swego trwania nużące, to też na godzinę lub półtorej przed świtem położyłem się spać, zostawiwszy jeszcze białe, jak kreda, morze i czarne, jak kir, niebo.

Nie mogłem jednak usnąć i o zorzy wyszedłem znów na pomost zobaczyć, czy nie zostały jakie ślady po wczorajszych dziwach. Ale nie zostało nic. Ranek był świeży, wesoły, jasny. Morze zdawało się uśmiechać niebu, a niebo morzu. Woda była tak gładka, że podobną widywałem tylko w chwilach wielkiej ciszy na Oceanie Spokojnym. Ani jednej zmarszczki, poprostu szyba lustrzana! Potem podniosła się z morza mgła, a raczej leciuchny opar, ledwie dostrzegalny i zupełnie przezroczysty. Nie przesłonił on blasków, tylko je nieco złagodził. Wydęta

kopuła nieba odbijała się tak w morzu, że pod stopami mieliśmy zupełnie taką samą drugą półkulę, równie bezdenną, równie błękitną, równie umalowaną różanemi i złotemi smugami zorzy. Dzięki jednak owemu świetlistemu oparowi, niepodobna było rozpoznać, gdzie kończy się powietrze, a zaczyna woda — i statek naraz znalazł się jakby w środku niezmiernej, tęczowej bańki mydlanej. Ale widowisko było krótkie; weszło słońce, wysssało w jednej chwili opar i sypnęło jakby ogniem na gładką toń. Dzień zapowiadał się znojnny — i co prawda, nie mógł być inny. Byliśmy przecie wpobliżu równika.

Oddawna już, po zachodzie słońca, przyświecało nam nocami światło zodiacalne. Wielką Niedźwiedzicę, czyli nasz stary Wóz, widać było jeszcze za nami, ale tuż nad falą, coraz ociężalej podnoszący się z topieli i nawpół w niej zanurzony; natomiast przed nami wytaczały się coraz nowe gwiazdozbiory. Nie przypuszczałem jednej rzeczy: że może istnieć nostalgia do gwiazd. Długie lata marzyłem o zobaczeniu południowego Krzyża, aż gdy mi go którejś nocy pokazano, stało mi się jakoś dziwnie i nieswojo. Chciałoby się zapytać tych gwiazd; co wyście za jedne? Ani ja was nie znam, ani wy mnie, a z tamtymi zżyłem się od dzieciństwa. I człowiek podziwia te nowe światy, błyszczące hen! w ciemnych przepaściach nieba, ale po chwili ogląda się za siebie, czy nie zobaczy jeszcze starych przyjaciół — a gdy ich nie dojrzzy, to mu tęskno.

Był nów. Księżyc, w kształcie sierpa, ukazywał się od strony Afryki, rozścielał złotą i migotliwą

drogę w morzu, poczem chował się zaraz. Czuwaliśmy teraz więcej nocami a spali we dnie, bo upały poczęły doskwierać nie żartem. Zabawnem było, jak stopniowo zmienialiśmy ubrania na coraz lżejsze i lżejsze. Głowy ubraliśmy już oddawna w białe hełmy, i przypuszczam, że były one nam z każdym dniem więcej do twarzy, w miarę, jak same twarze nabierały coraz bardziej barwy pięknego toruńskiego piernika.

Pod pewnym stopniem szerokości nawet koszulę poczynąć się uważa za przestarzały europejski przesąd. Białe płócienny surducik na siatkowy półkoszulek, także „niegodne wspomnienia“ i płócienne trzewiki — oto, czego potrzeba podróżnikowi dbałem o strój. Kto o niego nie dba, może jeszcze porobić oszczędności, zwłaszcza na statku, na którym niema dam. Bywało tak gorąco, że mimo podwójnego dachu z żaglowego płótna, piekliśmy się po prostu na pomoście, jak na patelni. Ale nasz los był jeszcze godzien zazdrości w porównaniu z losem haremu. Ach, nieszczęśliwy harem! Od chwili wyjazdu z Adenu nie ukazał się ani razu na pokładzie, a kabinę opuszczały te panie jedynie wówczas... Nie! podobno wcale jej nie opuszczały! Jedna tylko młoda, może czternastoletnia i, mówiąc bez nawiasu, bardzo ładna murzynka, siadywała wieczorami, z nargilą, na podłodze korytarza, przed drzwiami kabinki. Kapitan przez litość nie bronił jej palić, chociaż we wnętrzu statku jest to surowo wzbronione. Tak siedząc nisko, skulona, wyglądała w ciasnocie korytarza jak dziki, osowiały ptak, zamknięty w klatce.

Przechodząc do salonu, widywaliśmy czasem przez uchylone drzwi białe giezła innych odalisek. Raz nawet ujrzałem twarzyczkę, raczej maseczkę, nawpół jeszcze dziecinną, mocno uróżowaną, z uczernionemi brwiami i z wielkimi, smutnemi oczyma gazeli. Dla kogo był róż i te uczernione brwi? Chyba dla oceanu, na który te panie spoglądały przez okrągłe okienko statku.

Bywało, że bawiliśmy się, spuszczać na sznurku z pokładu pomarańcze i butelki z wodą sodową, na przeciw okienka kabinki, zajmowanej przez harem. Okienko otwierało się wówczas, przez otwór wysuwały się białe lub czarne ramiona i chwyciły kołyszący się przedmiot z pewną zwierzęcą skwapliwością. Kapitan był niestrudzony w tej zabawie; pewnego razu chciał spuścić w ten sposób doktora, który się mocno o to obraził.

Tymczasem na przodzie statku załoga czyniła przygotowania na uroczystość równika. Obchodzi się ją, jadąc tylko z półkuli północnej na południową, bo rozumie się samo przez się, że statek, który wraca, musiał już przejść poprzednio równik. Nie wiem zresztą, czy ową uroczystość obchodzą równie ściśle Francuzi lub Anglicy, ale Niemcy są, jak owa panna, która, wychodząc za mąż po czterdziestym piątym roku życia, pytała ze spuszczonemi oczyma w dzień ślubu, matki: „Mamo, czy mama nie zechce mnie przygotować?“ Biedactwo pragnęło, by jej nie przepadło nic z tego, co stanowi obyczaj przedślubny. Owóż tak i Niemcy. Są oni dzielnymi marynarzami, ale przez długie wieki mało żeglowali a równik

przepływają odniedawna, święcą więc obyczaje morskie z większą może skrupulatnością, niż ci, którzy się oswoili z niemi w ciągu całych stuleci.

W dniu, w którym mieliśmy przejechać równik, twarze wszystkich majtków od rana wyrażały zadowolenie. Dzień był dobry. Lekki musson pędził na nas z tyłu fale, więc kołysanie nie dawało się we znaki. Z topieli, oświeconej słońcem, podnosiły się raz wraz stada ryb latających. Na niższym pomoście przygotowano ogromną wannę z nieprzemakalnego płótna żaglowego, nad nią zaś wywrotną ławeczkę, na której miano golić przejeżdżających po raz pierwszy równik. Koło godziny czwartej niższy pomost napełnił się ludźmi z załogi, oraz podróżnymi z drugiej i trzeciej klasy. Te były pełniejsze niż pierwsza więc tłum był spory, bo prócz Niemców i Greków, którzy jechali z Hamburga i Port-Saïd, wzięliśmy pod pokład kilkunastu Arabów w Adenie. Nagle, na przodzie statku, ozwała się hałaśliwa muzyka, ciżba rozstąpiła się, i ujrzelśmy poselstwo, złożone z maskaradowych figur, kroczące poważnie ku nam.

Na czele jego postępował Neptun, z trójzębem, w złotej papierowej koronie, z konopną do pasa brodą i z ogromnym przyprawnym nosem, barwy koralowej. Za nim szli dzicy — czarni, czekoladowi i żółci, przybrani w pióra, zbrojni w maczugi, w dziurty i rozmaite narzędzia muzyczne. Wszedłszy powolnym krokiem po schodach, wiodących na wyższy pomost, bóg Neptun wraz ze świtą stanął przed kapitanem i powitawszy go trójzębem, spytał tubalnym głosem, coby był za jeden, co za ludzie stoją

koło niego, i jaki to statek śmiał wdrzeć się w niedostępne państwa Jego Neptuńskiej Mości? Kapitan powiedział swoje nazwisko, pokazał niby papiery statku i listę podróżnych, poczem król Neptun począł przyglądać się nam uważnie, przykładając każdemu prawie do twarzy swój czerwony nos. I widocznie przegląd wypadł na naszą korzyść, albowiem bożek nie wzburzył trójzębem wałów morskich, ale z niekłamana satysfakcją chwycił za kieliszek wina, które przez ten czas steward okrętowy wniósł na tacy. Dzicy poszli jeszcze skwapliwiej za jego przykładem, i poczęliśmy się trącać, a potem zostaliśmy zaproszeni bardzo łaskawie na widowisko, które miało się odbywać na niższym pomoście.

Zabawa ta polegała na tem, że sadzano kolejno podróżnych na ławeczce nad wanną, mydlono każdego czterolokciowym pendzlem, golono nie mniejszą drewnianą brzytwą, poczem ławeczka przewracała się, i „pacjent“, wpadał na głowę do wody, w której dzicy nurzali go póty, póki się jej dobrze nie opił. Ponieważ skóra farbowanych dzikich puszczała, woda wkrótce z zielonej zmieniała się na ciemną, z ciemnej na czarną, co wzięwszy na uwagę, woleliśmy się wykupić.

Wykup składał się z dziesięciu butelek piwa, ale zato każdy z nas dostał świadectwo przebycia równika, z pieczęcią i podpisem: „Neptunus, deus in mare vasto“. Świadectwo to zachowuję do tej pory.

Lecz zanim wykąpano podróżnych, którzy nie chcieli się wykupić, słońce przetoczyło się na zachodnią stronę oceanu, poczem, zmieniwszy się w ol-

brzymią kulę ognistą, wyrzało raz jeszcze z za purpurowych firanek obłoków — i zapadło nagle w toń. Wnet poczerwieniało morze, niebo, i nastała noc równikowa, gorąca, cicha, rojna od gwiazd. Ale zabawa trwała jeszcze. Improwizowana orkiestra, a z nią majtkowie biorący udział w uroczystości, przyszli na pokład pierwszej klasy wypić za zdrowie kapitana, oficerów i podróżnych, którzy złożyli okup. Dzielni ci ludzie bawili się dopóżna. Orkiestrze towarzyszyły śpiewy chóralne — i dziwne wrażenie robiła owa, jakby zagubiona muzyka na tej łupinie pływającej, wśród tego niezmiernego pustkowia.

Wtórował jej szum nocnego przypływu.

* * *

Była to już jedenasta doba podróży — i dla nas owo święto Neptuna miało i to miłe znaczenie, że zapowiadało nam bliski koniec morskiej przeprawy. Dzień następny, choć pogoda była dobra i tylko 23° R. w cieniu, dłużył nam się, zwłaszcza, że nazajutrz mieliśmy już zobaczyć wyspę Pembę, leżącą nad piątym stopniem szerokości południowej. Przy stole była mowa tylko o tej Pembie, Zanzibarze, Bagamoyo, o klimacie Afryki i o środkach ostrożności, jakie należy zachować, by uniknąć febry. Ktoby nas słyszał z boku, myślałby, że słyszy podróżników, którzy wiek życia strawili w Afryce.

Noc spędziliśmy na pokładzie, śpiąc, jak to mówią, na jedno oko. Rankiem 14-go lutego byliśmy na szerokości Mombassa. Jest to nazwa dobrze znana

z książek Livingstona, Stanleya, Thomsona i innych. Częstość wyprawy do wielkich jezior obierały ten port za punkt wyjścia. Ale zatrzymują się w nim tylko statki angielskie. Nasz „Bundesrath“ pomija Mombasę i trzyma się na pełnem morzu.

Godzina czwarta po południu. Spokój, ale upał zwiększa się: 26° R. w cieniu. Widać nakoniec Pembę, jakby złotą gorejącą plamę na błękitnym obrusie wód. Moglibyśmy jeszcze dzisiejszej nocy przybyć do Zanzibaru, statek jednak, nie mając wielkiej latarni elektrycznej, nie może zapuszczać się wśród ciemności w kanał, oddzielający Pembę i Zanzibar od stałego lądu, pełen mielizn i raf koralowych. Wskutek tego mamy krążyć aż do rana, na wschód od wysp, po stronie pełnego morza.

Na godzinę przed zachodem tracimy z oczu Pembę. Czuć jednak bliskość ziemi. Mewy otaczają na nowo statek, a wieczorem nadlatują rojnie wielkie muchy. Mówią i o moskitach, ale ich nie widzę i nie czuję. Natomiast robi się bardzo duszno, a powietrze przesycone jest gorącą wilgocią, która osiada na ubraniu, na poręczach i podłodze pokładu, tak, że wszystko jest mokre. W kabinach trudno wytrzymać, a jednak trzeba tam zejść, by zapakować manatki. Po załatwieniu tej czynności, wychodzę znów na pomost i dowiaduję się, że wbrew pierwotnemu zamiarowi, wjechaliśmy na kanał.

Koło jedenastej w nocy dojrzeliliśmy w dali, po lewej stronie od statku, trzy światła, jakoby zawieszone w powietrzu. Oficer służbowy powiada nam, że to Zanzibar.

Wielkie słowo! Na oceanie dobrze, przestrono; człowiek roztapia się niejako w tych niezmiernych przestworzach, gubi się w nich, zapamiętywa i ucisza, ale płynie się przecie dlatego, by gdzieś dopłynąć, więc gdy po kilkunastu dniach powiedzą nam: ziemia! — doznajemy jakowejś ulgi. Chce się odetchnąć głęboko, jak po wielkim trudzie, bo oto już cel przed nami — a zarazem zmiana, nowość, tysiące niewidzianych dotąd rzeczy: cały świat, o którym mieliśmy tylko z książek pojęcie.

A zatem jutro będziemy w Zanzibarze. Nie rozumiem wprowadzie, co będziemy robili przez całą noc na kanale, lecz niechże będzie i jutro. Ruch śruby zwolnił, i poczęliśmy się zlekka kołysać na oświeconej sierpem księżyca wodzie. Tak zeszło aż do pierwszej po północy. Siedząc na swem płóciennem podróżnem krześle, jałem już nieco drzemać, gdy wtem zbudziło mnie lekkie wstrząśnienie. Na przodzie okrętu uczynił się nadzwyczajny ruch; spostrzegłem jednego z oficerów, biegnącego prędko ku przerzutce. Co się stało? Oto z powodu jakiegoś niezapalonego na wyspie światła, nie rozeznano dokładnie położenia miasta, statek zboczył z głębokiej wody i uderzył przodem o mieliznę. Stanęliśmy odrazu, jak ujęci w kleszcze. Śruba napróżno usiłowała nas cofnąć, choć obroty jej, pod zwiększonym ciśnieniem pary, stały się tak szybkie, że wszystkie deski statku drgały jak we febrze. Powtórzyliśmy tę próbę cofnięcia się drugi raz i trzeci — poczem nastała zupełna cisza, dziwna dla uszu, przywykłych do ustawicznego odgłosu maszyny; słychać było tylko

bełkotanie spokojnej fali, przesuwającej się wzdłuż ścian okrętowych. Na całym statku nikt nie spał. Dowiedzieliśmy się, że wstrząśnienie, któreśmy za ledwie odczuli w pierwszej klasie, było na przodzie statku tak silne, że ludzie powylatywali z łóżek. Zauważyłem, że wszyscy zachowali należyty spokój umysłu, a to nietylko gwoli zasadzie: „Raz kozie śmierć!” — która tak uspokajała mego Bartka pod Gravelotte — ale głównie z powodu bliskości lądu i spokojności morza. Gdyby tak podobny wypadek spotkał nas koło przylądka Guardafui, gdyby przyszło chronić się na łodzie i szukać gościnności u Somalisów, wątpię, czybyśmy okazywali równie bohaterską pogodę duszy. Tu jednak łodzie mogły każdej chwili dowieźć nas i nasze kobiałki do miasta, względnie cywilizowanego, gdzie jeśli obdzierają ludzi, to w sposób nader uprzejmy — w hotelach.

Ale nie groziła nam nawet i przejażdżka szalupami. Kapitan kazał jedną z nich spuścić, by się przekonać, jak głęboko przód statku zagrzeżał w piasek. Okazało się, że na dziewięć stóp — to jest nie tak głęboko, aby nas najwyższy przypływ nie mógł znieść. Pozostawało tylko czekać cierpliwie — i czekaliśmy aż do świtu. W chwili wreszcie, gdy przypływ doszedł do maksimum i począł podnosić statek, śruba rzuciła się znów z zaciekłością do roboty, i dzięki tej spółce, spłynęliśmy z łatwością.

Już też pobielało. Potem słońce ukazało się z pod wody tak prędko, jak eudowny obraz, gdy rozsunał przed nami firanki, i cały widnokrąg zajaśniał.

W dali, za zwierciadłem wód, szarzał wydłużony i wysoki ląd — Zanzibar!

W ciągu pół godziny zbliżyliśmy się do niego tak, że odległość nie wynosiła więcej nad kilkaset metrów — i poczęliśmy się posuwać wzdłuż wyspy. W przezroczystym powietrzu widać ją było doskonale. I co za widok! To już nie obumarłe wzgórza Suez, nie sprażone żywym ogniem skały Adenu, nie groźne wiszary przylądka Guardafui; to inna zupełnie okolica, prawdziwie podzwrotnikowa — jeden las, jedno morze zieloności, zbitej jak mur, nad który wyskakują wspaniałe pióropusze kokosów, czasem pojedynczo, czasem w całych kępach, rysując się na niebie niezmiernie czysto. Jak okiem sięgnąć, widać tę egzotyczną potęgę roślinności, przechodzącą niemal w rozpustę. Widać, że wszystko tam zagrzewa się w słońcu, w gorącej wilgoci, pęcznieje, buja, stłacza się, obejmuje, zapładnia i szaleje. Miejscami las spływa aż ku morzu. Drzewa odbijają się w lustrzanej szybie, tworząc drugi las w głębinie i ciemne plamy na złotej wodzie. Czasem z mrocznego lasu wychylają się białe ściany samotnych domów. Jesteśmy jeszcze bliżej. Przez szkła teatralne rozróżniam rozmaite nieznane mi drzewa.

Uwagę moją zwracają szczególnie kokosy i inne jakieś olbrzymy roślinne, z ogólnego zarysu do naszych lip podobne, jeno większe, ciemniejsze i rozłożystsze. Mówią mi, że to są drzewa mango, wydające najlepszy owoc podzwrotnikowych krajów. Nie wiem, na co patrzeć, a co pominąć, bo oto obok „Bundesrathu“ przesuwa się gromadka dużych pirog

murzyńskich z pławicami. Owe pławice, są to deski, osadzone z obu boków łódek na wygiętych bambusach i utrzymujące statek w równowadze. W pirogach siedzą krajowcy czekoladowego koloru, ciągnąc za sobą półkołem sieci. Opodal przeglądają się w lazurze ciężkie dany arabskie, z żaglami białymi i czerwonymi. Zwracam napowrót oczy na brzeg. Gdzieś niedzie, wśród ciemnego lasu, widać jasnozielone plantacje bananów, których olbrzymie liście rozeznają z łatwością przez szkła; tam znów gaje piramidalnych, wysmukłych drzewek. Kapitan powiada, że to są pola gwoździkowe. Domy wznoszą się coraz gęściej, wreszcie brzeg się wygina w obszerną zatokę — to już port i miasto.

Wpływamy. Miasto zdala wydaje się wspaniałe a przynajmniej bardzo malownicze. Jasne mury domów i pałacu sułtańskiego piętrzą się wysoko nad wodą, obwarowaną na brzegu szeregiem feluk i pomniejszych łodzi. Bliżej nas leży w porcie kilkanaście większych parowców i kilka pancerników angielskich i niemieckich, łatwych do rozpoznania po białym kolorze ścian i twardych linjach burt. Nasz „Bundesrath“ zwalnia; przez jakiś czas posuwa się jeszcze łagodnie ku miastu i wreszcie staje. Liczne łodzie, pełne krajowców, zbliżają się ku nam na wyścigi. W niektórych widać przybranych biało europejczyków, kierujących rudlem. Są to Niemcy, którzy śpieszą, by powitać krewnych, znajomych, a może tylko dlatego, by stanąć nogą na niemieckim pokładzie i mieć przez chwilkę złudzenie dalekiej ojczyzny. Wchodzą też na pokład z gorączkowym pośpiechem, za nimi

urzędnicy portowi, tragarze-krajowcy, i poczyną się zwykły rozgardjasz chwili przybycia, złożony z powitań, nawoływań, głośnych rozkazów, klątw, krętaniny, zgrzytania łańcuchów.

Ponieważ trzeba jeszcze czekać na wydobyć kufrow z brzucha okrętowego na pokład, więc przez ten czas czynię spostrzeżenia nad przybyłymi z miasta Niemcami. Pierwsze wrażenie jest fatalne. Wszyscy ci ludzie noszą poprostu śmierć w twarzach. Febra i anemja wycisnęły na każdym z nich złowrogą pieczęć. Chodzą, witają się, nawołują, radość świeci im tak wyraźnie w oczach z powodu przybycia niemieckiego statku, że aż są wzruszający; ale wyglądają, jak rekonwalescenci po ciężkiej chorobie. My jesteśmy tak zgorzeli od słońca i wiatru morskiego, że cerą mało różnimy się od tych Suahilisów, którzy tam wrzeszczą u stóp okrętu — ich czoła, nosy i policzki są jakby z wosku. Pomyślałbyś, że mieszkają stale pod ziemią, i że ani świeże powiewy, ani promienie słońca nigdy do nich nie dochodzą. Ale to właśnie słońce wysysa z nich krew. Widocznie źle jednak białym ludziom mieszkać w tej cieplarni, która tak nęciła nas z morza zielonością i wybujałymi kiściami kokosów.

Po dłuższym pobycie, twarze te nie czynią już takiego wrażenia, może dlatego, że człowiek sam zapada na bezkrwistość, a może dlatego, że oko się przyzwyczaja; ale w pierwszej chwili mimowoli zadałem sobie pytanie, poco ci ludzie opuszczają domowe pielesze i czego szukają w tych zabójczych klimatach, skoro nad wszystkimi ich zabiegami, nawet

szcześliwemi, wisi rzecz tak sprowadzająca je do nicości i niepowrotna, jak śmierć.

Ale tymczasem wyładowano nam kufry, rzucono je, jak groch z kapustą, do łodzi powożonej przez murzynów Suahili, i popłynęliśmy do lądu. Ładowanie nie jest rozkoszne: przybija się do pagórka śmieci, po których trzeba drapać się do miasta. Tam przypomniał się nam Egipt, albowiem ledwośmy zapłacili za przewóz, opadła nas czereda krajowców, by porwać małe pakunki i zanieść je do gospody — a lubo natręctwo Zanzibarytów nie da się porównać z natręctwem Arabów, musieliśmy się jednak trochę opędzać. Przez wąskie i dość nędzne uliczki ruszyliśmy, na czele naszych czarnych tragarzy, do środka miasta, a tymczasem większe nasze kufry powędrowały na komorę. Niebawem, zaledwie rozejrzawszy się po dość mizernym hotelu, który nosi nazwę „de la Poste“, dlatego, że tu jest poczta niemiecka, poszliśmy na tę komorę, a raczej na tę wieżę Babel wszelkich narodowości i języków. Naczelnikiem jej, ponieważ Zanzibar pozostaje pod protektoratem angielskim, jest naturalnie Anglik, celnikami w części Arabowie, dawni władcy wyspy, w części Indjanie Banyana; kufry, skrzynie i paki dźwigają Suahili, zaś z okrętu dostawiają je biali majtkowie — słowem, istna arka Noego. Jakiś podobny do mandryla Banyńczyk, z brodą malowaną na czerwono henną, począł nam robić trudności o noże i naboje. On mówił do nas w języku ki-suahili, my odpowiadaliśmy po polsku, proponując mu, żeby nas i naszych kufrów — nie zatrzymywał

na spiekocie słonecznej, wynoszącej już nie wiem ile stopni. Łatwo zrozumieć, że uprzejma ta rozmowa, której zresztą dosłownie nie przytaczam, nie mogła doprowadzić do wielkich rezultatów, trudności jednak zostały później usunięte, dzięki wdaniu się naczelnika.

Komora jest jednak ciekawa, ze względu na to, co się w niej widzi. Całe podwórze i obszerne podcienia założone były kłami słoniowymi. Były tam białe, żółte, mniejsze, średnie i tak olbrzymie, że takiego kła trudno z ziemi podnieść. Wznosiły się ich całe stosy, podobne do stosów drzewa. Przypuszczam, że ze względu na wysoką cenę kości słoniowej, wartość ich wynosiła miliony.

Wracaliśmy napowrót do hotelu koło godziny drugiej, to jest w czasie największego upału. Ulice były prawie puste. Po jednej stronie blask taki na białych ścianach, budowanych z koralowej rafy, że z samego odbicia można dostać uderzenia słonecznego, po drugiej grube cienie, prawie zupełnie czarne. Gdzie niegdzie murzyn drzemał w progu domu; przy studniach spotykaliśmy kobiety z wielkimi glinianymi naczyniami na głowach, poowijane od kolan do piersi w jaskrawe perkaliki, pod którymi rysują się plastycznie krępe ich kształty. Przypatrywałem się z ciekawością ich okrągłym głowom, o krótkich wełnianych włosach, posplatanych z wielką sztuką w tuziny warkoczyków, pokrywających jakby pręgami całą czaszkę. Wszystkie były niemal szpetne, wszystkie miały metalowe guziki, powpinane w prawe nozdrze, niektóre paciorki na szyi i bran-

soletki na ramionach, oraz na nogach. Wogóle jednak na ulicach mało było mieszkańców. Kto może, chroni się o tej godzinie przed żarem słońca, które nie świeci, ale poprostu zalewa całe miasto potokami ognia, wytwarzając szczególną, właściwą tylko egzotycznym krajom, mieszaninę oślepiającego blasku, milczenia i pustki.

Wróciwszy do hotelu, począłem po obiedzie rozmyślać, dokąd mam się naprzód udać i jak, po poznaniu miasta i wyspy, przygotować wycieczkę na stały ląd.

VII.

Rodzina Lazarewiczów. — Abdalla i Nasibou. — Goście hotelowi. — Podróżnicy. — Wieczory. — Mnazimoja. — Za Mnazimoją. — Stado dziewcząt. — Riva. — Pałac. — Hindusi. — Hindusi i Arabowie. — Targowiska owoców. — Manga. — Banany. — Małpi chleb. — Gojawy. — Papaja. — Dzielnica murzyńska. — Język suahili. — Mahometanizm.

Jadąc do Zanzibaru, nie wiedziałem, czy znajdę tam jaką gospodę, czy też przyjdzie nam rozbić namiot na płaskości morskiej lub pod pierwszym lepszym drzewem i zamieszkać w nim, zanim sobie upatrzę dom. W miasteczkach i osadach, leżących na pobrzeżach, częstokroć niema gospód, i za schronienie podróżnikom służą ich własne namioty, albo też misje i faktorje, które zresztą otwierają bardzo gościnnie podróżnikom swe wrota. Tak jest naprzykład w Bagamoyo. Ale Zanzibar, to, mówiąc miejscowem narzeczem, „M'buanam kuba“, czyli pan wielki, w porównaniu do innych miast podzwrotnikowej Afryki. Hotelów jest w nim kilka — jeden wprawdzie gorszy od drugiego, ale wszystkie bardzo paradne, jak na piąty stopień szerokości południowej.

Mój zajazd, polecony mi jeszcze na okręcie, zwał się „Hôtel de la Poste“. Jest to dom, zbudowany

z rąfy koralowej, mający wewnątrz obszerny krużganek, podzielony zapomocą madagaskarskich mat na kilkanaście izb. Łóżko z moskitierą, stół, krzesło, parę jaszczurek na pułapie, sporo mrówek i dużo komarów, stanowią umeblowanie każdej pojedynczej izby. Za te rozkosze wraz z utrzymaniem, płaci się pięć rupij, to jest około 10 franków na dobę, a oprócz tego ma się prawo patrzeć na gimnastykującą się na schodach małpę i słuchać pysznego koroniastego żórawia, który zwłaszcza po nocy, odzywa się z ogródka hotelowego tak donośnym głosem, że go w całym mieście słyszać.

Właściciel gospody nosi historyczne nazwisko, zwie się bowiem Lazarewicz. Gentleman ów, mało ma jednak wspólnego z Serbją i bohaterskim Lazarem. Jest to, jak mówi Prus: „Słowianin wyznania mojżeszowego“. Pochodzi z Odessy i był dawniej krawcem damskim, wskutek czego obecny swój zawód ma w pogardzie i wyraża się sam o sobie z pewną goryczą, jak czynią zwykle upadłe wielkości. Zapytywany o jakiegokolwiek objaśnienia co do miasta, wyspy lub miejscowych mieszkańców, odpowiada stale: „Ja nic nie wiem; wiem tylko, co jem i piję“. Stereotypowa ta odpowiedź bawi tak gości, że umyślnie co chwila zadają mu rozmaite pytania, żeby ją usłyszeć.

Pani Lazarewiczowa, przy pomocy córki swej „bibi“ Klary, zajmuje się gospodarstwem i kuchnią. Bibi, która ma lat siedmnaście, jest zupełnie ładna i mówi wszystkimi językami. Co niedziela chodzi na mszę do misji katolickiej, nie dlatego, żeby była ochrzczona, ale że w Zanzibarze uważa się to za

dowód przynależności do wyższego towarzystwa. Ponieważ Klärchen przyszła na świat po dziesięcioletniem bezowocnem pożyciu Lazarewicza z panią Lazarewiczową, przeto ta ostatnia bardzo ją kocha i broni ją zawsze przeciw wybuchom złego humoru pana Lazarewicza. Wymówki, jakie wówczas czyni wobec wszystkich mężowi, przynoszą wprawdzie wysoki zaszczyt jej zamiłowaniu prawdy, niemniej jednak są mocno przykre dla miłości własnej tego gentlemana:

— Cóż ty, chłystku, myślisz, że to jest twoja córka? Co ty masz za prawo ją łajać?

Słyszeliśmy to wielokroć razy. Widocznie pod równikiem stosunki małżeńskie odznaczają się otwartością, nieznaną w naszych zimnych klimatach.

Prócz państwa Lazarewiczów, załoga hotelowa składa się z dwóch murzynów. Jeden z nich szesnastoletni, ale zresztą żonaty już, Abdalla, należy do szczepu miejscowego Suahili; drugi, dwunastoletni Nasibou, pochodzi z głębi Afryki i jest niewolnikiem, czyli własnością Abdalli. Stanowi to ilustrację do stosunków w Zanzibarze, gdzie handel niewolnikami zniesiono, ale niewolnikom nie przywrócono wolności. Zarobki Nasibou zabiera Abdalla, zostawiając mu z nich tyle, ile mu się podoba. Naturalnie, że nasze sympatje są po stronie Nasibou, któremu dajemy obfitsze napiwki, zabraniając Abdalli odbierać ich i obiecując mu obicie w razie, gdyby swej władzy nad chłopcem nadużywał.

W hotelu słyszy się od rana do wieczora wszystkie języki europejskie, przeważnie jednak niemiecki,

dalej dźwięczne wyrazy języka ki-suahili, bek kóz, które między śniadaniem i obiadem skaczą po stołach, ale przede wszystkim odkorkowywanie butelek. Upał we dnie i w nocy straszny; pragnienia niepodobna ugasić, to też piwo, szkocka whisky, woda sodowa, limonjada, a nawet i szampan leją się od rana do wieczora. Wprawdzie każdy napój występuje, w tej chwili po wypiciu, na skórze pod postacią potu, ale pić jednak trzeba, i pije się tem chętniej, że Zanzibar posiada obfitość „barafu“, to jest lodu. Fabryka jego jest własnością samego sułtana i przynosi mu niemałe dochody, zaopatrują się tu bowiem w nieocenione „barafu“ nie tylko Europejczycy, bogaci kupcy indyjscy, hotele, domy handlowe, ale i wszystkie statki, idące z południa na północ. Ładunki lodu wychodzą także od czasu do czasu do niemieckiego Bagamoyo i Dar-es-Salam, które własnych fabryk dotąd nie posiadają.

Przy śniadaniach, obiadach i przy odkorkowywaniu butelek, łatwo zabiera się znajomość w krajach, w których sama barwa skóry brata ludzi, a okrutny, nasycony wilgocią upał, rozmiękcza ich krochmal, zeszywniający stosunki towarzyskie w Europie. Tu wszyscy są równi wobec... gorąca i komarów, prędko też czynimy liczne znajomości. Towarzystwo oznacza się zarówno rozmaitością zawodów, jak i wykształcenia. Są tu więc trzy młode Czeszki, grające na instrumentach dętych i rżniętych. Niepowodzenia artystyczne zagnały je, wraz z instrumentami aż do Zanzibaru i zatrzymały dłużej nad program. Mogłyby one łatwo poprawić swój los, gdyby, wyrzekłszy się Apolina, weszły, za protekcją Kiprydy, w służbę

Hermesa — podobno jednak chcą służyć wyłącznie jednemu bóstwu. Prócz Czeszek, są tu niemieccy kupcy i rolnicy z Ost-Afrikanische Gesellschaft; jest uczony dr. Kärger z żoną i małym bébé, mówiącem tylko językiem ki-suahili. Na wieczornych posiedzeniach na podwórzu hotelowem, poznałem także Beckera, bardzo znanego podróżnika afrykańskiego. Był on wysokim urzędnikiem państwa Kongo, lecz, oskarżony o rozmaite nadużycia, wracał właśnie do Belgji, by rozprawić się ze swymi oskarżycielami. Czytałem potem z przyjemnością, że proces, jaki z tego powodu powstał w Brukseli, skończył się niezmiernie zaszczytnie dla znakomitego podróżnika. Miał on ze sobą w Zanzibarze dwóch służących, pysznych Sudańczyków, którzy przybrani w białe sztuki perkalu i białe zawoje, chodzili za nim wszędzie, jak dwa cienie.

Zresztą znajomość nasza z nim krótko trwała, albowiem Becker zachorował ciężko na febrę i przeniósł się następnie do francuskiego szpitala. Powiadają, iż przyczyną jego choroby było to, że pozwalał sobie chodzić po słońcu tylko w fezie — nieostrożność rzeczywiście dziwna w człowieku tak doświadczonym.

Drugą, ciekawą ze wszech miar osobistością, był profesor Dabeni z Genui. Ten przybył umyślnie do Zanzibaru dla poszukiwania pewnego gatunku nietoperza — i poruszał ziemię i niebo, by go znaleźć. Codziennie murzyni znosili mu całe tuziny nietoperzy, między którymi uczony profesor szukał jednak ciągle napróżno pożądanego gatunku. Poza tą sprawą nie go nie obchodziło, ni Zanzibar, ni cała

Afryka, ni upały, ni febra; nie umiał też prawie mówić o czem innem. Rodacy jego, których kilku przychodziło do „Hôtel de la Poste“, wyśmiewali się z niego, ile się zmieściło, co jednak uczony znosił z niezmaconym spokojem i słodyczą.

Między innymi Włochami poznaliśmy, lubo na krótko, pana Robecchi, młodego podróżnika, atletycznej postawy, który dziwił murzynów swoją nadzwyczajną siłą. Miał on zamiar złożyć w Zanzibarze karawanę i ruszyć z nią na wyprawę do niebezpiecznego kraju Somali. Słyszałem później, że statek, na którym wyprawa wyruszyła, osiadł gdzieś na somalijskich brzegach na mieliźnie, wskutek czego jakoby wyprawa musiała powrócić do Zanzibaru.

Wogóle jestem z usposobienia dość dziki, lubię samotność, dlatego, że, jak powiada Chamfort, jestem bardziej przyzwyczajony do swych wad, niż do cudzych — niełatwo więc zabieram znajomości. Te jednak posiedzenia wieczorne miały dla mnie swój urok a zwłaszcza mają go dziś jako wspomnienie. Siadywaliśmy naokół okrągłego stołu, przy otoczonej przez ćmy lampie, której światło mieszało się z niezmiernie jasnym blaskiem księżyca; upał był zawsze wielki, ale nieco mniejszy niż w dzień; Abdalla i Nasibou odkorkowywali butelki wody sodowej, przelewając ich zawartość do kufli, napełnionych lodem — i rozmawiało się nieraz dopóżna o Czarnym lądzie.

Doktór Kärger otwierał swoje składy wiadomości antropologicznych i wszelkich innych; Dabeni wzdychał za upragnionym nietoperzem; czasem oglą-

daliśmy broń, jaką kto miał, co dawało powód tym, którzy bywali już w głębi, do wspomnień myśliwskich, do opowiadań o przygodach, o obyczajach zwierząt, o sposobach polowania. Co wieczór prawie rozmowa schodziła na wyprawy przeszłe lub dopiero zamierzone. Ten znał Stanleya, ów Tompsona, trzeci Emina paszę. Wszystko to wytwarzało jakiś nastrój podróżniczy, pełen, jeśli tak można powiedzieć, aktualności afrykańskiej, dla mnie nowy i zajmujący. Rozmowom naszym towarzyszył przytłumiony odgłos bębnów i śpiewów, murzyni bowiem po całych nocach zabawiają się w ten sposób w swoich dzielnicach.

Częstokroć też wychodzimy, przed pójściem spać, na przechadzkę po Mnazimoi. „Hôtel de la Poste“ leży prawie na krańcu miasta. Za nim ciągnie się jeszcze kilkanaście domów murowanych; potem następuje dzielnica murzyńska, o okrągłych chatach, pokrytych trzinowemi dachami; potem miasto się kończy; po prawej stronie stoją jeszcze koszary dla czarnych żołnierzy sułtana, wreszcie ulica przechodzi w szeroką drogę, ograniczoną z obu stron lagunami, którą zowią Mnazimoja.

Jest to miejsce wieczornych przechadzek dla mieszkańców Zanzibaru. Do godziny czwartej po południu nie spotkasz tam nikogo, prócz murzynów, niosących kosze pełne bananów, mango, ananasów, manjoku — i prócz czarnych kobiet z naczyniami, pełnemi wody, na głowach. Zresztą słońce panuje tam wszechwładnie. Od czwartej jednak Mnazimoja zaczyna się roić. Arabowie, dawniej rzeczywiści, dziś

tylko nominalni władcy Zanzibaru, wyjeżdżają na nią buńczuczno, na koniach, czasem bardzo pięknych, lub na osłach, malowanych na czerwono henną; między nimi ciągną powozy, które zresztą w Zanzibarze na palcach policzyć można: więc — jego sułtańskiej mości, więc — generalnego konsula „Jej Wdzięcznego Majestatu“ i kilka innych, należących do bogatych Indjan Banyana lub Parsi, trudniących się kupiectwem. Widzi się tu i welocypedy, dosiadane z większą dumą, niż wprawą, przez portugalskich Indjan Goaneze — ale przedewszystkiem tłum pieszy ludzi kolorowych i białych, przybranych w angielskie hełmy i flanelowe surduty. Niemcy ciągną tędy do swojej szamby, to jest willi, położonej za Mnazimoją, wśród cienia olbrzymich mangów; Anglicy zdążają na „lawn-tennis“, bez którego oczywiście i pod równikiem żyć nie mogą; misjonarze katolicy i anglikańscy wyprowadzają na przechadzkę swoje czarne owieczki; przychodzą i francuskie Siostry miłosierdzia, by, po szpitalnych febrycznych wyziewach, odetchnąć nieco świeżem powietrzem — słowem, kto żyw, znajduje się na Mnazimoi.

A tymczasem słońce schodzi powoli, hen, ku Bagamoyo, staje się coraz większe, czerwieńsze, wskutek czego całe powietrze przesyca się rozpylnem czerwonaławem światłem, nadając twarzom pozory czerwistości i zdrowia. Przyływ morski napęlnia zwolna laguny, zmieniając Mnazimoję, jakby w groblę, łączącą miasto z dalszym lądem. Lewa laguna wygląda wówczas, jak ogromne jezioro — prawa, węższa nieco, ograniczona wyniesieniem brzegu wyspy, ob-

mywa stopy białej świątyni indyjskiej, ukrytej wśród kokosów. Obie, w czasie zwykłej wieczornej ciszy, wyglądają się, jak polerowane zwierciadła; w nich z jednej strony przegląda się miasto, z drugiej — lasy mangów, kokosów i innej bujnej roślinności, która czyni tę wyspę podobną do olbrzymiej ciepłarni, jakby przez Pana Boga, dla samego siebie, zbudowanej.

Wraz z zachodem słońca pstry tłum wraca do miasta, i Mnazimoja znów puszcije. Widać tylko na niej murzynów, przybranych w białe długie koszule i wyglądających zdala, jak duchy. Nie wiem, czy byłoby zupełnie bezpiecznie przechadzać się po niej o tej porze samemu, ale dwom lub trzem Europejczykom, mającym zdrowe ręce, a w nich niezbyt kruche kije, nie nie grozi. Nieraz przechadzaliśmy się tam do późnej nocy bez żadnego niebezpieczeństwa. Widoki natomiast, zwłaszcza w czasie pełni księżyca, ma się rzeczywiście czarodziejskie. Podnosi się on z pod wody po stronie obszerniejszej laguny, ogromny jak koło, rumiany i idzie w górę, zmniejszając się coraz bardziej i blednąc. Z jednej strony nad miastem zapalają na wieży sułtańskiej elektryczne latarnie, których światłem kierują się statki, wpływające nocą w kanał; z drugiej strony księżyc omaszcza srebrem powiewne kiście palm, strzelające w górę, ponad ciemny mur mangów, drzew chlebowych i baobabów.

Minąwszy Mnazimoję, wchodzi się w tajemniczy mrok cudnego ogrodu. Gdzie niegdzie promień miesięczny przedziera się do wnętrza, pstrząc podłoże

jasnemi plamami; w innych miejscach widzi się tylko zbitą masę, tak czarną, jakby tu ciemność, pochłoniawszy wszystkie przedmioty, wszystkie kształty, stężała i zmieniała się w namacalną materję. Idzie się kilkaset kroków niby tunelem, tylko gdzieś przed nami widać jasny punkt, który powiększa się w miarę, jak się do niego zbliżamy — i oto otwiera się znów jasna polanka, zalana światłem księżyca, na niej wysokie paprocie, niby pozawieszane w powietrzu srebrne koronki i rozrzucone kępy kokosów, podobne w blasku do olbrzymich pęków białych piór strusich. Jakieś wydłużone kształty przemykają się szybko ze światła w ciemny gąszcz — to psy dzikie, które nocą podchodzą nawet pod samo miasto. Idziemy dalej: znów gąszcze, znów owa gruba ciemność. Nieraz przychodzi się do chaty murzyńskiej, ukrytej wśród olbrzymich liści bananów, i pierwiej niemal można ją zmacać, niż dostrzec. Czasem głos ludzki zawoła w mroku: „yambo!“ — odpowiesz i ty: „yambo!“ — ale kto cię witał — mężczyzna, czy kobieta, nie zgadniesz, bo w tej ciemności nie rozeznałbyś i białego, a cóż dopiero murzyna, który roztapia się w niej, jakby we własnym żywiole.

Raz ja, mój towarzysz i Włoch Raunuci, wchodząc późną nocą z zarośli na Mnazimoje, usłyszeliśmy pod olbrzymiem drzewem mangowem jakieś szept, jakieś przytłumione chichoty i szelest jakby licznych bosych nóg w trawie. Pod rozłożystemi konarami manga czarno było jak w piwnicy, więc chcąc się przekonać, co to jest, wsunęliśmy się szybko pod drzewo — i nagle, nakszałt ruszonego stada sarn,

cała gromada młodych dziewcząt wyprysła z mroku na światło księżyca. Rozległy się wybuchy śmiechu i okrzyki: „yambo!“ „yambo!“ Widocznie jakiś dziewic-wieczór odbywał się pod tym mangiem, lub może dziewczęta kąpały się poprzednio w lagunie, były bowiem zupełnie nagie. Chichocząc otoczyły nas wkoło, zarazem ciekawe i gotowe pierzchnąć za pierwszym znakiem. Ciemne ich ciała wydawały się w jasnym blasku miesięcznym zielonawe, jak stary bronz, białka oczu i zęby połyskiwały w mroku. W ich ruchach, w zupełnej nagości młodych ciał, w spojrzeniach, łączyła się jakaś egzotyczna dzikość z zalotnością. Była to prawdziwa zanzibarska sielanka, na tle ciemnych liści manga i dwóch lagun, jasnych, jak srebro, od księżyca. Kręcąc się i podskakując przez chwilę wokół nas, nakształt fantastycznego korowodu, dziewczęta zaczęły następnie parami lub pojedynczo uciekać — zapewne dlatego, żeby je gonić.

* * *

W dzień czyniliśmy znajomości i oglądali miasto. Sądziłem, że budowle w Zanzibarze powinny mieć jakieś cechy arabskie lub indyjskie, tymczasem nie mają żadnych. Domy, budowane z rafy koralowej i malowane wapnem, oślepiają przy słońcu białością, ale zresztą podobne są, również jak nasze kamienice, do wielkich kwadratowych pudeł. Tylko płaskie dachy, a przede wszystkim sienie obszerniejsze, niż w naszych kamienicach, założone częstokroć setkami kłów słoniowych, dają miastu egzotyczny charakter. Leży

ono bezpośrednio nad morzem. Pałac sułtański, harem, komora i konsulaty europejskie, z wyjątkiem niemieckiego, mają tarasy, schodzące wprost do wody. Ta „Riva“, która do niedawna, z większą słusnością niż wenecka, mogła się zwać „Riva dei Schiavoni“, stanowi najparadniejszą część miasta. Pałac sułtański jest nowy, biało lakierowany i z różnicą rozmiarów, przypomina zupełnie wille angielskie. Na dole i na pierwszym piętrze ma obszerne werandy, na których Jego Zanzibarska Mość może zażywać chłodu, a z boku most wiszący, coś w rodzaju drewnianego „Ponte dei sospiri“, przez który Jego Mość może się udać do haremu, jeśli dostojna pierś zbyt wzbierze mu westchnieniami. Obok stoi wieża, na której nocą pali się światło elektryczne, przed gmachem zaś ciągnie się ku komorze dość obszerny rynek — miejsce mustr i ćwiczeń walecznej, regularnej i nieregularnej armji zanzibarskiej. Nakoniec w głębi widać stary pałac, wzniesiony jeszcze przez Portugalczyków a będący dziś więzieniem.

W miarę, jak oddalamy się od morza w głąb miasta, ulice stają się coraz ciaśniejsze, a nakoniec zaczyna się prawdziwy labirynt uliczek, często nie szerszych nad półtora metra: jest to dzielnica indyjska, najbogatsza i najbardziej handlowa w Zanzibarze.

Sklep tu przy sklepie, i rozmaitość widoków wielka. Targ produktami europejskimi jest w Zanzibarze w ręku Europejczyków, natomiast cały handel egzotyczny zagarnęli prawie wyłącznie Hindusi. Odróżniają między nimi Indjan portugalskich Goaneze,

od angielskich Banyana i Parsi. Niektórzy z nich trudnią się nawet sprzedażą towarów europejskich; w wielkich naprzykład magazynach Souzy można dostać wszystkiego, co znajduje się w „grocerniach” angielskich lub amerykańskich.

Parsi noszą czarne surduty i wielkie skórzane czapki na głowie. Podczas gdy kult ognia został wytępiony we właściwej Persji przez mahometanizm, oni, schroniwszy się do Indyj, przechowują go dotąd w pierwotnej czystości. Stanowią oni inteligencję indyjską; wielu z nich trudni się medycyną lub prawem. Dawano mi o nich bardzo sprzeczne wiadomości, podczas bowiem, gdy jedni zapewniali mnie, że Parsi są najuczciwszymi między Indyjaninami — drudzy uważali ich za największych oszustów. Ponieważ nie zetknąłem się z nimi wcale, nie umiem między temi dwiema opinjami rozstrzygnąć.

Najliczniejsi są Indjanie Banyana. Wyznają oni brahmanizm, budaizm a po części i mahometanizm, co ułatwiło ich stosunki z Arabami i dozwoliło im zając wybitne stanowisko na wyspie, jeszcze zanim o protektorat nad nią poczęli się spierać Anglicy i Niemcy. Są oni wszystkim w Zanzibarze: celnikami, urzędnikami, kupcami na wielką skalę i detalicznymi; rzemiosła są w ich ręku, bankierstwo również, lichwa przedewszystkiem. Dzięki opieszałości arabskiej, zagarnęli całe bogactwo kraju. Arabowie z Maskatu, podbiwszy Zanzibar, podzielili między siebie ziemię murzynów i wytworzyli większą własność ziemską; Indjanie Banyana obdłużyli ją — i teraz — pola gwoździkowe uprawia Arab, plon

zabiera Hindus. „Tout comme chez nous!“ Jest tylko ta różnica, że większa własność w Zanzibarze nie posiada, o ile wiem, organów poświęconych jej interesom.

„Świat wyszedł z normy“, jak powiada Hamlet; oto zauważyłem, że krajów, w którychby nieznaną była subhastacja — niema już prawie na świecie, chyba tam, gdzieś w głębi Afryki, gdzie „większa posiadłość“ należy jeszcze do nosorożców i giraf.

Ale Indjanin Banyana ma jednak swoje dobre strony. Oto pożycza on Arabowi naprzód póty, póki kapitał wraz z procentami, nie wyrówna wartości pół gwoździkowych, potem z nich Araba wywłaszcza, a potem... (słuchajcie!!)... jeszcze daje mu kredyt, i to bardzo szeroki. Bierze go tylko na bok i ma do niego mniej więcej następującą mowę:

„Cóż ja!? Ja jestem sobie zwyczajny ży... to jest: zwyczajny Banyańczyk, który nie lubi niebezpieczeństw, ale ty, o wnuku proroka, ty się w nich kochasz, jesteś bowiem waleczny, jak lew, szybki, jak antylopa, a wytrzymały, jak wielbłąd. Oto są towary, oto proch, kule, karabiny i dzidy: weź-że ludzi, których ci również dostarczę i zrób z nimi maleńką wycieczkę, gdzieś na Tanganaykę lub Wielkie Nyanzy. Zabawisz się tam pysznie, posiedzisz rok lub półtora, kupisz lub złupisz tyle kości słoniowej, ile będziesz mógł i przywieziesz mi ją do Zanzibaru, a ja ci wówczas tyle a tyle z twego długu odkreślę, a zarazem nowy kredyt otworzę.

I Arab, eks-większy właściciel ziemski, który jest człkiem istotnie rycerskim a gołym, zgadza się

nieodmiennie na taki układ; idzie, bawi rok lub półtora w nieznanych głębiach Czarного lądu, kupuje lub łupi kość słoniową, urządza mimochodem polowania na niewolników, nadstawia codziennie głowy, często zostawia skórę, często zbiera wielkie zapasy drogocennej kości i wraca z nią święcie do swego Indjanina w Zanzibarze.

Ale pomylisz, czytelniku, że Arab, raz znalazłszy się w głębi Czarного lądu, wraz z bronią i towarami, mógłby Indjaninowi kazać pisywać do siebie na Berdyczów. Nie tak to łatwo! Indjanin popuszcza łańcucha dlatego tylko, iż wie, że można go popuścić. Przecie ten Arab zostawił w Zanzibarze od pięciu do dwudziestu żon, tyleż teściowych i dwa lub trzy razy tyle dzieci — nie licząc dawniejszej „większej własności“, na którą od czasu do czasu miło mu rzucić okiem i mruknąć sobie przytem:

— Tak chciało przeznaczenie!...

Sam wielki Tipu-Tib, on, który jest niemal królem w głębi Afryki a z pewnością największym właścicielem ziemskim na świecie, posiada długi u kupców indyjskich w Zanzibarze — i dlatego nierad tam zagląda. Niedawno chciano go tam sprowadzić w sprawie procesu przeciw Stanleyowi, ale przeznaczył Arab, który widocznie nie ma żon, ani dzieci w Zanzibarze, odpisał podobno na pięknym liściu palmowym:

„Nie głupim!“

Jest to może jedyny człowiek na kuli ziemskiej, którego własności nie można wystawić na subhastację, dlatego, że ta posiadłość ziemska nie ma granic

i że właściwie dlatego tylko należy do Tipu-Tiba, że nie należy do nikogo. Zresztą mogłaby być zarówno twoją, czytelniku, jak moją. Wróciwszy z podróży, darowałem nawet moim dzieciom po jeziorze w środkowej Afryce, wraz ze wszystkimi hipopotamami, za które to dary podziękowały tatusiowi, wprowadzicie z pewnem zdziwieniem, ale bardzo serdecznie.

Wracam jednak do Indian Banyana. Na owych wąskich handlowych uliczkach w Zanzibarze spotyka się ich mnóstwo. Wielu z nich trudni się, jak wspominałem, rzemiosłami. Siadają oni w zacienionych niszach od ulicy, często nadzy do połowy ciała, ale zawsze w wyszywanych złotym szychem krymkach i pracują zawzięcie. Bogatsi kupcy posiadają sklepy, które są zarazem prawdziwemi muzeami. Znajdują się w nich okazy przemysłu europejskiego pod postacią perkalików, wyłącznie dla murzynów przeznaczonych, fabrykowanych w Anglii, Indiach angielskich i Stanach Zjednoczonych. Główny towar stanowi kość słoniowa: kły żółte i białe, olbrzymie i drobne, ale obok nich znajduje się broń arabska i indyjska, sandały, rogi nosorożców, skóry i szpony lwie, lamparcie, kły hipopotamów, jaja strusie, głowy i rogi antylop, olbrzymie orzechy z wysp Szeszelów, zwane „lodoiceae“, o kształtach zabawnych, lecz niezbyt estetycznych, skóry krokodylów, tarcze i laski ze skóry hipopotamów, kosztowne laski z rogu nosorożca, łuki, strzały, dziarty, maczugi, grzebień murzyńskie, naszyjniki i bransolety. Indianin Banyana wszystko zbiera, wszystko kupuje, wszystko sprzedaje. Cały ten kram, z powodu upału, pochowany

jest w głębi mrocznych izb, właściciel zaś, o twarzy barwy pozłoczonej miedzi, sadowi się bliżej progu w kuczki, na indyjskich matach, spokojny, do bronzowego odlewów podobny. Nie ma on jednak flegmy np. tureckiego kupca; rad wita gościa, jest uprzejmy, targuje się, stawia śmiesznie wygórowane ceny, ale opuszcza je szybko. Są oni przytem powszechnie gościnni. Raz, w czasie nawalnego dżdżu, ja, towarzyszy mój i misjonarz ojciec Rubi, schroniliśmy się do magazynu hurtownego kupca mąką manjokową i gwoździkami. Właściciel wiedział, że nie przychodzimy w sprawach handlowych, kazał jednak natychmiast przynieść wody, rozmaitych syropów i częstował nas bardzo uprzejmie.

Postawy tych Indjan i ich wschodnie ubiory są istotnie malownicze; twarze często wyraziste; piękniejszych oczu nie widziałem nigdy w życiu. Arabowie zanzibarscy, zapewne wskutek krzyżowania się, stali się do nich podobni a przez to samo wielce odmienni od swoich braci z Egiptu, półwyspu Synai i właściwej Arabji. Wpływ Indyj znać nawet w ich ubiorach i uzbrojeniu; zwłaszcza noże ich, mocno zakrzywione na końcu, mają kształt i ornamentykę czysto indyjską.

Ów labirynt wąskich uliczek przerywany jest od czasu do czasu małemi rynkami, na których stoją studnie. Przy nich, pod ulewą palących promieni słonecznych, spotyka się zawsze gromady kobiet murzyńskich, biorących wodę, lub szeregi skutych łańcuchami więźniów, zarówno kobiet, jak i mężczyzn.

Tu są także targowiska owoców — niezmiernie ciekawe ze względu na ich egzotyczny charakter.

Główne pożywienie murzynów, tak w Zanzibarze, jak i w głębi, stanowią bulwy manjoku, czyli kasawy. Są one trujące w stanie świeżym, lecz wyciśnięte i zmielone na mąkę, dają pokarm nader pożywny. Widziałem całe stosy tych bulw, podobnych do wydłużonych, brudno-białych ziemniaków. Obok nich sprzedają owoce mango. Są ich dwa gatunki: większy i mniejszy; oba wyborne. Większe manga dochodzą wielkości małego melona, mniejsze, nie przenoszące objętością pięści dorosłego mężczyzny, są jeszcze bardziej poszukiwane. Skórę mają zielonawą, sprężystą, mięsz barwy bursztynu, w środku pestkę płaską, do brzoskwiniowej, z różnicą rozmiaru, podobną. W smaku ich tkwi jakby maleńki obrzask terpentynowy. Przyzwyczajwszy się jednak do tego obrzasku, nie można się ich odjeść, tak słodycz ich jest wykwinna, tak są soczyste, chłodne i rozplływające się w ustach. Spożyte, pozostawiają na języku i podniebieniu niezmiernie subtelny owocowy zapach, który nie pozwala o nich zapomnieć i na nowo żądzę ku nim rozbudza.

Oczy malarza, zakochanego w barwach, znalazłyby na owych targowiskach rozkosz prawdziwą. Co za różnaitość kolorów! Obok brunatnych, kosmatych kokosów, pełnych świeżej, słodkiej wody, objętej w śmietanowym pokrowcu, leżą potężne pęki jasno-żółtych bananów; tu połyskują fioletowe ciała oberżyn, tam kosze czerwonych, jak korale, pomidorów, nie większych od śliwek, o smaku wytwornym, kwasko-

watym; dalej na palmowej macie, cały stos złotych mandarynek, które gąbkowatą swą skórą zdają się wsiąkać światło słoneczne. Gdzie spojrzysz, wszędy coś nowego: to złoto-siwe ananasy, ogromne niemal jak głowy, a tanie tak, że za lichego miedziaka kilka ich dostać można; to zielone, łuskowate annony, pełne w środku jakby ubitej z cukrem śmietanki; to wreszcie olbrzymie owoce, zwane małym chlebem, w których ognistem wnętrzu siedzą czarne ziarnka, jak potępiency w piekle.

A teraz czołem przed tym owocem — to karika-papaja! W smaku podobna do manga, równie soczysta, również leciuchnym obrzaskiem terpentyny obdarzona, posiada ona przymiot, który ją czyni nieocenionym skarbem dla smakoszków. Oto zawiera tyle pepsyny, że po najobfitszym obiedzie dość zjeść jej kilka plasterków, by pozbyć się ociężałości, uczuć na nowo lekkość, swobodę i lube drgnienia budzącego się powtórnie apetytu. Nawet lekarze zwrócili już uwagę na ową szczęśliwą własność tych owoców, i wyciąg z nich sprzedaje się pod nazwą „papainy“ w większych aptekach. Zapewniano mnie wprawdzie, że ta apteczna papaina jest prawie zawsze fałszowana, choć nie wiem, dlaczegooby tak miało być, gdyż karika rośnie tu wszędzie, prawie jak u nas badyle.

Do najlepszych owoców należą także małe, zielone banany, tak delikatne, że w ustach zmieniają się niemal w płyn; dalej gojawy, jabłuszka z Cytery i liczne rodzaje orzechów. Cała dzielnica indyjska pachnie sandałem i gwoździakami, ale nad temi tar-

gowiskami unosi się inny zapach, trudny do określenia, bo złożony z całej gammy woni, nieco do zapachu soku owocowego podobny, nieco surowy, ale orzeźwiający, przesycony atomami lotnych olejków owocowych — i zarazem wanilji. Wciąga się go z rozkoszą nie tylko nozdrzami, jak perfumę, ale wyczuwa się go podniebieniem, językiem i ślinowemi gruczołami, które pod jego błogim wpływem poczynają działać pośpieszniej.

Gastronomiczny ten ustęp dedykuję pewnym kolegom moim po piórze, nie obojętnym na uciechy stołu, a czynię to tem skwapliwiej, że zbliżamy się do murzyńskiej części miasta, w której sprzedają wędzone i mocno nie pachnące poście rekina. Chaty murzyńskie otaczają, właściwie mówiąc, ze wszystkich stron miasto i stanowią jego obręb zewnętrzny. Stoją one ciasno, jedno przy drugim, czasem tylko poprzegradzane palmami, nie tworząc regularnych ulic, ale raczej wąskie, węzowate przejścia, w których łatwo można zabłądzić i w które niezbyt bezpiecznie jest się zapuszczać nawet w dzień biały, zwłaszcza samemu. Chaty te, lepione z chróstu i czerwonej gliny, zawsze okrągłe, mają stożkowate dachy, kryte trzcina. Gdy się między nie wejdzie, gdy naokół ujrzy się czarne skóry, ogolone zupełnie, lub pokryte wełnistym włosiem głowy, szerokie usta, płaskie nosy, błyszczące białka oczu, bransoletki na nogach, kolczyki w nozdrzach, ma się wrażenie jakiejś dzikiej wioski, położonej w głębi Afryki. Tu i ówdzie są wprowadzie i wśród tych chat kramy, w których sprzedają owoce, kokosy lub owinięty

w zielone liście areku i pomieszany z wapnem betel, ale kramarzami są także murzyni — nie więc nie maści tego czysto-afrykańskiego obrazu. Po uliczkach, przed chatami, raczkują małe murzynięta — i na widok Europejczyka, wsparłszy się na rączkach, zadzierają w górę swoje krągłe jak kule główki, wytrzeszczając oczy i przypatrując mu się ciekawie; między dziećmi uwijają się kozy, gromady kur rozgrzebują śmiecie; ziemia zasłana jest pestkami mango, obierzynami z małego chleba i zwiedłymi liśćmi bananów.

Słońce tworzy świetlisty pas na środku ulicy, podczas, gdy jej brzegi pograżone są w cieniach, padających od zwieszonych nad niskimi ścianami dachów. Światło jest tu jednakże inne, niż w środkowych dzielnicach. Tam odbija się ono od białych murów i oślepia oczy białością, tu, rozświecając czerwonawy grunt ulicy i rzeczy przeważnie brunatne, wydaje się samo czerwiejsze, mniej natężone, przez co i cienie nie są tak czarne i twarde. W tych cieniach, pod ścianami i w otworach chat siedzą stare murzynki, witając przechodnia słowem: „yambo!“ i wypluwając z bezzębnych warg czerwoną, jak krew, od betelu ślinę. Młode kobiety, z głowami uczesanymi w szeregi cienkich warkoczyków, tłuką w stępach kasawę, czasem wabią do wnętrza chaty — na co nie zważaj, o młody, pełen nadziei przechodniu! — śmieją się, rozwieszają chusty, nianczą dzieci, uganają się za kurami itp.

Mężczyźni śpią pod ścianami, palą tytoń, żują betel, śpiewają lub bębnią. Bębnią przedewszystkiem!

O każdej porze dnia i nocy w dzielnicach murzyńskich rozlega się to bębnienie, podobne do odgłosu, jaki powstaje przy uderzeniu kijem w wypróchniały pień drzewa. Jest to ulubiona ich muzyka. W dzień jednak mniej widzi się mężczyzn, zajęci są bowiem pracą w porcie i mieście. Murzyni Suahili są wogóle dość pracowici. Ci, którzy posiadają swoje własne pirogi — owe oryginalne czółna z pławicami, które widziałem przy wjeździe — wyjeżdżają na ryby; inni noszą ciężary, wyładowywują okręty, przewożą podróżnych do miasta, dźwigają kły słoniowe i przeróżne towary lub posługują po domach. W klimacie, w którym biały człowiek nie może pracować, wszelka grubsza praca na nich musi się opierać. Mają oni przytem dużo i ducha przedsiębiorczego. Arabowie z Mascatu podbili ich wprawdzie z łatwością, ale następnie, zapomocą nich, podbili cały przyległy Zanzibarowi brzeg afrykański i sięgnęli aż hen do głębi. Suahili najmuja się także chętnie do karawan, idących nad wielkie jeziora, do Kilima-Ndżaro lub jeszcze dalej. Stanley zawsze w Zanzibarze rekrutował swoich ludzi, którzy muszą być jednak dobrymi żołnierzami, skoro mógł przebojem przechodzić z nimi Afrykę od oceanu do oceanu. Arabowie nawrócili ich na mahometanizm, który przyjął się tu niezmiernie łatwo, przemawiał bowiem doskonale do zmysłowych natur mieszkańców, ale utracił swój fanatyczny charakter. Zresztą Suahili poprzestają na zachowaniu tylko pewnych jego przepisów, nie łamiąc sobie głowy nad jego duchem i różnicą od wiar innych. Gdy, po powrocie ze stałego lądu, mie-

szkałem czas jakiś z powodu febry w szpitalu francuskim, miałem okno, wychodzące wprost na ocean i codziem widywałem na płaskości całe gromady mężczyzn i kobiet, czyniących ablucje. Otóż zdaje mi się, że do tych ablucyj da się sprowadzić cały mahometanizm miejscowy, bo zresztą niema tu wspa- niałych meczetów, wysmukłe minarety nie strzelają nad miastem ku niebu i głosy muezinów nie wzy- wają wiernych na modlitwę, słowem: to, co wszędzie na Wschodzie stanowi główną jego cechę i przede- wszystkim rzuca się w oczy — nie istnieje tu wcale. Tolerancja religijna wielka, zawiści i rozdrażnień wyznaniowych żadnych, co się może tłumaczy i tem, że Zanzibar jest portem, w którym spotykają się ludzie wszelkich narodowości i wyznań. Można rzec, że ducha propagandy posiadają tylko wyznania chrześcijańskie. Tkwi on z natury rzeczy w misjach, ale i misje, nawet tak wzorowe i ewangeliczne jak francuskie, nie cieszą się tu znaczniejszą liczbą miej- scowych owieczek. Ograniczają się one głównie do wykupowania z niewoli dzieci, często z głębi łądu pochodzących, i do wychowania ich w zasadach ewangelji. Szerokiemu krzewieniu się chrześcijaństwa staje wielce na przeszkodzie wielożeństwo, leżące w odwiecznych obyczajach murzynów — i dziwna pozornie rzecz, bo właśnie owa wyrozumiałość reli- gijna czarnych, która w gruncie jest obojętnością.

Swoją drogą owa obojętność nie przeszkadza murzynowi, wyznającemu mahometanizm, uważać innych murzynów-fetyszystów za niższe istoty, prze- znaczone na łup i niewolę. Ale o tem pomówię ob-

szerniej przy opisywaniu misyj. Co do miejscowych Suahili, oczywiście uważali się oni za „wielki świat“ w stosunku do innych czarnych, których zresztą przewyższali zawsze cywilizacją. Jest to lud pojętny i fizycznie bardzo tęgi. Rzeźbiarz napatrzyłby się tu na torsy takie, jakich próżnoby szukał w Europie. Zwłaszcza, gdy się widzi tragarzy, niosących na dragach ogromne ciężary, gdy muskuły ich natężone wychodzą z pod skóry i połyskują od potu — możnaby mniemać, że się ma przed sobą posągi gladiatorów, z brunatnego marmuru wykute. Twarze ich nie są piękne: nosy spłaszczone, zęby tkwią pochyło, wskutek czego dolna część twarzy wysuwa się naprzód. Toż samo można powiedzieć i o kobietach. Ramiona mają przepyszne, plecy silnie osadzone w szerokich biodrach, ale... pojęcia afrykańskie o piękności biustu są wprost przeciwne europejskim, wszystkie zaś biusty są piękne na sposób afrykański. Mężczyźni goli głowy, kobiety splatają, jak wspomniałem, włosy w szeregi warkoczyków, leżących tuż przy skórze. Sztuka fryzjerska niewątpliwie stoi wyżej w Afryce, niż w Europie, trudno bowiem zrozumieć, jakim sposobem te włosy krótkie i kręcone, jak baranek na naszych zimowych czapkach, dają się układać w tak misterne uczesania. Prawie wszystkie kobiety mają przekłute nosy, mianowicie zaś prawe nozdrze, wszystkie noszą naszyjniki z zielonych paciorków, lub białych muszelek, na nogach bransolety z kości słoniowej, czasem z mosiężnego drutu. Ubranie ich składa się ze 'sztuki perkaliku, podwiązanej pod piersiami. Perkaliki te, wyrabiane przeważnie w In-

djach, drukowane są w kolorowe słońca, gwiazdy, ptaki, ryby, chrabąszcze, o barwach żywych, ale bardzo harmonijnych. Perfum damy zanzibarskie nie używają — a szkoda.

Ceramika nie kwitnie. Naczynia z czerwonej gliny pozbawione są wszelkich ozdób. Pierwotne narzędzia zwykłego użytku zostały zarzucone i zastąpione przez europejskie.

Obyczaje w Zanzibarze są portowe. To jedno słowo objaśnia wszystko — i daje się rozciągnąć na całą Afrykę.

Mało miałem styczności z Suahilisami, zamieszkałymi po wsiach. Mieszkańcy miasta są dosyć chciwi i dosyć zepsuci — w porównaniu jednak do egipskich Arabów mogą uchodzić za aniołów. Białym ludziom ulegają z musu i zapewne żywią głęboki podziw dla ich potęgi, bogactw, rozumu, ale za prawych swych panów uważają dotąd Arabów — i kto wie, czy murzyna nie boli to, że i ów pan musi dziś ulegać tym niepohamowanym białym parwenjuszom, którzy przybyli z za morza na żelaznych statkach, pełnych gromów.

Arab do dziś dnia ma urok w całej Afryce, wszędzie bowiem, aż do ostatnich czasów, on był „M'buana Kuba“, t. j. „panem wielkim“, a murzyni jego niewolnikami. Nie wiem, czy ci ostatni żywią jaką wdzięczność dla białego człowieka za to, że gdzie stąpił nogą, tam handel niewolnikami ustawał. Z czasem może tak będzie, ale ten czas jeszcze nie przyszedł. Jeszcze dziś poczucie prawowitości niewolnictwa w krwi afrykańskiej. Zresztą, murzynowi wydaje

się zapewne, że na zniesieniu handlu zyskał wprawdzie o tyle, że dziś sam już nie może popaść w niewolę, ale natomiast i stracił, bo dawniej mógł kupować lub zagarniać niewolników — dziś już nie może. W Zanzibarze handel istnieje tylko w tajemnicy, i napływ świeżych niewolników jest niewielki — dawniejsi jednak nie zostali usamowolnieni, i jest ich mnóstwo. Zwiedzając murzyńską część miasta, ani się domyślasz, widząc tych wszystkich ludzi zarówno czarnych, zarówno gołych, w jednakich chatach mieszkających, że tam jeden jest właścicielem, drugi rzeczą, że jeden ma wszystkie prawa, drugi żadnych. A jednak tak jest — murzyni posiadają także swoich murzynów, niewolnicy swoich niewolników — i wszyscy uważają ten stosunek za tak naturalny, jak i to, że jeden jest silniejszy, drugi słabszy, jeden wysoki, drugi maleńki.

O Arabach niema co i mówić. Całe ich gospodarstwo oparte jest na pracy niewolników, i bez nich pola gwoździkowe wyjałowiałyby prędko. Nie wypada także panu jeździć bez świty, więc na Mnazimoi i w samem mieście często można widzieć Araba z czerwono malowaną brodą i na czerwono malowanym osle, otoczonego całą czeredą biegnących pieszo niewolników. Jedni osłaniają go od słońca szerokimi liśćmi bananów, drudzy pędzą na przodzie krzycząc: „simille“! — i na ów okrzyk tłumy murzynów rozstępują się pokornie, jeszcze dotychczas, na dwie strony i zapewne ze zdumieniem widzą, że biały nie tylko nie ustępuje, ale podnosząc laskę, każe zbaczać całej kawalkacie, a mimo tego piorun nie spada na jego zuchwałą głowę!

Zwykle, gdy lud bardziej uspołeczniony pobije plemiona, na niższym szczeblu oświaty stojące, narzuca im nietylko swe zwyczaje, ale i język. W Zanzibarze stało się inaczej. Tu wspólnym językiem dla wszystkich jest język ki-suahili. Jego Zanzibarska Mość, dwór i Arabowie, tak z miasta, jak i ze wsi, nim tylko w codziennem życiu mówią. Używają go Hindusi; misjonarze układają w nim pieśni pobożne i miewają kazania. Europejczycy uczą się go dość łatwo. Jest to język dźwięczny, w którym każdą zgłoskę, niemal każdą literę słysząc wyraźnie. Misjonarze zapewniali mnie, że jest bardzo regularny i niema zupełnie wyjątków. To pewna, że posiada on niezwykłą żywotność, nietylko bowiem nie dał się wyprzeć w Zanzibarze arabszczyźnie, ale rozszerzył się na brzegach i w całej równikowej Afryce, jak francuski w Europie.

Od Bagamoyo aż do wielkich jezior i hen, dalej, wzdłuż dorzecza Kongo, można się nim mniej więcej wszędzie rozmówić. Zapewne pochodzi to i stąd, że różne miejscowości narzecza były z ki-suahili pokrewne.

Obecnie misje francuskie w Zanzibarze i Bagamoyo uczyniły ten język piśmiennym. Przełożono nań Ewangelię, powydawano gramatyki, a za czasu mego pobytu na wyspie, ojciec Le Roy kończył właśnie wielki słownik ki-suahili-francuski.

Oto, co mniej więcej da się pobieżnie o Zanzibarze powiedzieć. Gdy go sobie obecnie czasami przypominam, przedstawia mi się on jakby jakieś wielkie pandemonjum. Przed oczyma stają mi twarze

Europejczyków, Arabów, Indian i Murzynów; słyszę ów gwar różnojęzyczny; widzę gorączkowy ruch za chlebem i zyskiem. Wszystko się tam spotyka, ściera, mrowi i kupczy tak zawzięcie, jakby chciało sobie wieczność kupić. Życie kipi w tem mieście, jak na jarmarku. Widzę dotąd stosy kłów słoniowych, wory gwoździaków, kupy różnobarwnych owoców, lasy masztów w porcie i setki łodzi z wiosłami po bokach, poruszającemi się jak nogi owadów. To znów przypominają mi się leżące z drugiej strony miasta ciemiste gaje mangów i powiewne pióropusze kokosów — nad wszystkim zaś nieubłagane słońce i duszna, wilgotna atmosfera, w której czai się febra, wysysająca krew z ludzkich twarzy i znacząca je piętnem zmęczenia, tęsknoty, wielkiego smutku i bliskiej śmierci.

VIII.

Listy i znajomości. — Ptaki i białe krawaty. — Obiady. — Wspomnienia powieści Mérego. — Pani Jameson. — Tipu-Tib. — Redbreast. — Audjencja u sultana. — Sala. — Nieregularni.

Czas w Zanzibarze schodził mi na zwiedzaniu miasta i na zapoznawaniu się z różnemi osobami, do których miałem listy polecające. Kto przybywa po raz pierwszy w strony tak dalekie, jest w nich jak w lesie, że zaś chodziło mi o zebranie karawany i wyprawę na stały ląd, musiałem przeto szukać objaśnień i pomocy. Biała skóra jest wprawdzie w tych krajach nielada rekomendacją, ale i listy się przydadzą; byłem zaś opatrzonej w najrozmaitsze polecenia, mianowicie do konsula niemieckiego, von Redwitza, do Wissmanna w Bagamoyo, do misjonarzy od kardynała Lavigerie i do generalnego konsula angielskiego w Zanzibarze, pana Evan Smitha; od osób, zajmujących wysokie stanowiska w Anglii. Łatwość, z jaką te listy otrzymałem, wprawiła mię prosto w zdumienie, albowiem osób tych nie tylko nigdy w życiu poprzednio nie widziałem, ale nie byłem z nimi w żadnych stosunkach. Taka uprzejmość i dostępność są jednak dowodem wysokiej kultury, jaką nie wszędzie można znaleźć. Miło mi

też przy tej sposobności załączyć kilka słów podziękowania, komu należy, za ową uprzejmość i pomoc, która istotnie okazała się bardzo skuteczną.

Barona von Redwita poznałem w klubie niemieckim tegoż samego dnia, w którym przybyłem do Zanzibaru. Istnieje tu takie prawo, że kto przywozi ze sobą broń, musi złożyć świadectwo odpowiedniego konsulatu, że nie czyni tego w celach handlowych. Otóż, ponieważ w Zanzibarze niema wcale konsula ruskiego, p. Redwitz sam ofiarował się nam zastąpić go w tej sprawie. Był on poprzednio pierwszym drogmanem ambasady w Konstantynopolu i znał dobrze zacnych Groplerów, u których mieszkalem w czasie mego pobytu w tem mieście. Jest to człowiek, należący widocznie do wyższych sfer towarzyskich. Pobyt w Zanzibarze jest zapewne szczeblem w jego dyplomatycznej karierze, ale szczeblem, ani ze względu na klimat zbyt bezpiecznym, ani zbyt miłym. Wyspa jest uroczą dla podróżnika, który przyjeżdża na dwa lub trzy tygodnie, ale mieszkać na niej stale nie chciałbym za wszystkie kły słoniowe, które widziałem na komorze, choćby z dodatkiem wszystkich worów napełnionych gwoździkami.

Dom sir Evan Smitha otworzył mi następnego dnia swoje gościnne wrota. Ponieważ Zanzibar, na mocy zawartych przed paru laty układów między Anglią a Niemcami, dostał się ostatecznie pod protektorat angielski, przeto dom ten jest właściwą stolicą wyspy. Tu załatwiają się wszystkie sprawy polityczne i handlowe; stąd płyną reformy, które

czasem mają zbliżyć Zanzibar z resztą ucywilizowanego świata. Ważność domu można poznać w ruchu, jaki w rannych godzinach panuje w jego biurach. Widzisz tu tłum, złożony z Arabów, Europejczyków, Indjan i Suahilisów, między którymi kręcą się dziesiątki sług konsularnych, czarnych i brązowych, przybranych w barwę czerwoną. Interesa muszą tu iść wartko i posiadać niemałą wagę, konsul bowiem opowiadał mi później, że na same depesze wydaje miesięcznie jakąś nadzwyczajną sumę rupij. Prywatne mieszkanie p. Evan Smitha zaciekawiało mnie niepomrotnie, jako model, z którego można poznać, jak mieszkają i żyją zamożni Anglicy w Indjach i wogóle w krajach egzotycznych. Trochę wyglądało ono na muzeum, jeśli nie ściśle, to przeważnie etnograficzne. Na ścianach broń wszelkiego rodzaju: miejscowa i sprowadzona z głębi lądu, więc tarcze, łuki, włócznie i maczugi, poukładane w rozety; gdzieś niedługo głowy antylop, rogi bawole; niżej delikatne maty z różnych wysp, dywany perskie; po kątach pełno biblotów indyjskich i japońszczyzny, wszystko to zaś ożenione z solidnym komfortem angielskim, bez którego Anglik obyć się nigdzie nie może — i który najdziwsze kraje, najbardziej zapadłe kąty świata, zmienia mu w „home“, miły dla duszy. Jeśli prawdą jest, że Niemiec szuka ojczyzny tam, gdzie mu dobrze, to można powiedzieć, że Anglik zabiera ją wszędy ze sobą i dlatego wszędzie mu dobrze.

Sir Evan Smith, obecnie przeniesiony do Marokko, jest to gentleman w pełni sił i energji, w obejściu nader uprzejmy; uczynił on mi wrażenie czło-

wieka wszechstronnej kultury, światowego, lubiącego życie, a w niem nie tylko estetykę, ale nawet i wygodę. Następne odwiedziny utwierdziły mnie w tem mniemaniu, widywaliśmy się zaś dość często. Zaraz po pierwszej wizycie, ja i mój towarzysz zostaliśmy zaproszeni na obiad, o którym wspominam dlatego, że był on również, jak i mieszkanie pana Evan Smitha, połączeniem europejskiego wykwintu z czemś egzotycznym i w naszych klimatach nieznanem. Nad zupełnie ładną europejską zastawą stołową wznosiły się bukiety podzwrotnikowych kwiatów, nad niemi kołysały się indyjskie punkhas, to jest ogromne kwadratowe wachlarze, poruszane podczas obiadu przez Hindusów zapomocą sznurów, tak, jak druty do dzwonek.

Z zewnątrz dochodził nocny szum fal oceanu Indyjskiego. Sala jadalna była oświetloną podobnie, jak bywają oświecane jadalnie zamożnych ludzi w Paryżu lub Londynie, ale przez otwarte na taras okna widać było na niebie błyszczący Krzyż południowy. Służba indyjska, w malowniczych kostjumach z brodami malowanymi na purpurowo, podawała europejskie potrawy paniom w wyciętych sukniach i panom w białych krawatach. Mimowoli znów przypomina się anegdotka o owym Angliku, który, schroniwszy się przed krokodylem wprost z kąpieli na palmę, uczynił sobie z liści palmowych przedewszystkiem krawat i rękawiczki. Próżnobyś się też, człowiecze, spodziewał, że wybierając się do wnętrza Afryki, nie potrzebujesz brać ze sobą fraka. Owszem, potrzebujesz, bo nad Tanganayką, Ukerewe, w Uidjidjii lub

jakiej innej miejscowości przez piętnaście *j*, możesz znaleźć angielską „lady“, towarzyszącą mężowi, gdzie pieprz rośnie. Ona do obiadu ubierze się w wygorowaną suknię, on będzie cię częstował „pale-ale’m“, ubrany we frak i biały krawat. Anglicy są wszędzie jednacy.

Co do Zanzibaru jest on zapewne miejscem już tak wysoce ucywilizowanym, że za jakie lat dziesięć lub dwadzieścia mieszkańcy jego będą mówili na wzór Marsylczyków: „Gdyby Paryż miał swoją Mnazimoję, to byłby małym Zanzibarem“. — Być może! Paryż niema istotnie Mnazimoi, ale natomiast posiada klimat daleko odpowiedniejszy do ubierania się we frak i biały krawat. Zanzibar — i sztywny, wykrochmalony gors frakowej koszuli, są to pojęcia wyłączające się stanowczo. Dorożek tu niema, jechać z hotelu na obiad nie możesz; noc nie zmniejsza upału, co krok oblewasz się potem; musisz więc iść noga za nogą, inaczej bowiem twój śnieżny gors, twój mleczny krawat, twoje alabastrowe mankiety i twój kararyjski kołnierzyk zmieniają się w coś pośredniego między mokrym kompresem a jedną z takich ścierek, jakich majtkowie używają do zwilżania pokładu. Ale zato co za ulga, gdy się już siądzie do stołu, gdy punkhas, ciągnięte przez czerwono-brodych Hindusów, poczną kołysać się nad zastawą, roznosząc przesycony wonią zwrotnikowych kwiatów powiew i chłód, i gdy ocean przysyła od czasu do czasu swoje szerokie oddechy, jeśli nie zimne, to przynajmniej świeże. A obok tego — „przyznaj asindziej“ — że jest rzeczą wysoce oryginalną, sie-

dzień pod równikiem obok damy, przybranej w balową suknię, powtarzać w Zanzibarze komunały o najnowszym utworze Bourgeta lub Maupassanta, a po obiedzie wyjść z filiżanką czarnej kawy na taras, gubić wzrok w nieznanych konstelacjach, słuchać westchnień fal oceanu Indyjskiego i patrzeć, jak księżyc rozściela na nim złoty, drgający gościniec.

Lady Evan Smith jest to osoba nader muzykalna, więc po obiedzie mieliśmy i muzykę. Słyszałem Beethovena, granego bardzo dobrze, i Szopena, wcale nieźle, uwzględniając zwłaszcza to, że wykonywa go cudzoziemka. Nokturn lub cudny prelud szopenowski, ✓ rozlegający się wśród cichej nocy zwrotnikowej — cóż na to powiesz, poetyczna czytelniczko? Co do mnie, miałem wrażenie, że odgrywają się przede mną w rzeczywistości sceny z „Hewy“ lub „Wojny w Nizam“ Mérego — że jestem romantycznym „Elona-Brodzińskim“ — brakło tylko jakiego skromnego tuzina tygrysów, zagładających podczas deseru przez okna i dwóch lub trzech tuzinów dusicieli Thugów, wydobywających się na zakończenie uczty z pod podłogi.

Natomiast nie brakło hrabiny Oktawji. Ale co mówię! Osoba, która odgrywała jej rolę w tym zanzibarskim poemacie, jest wiele więcej zajmującą od bohaterki Mérego. Była nią pani Jameson, wdowa po owym panu Jamesonie, którego Stanley oskarżył o to, że po rozłączeniu się z majorem Berthelotem w Yambuya, zakupił młodą dziewczynę i dał ją do zjedzenia ludożercom Manyema, należącym do sławnego Tipu-Tiba. Opinia w Europie a zwłaszcza

w Anglii oburzyła się niezmiernie tym faktem; stanowisko pani Jameson stało się w towarzystwie angielskiem bardzo trudne, lecz młoda kobieta nie dała za wygraną. Przekonana, że mąż jej nie byłby zdolny do podobnego postępuku, postanowiła pojechać do Zanzibaru, sprowadzić Tipu-Tiba, odnaleźć Zanzibarytów, którzy byli z panem Jamesonem na wyprawie — i świadectwami ich dowieść oskarżycielowi, że rzucił potwarz na nieboszczyka.

Naturalnie, że dzienniki otoczyły natychmiast panią Jameson poetyczną legendą. Widziano ją we wnętrzu tajemniczego Czarnego lądu, na czele murzyńskiej karawany, z karabinem na plecach, wśród lwów, nosorożców, słoni i ludożerców. Lwy łapały dla niej gazy; słonie znosiły dla niej codzień śnieżne kwiaty lotosu, składając je okrągłym ruchem trąby u jej stóp; nosorożce przewracały dla jej rozrywki koziółki; zebry urządały *steeplechase*, a ludożercy, z Tipu-Tibem na czele, wołali na jej widok, gładząc się po żołądkach: *nyam! nyam!* — na znak, że nie widzieli w życiu nic równie smakowitego. Tak było w dziennikach i rozmaitych „telegramach własnych“. W rzeczywistości pani Jameson posiada wprawdzie dość wdzięku, by utrzymać pod trzonkiem wachlarza wszystkich władców afrykańskich, ale mogąc znaleźć w Zanzibarze wszelkie świadectwa, o jakie jej chodziło, nie potrzebowała osobiście udawać się do wnętrza Afryki. Była jedynie w Bagamoyo na obiedzie u misjonarzy, który miałem zaszczyt spożywać w jej towarzystwie.

Wszystko to dowodzi tylko, że chciała szukać

dowodów, nie zaś przygód, a nie zmniejsza ani jej odwagi, ani poświęcenia. Kobieta, która jedzie z Anglii do Zanzibaru, naraża się bowiem: po pierwsze, na dwudziestokilkodniową podróż statkiem; powtóre, na chorobę morską; po trzecie, na utopienie w czasie burzy, a co gorsza, na opalenie się od wiatrów morskich; po czwarte, na bajeczny upał; po piąte, na równie bajeczną transpirację; po szóste na moskity; a po siódme, ostatnie i najgorsze: na *la bourbouille*, to jest rodzaj wyrzutów, których wskutek transpiracji dostają wszyscy, a które pieką, jakby kto kłuł skórę rozpalonemi szpilkami.

W czasie swego pobytu w Zanzibarze wyprawiła jednak pani Jameson karawanę do wnętrza Afryki, celem odnalezienia Tipu-Tiba. Na czele tej wyprawy stanął brat nieboszczyka, o ile jednak słyszałem, nie zdołał dotrzeć aż do komyszy Tipu-Tiba. Wyprawił tylko do niego wysłańców z zaprosinami do Zanzibaru, na co Tipu-Tib, posiadający długi u Hindusów w Zanzibarze, odpowiedział, jak już wspomniałem:

— Niema głupich!

Jak ostatecznie skończyła się ta sprawa — nie wiem; podobno znaleziono w samym Zanzibarze czarnych żołnierzy Jamesona, którzy zaświadczyli, że kupno dziewczyny i oddanie jej ludożercom nigdy nie miały miejsca. Tegoż zdania są wszyscy Europejczycy w Zanzibarze, poczynawszy od urzędników angielskich, aż do katolickich misjonarzy francuskich, którzy ze wszystkich ludzi na świecie wiedzą najlepiej, co się w głębi Afryki dzieje.

Pani Jameson jest to młoda osoba wielce do Sary Bernhardt podobna, lubo daleko od niej drobniejsza. Nosi ona swą żałobę niewątpliwie bardzo szczerze, ale zarazem z pewną troskliwością, by jej była do twarzy. Należy też pani Jameson do wyższych sfer angielskiego towarzystwa, i jeżeli dystynkcja jej nie dochodzi aż do zupełnej doskonałości, która jest zarazem zupełną prostotą, przypisać to raczej należy pewnej ogólno-angielskiej sztywności.

Uprzejmy p. Evan Smith zawiózł mnie w kilka dni po mojem przybyciu do misji angielskiej, głównie w tym celu, bym po drodze mógł zobaczyć wspaniałą roślinność wyspy. Zwiedzaliśmy również w mniejszej lub większej kompanji statki wojenne angielskie, stojące w porcie zanzibarskim: „Marathon“ i „Redbreast“. Pierwszy zwłaszcza zaciekał mnie, jako zbiór wszystkich najnowszych ulepszeń, pomysłów i wynalazków wojennych. Jest to straszliwa maszyna, posiadająca wszelkiego rodzaju armaty, poczynwszy od najcięższych, z którychby niemal skały kruszyć można, aż do pistoletowych i torpedowych. Statek dzieli się na trzynaście kompartymentów i jest prawie nie do zatopienia — chcąc go bowiem pograżyć, trzeba rozbić wszystkie kompartymenty. Jeśli choć jeden ocaleje, statek trzyma się na powierzchni morza.

Co do „Redbreasta“, ofiarowano nam go na przejazd do Bagamoyo. Była to wielka grzeczność, inaczej bowiem musielibyśmy jechać tam żaglową feluką arabską, w ciągu dwudziestu czterech godzin, wśród robactwa, w niesłychanym brudzie i zaduchu,

podczas gdy „Redbreast“ zrobił tę drogę w niespełna czterech godzinach.

Dnia 20 lutego konsul zaprosił mnie na uroczystą audjencję do sułtana. O dziewiątej z rana przyszedłem, wraz z towarzyszem moim, do konsulat, gdzie znalazłem i samego sir Evan Smitha i jego sekretarzy, przybranych w paradne mundury. Dwóch kapitanów z „Marathonu“ i „Redbreasta“ przyłączyło się do nas, i w chwilę później ruszyliśmy parami, poprzedzani przez sześciu sług konsularnych, przybranych czerwono. Po drodze gromady czarnych gapiły się na świetne mundury angielskie. Na placu zastaliśmy tłumy, lecz mogliśmy postępować swobodnie szerokim szpalerem, utworzonym przez zbrojnych murzynów, stojących w dwa szeregi z każdej strony. Idący ze mną konsul objaśnił mnie, że to jest wojsko nieregularne sułtana — i rzeczywiście nie podobnie nieregularnego nie widziałem nigdy w życiu. Stało tam około tysiąca drapichrustów, przypominających, z różnicą skóry, piechotę Falstaffa, zatem małych i wielkich, starych i młodych, krzywych i prostych, ubranych i półnagich; żadnych hełmów, kapeluszy i czapek; jedni mieli łby wygolone, drudzy strzechy czarnych, wełnistych lub spalonych na czerwono od wapna włosów. Jedni dźwigali zardzewiałe karabiny skałkowe, drudzy szable, trzeci łuki i tarcze, inni maczugi, inni znów długie strzelby arabskie, niektórzy stare pistolety bez kurków. Byli między nimi Suahili, Somalisy, Sudańczycy, Zulusi, Usaramo — łąd względem ubiorów, polichromja, nie do opisania. Gdzie niegdzie błyszczą białe perkale, tam

znów widać tkaniny jasno-czerwone, purpurowe i znów białe, dalej żółte, błękitne, pasiaste, wszystko nie-tylko jasne od słońca, ale niemal gorejące. Nad tą orgią kolorów twarze jakby z ciemnych metali powykuwane, głowy nieruchome, podniesione do góry, jak na żołnierzy przystało — tylko w miarę, jak się posuwamy, oczy zwracają się, zezując, ku nam lub za nami.

Idziemy dalej. A oto już wojsko regularne, uzbrojone w karabiny z bagnetami, których ostrza płoną w słonecznym blasku, jak świece. Ci przybrani w ciemne mundury, ale boso, wyglądają poprostu, jak kominiarze. Ogłuszająca muzyka poczyną grać: „Rule Britannia“ — konsul odkrywa głowę, regularni prezentują broń — i wchodzimy do pałacu.

W sieni mnóstwo wojowników arabskich, zbrojnych w bogatą, wysadzaną broń i kilkunastu oficerów indyjskich z włosami, spadającymi aż na kołnierze czerwonych mundurów. Wstępujemy na białe lakierowane schody. Na wierzchu ich dostrzegam człowieka średnich lat, o żółtawej, nieco popstrzonej ospą cerze, przybranego w niebieski zawój z piórem, niebieski pas i czarny żupan, z pod którego wygląda biała koszula, to sam Jegomość — Said-Ali, sułtan Zanzibaru z przyległościami.

Na twarzy jego widać czysto-orientalny uśmiech, zarazem łagodny, smutny i nieco fałszywy. Powitawszy każdego kordjalnem „shakehand“, wprowadza on nas do obszernej, prostokątnej sali, w której stoją, ustawiane pod ścianami, najpospolitsze europejskie fotele. Na jednym z nich, wyższym od innych i wy-

złożonym, zasiada sułtan, po prawicy jego konsul, jako przedstawiciel „Jej Majestatu“, za konsulem my dwaj, jako goście, za nami kapitanowie okrętów i sekretarze konsulatu, resztę zaś miejsc zajmują Arabowie, krewni sułtana, których szereg rozpoczyna domniemany następca tronu.

Tłumacz o twarzy czarnej i szelmowskiej ułatwia rozmowę — i wysłuchawszy z niskim ukłonem pytania sułtana, powtarza je równie pochylony, temu z gości, do którego było skierowane. Naturalnie, że na takiej publicznej audjencji rozmowa musi być tego rodzaju, że dowcip metody Ollendorfa w zupełności do niej wystarcza:

— Jego Wysokość pyta Waszej miłości, jak panu podoba się Zanzibar?

— Powiedz Jego Wysokości, że Zanzibar podoba mi się bardzo.

— Jego Wysokość cieszy się mocno, że Zanzibar podoba się panu bardzo.

Następują ukłony, i kolej przychodzi na następnego.

Natomiast przypatrywać się można do woli, i jest czemu. Spostrzegłem np. że sułtan ma za pasem przepyszny zakrzywiony nóż indyjski, na palcach brylanty, wielkości laskowych orzechów, ale jest boso. Pod stopami miał tylko rodzaj drewnianych podszew, przytwierdzonych skórzanymi paskami do nogi. Strój jego nie różnił się zresztą niczem od stroju następcy tronu, krewnych lub notablów. Wszyscy mieli niebieskie zawoje, czarne żupany na białych

koszulach i za pasem także same, lubo może mniej bogate, krzywe indyjskie noże.

Said-Ali ma od trzydziestu pięciu do czterdziestu pięciu lat wieku, twarz bardzo inteligentną, brodę rzadką i krótką, niefarbowaną; przypuszczam, że musiał być urodzony z Hinduski, jest bowiem bardzo podobny do Indjanina. Oczy ma niezrównanej piękności, w nich zaś uderzający, mimo uśmiechniętej twarzy, wyraz smutku. W Zanzibarze wiadomą jest rzeczą, że stosunki jego z konsulem angielskim są jak najlepsze i nawet na osobistej, obustronnej przyjaźni oparte, ale przypuszczam, że mimo tych stosunków, sułtanowi może i ciąży protektorat. Musi on pamiętać, że poprzednik jego, Said-Borgasz, był jeszcze niezawisłym władcą — on zaś, w gruncie rzeczy, jest tylko podwładnym konsula. O Anglii mówią, że ma ona żelazną rękę, przybraną w aksamitną rękawiczkę. Ta ręka nie obdziera nigdy z zewnętrznego blasku, gładzi, sypie dary, ale swoją drogą w porcie zanzibarskim stoją na odległość strzału dwa pancerniki: straszny „Marathon“ i „Red-breast“, gotowe w danym razie poprzeć grzeczne słówko konsula ogniem i żelazem.

Pod koniec audjencji wniesiono kawę w ślicznych indyjskich filiżankach i sorbety. Przez ten czas przypatrywałem się notablom arabskim. Siedzieli oni wzdłuż dwóch ścian, nieruchomi, jak posągi albo jak figuranci w teatrze. Byli to po większej części ludzie starzy. Zwyczaj farbowania zarostu twarzy, jest tu widocznie powszechny, większość ich bowiem miała długie, spadające aż na piersi brody wszystkich od-

cieniów czerwonej barwy, poczynawszy od cynobru aż do purpury. Benjamin Constant straciłby z kretesem głowę na widok tych postaci. Widziałem twarze wprost przepyszne, przypominające patriarchów, proroków, arcykapłanów lub z powagi — senatorów rzymskich. Kto chce studjować malowniczy Wschód, niech raczej przyjeżdża tu, niż do Egiptu.

Na nieszczęście, dekoracja niezupełnie odpowiada osobom. Sala ma wprawdzie charakter wschodni, ściany jej bowiem pomalowane są w wielkie lazurowe tablice, na których widać wypisane złotymi literami wersety z koranu, ale jest mnóstwo szczegółów, psujących ten charakter. O fotelach, krytych czerwonym utrechttem, już wspominałem. Prócz nich, znajduje się tu co najmniej ze sześćdziesiąt zegarów, poustawianych w niszach, między owymi lazurowymi tablicami. Poprostu trudno się wstrzymać od śmiechu, gdy w chwilach, w których rozmowa milknie, na wszystkie strony rozlega się: „tik — tak! tik — tak!” — zupełnie jak w sklepie zegarmistrza. Tłumaczono mi tę nadzwyczajną ilość zegarów tem, że każdy nowomianowany do Zanzibaru konsul wpada na pomysł przywiezienia sułtanowi w podarunku zegaru, mniemając przytem, że tak doskonały pomysł jemu pierwszemu przyszedł do głowy.

Że zaś konsulowie zmieniają się z powodu klimatu często, więc liczba zegarów zwiększa się z każdym rokiem i wkrótce przewyższy zapewne ilość mieszkańców wyspy.

Po skończonej audjencji wyszliśmy równie ceremonjalnie z gmachu, ja jeden zostałem czas jakiś,

mimo niesłychanego upału, na placu, by raz jeszcze spojrzeć na „nieregularnych“, którzy, złamawszy szeregi, wracali w malowniczych grupach do domów — i na patriarchalnych notablów, zstępujących z pałacowych schodów z powagą egipskich kapłanów w „Aidzie“. Co właśnie jest przyjemnego w takich widowiskach, to to, że wydają się one jakimś baletem lub operą a są rzeczywistością. Człowiek przypomina sobie, że coś podobnego widział, ale tamto było złudzeniem, to jest życiem realnem — więc mówi sobie: jednak takie rzeczy istnieją, jednak świat rzeczywiście nie jest wszędzie taki szary, bezbarwny i sztywny, jak w naszej Europie. I ta fantazja w rzeczywistości, ta jej malowniczość, daje prawdziwe estetyczne zadowolenie.



IX.

Sewa-Hadzi. — Misja Braci Białych. — Dzieci. — Misja Główna. —
Mgr. de Courmont i O. de Roy. — Rady i narady. — Klimat
i jego skutki.

Następnego dnia odwiedził mnie Sewa-Hadzi, miejscowy kupiec i bogacz indyjski. Słyszając, że zamierzamy udać się na stały ląd, przyszedł z zapytaniem, czy nie zechcemy użyć jego pośrednictwa do zebrania karawany. Kto przyjeżdża do Zanzibaru z zamiarem wyprawy w głąb Afryki, musi w sprawie karawany udać się do miejscowych Indjan, inaczej nie da sobie rady lub zbierze hałastrę rzezimieszków, której połowa nie stawia się, mimo zadatku, gdy przyjdzie czas ruszyć, a następnie pozostała reszta porozkrada perły i tkaniny przy pierwszej lepszej sposobności. Używając pośrednictwa Hindusa, spisuje się z nim kontrakt w konsulacie, a jakkolwiek nie unika się i w takim razie tysiąca kłopotów, mitręg i szkód, jest przynajmniej w danym wypadku kogo pociągnąć do odpowiedzialności. Sewa-Hadzi, do wielu mniej więcej jawnych swych zawodów i zajęć, łączy i zawód dostawcy „pagazich“ dla podróżników. Stanley zawsze używał jego posług i kilkakrotnie o nim wspomina; z nim również układał się Mayer, idąc

do Kilim a-Ndżaro — dlatego też patrzyłem z zajęciem na tak sławną osobę. Jest to człowiek lat około pięćdziesięciu, wysoki, czarnobrody, o złotej cerze i rozumnych oczach. Stojem przypomina wszystkich bogatych Indian lub Arabów. Bogaty ma być bardzo. Posiada domy handlowe w Zanzibarze i Bagamoyo, które załatwiają wszelkiego rodzaju sprawy, nawet podobno takie, któreby w Europie doprowadziły do pewnych zawikłań z kodeksem. Sewa-Hadži jest jednak ogólnie dobrze widziany dla swej hojności i innych przymiotów, które mu przysły razem z pieniędzmi.

Rozmowa nasza krótko zresztą trwała, pokazało się bowiem, że Sewa nie zna żadnego europejskiego języka. Na moje zapytanie, czy mówi po angielsku, odpowiedział: „I speak suahili“. Wobec tego mogliśmy się porozumiewać w dalszym ciągu tylko zapomocą pantomimy. Prócz tego, nie chciałem zawierać z nim układu, raz z powodu, że skromna wycieczka nasza nie przedstawiałaby dla niego interesu, a powtórę, że mając polecenia do misjonarzy, spodziewałem się, że z ich pomocą zbiorę karawanę i taniej i złożoną z ludzi uczciwszych. Jakoż nadzieja ta nie zawiodła mnie wcale.

Do misjonarzy udałem się wkrótce po przybyciu. Naprzód poszedłem z listem kardynała Lavigerie do Białych Braci, których misja leży nad morzem, nieco w bok ulicy, prowadzącej na Mnazimoję. Zastałem w niej trzech księży: przełożonego, którego nazwiska nie mogę w swych notatnikach odszukać, ojca Ruby i młodego braciszka, rodem z Alzacji. Dom i ludzie uczynili na mnie dobre wrażenie. Pa-

nuje tam ubóstwo i pogoda. Sam budynek, z zewnątrz pospolity, różni się od innych domów arabskich tylko tem, że przy bramie ma dzwonek z rekojeścią krzyża. Zato w środku jest coś z klasztornego zacisza. Podwórze jest zarazem ogrodem. Wchodząc, widzi się w głębi kraciastą altanę, owiniętą przez pnące się rośliny, z pośród których wychyla się posążek Matki Boskiej. Niżej kapią kwiaty, podobne do szczodrzeńca i groszków, lecz przeważnie purpurowe, a między niemi kręcą się zielone, swojskie papużki. Tuż za altaną parkan, całkiem pokryty bisiosem kwiecica, nad którym strzelają w górę palmy. Podwórze zbiega aż do brzegu, pełne młodych drzew mangowych i innych, w których cieniu drgają pasma słoneczne, nakoniec wzrok gubi się w przestworzu morza, najczęściej tak gładkiem, że gdy obok ogrodu przepływa murzyn w łodzi, to widać drugą łódź i drugiego murzyna w toni.

W godzinach, w których dzieci nie hałasują, ogród zalewa milczenie, tylko słońce chodzi, patrzy i piecze. Po południu między grzędami i wśród drzew snują się białe habity ojców i rozlegają się śmiechy małych murzynków, ale i wówczas nał domem i nad ogrodem, zdaje się unosić słowo: *Pax*. Tam w mieście wre życie handlowe; Arabowie, Hindusi, Niemcy, Anglicy, Murzyni sprzedają, kupują, walczą o zysk i zarobek — tu fala tego rodzaju trosk i zabiegów rozbija się u proga, świat inny, w którym o inne rzeczy chodzi, aż dziwny przez to wyzwolenie się od życiowej mordęgi, spokojny bardzo.

Misjonarze zajmują się wychowaniem w zasa-

dach chrystjanizmu dzieci murzyńskich, przez które mają nadzieję rozszerzyć z czasem Ewangelię po całej Afryce. Ale że misja jest uboga i niedawno założona, przeto i dzieci niewiele, wszystkiego kilkunastu chłopców, po największej części wykupionych z niewoli a należących do najrozmaitszych szczepów, zamieszkujących Czarny ląd. Są tu więc przedstawiciele narodu Suahili, są malcy z ziemi Uzaramo, Udoe, Uzagara, Mafiti, Unyore i z Ugandy. Wykładają im zasady religii w języku ki-suahili, jako rozpowszechnionym w całej wschodniej Afryce, aż do wielkich Jezior i górnego Kongo. Prócz tego, uczą się w ogrodzie uprawy pożytecznych roślin i sadzenia owocodajnych drzew. Kiedyś, gdy dorosną, malcy ci zostaną odesłani każdy w swoje strony, by tam sadzili broniące od głodu drzewa i opowiadali o Bogu, który kocha i czarnych.

Przełożony pokazał nam dom, szkołę, mieszkania chłopców i kapliczkę. Wszystko to jest, jak już wspomniałem, bardzo ubogie, ale wesołe. Kapliczka zajmuje najobszerniejszą izbę na pierwszym piętrze domu. W głębi ma ołtarz, ubrany w kwiaty, na przodzie organki, a raczej melodykon, z surowego drzewa, nie większy od średniej skrzynki. Byłem kiedyś później w tej kapliczce podczas niesporów — i dziwne wrażenie czyniły na mnie te małe czarne figurki, wyciągające cieniutkimi dziecinnymi głosikami: *Ave Maria*, które powtarzało się co chwila, w pieśni, śpiewanej zresztą w języku ki-suahili. Istnieje cała, niezmiernie miła, kategorja wrażień, będąca przypomnieniem i jakby odnalezieniem tego, czegośmy

zaznali i z czemeśmy się żyli od lat dziecinnych. Otóż z podobnego rodzaju przypomnieniem spotkałem się w tej kapliczce. Pamiętałem, że to Zanzibar, że o kilkaset kroków rozciąga się Ocean Indyjski, a tysiące mil przedziela mnie od domowych progów, a jednak, słuchając tej pieśni, chociaż śpiewanej przez czarnych malców i w nieznanym języku, miałem złudzenie, że jestem gdzieś między swymi, w jakiejś parafialnej kapliczce, w której wiejskie dzieci śpiewają: „Anioł Pański“. Im się jest dalej, tem takie złudzenia więcej wzruszają. Odnajdywałem je potem co misja.

Po południu tego samego dnia, ojciec Ruby zaprowadził nas, z polecenia przełożonego, do Msgra de Courmont, wikariusza apostolskiego Zangwebaru, Mieszka on w drugiej misji, położonej w środku miasta, w owej, podobnej do labiryntu dzielnicy indyjskiej, którą już opisywałem w poprzednich listach. Ta misja, znacznie obszerniejsza, założona została o ile mi wiadomo, około 1860 r. Ma ona więcej wychowanców, między innymi wielu Zanzibarytów, którzy wzrosli pod ich opieką, potem wyszli z niej i zakładali w mieście chrześcijańskie rodziny. Ci stanowią teraz parafię, która powiększa się z każdym rokiem. Kościół tutejszy jest głównym i nie licząc dwóch kapliczek, jedynym kościołem katolickim w Zanzibarze. Co niedziela świątynię zapełnia owczarnia o wszelkich barwach skóry. Przychodzą tu biali, nawet innowiercy. Indjanie, Goaneze, Indjanki, o cerze złotej, upowite w białe muśliny i złotogłów; malgasze, czyli wychodźcy z Madagaskaru, o cerze

brunatnej, Zanzibaryci i negrowie zupełnie czarni. Prócz mszy, całe nabożeństwo odprawia się w języku ki-suahili. Kazania bywają podwójne: ki-suahili i angielskie.

Brunatni i czarni, tak mężczyźni, jak i kobiety, modlą się na książkach. Kto wychodzi z misji, ten umie czytać; książki do nabożeństwa drukuje także misja, która posiada własną prasę i uzdolnionych czarnych zecerów. Do innych zasług misji policzyć należy i tę, że dźwięczny i bogaty język ki-suahili uczyniła piśmiennym. Istnieje kilka jego metod i gramatyk, napisanych przez misjonarzy, a za mego pobytu w Zanzibarze, uczony ojciec Le Roy kończył właśnie drukować pod kierunkiem Msgra de Courmont, wielki słownik ki-suahili-francuski. Wydawnictwo to musiało już wyjść do tej pory.

Msgr de Courmont pochodzi ze starej szlacheckiej rodziny francuskiej. Jest to człowiek w sile wieku, o twarzy wytwornej, na której wszelako klimat wycisnął już swoje piętno. Przyjął on nas bardzo uprzejmie i, dowiedziawszy się, iż zamierzamy uczynić wyprawę w głąb lądu, przyrzekł natychmiast pomoc wielkiej misji w Bagamoyo. Wówczas też usłyszałem po raz pierwszy o bracie Oskarze z Bagamoyo. Msgr de Courmont zapewnił nas, że brat Oskar urządzi nam całą karawanę i wszystko, co potrzeba, jak tylko wróci z Mombassa, dokąd w sprawach misji był wysłany. Mnie, którym wiedział już o olbrzymich trudnościach, z jakimi ma się do czynienia, przy urządzaniu karawany, zdziwiło nieco to, że Msgr mówi o tej sprawie, jak o rzeczy błażej

i łatwej, począłem się więc z pewnym niepokojem wypytywać, czy istotnie brat Oskar będzie mógł dać z tem radę. Zauważyłem jednak, że moje wątpliwości wywołały tylko uśmiech, szczególnie zaś wstąpiła we mnie otucha, gdy ojciec Le Roy zawołał wesoło:

— Brat Oskar! Ależ on przez całe życie nic innego nie robi!

Jakoż z dalszej rozmowy pokazało się, że sam Sewa-Hadzi jest pod względem przygotowania karawan tylko niedoświadczonym mydłkiem w porównaniu z bratem Oskarem. Rozrzucone w głębi lądu a zostające pod bezpośrednią władzą Msgra de Courmont misje, potrzebują, by im od czasu do czasu przesyłano zapasy, oraz tkaniny i perły, zapomocą których wykupują dzieci z niewoli i nabywają żywność. Towary te muszą być wysyłane zapomocą karawan, które czasem miesiącami całemi muszą iść na miejsce przeznaczenia. Otóż urządzaniem ich zajmuje się „frère Oskar“, ni mniej, ni więcej, tylko od lat dwudziestu siedmiu. Wysyła on je do Mrogoro, do Mandery, do Longa, do Mhonda, do Tunungo, i do innych misyj, których nazwisk nie pamiętam, leżących bądź to bardziej na północ w okolicach Mombassy, bądź bardziej w głębi, ku Wielkim Jeziorom. Czasem sam staje na czele tych wypraw, czasem powierza je doświadczonym przewodnikom. On także urządza karawany dla Msgra de Courmont, gdy ten w towarzystwie ojca Le Roy, wybiera się na objazdy swej diecezji, mówiąc nawiasem, jednej z największych na świecie — lub na wyszukanie wśród dziczy no-

wych miejsc, podatnych do założenia misji. Imię brata Oskara, głośne też jest głęboko w Afryce; nikt nie zna tak dobrze murzynów, nikt, z wyjątkiem ojca Stefana, przełożonego z Bagamoyo, nie mówi tyloma narzeczaniami murzyńskimi; nikt niema takiego doświadczenia i takiej wprawy w postępowaniu z czarnymi; nikt nie umie ich tak sobie jednać, rozweselać i zyskiwać ich przywiązania.

Oczywiście, że wobec tego Msgr de Courmont i ojciec Le Roy mieli prawo uśmiechać się, słysząc moje powątpiewania, czy brat Oskar da sobie radę i potrafi złożyć dla nas karawanę. Co do mnie, wpadłem w wyśmienity humor, albowiem nie potrzebowałem się obawiać, że będę złupiony przez Sewa-Hadzę, i nabrałem pewności, że naprawdę pójdę w głąb stałego lądu. Znaleźliśmy też w księdzu Le Roy doskonałego doradcę. Pokazało się, że zna on Afrykę nie tylko jako misjonarz, ale jako myśliwy i uczony geograf. W kilka dni później uczynił dla mnie mapkę, którą zachowuję jako pamiątkę. Rzeki, góry, wzgórza, większe osady murzyńskie i misje są w niej wskazane szczegółowo, a wyraz *gibier*, rozszany gęsto i podkreślony w różnych miejscach kolorowym ołówkiem, wskazuje, gdzie można znaleźć najlepsze polowania. Widywalismy się potem dość często, bo albo my przychodziliśmy do misji po informację, albo ksiądz Le Roy przynosił nam wiadomość o bracie Oskarze — i była to dla nas jedna z najmielszych znajomości, jakie uczyniliśmy w tej podróży. Wyobraźcie sobie człowieka młodego, żywego jak iskra, który, gdy wychodzi nawet na przechadzkę

po Mnazimoi, to nie idzie, ale pędzi, jakby chodziło o jakąś niecierpiącą zwłoki sprawę; który załatwia codziennie tysiące czynności, naucza, odprawia nabożeństwo, drukuje słownik, rozpisuje listy i który przytem odznacza się zarazem wysokiem wykształceniem i prawie dziecinną wesołością. Nieśmiejącego się księdza Le Roy widziałem tylko na ambonie i przy mszy, ale nawet i wówczas twarz jego zostaje zupełnie jasna. Febra wypisała mu na czole *adsum* — ale w jego wesołości niema nic gorączkowego. Jego śmiech jest wylaniem się nazewnątrz radości i pogody człowieka przeświadczonego, że obrał najlepszą częśćkę. Ciekawy typ psychiczny, nawet dla tych, którzy nie mogą iść i nie pójść podobną drogą.

Jest to przytem jeszcze i niepospolity talent pisarski. Gdym, po powrocie ze stałego lądu, chorował na febrę, ksiądz Le Roy przyniósł mi swój opis podróży, jaką wraz z Monsignorem odbyli w górę rzeki Tani, wśród dziczy zupełnie nieochajnej, w tym celu, aby upatrzeć miejsce na misję. Otóż podróży, pisanej tak barwnie, dającej czytelnikowi tak wypukły obraz kraju i ludzi, nie czytałem dawno, choć czytam mniej więcej wszystko, co się pisze o krajach mało znanych. Krajobrazy były robione tak, jakby je kreślił Loti, tylko bez maniery Lotiego i bez jego monotonji; miejscami bowiem w opisie widoków i ludzi tryskał prawdziwy humor. Pomyślałem wówczas: ile ten ksiądz ma farb na palecie, a zarazem jak sobie mało z tego robi!

Żałowaliśmy tylko z towarzyszem, żeśmy nie trafili na chwilę objazdu diecezjalnego Msgra de

Courmont, bo w takim razie byłaby i karawana gotowa i towarzysze wyborni. Ktoby zaś przypuszczał, że takie objazdy nie sięgają daleko, tenby się grubo mylił. Sięgają one czasem do krain zgoła jeszcze nieziedzanych a docierają często dalej, niż rozmaici znani podróżnicy, którzy potem piszą książki o swych wyprawach i zyskują sławę nieustraszonych badaczy.

X.

Książd Le Roy. — Przeszkody. — Misje w głębi lądu. — Przykrości. — Wycieczka z księdzem Ruby. — Dzieci. — Wioski w głębi wyspy. — Spoczynek. — Kąpiel i śniadanie. — Godziny upału. — Wizyta u Araba. — Etykieta arabska. — Powrót. — Dobre wieści.

Książd Le Roy spodziewał się lada dzień przyjazdu brata Oskara, tymczasem upłynął tydzień bez żadnej o nim wieści. Przypuszczano, że z Mombassa pojechał na wyspę Pemba, leżącą na północ od Zanzibaru. Począłem się nieco niecierpliwić, gdyż trzeba było czekać bezczynnie. Mogliśmy, co najwięcej, przygotowywać zapasy żywności do wyprawy, ale ponieważ termin jej nie był wiadomy, należało się i od tego powstrzymać, by nie obciążać się zbyt dużą ilością pak i żywnością, która, nagromadzona przedwcześnie mogła się łatwo popsuć. Msgr de Courmont obiecał nam wreszcie, że nie czekając na powrót brata Oskara, wyśle polecenie do Bagamoyo, by misjonarze poczęli zwolna umawiać ludzi i nagromadzać, co potrzeba, do wyprawy. W tem oczekiwaniu czas schodził nam na zwiedzaniu miasta, na przechadzkach po Mnazi-

moi, na rozmowach wieczornych z podróżnikami, mieszkającymi w tym samym hotelu, wreszcie na odwiedzinach konsula, niektórych znajomych Niemców, Msgra de Courmont i Braci Białych. Ojciec Le Roy wpadał też do nas często, do hotelu, na narady o kierunku wyprawy lub z wiadomościami z Bagamoyo. Między innymi przyniósł nam nowinę, że w okolicach Bagamoyo pojawił się lew, który nocami podchodzi pod misję, jak również pod leżące o kilometr dalej miasto, i porywa z chlewów kozy i osły. Opowiadał nam, że oficerowie niemieccy uczynili nawet na niego zasadzkę i przesiedzieli całą noc przy obórze, w której umyślnie zostawiono osła i niezamknięte drzwi. Nie widzieli nic, nie słyszeli nic, ale nazajutrz nie znaleźli i osła a raczej znaleźli niedogryzione jego kości, o kilkaset metrów dalej od obórki. Ponieważ lwy na pobrzeżu są dosyć rzadkie, wypadkiem tym zajmował się cały Zanzibar. Później dowiedziałem się, że ów bagamojski rozbójnik nie dał się wprowadzić zastrzelić, ale go jakimś sposobem otruto, jeszcze przed przyjazdem naszym do Bagamoyo.

Ksiądz Le Roy dużo nam opowiadał o okolicach tego miasta, również o plemionach murzyńskich, które zamieszkują pobrzeże, o sprawach kolonizacji niemieckiej, a także o florze i faunie kraju. W okolicach samego Bagamoyo nie obiecywał nam ksiądz Le Roy dobrych polowań, twierdził wszelako, że byle posunąć się o kilka dni w głąb, można znaleźć, czego dusza myśliwska zapragnie. Co do mnie, gdybym był tak zręcznym myśliwym, jak jestem zapalonym, całe setki wdów hipopotamowych musiałyby przy-

odziać żałobę po swoich hipopotamach; ale choć nie podobnego nie mogło się zdarzyć, powiedziałem sobie, że do zbioru pudeł amerykańskich i europejskich nie zawadzi dodać kilkanaście afrykańskich, a ksiądz Le Roy opowiadał właśnie, że o kilka godzin drogi za Bagamoyo zobaczymy w rzece Kingani niejednego i nie tuzin, ale całe stada hipopotamów. Wyznaję, że uważając to zwierzę za dość rzadkie, nie śmiałem uszom wierzyć, przekonałem się jednak później, że nie było w tej obietnicy najmniejszej przesady. Wszelkiej innej zwierzyny jest także w pewnych miejscowościach, tuż za rzeką Kingani, wielki dostatek. Na nieszczęście, jeśli łatwo tam upolować antylopę, girafę albo hipopotama, najłatwiej jednak febrę, o czem później przyjdzie mi obszerniej pisać.

Dużo także mówiliśmy z księdzem Le Roy o celu naszej wyprawy. Wspomniałem już, że pierwotnym moim zamiarem było iść do Kilima-Ndżaro. Dla czytelników, mniej obznajomionych z geografją, objaśniam, że jest to góra, położona w kraju Massai, na granicy posiadłości niemieckich i angielskich, mniej więcej o miesiąc usilnej drogi od Bagamoyo. Szczep Massai, zamieszkujący okolice Kilima-Ndżaro, jest bardzo wojowniczy i bardzo dziki, że zaś Niemcy i Anglicy posiadają te kraje tylko nominalnie, zatem podróżnik, który do nich idzie, może liczyć wyłącznie na siebie i swoją karawanę. Jest to więc podróż poważna, której można dokonać jedynie wówczas, gdy w kraju panuje głęboki spokój, i gdy stosunki, tak między rozmaitemi szczepami murzyńskimi, jak między Massai a białymi z pobrzeży, są zupełnie przyjazne. Otóż

z wielkim żalem musiałem z rozmaitych przyczyn poniechać tej wyprawy. W drodze jeszcze niepokoiłem się, czy fundusze, w jakie ja i mój towarzysz byliśmy zaopatrzeni, okażą się dostateczne na podobne przedsięwzięcie. Pokazało się, że mniej więcej tak jest, ale natomiast inne przeszkody poczęły wyrastać, jak grzyby po deszczu. Naprzód trzeba było się liczyć z tem, że obaj nie mamy doświadczenia, potrzebnego do takiej wyprawy, a moja znajomość Afryki jest czysto książkowa. Przy zupełnem zdrowiu można było wprowadzić ten brak doświadczenia zastąpić energją, ale zdarzyło się właśnie, że poprzednio chorowałem dość ciężko w Egipcie i nie miałem połowy zwykłych sił. Nakoniec zaszła i przeszkoda zewnętrzna a nieprzewidywana — to jest wojna. Zaraz po przybyciu do Zanzibaru dowiedzieliśmy się, że kraj cały jest w ogniu, ponieważ Massai powstałi przeciw Niemcom. Wissmann, do którego się można było przyłączyć, o ile byłby się na to zgodził, wyszedł z Bagamoyo na czele wojsk kolonjalnych na długo przed naszym przybyciem; nie wiadomo było, gdzie się znajduje, i poczęto się nawet niepokoić o jego losy. Krótko mówiąc, mieliśmy do wyboru: albo złożyć olbrzymią wojskową karawanę, o czem nie mogliśmy marzyć, albo iść gdzie indziej.

Oczywiście postanowiliśmy iść gdzie indziej i odtąd odbywaliśmy codziennie niemal narady. Ponieważ nie tylko w kraju Massai, ale i między kolonjami, zamieszkałymi bliżej brzegu, bezpośrednio w posiadłościach niemieckich panowało pewne wrzenie umysłowe, trzeba się było dobrze namysleć nad kierun-

kiem drogi. Ksiądz Le Roy radził nam udać się w okolice gór Kanga, do kraju Nguru, leżącego wedle źródeł rzeki Wami, albo też do ludu U-Kami, nad małą rzeką Sungerengeré wpadającą do Kingani.

W pierwszym z tych krajów znajduje się misja Mhonda, w drugim misja Mrogoro, a zaś o kilka dni drogi od Mrogoro, misja Tunungu. Wreszcie dawał nam do wyboru trzecią miejscowość, leżącą wśród szczepu U-Sagara, zwaną Longa, gdzie również mogliśmy znaleźć pomoc i opiekę zakonników tam zamieszkałych.

Górskie położenie tych okolic sprawia, że klimat ich jest zdrowszy niż klimat Zanzibaru i nisko położonego Bagamoyo. Wogóle Afryka jest wielkiem płaskowzgórziem, spiętrzonem w niektórych miejscach w pojedyncze łańcuchy gór a zniżającym się coraz bardziej ku brzegom. Stąd temperatura środkowych części lądu jest bez porównania niższa od pobrzeżnej. Już o kilka dni drogi w głąb, noce są chłodniejsze i przynoszą istotny wypoczynek, podczas gdy w Zanzibarze lub Bagamoyo żar nocny jest prawie równie męczący, jak dzienny.

Pocieszałem się tylko myślą, że dłuższy przymusowy pobyt w Zanzibarze, w którym zresztą powiewy morskie czyszczą powietrze, będzie dla nas rodzajem przygotowania, albo, mówiąc językiem sportowym, rodzajem treningu do przyszłej wyprawy. Tymczasem ludzie doświadczeni upewnili mnie, że myślę się najzupełniej. Upał i bezsenność wysysają krew i wycieńczają organizm, osłabiając tem samem jego odporność. Przeciwnie, kto chce wynieść zdrową głowę

z dłuższej wyprawy na stały ląd, ten powinien na-
przód urządzić sobie zapomocą Hindusów, lub, jeśli
ma odpowiednie stosunki, zapomocą misjonarzy,
karawanę i ruszać w głąb natychmiast po przybyciu.
W takim razie ni długie i trudne pochody, na kli-
mat, nie zdołają go łatwo obalić. Na nieszczęście,
dzieje się zawsze przeciwnie. Podróżnik, przybywszy
do Afryki, traci całe miesiące w gorącym a niezdrowym
klimacie pobraży i nim ruszy na wyprawę,
nosi już w sobie zarody febry. Prawie wszyscy po-
dróżnicy przez nią przechodzą, i wielu, na większą
uciechę hjen, zostawia kości pod jakim boababem
albo mimozą. Mimo to jednak przychodziło mi do
głowy, że Afryka nie jest tak niezdrowa, jak lu-
dzie myślą. W Zanzibarze i Bagamoyo widziałem lu-
dzi, zamieszkających tam od kilkunastu lat, którzy jed-
nak nie chorowali na febrę. Prawdopodobnie głównym
jej powodem są nadmierne trudy i rodzaj podróży.

W Afryce nie podróżuje się inaczej, jak pie-
chotą. Wyobraźmy sobie teraz człowieka, przywy-
kłego jeździć w wagonie, w powozie lub na statku,
przywykłego jadać o swojej porze, sypiać w wygod-
nem łóżku, chować się pod dach w czasie niepogody,
który nagle znajduje się wśród dzikich krajów, czyni
dziennie ogromne pochody, sypia w namiocie prawie
na ziemi, czasem pod gołym niebem, jada byle co,
pije wodę koloru kawy z mlekiem lub czekolady,
moknie na każdym dżdżu, piecze się na słońcu. Jak
nie ma dostać febry? Sądzę, że podróżując w takich
warunkach nawet po Francji, Niemczech, lub u nas,
to jest po krajach najzdrowszych, przyniosłoby się

z powrotem do domu opuchnięty z kataru nos, bronchit, a bodaj czy i nie porządną trzęsionkę, na którą przecież i u nas ludzie chorują.

Inaczej mówiąc, klimat czyni swoje, ale niewygody i zupełna zmiana warunków życia w daleko jeszcze większym stopniu sprzątają podróżników. W czasie wojen klimat u nas się nie zmienia — a ileż feber, tyfusów i dysenteryj wybucha we wszystkich armjach, tylko z powodu nadmiernych trudów i braku dachu nad głową.

Zresztą o klimat Zanzibaru lub Bagamoyo nie myśle z nikim kopji kruszyć.

Po dwóch tygodniach pobytu, dał on się dobrze we znaki mnie i memu towarzyszowi. Noce spędza-
liśmy za przepierzeniami naszego hotelu bezsennie, słuchając pieśni moskitów, krzyków żórawia koronastego i bębnienia murzynów. Od moskitów bro-
niły wprawdzie rozwieszone nad łózkami moskitiery, ale nie zupełnie, gdy zaś przyszło pisać wieczorem list lub przeczytać parę kartek metody ki-suahili-francuskiej — puchły nam ręce i uszy. Wówczas to, na listowne pytania jednego z moich znajomych myśli-
wych: com zabił w Zanzibarze, musiałem odpowiedzieć, chcąc się nie minąć z prawdą: nadzwyczajną ilość komarów i nie więcej. Z mrówkami na oknach i salamandrami na pułapie, żyliśmy nie nadto poufale, ale dość zgodnie — z upałem wszelako, z tym cieplarnianym, ciężkim i wilgotnym upałem, niepodobna było się żyć. Niebawem począł on nam się dawać i w inny sposób we znaki. Skóra na ciele pokryła nam się centkami, pięknego czerwonego ko-

loru, które piekły, jak ukłócia rozpalonych do białości szpilek. Spostrzegłszy a raczej poczuwszy ten objaw, przestraszyłem się zrazu, czy to nie jest ospa, która w tamtych krajach panuje stale. Dla nikogo nie byłoby przyjemnością przywieźć z powrotem do domu skórę wyprawną na jaszczur, a prócz tego, gdyby który z nas zapadł istotnie, trzebaby podróż na stały ląd odłożyć do nieograniczonego czasu, albo całkowicie jej poniechać. W tej niepewności udałem się do pana Beckera, który, jako stary afrykanin, uspokoił mnie natychmiast, że to nie ospa, ale *la bourbouille*, przez którą przechodzą wszyscy Europejczycy, przybyli świeżo do tych klimatów. Niektórzy dostają także innego rodzaju wyrzutów, obsiadających przeważnie ręce a zwanych ćwieczkami, które, wyglądając z pozoru dość niewinnie, sprawiają jednak okrutne męczarnie. Słyszałem mniemanie, że dostaje się ich od jedzenia mango — co zresztą nie jest prawdą. Powoduje je południowy musson, który wieje właśnie w porze dojrzewania mangów, i stąd posądzenie na niewinny a smaczny owoc.

Ospa nie jest niebezpieczna dla Europejczyków. Rzuca się ona na nich rzadko a w danym razie przechodzi dość łatwo i nie zostawia wielkich śladów; sroży się natomiast głównie między murzynami, wyznającymi islam, którzy, unikając stosunków z misjami, nie mogą tem samem być szczepieni.

Bądź co bądź, po pewnym czasie, lubo żaden z nas nie zapadł obłożnie, czuliśmy się zmęczeni i niezupełnie zdrowi. Z tem większą też niecierpliwością oczekiwaliśmy powrotu tego żelaznego brata

Oskara, którego dwadzieścia siedm lat pobytu, podróży i pracy w tych klimatach, nie zdołało nadwężyć. Ogarniał mnie także niepokój, że przy dalszej miśredze lato zbliży się do końca i zagrozi nam „mas-sika“, to jest pora dżdżysta, która poczyna się mniej więcej wówczas, kiedy u nas przychodzi wiosna. Oczywiście, że w czasie takiej pory podróż jest trudna, i widzi się kraj daleko gorzej. By skrócić sobie dni oczekiwania i choć cokolwiek zająć się przygotowaniami do wyprawy, zamierzaliśmy przenieść się do Bagamoyo. Klimat jego jest jeszcze niezdrowszy, niż zanzibarski, ale zawsze co nowość, to nowość.

Tymczasem 21-go lutego nadeszła z Europy „Africa“, należąca do angielskiej „Peninsular and Orient Company“ i przywiozła nam listy i gazety. Czem są listy z domu w takich warunkach, rozumie ten tylko, kto je odbierał za morzami, na drugiej półkuli. Przez kilka dni chodziło się po Zanzibarze, nie widząc Zanzibaru, bo myśl i serce były gdzie indziej. Przez tę samą pocztę nadesłano mi i kilka pism z recenzjami „Bez dogmatu“, w których różni przygodni recenzenci rzucają się Płoszowskiemu do oczu, albo skaczą mu na ramiona, poufaląc się z nim, jak wyżyły. Była także i jedna obszerniejsza analiza. W tej znów wydaje się krytykowi, naprzód, że patrzy na Płoszowskiego przez lupę, podczas gdy patrzy przez rurę od barszczu, a powtóre że roni nad jego nieprawością prawdziwe łzy, podczas gdy z oczu płynie mu tylko „gęsta ambra i żywica“, czemu, jak twierdzi Hamlet, towarzyszy zawsze wielkie stępie-nie dowcipu, przy równie znacznem wycieńczeniu ty-

dek. Koniec końcem, było zbyt gorąco i duszno, żeby te wywody czytać dokładnie, że zaś książdz Ruby nadszedł właśnie z projektem wycieczki w głąb wyspy, zgodziłem się na nią z radością.

Wyruszyliśmy nazajutrz o szóstej rano, przez Mnazimoję, ku lasom palm, mangów, drzew chlebowych i rozmaitych innych, których nawet nazwać nie umiem. Dzieci misyjne, wesole jak wróble, niosły przed nami na swych okrągłych łepetynach zapasy żywności. Przypomniiał mi się Aden i owe małe pchełki, skaczące koło podróżników. Ale tamte były zupełnie nagie, te zaś miały białe, z grubego płótna, koszulki, przepasane krawką, takie, jak noszą nasze dzieci wiejskie. Gdyby nie barwa skóry, podobieństwo szłoby nawet dalej, albowiem przez rozporki koszulek widać było tak samo wydęte brzuszki, spodem zaś bose nogi, podskakujące po kamieniach i w trawie. Tylko tu i brzuszki i nogi czerniły się jak heban, głowy zaś, zamiast płowych czupryn, spadających na oczy, pokryte były jakby krymskim drobniuchnym barankiem. Mała ta armia maszerowała z wielkim rozmachem i ochotą.

Minąwszy Mnazimoję, pogrążyliśmy się w cień wspaniałych mangów. Po bokach drogi z pośród ciemnej, zbitej zieloności, wyglądały wdzięcznie białe ściany szamb, to jest will, należących do Europejczyków lub bogatych Hindusów. Po ogrodach mangowych weszliśmy w gaje palm, podobnych do fontann, wysmukłych, strzelistych, rozwianych gdzieś hen, bardzo wysoko, w bogate wspaniałe kiście. Mniej tu cienia, niż między mangami; słońce przedziera

się łatwiej przez olbrzymie, wyzębione liście, rzucając świetliste i złote pióra na podłoże leśne. Niektóre palmy pogiały widocznie południowy musson, niemniej potężny, jak nasz halny wichur w Zakopanem. Tych pnie, przygięte raz na zawsze w dolnej części do ziemi, podnoszą się nagle pod kątem prostym i strzelają w górę prawie jeszcze wyżej, niż pnie drzew zupełnie zdrowych. Z pod pierzastych koron liści zwisały się ogromne i ciężkie pęki orzechów. Jest w tych lasach palmowych, w tych pióropuszcach i pękach owoców, odrębna, czysto egzotyczna ozdoba, jakieś bogactwo i zapamiętała hojność natury południowej, o której żadne inne drzewa nie dają tak dokładnego pojęcia, może dlatego, że wszystkie są do naszych podobniejsze.

Ranek był bardzo wczesny; dzień, jak na Zanzibar, chłodny, i zapewne dlatego mieliśmy wrażenie wiosny. W powietrzu była taka wesołość i rzeźwość, jaka bywa u nas w pogodne dni majowe. W koronach palm rozlegało się kukanie miejscowych kukułek, które co chwila przelatywały przed nami z drzewa na drzewo. Widzieliśmy żółte remizy, kręcące się koło swych gniazd, zwieszonych nakształt długich kieszeni z gałęzi, i rozmaite inne ptaki, o upierzeniu często bardzo świetnym; głosy ich w niczem nie przypominają świergotu naszego ptactwa; są to raczej jakby miauczenia kotów, jakby nawoływania się w jakimś dziwnym nieznanym języku. Gwar ten, lubo niezbyt harmonijny, jest jednak dla ucha przyjemny, brzmi bowiem w nim radość z poranku, ze słońca, z życia i swobody.

Po godzinie drogi weszliśmy do wsi murzyńskich, ukrytych w gęstwinie palm wachlarzowych, mangów i lian, które czasem tak gęsto oplatają, drzewa, że tworzą na nich jakby tkaninę. Chwilami zdawało mi się, że jestem w cieplarni Jardin d'Acclimation w Paryżu. Oczom się nie chce wierzyć, by to wszystko mogło wyrastać, panoszyć się i bujać samo przez się. Okrągłe chaty murzyńskie, o trzcinowych dachach, ukryte są jakby w mrocznych niszach tej gęstwy. Środkiem, między dwoma ich szeregi, biegnie szeroka droga, barwy czerwonej, umieszczona tak starannie, że nie mogłem wyjść ze zdziwienia nad tą schludnością i porządkiem. Nad drogą wielkie drzewa wyciągają wzajem ku sobie konary. Zauważyłem, że jak w mieście, w dzielnicy murzyńskiej, tak i w tych wiejskich zaciszach panuje odrębne światło. Słońce nie odbija się tu od żadnej białości, więc nie oślepia, nie razi, nie przychodzi nawet bezpośrednio, ale przesącza się przez liście, ciemno-purpurowe, jasno-zielone lub złote, skutkiem czego zabarwia się samo i spływając na szare dachy, lub ceglasty grunt, łagodnieje, tworząc odbłaski jakby czerwono- przyćmione, słodsze, głębokkie, pomieszane z zielonym mrokiem. Gdy w takim oświetleniu zobaczy się czarne, połyskujące, metalowe ciała murzyńskie — ma się przed sobą prawdziwy obraz afrykański, tak przewyższający wyobrażenia, jakie się miało o tych dziwnych, cudnych krainach, że oczu nie chce się od niego oderwać.

Arabowie i murzyni, których spotkaliśmy po drodze, kobiety niosące na głowach naczynia z wodą,

lub obarczone pękami owoców, ludzie zajęci obieraniem orzechów z palm, witali wszędzie nas, a raczej księdza Ruby, uprzejmem: „Yambo m'buanam!” (witaj panie!). Po długiej, białej sukni poznawano odrazu misjonarza, nie widziałem jednak nigdzie najmniejszego znaku niechęci lub objawów mahometańskiego fanatyzmu, chociaż wsie w Zanzibarze, do których wpływ misyj nie zdołał dotąd dotrzeć, wyznają przezważnie islam. Może między Arabami znajduje się kilku fanatyków, którzy radziby wypędzić misjonarzy, ale murzyni nawet mahometanie szanują ich niezmiernie. Częstokroć nie umieją sobie zdać sprawy, poco ci ludzie przyjeżdżają zdaleka do Zanzibaru dlatego tylko, by zbierać dzieci, ratować najbiedniejszych czarnych i wogóle czynić dobrze bez żadnej dla siebie korzyści. Prawdopodobnie budzi to nawet w tych grubych naturach więcej zdziwienia, niż wdzięczności, niemniej jednak otacza w ich pojęciach misjonarzy pewnym tajemniczym urokiem, bliskim czci, niemal zabobonnej.

Ojciec Ruby dużo opowiadał nam po drodze o stosunkach misyj do miejscowych mieszkańców i o tem zdumieniu, w jakie działalność misjonarzy wprawia czarnych i w Zanzibarze i na stałym lądzie Afryki. Początkowe to zdumienie kończy się zawsze, po pewnym czasie, ufnością bez granic — co sprawdziłem później sam, w misji Mandera, do której zawędrowaliśmy w naszej dalszej podróży.

Słuchając tych opowiadań, szliśmy coraz dalej wśród otwartych pól, zasadzonych maniokiem lub wśród plantacyj gwoźdźników. Drzewa gwoźdźnikowe

były w kwiecie, i unosiła się nad niemi woń tak mocna, że aż upajająca. Tu i owdzie trafialiśmy na plantacje bananów, które już zdaleka można rozpoznać po jasnej, pełnej blasku zieloności. Wyspa ciągle wyglądała, jak zaczarowany ogród, ale ogród ów stawał się stopniowo coraz dzikszy. Weszliśmy wreszcie na nieuprawne polanki, odgraniczone od pól murem gąszczów a porosłe dżunglami, nad którymi wznosiły się samotne boababy, o szczupłej stosunkowo koronie, lecz pniu potwornym. Droga zmieniła się w ścieżkę, po której często maszerowały kolumny mrówek; ptactwo latało nad haszczami coraz więcej, a niektóre drzewa były pokryte całemi setkami gniazd remizów. Ksiądz Ruby utrzymywał wprawdzie, że idąc dalej, trafia się znów na wioski, osady, ogrody palm i mangów, lecz że upłynęło już kilka godzin od wyjścia z miasta, i słońce dopiekało coraz silniej, postanowiliśmy nie iść dalej, przeczekać w cieniu godziny największego upału i wieczorem powrócić do domu.

Zatrzymaliśmy się pod drzewem chlebowem, którego olbrzymie, podobne do dyń owoce, zwieszały się na cienkich szypułkach nad naszymi głowami. Przed nami była rzeka, tworząca w tem miejscu szczerk dość obszerny i łatwo przystępny. Natomiast drugi jego brzeg porośnięty był arumami tak wielkimi, jakich nigdy w życiu nie widziałem. Nie przypuszczałem nawet, żeby ta roślina mogła dochodzić do podobnych rozmiarów. Rosły one tak gęsto, iż zdawało się, że jeden wyrasta na drugim; ogromne sercowate liście tworzyły coś jakby zbitą płachtę zieloności, ciągnącą się tak daleko za rzeką, że końca

jej nie można było dojrzeć. Nie spostrzegłem też między nimi żadnych innych roślin; widocznie arumy, trafiwszy na najodpowiedniejszy dla siebie błotnisty grunt, rozpanoszyły się i rozbijały w gorącu i wilgoci do tego stopnia, że zgłuszyły wszystko, co próbowało zakiełkować w ich gąszczu. Nad samym brzegiem wysoka na kilka metrów ściana ich odbija się w spokojnej toni. Ponieważ w Zanzibarze niema krokodyłów, więc wypocząwszy nieco, wzięliśmy kąpiel, która orzeźwiła nas bardzo, pokazało się bowiem, że woda w rzece, utworzonej widocznie z bijących z pod ziemi źródeł, jest nadspodziewanie chłodna. Małe nasze murzynki poszły za naszym przykładem, i wkrótce całe stadko poczęło się pluskać, czyniąc pozór jakichś czarnych ziemno-wodnych zwierzątek. Niektórzy, leżąc spokojnie z wyciągniętymi nogami przy brzegu, podobni byli do kijanek, wygrzewających się na słońcu. Ksiądz Ruby wywołał ich wkrótce na śniadanie, które, złożone z zimnych mięs i przepysznych podzwrotnikowych owoców, smakowało nam wybornie. Za napój mieliśmy wino z wodą kokosową, którą z otwartych orzechów przelewaliśmy do szklanek. Z jednego orzecha otrzymuje się pełną butelkę wody; jest ona nadzwyczajnie czysta i chłodna, ale w smaku nieco mdła. Próbowałem także owej białej masy, obsiadającej nakształt śmietany wewnątrz orzecha, lecz nie znalazłem w niej żadnego smaku.

Podczas śniadania zauważyłem, że ksiądz Ruby nie tylko opiekuje się starannie dziećmi, ale nie szczędzi im nawet pieśczot. Zapytany przeze mnie, czy wychowywanie murzynów nie wymaga większej su-

rowości, niż wychowywanie dzieci białych, odpowiedział mi z prostotą:

— Nigdy to nie znało pieszczot matki, więc trzeba im i matkę zastąpić!

I widocznie podobna pedagogja nie przynosi szkód, dzieci bowiem, mimo całej łagodności ojca Ruby, posłuszne były na każde jego skinienie a prztem widocznie niezmiernie do niego przywiązane.

Po śniadaniu obowiązkową siestę przerwało nam kilkunasu starszych i młodszych murzynów. Pokazało się, że opodal była ukryta w gąszczu krzów jakaś osada. Ci wleźli naprzód do wody, którą burzyli, jak stado hipopotamów, następnie przypatrywali się nam, naszym strzelbom i naczyniom, dość natrętnie. Nadjechał też i jakiś Arab, który popisывał się przed nami konną jazdą, co wogóle Arabowie lubią czynić wobec Europejczyków, albowiem wszyscy posiadają niemałą dozę próżności. On przełatywał w największym pędzie tak blisko nas, że mógł stratować które z dzieci, i dlatego ks. Ruby prosił go wkońcu, by obrał inne pole dla swych popisów.

Zostaliśmy wreszcie sami. Dzieciska, strudzone drogą, pospały się zaraz w trawie. Nadeszły godziny największego upału i bezwzględnej ciszy. Nawet ptactwo pochowało się gdzieś pod gałęzie drzew i ucichło. W powietrzu nie było najmniejszego powiewu, niebo pobielało na krańcach; ziemia tonęła w blasku tak silnym, że aż przeraźliwym. Woda w rzece wygładziła się zupełnie i zdawała się usypiać; arumy po drugim brzegu stały nieruchome i jak

gdyby stężałe. U nas, w chwilach takiej ciszy, wszystko się koi, i to ukojenie stanowi duszę przestworza — tu tego niema. Tu wydaje się, że całą naturę przejmują smutek i strach przed niemiłosiernem słońcem, że żadna żywa istota nie śmie drgnąć i zataja oddech w piersiach, a owo słońce wyteża się jakby w złości i wpatruje tylko, kogoby zabić. Umysł nasz przywykł pojęcie ciszy kojarzyć zawsze z pojęciem ciemności — tu zaś widzi się zawsze przeciwne i niemal tragiczne połączenie milczenia i blasku, które, mnie przynajmniej, stałe przejmowało w tych krajach zdziwieniem.

Koło godziny trzeciej opuściliśmy gościnny cień chlebowego drzewa i ruszyli z powrotem do domu. Że jednak było jeszcze bardzo gorąco, ksiądz Ruby zapytał nas, czy nie zechcemy wstąpić do domu znajomego mu Araba, który, jakkolwiek mahometanin, miał się odznaczać wielką uprzejmością dla misjonarzy. Zgodziliśmy się chętnie, tem bardziej, iż nie trzeba było bardzo zbaczać. Droga zawiodła nas między obszerne plantacje gwoźdźnikowe, potem między ogrody wielkich drzew, z pośród których, na końcu długiej, cienistej alei, wychyliły się nareszcie białe ściany arabskiej szamby. Był to niewielki dom, trochę do naszych dworów wiejskich podobny. Przed dworkiem, między drzewami, wznosiła się altana, złożona z płaskiego trzcinowego dachu i czterech słupów, pod której cieniem wypoczywali czarni niewolnicy właściciela. Ogród, złożony przeważnie z drzew mangowych, wart był widzenia z powodu bogactwa roślinności. Wielkie drzewa tworzyły w nim jakby

sklepienia i kopuły, pod któremi panował kolorowy mrok. Właściciel, Arab, wyszedł na nasze spotkanie i, po zwykłych salamalekach, usadził nas pod werandą. Był to człowiek średnich lat, cery brązowej, chudy bardzo, wesoły i uśmiechnięty. Ustawicznie zapypywał nas, za pośrednictwem księdza, czy nie zechcemy co zjeść, i mimo, iż odmawialiśmy stale, powtarzał te pytania aż do znudzenia. Ksiądz Ruby wytłumaczył nam potem, że leży to we zwyczaju arabskim. Przyjęliśmy wreszcie po szklance krynicznej wody z sokiem mangowym, a potem, ponieważ słońce zniżyło się już znacznie, poczęliśmy się zaraz żegnać z gospodarzem. Odprowadził on nas jednak aż do granicy swych plantacyj gwoździkowych i po drodze dał nam nową, arcy-oryginalną próbkę miejscowych zwyczajów. Oto przez cały czas nie tylko miał czkawkę, ale widocznie się do niej zmuszał, w chwili zaś pożegnania urządził nam taki koncert, jakiego nie słyszeliśmy nigdy w życiu. Oczywiście obaj przypisywaliśmy to nieobyczajności pół-dzikiego człowieka, łatwo więc wyobrazić sobie nasze zdumienie, gdy ksiądz Ruby objaśnił nas, że jest to poprostu kwestja etykiety, i że każdy zanzibarski Arab, odprowadzając gości, daje im w ten sposób do poznania, że jest człowiekiem dostatnim, że jada obficie, i że stać go na gościnne przyjęcie. Co więcej, ksiądz Ruby zapewnił nas, że gdybyśmy byli jedli cokolwiek, wypadłoby koniecznie i nam zaświadczać w taki sam sposób gospodarzowi, żeśmy syci i zadowoleni. Na szczęście, przyjęcie szklanki wody z sokiem nie pociągało za sobą podobnych obowiązków, inaczej byłibyśmy zo-

stawili po sobie w głębi Zanzibaru opinię ludzi, nie umiejących się znaleźć w przyzwoitem towarzystwie. Co kraj — to obyczaj.

Wróciliśmy do domu przez Mnazimoję o zachodzie słońca. Był wielki przypływ, obie laguny napełnione po brzegi i gładkie, jak szyby; obie gorzały czerwonym i złotym blaskiem od zachodzącego słońca. Powietrze nawet było zabarwione na czerwono, a wogóle na niebie i wodzie grało tyle kolorów, że żadna fantazja nie zdoła sobie nic podobnego wyobrazić. Białe mury szamb i świątynki indyjskiej wyglądały jakby z różowego światła ulepione; pióropusze palm paliły się, jak zawieszone w powietrzu ogniska; na mangach leżały krwawe odbłaski, nawet błękit nieba był rumiany. W dali miasto zdawało się wznosić wprost z wody, jak Wenecja.

Potem nagle wszystko poczerniało — i tylko na wieżach rozbłysły światła.

Dzień skończył się nam wybornie; w hotelu zastaliśmy dwie wiadomości: jedną od Msgra de Courmont, że brat Oskar powrócił, drugą od konsula, że pancernik „Redbreast“ wyruszy za kilka dni do Bagamoyo, wrzecie zaś, gdybyśmy nie mogli zdążyć, będzie zawsze gotów uczynić z nami tę drogę raz drugi.

XI.

Kupowanie zapasów. — Co potrzeba brać? — Omyłki. — Przejazd. — Lunch. — Ładowanie. — Bagamoyo. — Wielka misja. — Ogród czy las? — Dom. — Przełożony. — Brat Oskar. — Śniadanie. — Wieść o Wissmanie. — Ogrody misji. — Urządzenia. — Misja i czarni. — Murzyni chrześcijanie i mahometanie. — Noc bezsenna.

Kilka dni zajęło nam kupowanie zapasów. Baczając, że w każdym razie braki można będzie uzupełnić w Bagamoyo, nie chcieliśmy się przeładowywać zbyt; wkońcu jednak zebrało się i tak kilkanaście większych i mniejszych skrzynek, obejmujących kawę, herbatę, konserwy mięsne i jarzynowe, mąkę, wino, koniak, świece, naczynia kuchenne, narzędzia rzemieślnicze i najrozmaitsze przybory, potrzebne w podróży. Późniejsze doświadczenie nauczyło nas, że nie wszystko było przewidziane, jak należy. Nabraliśmy naprzykład niepotrzebnie za dużo konserw mięsnych, bo świeżego mięsa może dostarczyć polowanie, zwłaszcza na ptactwo, a przytem w wioskach murzyńskich łatwo zaopatrzyć się w kury i kozy. Mąka nie przydała się na nic, gdyż czarny nasz kucharz M'Sa nie wiedział, co z nią robić; natomiast

wzięliśmy za mało jarzyn, których nigdzie dostać nie można, a które jada się w tym klimacie chciwie, i również za mało wina. Ponieważ słyszałem, że w głębi lądu trafia się częstokroć na wodę niezmiernie mętną, powodującą febry i dysenterję, zakupiliśmy całą skrzynię wody sodowej, która smakowała nam później w pochodach wyśmienicie i być może, iż istotnie uchroniła nas od choroby.

Rano 28 lutego ładunek nasz został przeniesiony na głowach zwożanych z ulicy murzynów do łodzi, a następnie na „Redbreast“. Na pokładzie zastaliśmy całe towarzystwo, które postanowiło odwiedzić Bagamoyo. Sir Evan Smith otrzymał był przed paru dniami z „Foreign Office“ bardzo zapewne pożądaną wiadomość, iż mianowany został do Maroka — chciał więc choć raz postawić nogę na przyległym do Zanzibaru lądzie, którego dotąd nie znał. Prócz tego był Msgr de Courmont z księdzem Le Roy, pani Chevalier, utrzymująca szpital dla czarnych w Zanzibarze, pani Jameson, konsul niemiecki von Redwitz, i naczelnik miejscowej misji angielskiej, który, przybywszy niedawno z Europy, pragnął przypatrzeć się wzorowym urządzeniom wielkiej misji katolickiej w Bagamoyo.

Na statku czekał nas doskonały „lunch“. Pogoda była dobra. Wysoko na niebie wiatr przepędzał pojedyncze zwały chmur, które zlewały obfitym, przerywanym dżdzem płócienny dach statku, natomiast na morzu była cisza, toń gładka, i statek szedł, jak po jeziorze. Radziśmy byli obaj z towarzyszem, że zamiast brudną i cuchnącą feluką arabską, wlokącą

się leniwemi żaglami po morzu, jedziemy „Redbreastem“, tak schludnym i wykwinłym w swej białości, jak gdyby był wyrobem jubilerskim. W dodatku droga zajęła tylko kilka godzin, które przeszły szybko przy „lunch'u“ i na rozmowach. Aniśmy się spostrzegli, gdy ze strony zachodniej począł się rysować brzeg afrykański. Jest on bardzo niski. Początkowo ujrzeliśmy tylko czuby palm, wychylające się jakby wprost z wody, potem dopiero zaczęły zaznaczać się smukłe pnie i rozciągnięte pod nimi piaski płaskoci. Powiedziano nam, że palmy owe są ogrodem, należącym do misji.

Zbliżywszy się jeszcze bardziej, spostrzegliśmy na lewo od lasu palmowego, mniej więcej w odległości kilometra, domy Bagamoyo.

Jest to miasto znane ze wszystkich podróży afrykańskich. Wissman uczynił z niego stolicę posiadłości niemieckich, więc nazwa Bagamoyo powtarzała się we wszystkich dziennikach. Rozsławił ją również Stanley, który, po odnalezieniu Emina, przybył tu z nim i ze wszystkimi Egipcjanami, nie mającymi ochoty oddać w Ekwatorji głów pod miecz Mahdiego. Ale pomimo swej sławy, Bagamoyo nie ma przyszłości, bo nie ma portu. Ocean jest tu tak płytki, że nasz „Redbreast“ zmuszony był zatrzymać się o kilka kilometrów od lądu. Siedliśmy w łodzi i przez jakiś czas płynęliśmy ku brzegowi — lecz wreszcie wręgi ich zaczęły się trzeć o piasek, i trzeba było stanąć. Woda nie była głębsza jak do kolan, a do brzegu jeszcze kilkaset kroków. W tej chwili jednak na piasku płaskoci pojawiło się kilkudziesięciu mu-

rzynów, to idących luzem, to niosących krzesła na długich drągach. Przebrnąwszy przez wodę i zbliżywszy się do łodzi, jedni zaczęli nabierać na głowę paki, drudzy podstawiali nam krzesła, albo też i własne plecy. Cała ta czarna trzódka była nader wesoła i czyniła wszystko wśród śmiechu. Dla oryginalności wybrałem plecy, nie nosze, i usiadłszy na karku murzyna, spuściłem nogi wzdłuż jego piersi, ten zaś, chwyciwszy je w kostkach, począł zdązać ku brzegowi. Wyznaję, iż miałem mimowolną obawę, czy nie posmole o jego czarną skórę mego białego ubrania. Taki sposób dostawania się na brzeg jest zresztą znany i w niektórych europejskich miejscach kąpielowych, wszędzie zaś budzi jednakową wesołość. Obok mnie niesiono piękną panią Jameson, która w śnieżnej flanelowej sukni wyglądała nad lazuruwą wodą, jak jakaś boginka morska, dzwigana procesjonalnie przez czarnych czcicieli; dalej w procesji następował Msgr de Courmont, dalej sir Evan Smith i mój towarzysz; koło nich jechał na karku tęgiego murzyna z U-za-ramo kapitan „Redbreasta“ i t. d. Po upływie dziesięciu minut znaleźliśmy się wreszcie wszyscy na wąskim pasmie rozpalonego piasku, za którym poczynął się zaraz ogród misji.

Schroniliśmy się co prędzej pod cień drzew i stanęliśmy z podziwu na widok wspaniałej roślinności. Czysto podzwrotnikowa bujność połączyła się z niezmordowaną pracą ludzką na wytworzenie tego ogrodu, który zdaleka wyglądał, jak dziewiczy las, zbliższy zaś, jak wzorowo utrzymany park wielkomiejski. Nie tu poprzednio nie rosło, wszystko zasadzili misjona-

rze, ale że misja założona została od wielu lat, przeto drzewa rozrosły się do ogromnych rozmiarów. Bliżej morza, po prawej ręce od drogi, widzi się wśród nieskończonej liczby kokosów inne, mniejsze ogrody, stanowiące podszycie palmowego lasu. Zdała wydają się one jakby dzikie kępy rozszalałej, podzwrotnikowej roślinności, złożone ze zbitego gąszczu olbrzymich liści bananowych, nad którymi piętrzą się rozłożyste wachlarze palmy błotnej, czuby juk, papaje, manga, drzewa chlebowe, annony, jabłonie cyteryjskie i bambusy. Dopiero przyjrzawszy się bliżej, dostrzega się, że to są plantacje, między którymi kryją się stożkowate chaty murzynów, zostających pod opieką misji.

Za nimi widać znów dalej las kokosów, którego końca oko nie sięga. Szeroka, wybornie utrzymana aleja, wysadzona w pierwszej połowie drzewami podobnemi do tui, w drugiej mangami, prowadzi przez ów las do leżących w głębi zabudowań misji. Idziemy cieniem coraz głębszym, lecz przed nami białą się już ściany głównego domu. Aleja kończy się wreszcie kratą i bramą, przed którą posąg Chrystusa błogosławi ludziom i drzewom. Nad nim wznosi się wieloramienny kaktus podobny do olbrzymiego świecznika.

Wchodzimy. Dom jest duży, opatrzony w łukowate podcienia, zamykane sztachtetami. Po obu stronach inne budowle wznoszą się wśród klombów drzew. Ponieważ przychodzimy w towarzystwie Msgra de Courmont, misjonarze wychodzą gromadnie na nasze spotkanie, mając na czele przełożonego misji, ojca

Stefana. Jest to człowiek sześćdziesięcioletni, wysoki, chudy, z dużą białą brodą, o twarzy bladej i tak podobnej do twarzy Leonarda de Vinci, że podobieństwo to uderza mnie na pierwsze wejrzenie. Przemieszkuje on w Afryce, w tym zabójczym klimacie, od lat trzydziestu, więc febry, których przeszedł tyle, że sam zapewne liczby nie pamięta, dały mu wyraz ascety, taki, jaki się widuje u męczenników na obrazach Zurbarana. Ale obok tego ma w twarzy ogromną słodycz. Jest to człowiek bardzo sławny. Słyszałem już o nim w Zanzibarze. Życie zeszło mu na wykupywaniu dzieci z niewoli, na nauczaniu ich, na godzeniu waśni między plemionami murzyńskimi, na leczeniu chorych. Otacza go teraz powszechnie przywiązanie. Czczą go zarówno Hindusi, murzyni jak i Niemcy. Anglicy przyjeżdżają umyślnie z Zanzibaru, by go obaczyć. W tym celu przybyła zapewne i pani Jameson ze swoim fotograficznym aparatem, nie większym od talji kart.

Poznaję wreszcie i brata Oskara. Wyobrażałem sobie jakiegoś olbrzyma, tymczasem jest to człowiek średniego wzrostu, suchy, z maleńkimi żółtymi wąsikami i takimże zarostem na brodzie. Ma on w sobie jednak coś żołnierskiego, coś zamaszystego, i wogóle robi wrażenie człowieka wielkiej energii. Odgadujesz łatwo, że należy on do tego gatunku ludzi, którzy, gdy zdarzy się jakaś praca, nie namyślają się długo, ale zakasują rękawy, i potem robota pali się w ich ręku. Człowiek to widocznie czynu nie rozmyślań. Karawana, któraby miała takiego przewodnika, może iść, gdzie chce. W Afryce jest on jak u sie-

bie. Febry połamały sobie na nim zęby. W twarzy jego siedzi dobroduszość taka, jaką miewają czasem twarze wieśniaków niemieckich. Jakoż jest on Niemcem z pochodzenia, urodził się bowiem w Bawarii. Można to zresztą poznać i po jego francuskiej wymowie.

Po powitaniach zaproszono nas na obiad, na którym był także Sewa-Hadzi i oficerowie niemieccy. Sewa-Hadzi, lubo nie chrześcijanin, żywi wielki szacunek dla misjonarzy i oddaje im usługi przy każdej sposobności. Teraz oto przysłał w darze na obiad wino, na które uboga kieszeń misjonarska zdobyćby się nie mogła. Co do oficerów niemieckich, stosunki ich z misją są jak najlepsze. Taką solidarność między ludźmi jednakiej cery widzi się tylko w Afryce. Nawet Niemcy i Francuzi uważają się tu za braci, jak również katolicy i protestanci.

Do tych dobrych stosunków między władzą wojсковą w Bagamoyo a misją przyczynia się zresztą i to, że Wissman, zatem M'buana Kuba, czyli główny naczelnik kraju, który zbliżka i długie lata przyglądał się pracy misjonarskiej, żywi dla misjonarzy wogóle, a dla ojca Stefana w szczególności, głęboką i prawdziwą cześć. Oczywiście podwładni przejmują się usposobieniem swego naczelnika. Misjonarze odzywają się również z zupełnem uznaniem o niepopolitych przymiotach Wissmana. Zresztą i w Bagamoyo i w Zanzibarze słyszałem o nim tylko pochwały.

Jak już wspomniałem wyżej, był on w tych czasach na wyprawie wojennej w kraju Massai, zamieszkałym przez dzikie i drapieżne szczepy. Mas-

sajowie nietylko sami nie radzi znoszą zwierzchnictwo niemieckie, ale częstokroć napadają na zostające pod tem zwierzchnictwem spokojne szczepy, mieszkające bliżej morza. Otóż Niemcy, by dowieść czarnym, że opieka niemiecka jest — i coś znaczy, muszą od czasu do czasu karcić tamtych zuchwałych koczowników, niebezpiecznych jeszcze i dlatego, że każde ich powstanie wywołuje wrzenie umysłów w całej krainie.

Losy Wissmana i jego wyprawy były przedmiotem wszystkich rozmów w misji. Ufano, że człowiek tak doświadczony i energiczny da sobie radę w najtrudniejszych okolicznościach, jednakże ponieważ dawno nie było od niego wiadomości, więc poczęto się niepokoić. Wiedzano tylko przez czarnych gońców, że cztery tysiące wojowników Massai rozłożyło się na powrotnej drodze Wissmana, z zamiarem wydania mu walnej bitwy, która mogła lada dzień nastąpić. O posłaniu mu pomocy zastępca jego w Bagamoyo nie mógł i marzyć, albowiem oddzielały go od pola działań całe miesiące drogi, a powtórę w Bagamoyo nie zostało więcej nad trzystu żołnierzy, których trzeba było mieć pod ręką, a to tem bardziej, że niektóre dalsze od morza szczepy poczęły się także poruszać.

Słuchałem tych wieści z największem zajęciem, albowiem chodziło także i o losy naszej wyprawy. Gdyby Wissman został zniesiony, powstanie wybuchłoby z pewnością w stronach nieco dalszych od Bagamoyo, a w takim razie musielibyśmy wrócić, jak niepyśni, do Zanzibaru. I tak przyszły już wieści

o niepokojach w kraju U-Zagara, tym właśnie, w którym leży Misja Mhonda. Jeden z oficerów niemieckich, obecnych na obiedzie, wybierał się tam z wielką ekspedycją wojskową. Miał wyjść nazajutrz i zaproponował nam, byśmy skorzystali z tej sposobności i przyłączyli się do niego. Narazie uśmiechnęło mi się to bardzo, ale po chwili zastanowienia odmówiłem stanowczo. Nie mieliśmy jeszcze zgodzonych targarzy, nasze zapasy nie były gotowe, towary, które mi się płaci w głębi, mianowicie biały perkal i kolorowe chustki, trzeba było dopiero kupować — musielibyśmy więc iść bez osobistej służby, co jest niepodobieństwem, i poniekąd na koszt ekspedycji. Prócz tego łatwo było przypuścić, że wyprawa wojskowa weźmie się przy pierwszym spotkaniu za czuby z mieszkańcami kraju U-Zagara, a w takim razie co by nam, ludziom prywatnym, pozostało do czynienia? Trzebaby było, zarówno przez poczucie solidarności, jak przez miłość własną, wziąć strzelby i strzelać do murzynów, którzy nam nie nie zawinili, i o których istnieniu dowiedzieliśmy się nieledwie wczoraj. Nakoniec, idąc z wyprawą, przyszłoby słuchać komendy. Nie moglibyśmy zatrzymywać się tam, gdzieby się nam podobało, polować tak długo, jak zechcemy, przypatrywać temu, czemu chcemy — jednym słowem musielibyśmy poddać się zupełnie niemieckiej dyscyplinie wojskowej. Były to aż nadto wystarczające powody do odmowy, która jednak, jak zauważyłem, nie została dobrze przyjęta.

Po obiedzie, a raczej po *déjeuner dinatoire* u ojców, zostaliśmy wszyscy zaproszeni na obiad wie-

czorny przez oficerów niemieckich, na który nie poszedłem z powodu silnego bólu głowy. Wolałem zostać w misji i przypatrywać się jej zakładom i ogrodom. W pierwszym dniu po przybyciu mogłem wyrobić sobie o tem, com widział, tylko bardzo ogólne pojęcie — praca jednak wytrwała i olbrzymia rzuca się tu tak w oczy, że niepodobna jej nawet od pierwszego rzutu oka nie podziwiać.

Ogrody misji są to poprostu obszerne lasy, wszystko zaś zostało zasadzone ręką ludzką. Budowle, których jest kilkanaście, wzniesione po największej części z koralowej rafy, obejmują wielki dom mieszkalny dla księży, szkołę, warsztat, kościół, mogący pomieścić kilkaset osób, kaplicę, dom dla sióstr miłosierdzia, zajmujących się wychowywaniem czarnych dziewczynek, szkołę dla tychże, dalej kuchnię, składy i t. d. I pomyśleć, że wszystko to zostało zbudowane bez fachowych rzemieślników, własnymi rękoma księży, w takim klimacie, w którym biały człowiek pod grozą śmierci nie może fizycznie pracować, i w którym Niemcy muszą trzymać żołnierzy Zulusów i Sudańczyków, bo i karabin jest już za ciężkiem brzemieniem dla białego! Jakim sposobem jedni tylko misjonarze pracują fizycznie i nie umierają? — trudno na to odpowiedzieć. Może to się tłumaczy do pewnego stopnia ich surowem życiem, ale niezawodnie bardziej jeszcze tym nastrojem duchowym, czy, jeśli ktoś woli, tą odpornością, jaką dają nerwy, owładnięte i wiedzione przez głębokie, wyegzaltowane poczucie obowiązku i wiarę w posłannictwo. Ci ludzie pracują w owych śmiertelnych kra-

inach nie tylko jako przewodnicy duchowi, ale poprostu, jak chłopci, to jest tak, jak nie przywykli pracować nawet w naszych klimatach. Rozszerzają nie tylko chrześcijaństwo — ale zmieniają postać kraju; nie tylko murzynów chrzczą — ale uczą ich karmić się, mieszkać i odziewać się po ludzku — słowem, z dziczy zupełnej tworzą ucywilizowane społeczeństwo.

A że najcięższe siły fizyczne muszą się kiedyś zużyć, więc w nagrodę za takie życie, mają tylko śmierć na — obczyźnie.

Ale pod tym względem życia ich, ni tej ilości szczęścia, która na każdego z nich przypada, nie można mierzyć naszą zwyczajną miarą. Nie mówiąc już o nagrodach pośmiertnych, nie widziałem nigdzie — ja, którym wiele jeździł — ludzi podobnie zadowolonych, nawet ze swej doczesnej doli. Uderzyło mnie to i w Zanzibarze, i Bagamoyo, i w położonej głębiej Manderze. Po naszymu możnaby to znów wytłumaczyć chyba tem, że owe życiowe troski, owe gorączkowe zabiegi, owa walka o byt, bogactwo, wygody, o zapewnienie sobie przyszłości kończy się wszędzie u bram misji. Ci ludzie zdołali wytworzyć na świecie to, co na pierwszy rzut oka wydaje się niedościgłem, zupełną pewność przyszłości — i zupełne jej bezpieczeństwo. Każdy z nich wie doskonale, co go czeka — to jest, że czeka go praca i śmierć, ale obie otoczone spokojem niewzruszonym, którego żadne zmiany losu zamącić nie zdołają.

To też pobożność niema tu twarzy surowej, ascetyzm nie tylko nie jest ponury, ale poprostu wesoły. Też samą ewangeliczną sielankę, która ude-

rzyła mój zmysł artystyczny w Zanzibarze, znalazłem i w Bagamoyo — dalsza zaś obserwacja nauczyła mnie, że to jest stały nastrój wszystkich misyj. Prostota tu tak wielka, jak i praca. Wśród tej bajecznej roślinności, przypominającej opisy z *Paul et Virginie*, w cieniu tych palm, bambusów, pod girlandami lian, spostrzegasz pogodne twarze księży, pogodne twarze murzynów i uśmiechy dzieci. Małeńkie, żółtoczarne remizy zawieszają tuż pod drzwiami tysiące gniazd na drzewach, jakby i one wiedziały, że najspokojniej przy misji; inne, różnobarwne ptactwo nawołuje się łagodnie w gąszczach; do wtóru rozlegają się głosy dziecinne, mruczą warsztaty, czasem odezwie się dzwonek, a czasem w głębi ogrodu rozlegnie się głos organów, który, porwany przez powiew morski, leci nad dziką krainą, póki się nie rozproszy i nie zcichnie wśród puszczy.

Tak wyglądają misje, gdy się chce patrzeć na nie okiem artysty. Ale poza tem i poza działalnością swą czysto religijną, mają one i inne znaczenie. Najprzód walczą z niewolnictwem i wspierają europejski humanitarny ruch przeciwniewolniczy potężniej, niż wszelkie środki, potężniej nawet, niż pancerniki i działa. Powtóre walczą z islamem, tą największą plagą Afryki, która, jak już wspomniałem, czyni murzyna murzynowi wilkiem, i z której płynie wszystko złe, bo i samo niewolnictwo, i krwawe razje, i chaos stosunków, i zaguba całych narodów. Słyszałem zdania, że ponieważ praca w Afryce wspiera się na niewolnictwie, przeto, podciawszy niewolnictwo, burzy się odrazu wszelkie stosunki społeczne i wprowadza się

w nie zamęt. Jest to obawa płonna. Ochrzczony i wolny murzyn będzie zawsze pracował, raz dlatego, że mu misjonarz wskazuje na pracę, jako na drogę, wiodącą do zbawienia, powtórze dlatego, by miał co jeść wraz z rodziną. Ale murzyn mahometanin, przy pierwszej lepszej sposobności, rad porzuca łopatę dla strzelby i dobrawszy towarzyszków, idzie w głąb kraju, by tam napadać na wioski rolnicze lub pasterskie, wycinać ludność męską, uprowadzać w niewolę kobiety i dzieci lub zagarniać stada. Wobec tego, przy niepewności o jutro, nikt nie chce pracować, i kraj zmienia się w dziką i krwawą pustkę. Islam, znaczy tyle, co niewolnictwo — niewolnictwo zaś, to wojna, dzikie napady, zaniechanie pracy, morze krwi, morze łez, zastój i bezład. Ludzie, stojący zdala od tych stosunków, nie zawsze to rozumieją i głoszą, że gdyby misje nie walczyły z islamem, łatwiejby spełniły swe zadanie, gdy tymczasem pogodzić się z islamem byłoby to dla misjonarzy rzec się po prostu racji bytu.

Gdzie jest misja, tam kraj wygląda inaczej: chaty są obszerniejsze, murzyn karmi się lepiej, odziewa lepiej, kultura jest wyższa, produkcja znaczniejsza. W okolicach, odległych od misji, rozmaite szczepy prowadzą życie płonne, z dnia na dzień, niemal jak żerujące zwierzęta. Kobiety drapią ziemię, byle zasadzić trochę manjoku, lecz gdy zdarzy się rok, że manjok nie urodzi, ludzie przymierają głodem w najbujniejszej na świecie ziemi. Słyszałem jeszcze w Kairze człowieka, skądinąd rozsądnego, który czynił misjom zarzut, że nie uczą murzynów rzemiosł. Zarzut wydał mi się słuszny — i dopiero po przyj-

rzeniu się miejscowym stosunkom, poznałem całą jego błahość. Naprzód w miejscach, gdzie rzemiosła, jak np. w Bagamoyo, mogą znaleźć jakiekolwiek zastosowanie, murzyni uczą się ich i uczą bardzo dokładnie, ale w głębi kraju jakich rzemiosł mają uczyć misjonarze? Zapewne nie szewstwa, bo wszyscy chodzą boso; nie kołodziejstwa, bo niema dróg, ni zwierząt pociagowych; nie budownictwa, bo każdy murzyn potrafi zbudować sobie chatę; nie kowalstwa, bo także każdy umie wyklepać na kamieniu, nieraz bardzo ozdobny, nóż i dziryt. Rzemiosła idą za potrzebami, a potrzeb nie masz prawie żadnych, te zaś, które są, pierwotny miejscowy przemysł zaspakaja doskonale. Natomiast misjonarze, nawet w najdalszych krańcach Afryki, uczą rzeczy nierównie donioslejszej, to jest sadzenia drzew, zabezpieczających od głodu. Każdą najmniejszą misję otaczają kokosy, manga, drzewa chlebowe, kawowe, mandarynki, cytryny i t. p. Trzeba zaś wiedzieć, że drzewa podobne, w tej przynajmniej części kraju, którą zwiedziłem, nie rosną w stanie dzikim. Owóz murzyni, zamieszkali w stanie dzikim, idą nieodmiennie przez samo naśladownictwo za przykładem księży — i otaczają się ogrodami — podczas gdy w wioskach odleglejszych nie spotykaliśmy często ani jednego owocowego drzewka. Łatwo zrozumieć, co się dzieje w takich wioskach, gdy manjok nie urodzi.

Misje więc są, poza swą działalnością duchową, potężnym czynnikiem cywilizacyjnym, podnoszącym wytwórczość kraju. Co do duchowego wpływu ich na czarnych, powiem tylko to, że murzyna-zwierzę zmie-

nią w murzyna-człowieka, posiadającego czasem bardzo wysokie przymioty społeczne.

Najprzód, ochrzciwszy się, poczuwa się on tem samem do pewnej godności ludzkiej. Jest to natura pierwotna, prawie dziecinna, wrażliwa niesłychanie. Gdy się do czarnych mówi, każde słowo odbija się na ich ruchliwych twarzach, jak w zwierciadle. Jeśli się śmiejesz, biorą się za boki — jeśli się zmarszczysz, ogarnia ich przerażenie — jeśli ich zawstydzisz, nie wiedzą, gdzie się pochować. Nietrudno odgadnąć, że tego rodzaju człowiek, przyjąwszy chrześcijaństwo, przyjmuje je gorąco i bez zastrzeżeń — że zaś misjonarz nakazuje mu kochać ludzi a zakazuje pastwić się nad nimi, kraść, upijać się, że prócz tego poleca mu pracę, jako źródło cnót, więc takie wielkie, czarne dziecko stosuje się do tych przepisów, o ile potrafi. Oczywiście trzeba zawsze coś odliczyć na słabość natury ludzkiej, na grube instynkta i popędy, których nie przeorały wieki cywilizacji, ale bądź co bądź, ogół murzynów chrześcijan stoi nieskończenie wyżej od mahometan lub fetyszystów, często zaś można spotkać osobniki, żyjące w sposób tak zgodny z ewangelją, jak stary „wuj Tom“ ze starej powieści.

W żadnym razie nauka chrześcijańska nie staje się dla murzyna martwą literą, szeregiem zwyczajów i obrzędów, gdyż wkłada on w nią swoje naiwne a gorące serce — i wierzy bez cienia wątpliwości w to, co mu misjonarz mówi. Ta ufność i wiara jest tak wielka i powszechna, że mają ją w równym stopniu nawet ci, którzy nie przyjmują chrześcijaństwa.

Murzyn fetyszysta, zamieszkały w pobliżu misji, który, dla jakichkolwiek przyczyn, najczęściej z powodu wielożeństwa, nie ochrzcił się, posyła jednak swe dzieci do misji, sam zaś, biedaczysko, niema najmniejszej wątpliwości, że pójdzie do piekła. Czasem też w swojej dzikiej, naiwnej głowie szuka na to rady i pragnie wykręcić się sianem. Przychodzi wówczas do misjonarza i mówi mu:

— *M'buanam Kuba!* Ja nie mogę się ochrzcić, bo cóż! — nie mogę przecie wypędzić żon, które kupiłem, i które sadzą kasawę na mojem polu; ale ponieważ nie chcę także pójść do piekła, więc zrób tak: jak będę umierał, to ci dam znać, a ty przyjdź prędko i ochrzcij mnie...

Tu uśmiecha się bardzo chytrze, rad, że swoim czarnym rozumem wymyślił taką podrywkę na Pana Boga. Co do księży w Bagamoyo i innych misjach, zauważyłem, że ci nietylko chrzczą i uczą murzynów, ale ich także kochają.

Wielożeństwo stanowi istotną zaporę dla chrześcijaństwa, skutkiem czego misjonarze poświęcają się głównie wychowywaniu dzieci. W Bagamoyo jest ich obojej płci kilkaset. Niektóre, wykupione od handlarzy niewolnikami, pochodzą z krain bardzo odległych; wróca one kiedyś w domowe pielesze i będą w głębi Czarne go lądu opowiadały naukę, jaką wyniosły z misji.

Sam sprawdziłem, jak chętnie nawet murzyni-fetyszysci oddają dzieci swe misjonarzom. W naszej karawanie mieliśmy chłopca lat szesnastu, imieniem Thomas; obowiązkiem jego było nosić dwa aparaty

fotograficzne i filtrować wodę. Otóż był to syn nie tylko pogańskiego, ale i ludożerczego króla Muene-Pira, w którego wiosce spędziliśmy później noc i dzień, bardzo gościnnie podejmowani. Stary czcił rozmaite „krikri“, ale chciał, by syn jego był chrześcijaninem — i oddał go misjonarzom.

Osady murzyńskie, leżące w wielkim lesie palmowym, zasadzonym przez ojców, a także i w pobliżu niego, są przeważnie chrześcijańskie — i mieszkańcy ich żyją zbożniej od sąsiednich mahometan. W samem mieście Bagamoyo większa część czarnej ludności wyznaje islam, z tego powodu, że tak miało, jak i wybrzeże, należało do niedawna do sułtana Zanzibaru, wpływ więc arabski był tu wszechwładny. Ale od czasu, jak Niemcy opanowali całą krainę, wpływ ten ustał zupełnie; Arabowie zostali rozproszeni; islam nie może już być narzucany z góry niewolnikom, bo nowi władcy znieśli niewolnictwo nie tylko na papierze — więc przynajmniej nie rozszerza się tak, jak dawniej. Od tej pory zadanie misjonarzy jest łatwiejsze. Niemcy zaś, należy im oddać tę sprawiedliwość, mają zbyt dużo rozumu, by je utrudniać.

Tak było przynajmniej za rządów Wissmana. Obecny jego następca pójdzie zapewne śladem poprzednika

Być może, iż po upływie pewnej ilości lat, mahometanizm, nie popierany z góry, tak jak np. w Zanzibarze, zniknie zupełnie w okolicach Bagamoyo a kiedyś, zczasem, i na całym obszarze posiadłości niemieckich. Wówczas dopiero zamieszkałe w nich roz-

maite szczepy murzyńskie zacząć żyć życiem ludzi ucywilizowanych.

Czy ich cywilizacja nie popsuje, czy nie wprowadzi do ich dusz więcej żądz, niż zasad, trudno na to odpowiedzieć. Zależy od tego, z jaką cywilizacją się zetkną. Słyszałem niejednokrotnie zdanie, że ucywilizowany murzyn traci swe dawne, pierwotne przymioty i staje się istotą z gruntu zepsutą. Być może; należy wszelako uwzględnić, że państwa, które brały w posiadanie brzegi Afryki, nie starały się bynajmniej aż do ostatnich czasów o przygotowanie murzyna do cywilizacji, i że stykał on się dotychczas wyłącznie z cywilizacją, którąbym nazwał portową, chorą na gorączkę zysku, na rozpustę, pijaństwo, chęć używania i niesumienność. Murzyn stawał się poprostu ofiarą takiej cywilizacji, która dawała mu przedewszystkiem wódkę i choroby zakaźne a nie dbała o niego i niczego nie uczyła.

Brał więc z niej zło, bo nie mógł wziąć czego innego. Ktoby jednak sądził, że murzyni-mahometanie silniej opierają się tym rozkładowym czynnikom od chrześcijan, tenby wpadł w błąd najgrubszy. Gdzie nowe żądze, zrodzone z portowego zepsucia, dołączają się do dawnych żądz i namiętności, których islam jest bądź co bądź piastunem, tam czarny spada na ostatni stopień zezwierzęcenia. Islam nie broni go nawet od pijaństwa, ponieważ koran nie przewidywał wódki. Chrześcijanie dają wogóle opór skuteczniejszy, jeżeli zaś psują się oni, to dlatego, że gdzie nigdzie owa cywilizacja przynosi im, wraz z gorzałką, jeszcze sceptycyzm.

Pierwszy wieczór w Bagamoyo zeszedł mi na rozmowie o tych sprawach z misjonarzami. Siedząc na werandzie domu i gawędząc, czekaliśmy na powrót towarzyszków z obiadu, wydanego w mieście przez zastępcę Wissmana. Wraz z ich przybyciem księża porozchodzili się na spoczynek — ja zaś zostałem sam na werandzie, której żelazne kraty pozamykano starannie. Jest to jednak jeszcze pierwotny i dziki kraj, w którym po zachodzie słońca, nawet po ogrodzie misji, byłoby niebezpiecznie się przechadzać. Noc była gwiazdzista, ale ciemna, bo bezksiężycowa — i duszno bardzo. Ogród w głębi przedstawiał zbitą czarną ścianą, bliżej zaś wyglądał, jak fantastyczny dziewiczy las. Naokół rozlegały się głosy żab, dziwne, do świergotu ptactwa podobne, nie połączone w stałe rzechotanie, ale przerywane, powtarzające się co chwila, w jednakich odstępach czasu. Dwa olbrzymie brytany duńskie, zamknięte na werandzie, przychodziły się łączyć do mnie, czasem zaś, przesadziwszy paszczę przez kraty i zjeżywszy karki, czekały basem na ogród, wietrząc widocznie nieprzyjaciół ukrytych w ciemności. Jakoż tej samej jeszcze nocy budziłem dwukrotnie mego towarzysza, by posłuchał głosów, prawdopodobnie lamparcich, dochodzących z głębi ogrodu.

Na dworze nie było najmniejszego powiewu, więc i upał nie zmniejszał się wcale, chociaż padała wilgoć obfita. Oddycha się tu powietrzem jeszcze cięższem i niezdrowszem, niż w Zanzibarze. Miałem na sobie ubranie z flaneli, niemal tak cienkiej, jak płótno, a jednak pot osiadał mi co chwilę

na czole — i nie czułem żadnej ochoty do snu. Ale mimo tego myśl, iż już jestem na stałym łądnie i że za kilka dni wyruszę w głąb, takim przejmowała mnie zadowoleniem, że była to dla mnie jedna z najprzyjemniejszych bezsennych nocy, jakie kiedykolwiek spędziłem.

XII.

Ostatnie przygotowania. — Brat Oskar. — Nasi ludzie. — Ceregiele przed wyruszeniem. — Bagamoyo. — Wissman. — Psychologia czarnych. — Życie w Bagamoyo. — Domy. — Mrówki. — Obiad w klubie oficerskim. — Owady.

Nadeszły dni krętaniny, poprzedzającej wyruszenie z misji. „Frère Oscar“ zamykał się w swoim pokoju z całym naszym kramem, to jest zapasami żywności i towarami, rozdzielając je na paki, ważące po 30 kilo. Tyle każdy „pagazi“ nosi w czasie pochodów na głowie. Zwierząt jucznych nie używa się w tej części Afryki, bo zresztą prawie ich niema. Podczas wypraw zastępują je murzyni. W samem Bagamoyo znalazłoby się może parę tuzinów osłów, używanych do pracy w plantacjach; koni, o ile wiem, jest jedna para, należąca do bogacza Sewa-Hadzi; wielbłądy nie są tu wcale znane; z bydła rogatego trzymają garbatą indyjską odmianę, zwaną Zebu. Woły tej rasy dałyby się zapewne użyć do dźwigania ciężarów, ale przez swą powolność opóźniałyby niezmiernie pochód, przynęcały lwy i wreszcie wyginęłyby niechybnie od ukąszeń muchy tse-tse, która znajduje się w obfitości przy wszystkich wodach.

Dwa lub trzy osły byłyby pożyteczne w karawanie, choćby dlatego, żeby móc sięść na którego w czasie zmęczenia. Są one jednak naprzód bardzo kosztowne. Cena osła, która w Egipcie wynosi kilkadziesiąt franków, dochodzi w Bagamoyo do pięćset. Dalej mucha tse-tse jest prawie dla osłów równie niebezpieczna, jak dla wołów; po nocach trzeba także nad nimi czuwać, a na koniec ma się z ich powodu tysiące kłopotów przy przeprawach. Mostów oczywiście nigdzie niema. Przez rzeki przejeżdża się pirogami, lub przebywa się je w bród, wyszukując umyślnie miejsc płytkich, ale bardzo bystrych, we wszystkich bowiem innych roją się krokodyle. Otóż tam, gdzie człowiek przechodzi mniej więcej łatwo — osła, który podstawia prądowi cały długi bok, woda znosi. Jeżeli go zniesie — odnajdą go tylko krokodyle; trzeba więc nieszczęsnych kłapouchów przeciągać przymocując na linach, co przy ich uporze zabiera całe godziny czasu.

Postanowiliśmy przeto, idąc za radą brata Oskara, nie brać osła. O dwunożnych czarnych „pagazis“ były także trudności niemałe. Ów oficer, który nam podczas obiadu w misji zapowiedział, że ma rozkaz udania się do kraju U-Zagara, wyszedł rzeczywiście na czele dwustu żołnierzy, przyczem dla niesienia zapasów, zabrał wszystkich murzynów, jakich mógł w okolicy znaleźć, reszta zaś uciekła w gąszcz. Widziałem nazajutrz po przybyciu całą tą karawanę na placu miejskim, obok niemieckiego fortu. Żołnierze stali w szeregach pod bronią, pagazisowie zaś leżeli w malowniczych grupach, na spieczonej słońcem mu-

rawie, czekając na hasło wyruszenia. Przez chwilę żałowałem, że się nie przyłączył do tej wyprawy, myślałem bowiem, że jeśli tym murzynom, których oficer nie zdołał zabrać, spodoba się siedzieć dla bezpieczeństwa przez dwa lub trzy tygodnie w gąszczach, to znów nastąpi mitrega bez końca. Jakoż, gdyby nie stosunki misjonarzy i nie mir, jakiego zażywa między czarnymi brat Oskar, osiedlibyśmy niechybnie na koszu. Brat Oskar miał jednak wiadome sobie sposoby trafienia do zbiegów i przedstawienia im, że chodzi o wyprawę z przyjaciółmi ojca Stefana, którzy dobrze zapłacą, i którzy nie idą na wojnę. Skutkiem tego, zaraz nazajutrz, rozmaite obce czarne figury poczęły się pojawiać w misji, a potem przybywało ich coraz więcej. Kto wziął zadatek, wynoszący, o ile pamiętam, półtorej rupji, to jest około trzech franków, ten tem samem przyjmował zobowiązanie. Nie groził nam też tu zawód, na jaki naraża się każdy podróżny, najmujący ludzi w Zanzibarze, gdzie murzyni biorą zadatek i nie pokazują się więcej.

Brat Oskar znał ludzi, więc wybierał tylko najuczciwszych, a zresztą murzyni, kochając misjonarzy i potrzebując ciągle ich opieki, rzadko pozwalają sobie nie dotrzymać zobowiązań, jakie względem nich zaciągają. Zachodziłem raz wraz do celi brata Oskara, aby przypatrzeć się twarzom tych przyszłych towarzyszy i umieć je później pomiędzy innemi czarnymi rozeznaczyć. Murzyni, dla nieprzywykłego oka, są wszyscy do siebie podobni, tak samo zresztą, jak i my dla nich wydajemy się zapewne między sobą podobni. Wkrótce jednak nauczyłem się ich odróż-

niać. Byli to ludzie z M'-Guru i U-Zaramo. Znajdowało się między nimi kilku chrześcijan, jako to Bruno, przewodnik karawany, mały Tomasz z narodu ludożerczego U-Doe, syn owego króla Muene-Pira, o którym wspomniałem wyżej — i Franciszek, tłumacz. Tych łatwo było odróżnić po krzyżykach, zawieszonych na piersiach; mały zaś Tomasz miał, prócz tego, spiłowane na ostro przednie zęby, którą to oznakę, powszechną u ludożerców, wyniósł z domu. Brat Oskar miał roboty w bród. Samo zgromadzenie zapasów i sprzętów, między którymi były polowe łóżka, namiot, strzelby, żywność, perkale, a dalej rozdzielanie tego na równo-ważące paki, zabrało niemało czasu. Przytem trzeba było z każdym murzynem gadać osobno, zgodzić go, zadatkować i wyznaczyć każdemu, co ma nieść. Zdaje się, że gdy paki jedna w drugą ważą po 30 kilo, wszystko jedno, jaką kto niesie — tymczasem nieprawda! Murzyn wybiera sobie pakę, przywiązuje do niej swój bambus, uważa, że jest obowiązany nieść tę, a nie żadną inną — i zdaje mu się, że uchybiłby własnej godności, gdyby się innej dotknął. Łączy się z tem i miłość własna i naiwna próżność, bo jeśli który niesie naprzykład strzelby białego człowieka, jego łóżko, torbę podróżną lub inne rzeczy bezpośredniego użytku, to tem samem uważa się za większą figurę od tych, którzy dźwigają perkal lub mąkę. Tłumacz, to już dygnitarz, co się nazywa, który co najwyżej raczy nieść strzelbę lub latarkę.

Przypatrując się tego rodzaju ceregielom, nabywa się wprawy podróżniczej, cierpliwości i znajo-

mości czarnych. Murzyni są gadatliwi, niemniej niż egipscy Arabowie, a przy swem dziecinnem usposobieniu, spierają się o byle co, kłócą się, śmieją lub krzyczą, łatwo więc sobie wystawić, jaki stąd powstaje rozgardjasz, zwłaszcza w pierwszych chwilach przy urządzaniu karawany. Trzeba tych ludzi znać doskonale, by umieć utrzymać karność, a nie wpaść w tyraństwo.

Podziwiałem istotnie pod tym względem brata Oskara. W postępowaniu jego z czarnymi nie było ani sentymentalnej przesady, ani też grozy. Zależał on wszystko w sposób wesoło-rubaszny, rozdawał od czasu do czasu żartobliwe szturchańce, okraszzone conceptem, po którym cała czarna trzódka brała się za boki, powtarzając: „O m'buanam! m'buanam!” (O, panie, panie!) Uśmiech dobrotliwy nie schodził z jego twarzy, a jednak trzymał ład, jednym spojrzeniem przecinał spory lub zbytnią gadaninę. Kto umie być wesołym, nie tracąc przytem powagi, ten śmiechem i conceptem zdoła jakoby wszystko od murzynów wymóc i wszędzie ich doprowadzić. Ale oczywiście jest to dobry sposób dla tych, którzy posiadają doskonale język miejscowy. Kto go nie umie, nie może się puszczać na koncepta a musi jednak utrzymać w ryzie swoich ludzi, albowiem przy wszystkich dobrych stronach murzynów, żeby się działo z podróżnikiem, któregooby pozbadli. Ma się do wyboru: albo narzucić karność, albo stać się ofiarą rozhukanej samowoli. Ponieważ i brat Oskar ostrzegł nas kilkakrotnie, że trzeba ludzi krótko trzymać, więc spotykając ich, bądź to na werandzie misji, bądź

w pokoju brata, przy rozdzielaniu pak, czyniliśmy tak Jowiszowe twarze, że nam się samym śmiać chciało. Murzyni też spoglądali zarazem z ciekawością i obawą na swych przyszłych M'buana Kuba i M'buana Ndogo, z którymi mieli się nie rozstawać przez całe tygodnie, i którzy mogli okazać się dla nich dobrzy, albo bardzo źli. Biały człowiek, który wychodzi z karawaną w głąb, staje się siłą rzeczy nieograniczonym panem ludzi — a i każdy murzyn ma to we krwi, że raz najawszy swe usługi, uważa się przez czas trwania układu poniekąd za niewolnika swego chlebobdawcy.

Robota postępowała szybko, liczba „pagazich“ dosięgła dwudziestu, i mogliśmy niebawem wyruszyć — ale tymczasem zaczęły trudności wyrastać z innej strony. Obawy wojny zwiększyły się; od Wissmana nie było po staremu żadnej wieści, a skutkiem tego zastępca jego w Bagamoyo począł wahać się, czy może naszą karawanę puścić w głąb kraju. Ponieważ podróżnikowi, który chce iść w głąb, pozwolenie po-brzeżnej władzy jest koniecznie potrzebne, jeśli nie zę względu na jego osobę, to zę względu na czar-nych, którzy z nim idą, trzeba było przeto starać się o nie, chodzić, układać się, tłumaczyć. Gdyby nie listy, które miałem z Berlina, nie wiem, czyby te za-biegi wywarły pożądany skutek, zastępca bowiem obawiał się wydać pozwolenia na własną odpowiedzianłość. Listy jednak zapobiegły widocznie obawom, i wkońcu otrzymaliśmy żadaną zgodę, musieliśmy tylko zobowiązać się, że nie pójdziemy do okolic

objętych wojną — czego zresztą w żadnym razie nie mogliśmy z dwudziestoma ludźmi uczynić.

Broń podlega w posiadłościach niemieckich silnej kontroli — władzom chodzi bowiem o to, by nie przedostawała się ona w ręce krajowców. Strzelby otrzymują rządowy stempel, kto zaś chce tego uniknąć, opłaca dziesięć rupij podatku, a sto zastawu; tę ostatnią sumę zwracają przy powrocie. Na stemplowanie, które niszczy bardzo kolby, nie chcieliśmy się zgodzić, od składania zaś zastawu uwolniono nas, może przez uprzejmość, może na skutek listów berlińskich.

Załatwianie tych czynności było dość nudne; miało zaś tę tylko dobrą stronę, że z powodu przedłużonego pobytu, mogliśmy lepiej przypatrzeć się miastu, a przez stykanie się z ludźmi, ocenić dokładnie stosunki miejscowe. Widzi się tu różne ciekawe rzeczy. Sądziłem na przykład, że w Bagamoyo, tak dobrze, jak i w całych Niemczech, na straży interesów niemieckich stoją biali żołnierze, rodem z nad Elby, Sprewy lub Renu — tymczasem przekonałem się, że ich tu nie masz wcale. Może zresztą, jeśli jakowi byli, Wissman zabrał ich naówczas ze sobą, dość, że w mieście nie widziałem, prócz podoficerów i oficerów, ani jednego. Szeregowcami są Zulusi Sukańczycy. Ci ostatni zwłaszcza, ujęci w kluby żelaznej europejskiej dyscypliny, wyrabiają się jakoby na wybornych żołnierzy. Miejscowy żywioł (Suahili i U-Zaramo), jako zbyt niepewny, nie bywa powoływany do szeregów. Oczywiście ludzie z Zululandu i Sudanu nie poczuwają się do żadnego pobratymstwa

z miejscowymi, będąc zaś „askarisami“, to jest żołnierzami, uważają się za istoty nieskończenie wyższe, mające prawo do zupełnej pogardy dla biednych, pół-nagich okolicznych murzynów.

W ten sposób czarny ład biali ludzie zagarniają i trzymają czarnemi rękoma. Inaczej zresztą nie mogłoby być, gdyż biały człowiek nie może dźwigać pod tą szerokością tornistra i karabina.

Drugą rzeczą, ważniejszą, jaka uderzyła mnie zaraz na wstępie, jest niesłychana małość środków, jakimi są te zdobycze afrykańskie utrzymywane. Posiadłości, naprzykład niemieckie, w tej stronie Afryki przewyższają o wiele rozległością całe Niemcy, zaś wszystkiego tego strzeże kilkuset czarnych żołnierzy i kilkunastu białych oficerów. Wyszedszy za ostatnie chałupy Bagamoyo, można przejść setki mil, nie spotkawszy ani jednego niemieckiego żołnierza. Gdzie nigdzie tylko, w rozrzuconych na olbrzymiej przestrzeni stanicach, stoją małe załogi. Kraj w rzeczywistości nie jest zajęty, a niemieckim nazywa się chyba dlatego, że go za taki uznały, na mocy układów, państwa europejskie. Co się tyczy czarnych, ci, o ile nie są w bezpośredniem sąsiedztwie miasta, panowanie niemieckie uznają o tyle, o ile się boją, że w razie nieposłuchu przyjdzie wojenna wyprawa i skarci ich mniej więcej surowo. Rodzi się stąd konieczność urządzania raz wraz wojennych wypraw, które nie zawsze utwierdzają władztwo białych. Łatwo zrozumieć, że w takich warunkach dużo zależy od osobistości człowieka, który krajem rządzi i od sławy, jakiej zażywa on między murzynami. Wissman był

niewątpliwie takim człowiekiem, nietylko dlatego, że umiał w razie potrzeby czarnych bić, ale że potrafił ich sobie także zjednywać. „Wissman kocha czarnych — mówił mi ojciec Stefan — i oni to czują“. Dzięki temu, rządy jego, przy całej energii, a nawet surowości, nie były bezduszne. Czarni bali się go wprawdzie, ale tak, jak dzieci boją się ojca, skutkiem czego w tych przynajmniej szczepach, które stykały się z nim częściej, wyrabiało się poczucie, że władza jego jest naturalną i prawą. Oczywiście, że poczucie takie było potężniejszym środkiem rządzenia od bagnetów.

Ale w chwili, gdy to piszę, Wissman przestał już być wielkorządcą kraju, środki zaś pozostały po staremu tak szczupłe, jak i były, dlatego następni wielkorządcy będą mieli trudne zadanie. Niemcy są wprawdzie dość potężne, iżby w danym razie przysłać tyle wojska, ile go będzie potrzeba — i kraju z pewnością z rąk nie wypuszczą; ale tymczasem nie wiem, czy owa szczupłość środków wyjdzie im na dobre. Jest to oszczędność bardzo kosztowna, bo pociąga za sobą nieustanne wyprawy wojenne, podsyca zachcianki oporu, przedłuża rządy czysto wojskowe i opóźnia tę chwilę, w której kraj pocznie zwracać nakłady, t. j. w której zostanie ostatecznie otwarty dla handlu, przemysłu i rolnictwa.

W tych posiadłościach niemieckich, o których piszę, nastąpi to zapewne jeszcze nie prędko. Dla niemieckiego handlu i przemysłu okażą się te kraje korzystne dopiero wówczas, gdy czarni ucywilizują się, i gdy potrzeby ich wzrosną. Co do rolnictwa, nadzieja, że zczasem nadmiar ludności niemieckiej

będzie spływał w te strony, że chłopci niemieccy poczną tu zakładać sadyby i krajać pługami ziemię, jest czystem złudzeniem. Będzie to może miało miejsce wyjątkowo, w okolicach bliskich gór i mających, skutkiem wyniesienia, klimat chłodniejszy. Wogóle jednak człowiek biały nie może tu pracować, a zatem i o osadnictwie, w zwykłym znaczeniu tego wyrazu, nie może być mowy. Jeśli rolnictwo rozwinie się kiedy w tym kraju, stanie się to tylko w taki sposób, że potworzą się wielkie towarzystwa, nakszałt istniejącego już „Ost-afrikanische Gesellschaft“, i przy plantacjach kawy, trzciny cukrowej, bawełny itd., będą się posługiwały rękoma czarnych najemników. Ale ponieważ czasy niewolników minęły, więc owe przedsiębiorstwa rolnicze muszą szukać najemników, i ta okoliczność będzie długo jeszcze stanowiła nielada szkopuł, murzyni bowiem nie lubią pracy i nie chcą pracować ponad własną potrzebę. Murzyn-mahometanin sądzi, że praca poprostu mu uwłacza. Jedni tylko chrześcijanie pracują chętniej — przyszedł zatem rozwój kraju stoi w prostym stosunku do rozwoju działalności misjonarzy. Dlatego to Niemcy nie czynią żadnych przeszkód misjom, chociaż te są prawie wyłącznie francuskie.

Jeszcze przed przybyciem mojem w te strony, słyszałem i czytałem nieraz o okrutnem obchodzeniu się Niemców z czarnymi. Jest w tem dużo przesady, zwłaszcza, gdy się uwzględni, że kraj jest pod zarządem czysto wojskowym. Są to rządy surowe, bo to leży poniekąd w charakterze niemieckim, ale bynajmniej nie mające na celu wytępienia miejscowej

ludności. Byłoby to nawet przeciwne interesom niemieckim, bo jeśli, jak wspomniałem, przyszły rozwój kraju ma się oprzeć na pracy czarnych — trzeba więc tych czarnych oszczędzać. Między oficerami niemieckimi znajdzie się zapewne wielu ludzi niedorastających Wissmana, nieożywionych duchem filantropji, bezwzględnych w postępowaniu i nieumiejących zrozumieć, że od czarnego człowieka nie można tyle wymagać, ile od Europejczyka. Ponieważ krajem rządzą wojskowi, zatem ludzie skłonni do tuzania, więc też i tuzają murzynów, czasem bez koniecznej potrzeby, czasem nadto, ale zawsze tylko w razie oporu. Natomiast niewolnictwo zostało zniesione, i handel ludzi jest ścigany z energją, większą nawet niż w Zanzibarze, zostającym pod protektorem angielskim. Pierwszy lepszy Arab nie może już przebiegać kraju na czele oddziału krwawych drapichrustów, palić, rabować, uprowadzać dzieci i kobiety w niewolę. A przecież dawniej był to normalny stan kraju, i żaden murzyn nie wiedział, kiedy nadejdzie jego dzień i godzina. Ustały również wojny rozmaitych małych narodzików, które w dawniejszych czasach wytepiały się wzajemnie do szczętu. Gdy jaki dziki szczep, jak naprzykład Massai, napadnie sąsiadów, wnet z nad brzegów wyrusza ekspedycja dla skarcenia rozboju. Bezpieczeństwo w kraju dla osób i własności jest nierównie większe, niż za władztwa Arabów.

Zapewne, że takie stosunki, w którychby każdy poprzestawał na swoim, byłyby najbliższe ideału — faktem wszelako jest, że państwa europejskie zabierają i rozdzielają między sobą Afrykę, co zresztą,

w razie przeciwnym, Arabowie czyniliby nierównie okrutniej. Otóż Niemcy wzięli swoją część prawem nie gorszem, ani nie lepszem, niż inni — i rządzą też nie gorzej, niż inni. Czynią zapewne wiele omyłek, bo jest to pole, na którym nie mają takiej np. praktyki, jak Anglicy, należy jednak przyznać, że panowanie ich w stosunku do dawnych arabskich czasów, jest zmianą, jeśli nie dla dzisiejszych, to przynajmniej dla przyszłych pokoleń pomyślną.

A jednak, mimo, iż na czele rządów stał dotychczas człowiek, który sam kochając czarnych, umiał sobie ich jednać — murzyni żalują Arabów. W czasie powstania Buszirego, prawie wszyscy stanęli po jego stronie — i dziś, gdyby im dać wybór, głosowaliby za Arabami. Żeby to zrozumieć, trzeba sobie umieć zdać sprawę z psychologii dzikiego człowieka. Samowolę, niewolę, okrucieństwo choćby straszne, znosi on, bo musi; gdy przyjdzie cierpieć — cierpi; ale za arabskich na przykład czasów miał on za to wszystko jedną rzecz: oto zdawał sobie jasno sprawę z warunków swego życia, wiedział, co mu grozi, a co nie grozi, za co będzie skatowany, a co mu wolno. W zetknięciu z cywilizacją dziki człowiek traci tę pewność. Przychodzi prawo, którego on nie zna; przepisy, których nie rozumie; zastrzeżenia, do których on nie przywykł; warunki życia, w których się błąka. Wszystko to ciąży na nim, jak chmura. Wie, że mu coś grozi, ale nie wie co; że za pewne postęпки będzie karany, ale nie wie za jakie. Wkońcu traci głowę, kołowacieje. Rodzi się w nim nieustający niepokój, pod wpływem którego życie jego staje się

istotnie ciężkie, i przez który marnieje wreszcie, jak marnieje dziki ptak, zamknięty do klatki.

Anglicy, którzy kolonizują od dawna, liczą się z tą psychologią i umieją się liczyć, a jednak i pod ich panowaniem różne dzikie narody wyginęły zupełnie, nie wskutek prześladowania, nietylko z powodu *whisky* i zaraźliwych chorób, ale także i dlatego, że cywilizacja okazała się dla nich za trudna, a życie nadto złożone. Tasmańczycy wymarli poprostu z rozstroju nerwowego. Murzyni łatwiej osławają się z cywilizacją, niż inne szczepy, ale i oni, zetknięwszy się z nią po raz pierwszy, tracą także równowagę wewnętrzną i cierpią w tym stopniu, że wołają dawne czasy razji, okrucieństwa i niewoli.

Niemcy, w postępowaniu z czarnymi, popełniają też zapewne wiele więcej błędów od Anglików. Słyszałem np., że w Bagamoyo wyszło prawo, iż każdy murzyn, posiadający ziemię, musi ją zapisać w urzędzie. Misjonarze zapewniali mnie, że czarni absolutnie nie zrozumieli, czego od nich chcą. Tyle tam jest pustej ziemi, i własność tak nieokreślona, że przepis ten niepodobnym był do wykonania. Przypuszczam, że setki podobnych przedwczesnych praw sprowadzają tylko zamęt czarnym w głowach i utrudniają im życie.

Niechęć ich do Niemców jest znaczna, jakkolwiek misjonarze starają się ją łagodzić. W samem Bagamoyo murzyni demonstracyjnie bili w pas pokłony Arabom a odwracali się z pogardą na widok Europejczyków. Czynili to dopóty, dopóki nie wyszedł rozkaz, aby każdy kolorowy człowiek, nie wyłączając Arabów, stawał frontem przed każdym białym,

choćby to był prosty majtek. Od tej pory trudno jest chodzić po Bagamoyo, bo cała ludność murzyńska, arabska, indyjska zrywa się i salutuje — gdy zaś człowiek do tego nie przywykł, staje mu się to wkońcu nieznośne.

Zresztę nie jest to wynalazek niemiecki. W Adenie widziałem to samo. W ten sposób przyzwyczajają ludzi ras kolorowych, by białego uważali za wyższą istotę.

Miasto Bagamoyo nie odznacza się niczem, nawet położeniem, niema bowiem portu, i nawet łodzie nie mogą przybijać do brzegu. Przewiduję dlatego, że wkrótce stolicą kraju zostanie Dar-es-Salam, położone dalej na południe. Bagamoyo jest dwa razy mniejsze od Zanzibaru. Domy, tak jak w Zanzibarze, budowane są z rafy koralowej, na krańcach zaś miasta leżą dzielnice murzyńskie, złożone z okrągłych chat, pokrytych trzcina. Leżąca mniej więcej o kilometr misja jest jednym ogrodem — w samem mieście niema drzew, wskutek czego spiekota jest tak straszna, że w dzień trudno jest chodzić po ulicach. Jedyną osobliwością jest dom, z którego wyleciał Emin pasza po powrocie ze Stanleyem z Wadelai. Dom Wissmana zbudowany z drzewa leży nad samem morzem. Słupy, na których się wspiera budynek, umieszczone są w rodzaju żelaznych waz, wysokich na kilka stóp i napełnionych wodą. Dzięki urządzeniu, mrówki i termity nie mogą dostawać się do wnętrza i toczyć ścian. Jest tu kilka gatunków mrówek; z tych najniebezpieczniejsza dla drewnianych budowli — biała, drobna mrówka — draży

drzewo ze środka, pozostawiając na zewnętrznej powierzchni ściankę nie grubszą od opłatka. Dom tak stoczony może runąć w każdej chwili na głowy mieszkańców. Nie wynaleziono dotąd żadnego sposobu obrony przeciw tym szkodnikom, które wkradają się także do domów murowanych i niszczą sprzęty. Jedną z włóczyń somali, którą kupiłem w Zanzibarze, została w ciągu doby przez nie stoczona.

Wogóle owady czynią życie niemożliwem w Bagamoyo. W kilka dni po przybyciu, byliśmy proszeni z towarzyszem na obiad przez miejscowych oficerów, do ich klubu. Otóż żadnemu z nas nie zdarzyło się zapewne, póki życia, zjeść tyle rozmaitych much, moskitów i tym podobnych stworzeń. Kieliszki musiały być zakrywane, ale przez czas potrzeby do podniesienia kieliszka do ust wpadały do niego dziesiątki większych i mniejszych istot. Nad stołem unosiły się rojami ćmy. Długie na kilka cali, podobne do żdźbła żółtej słomy owady chodziły nam po plecach i głowach, chrząszcze wszelkich rozmiarów, nie raz nader okazałych, biły nas po twarzach i oczach. W Afryce trzeba się do takich małych niedogodności przyzwyczaić, i przyzwyczailiśmy się tak prędko i dobrze, że później, gdy w głębi kraju przyszło sypiać w namiocie, nie zważało się wcale, czy tam co po człowieku chodzi lub nie. Byłe nie skorpion — to i zgoda!

Jeden z oficerów niemieckich, porucznik von Bronsart, młody człowiek, odznaczający się polorem i grzecznością, obiecał nam towarzyszyć do rzeki Kingani, odległej o jeden pochód od Bagamoyo. Obo-

wiązki służbowe wstrzymały go dnia następnego, przysłał nam jednak dwóch eskarisów, t. j. żołnierzy, wraz z wiosłami i krukami do wiosła od rządowej szalupy, znajdującej się w M'toni, u przeprawy.

Brat Oskar ukończył wszystkie swe czynności, i mogliśmy niezwłocznie wyruszyć.

XIII

Wyruszenie z Bagamoyo. — Wątpliwość. — Widoki przydrożne. — Ścieżki. — Zarośla. — Dzikie pola. — Przejście kałuży. — Spotkanie karawany. — Skóry pawjanów. — Widoki Europejczyków w Afryce. — M'toni. — Poborca. — Rzeka Kingani. — Krokodyl. — Blaski na rzece. — Wyprawa szalupą. — Hipopotamy. — Atak. — Powrót. — Druga wyprawa. — Dwie głowy. — Hipopotam toczony w dół rzeki. — Zachód słońca. — Idziemy dalej.

Z powodu wojny w kraju Massai, zaburzeń w U-Zagara i niepewności położenia we wszystkich odleglejszych okolicach, wycieczka nasza w głąb kraju musiała być znacznie ograniczona. Powiedzieliśmy sobie jednak: pójdziemy, dokąd będzie można — i gdy wszystkie przygotowania zostały wreszcie ukończone, ruszyliśmy, nie zwłócząc.

Był to dla nas radosny dzień. Wstawszy bardzo rano, poszliśmy do sali jadalnej, gdzie ojciec Stefan, brat Oskar i inni misjonarze zgromadzili się, by zjeść z nami ostatnie śniadanie. Nasi murzyni czekali tymczasem na werandzie, każdy przed swoją paką. Jedni przywiązywali do nich grube kije bambusowe, drudzy sprzeczekali się jeszcze o to, co który ma nieść, gadając przytem tyle, że cała weranda była pełna wrzawy. Misjonarze są to ludzie tak gościnni i serdeczni, że

gdy po kilkudniowym pobycie u nich przyjdzie się z nimi żegnać, a zwłaszcza, gdy się ich żegna, odchodząc w kraje dzikie, między nieucywilizowanych ludzi, ma się takie tęskne uczucie, jakby się opuszczało dom rodzinny i bliskich. Łączy się do tego trochę niepokoju, przez który, sędzę, w ostatniej chwili wyruszenia, każdy musi przejść, kto po raz pierwszy podejmuje taką podróż i nie wie, jak sobie da rady z własną karawaną, z ludźmi, których mu przyjdzie spotkać, z trudami i klimatem. Kto nawet u nas, w Europie, wyjeżdża po raz pierwszy w życiu za granicę kraju, ten także nie jest wolny od podobnego niepokoju, a cóż dopiero, gdy idzie o Czarny ląd, pełen rzeczy i stosunków nieznanych, w którym niema się innej nad sobą opieki i pomocy, prócz własnej głowy i własnych rąk.

Na szczęście, istnieje pewna — p o c i e s z n a, jak dawniej mówiono — zasada. Jest nią czysto nasze i swojskie: „jakoś to będzie!“ W życiu zwykłym, codziennem wypływa ona z lekkomyślności i wprost do niej prowadzi, ale w pewnych wyjątkowych razach może się dobrze przygodzić.

A cóż dopiero mówić o chłopskiem przysłowiu: „Raz kozie śmierć“, które w naszej psychologii powszechnej odgrywa większą rolę, niżby się kto mógł spodziewać. Byle je sobie przypomnieć, animusz zaraz rośnie jak na drożdżach, i tak też urosł i nasz, gdy ostateczna nadeszła chwila.

Żegnamy się wreszcie z księżmi i wychodzimy na werandę. Bruno, dozorca karawany, poczyną krzyć: „Aya! Aya!“ (żywo). Na ów głos paki podnoszą

się na głowy, i ruszamy — my naprzód, czarni za nami. Wkrótce karawana wyciąga się naksztalt węża i pograża nas w las palmowy.

Obaj jesteście w doskonałych humorach. Każdy z nas mówi sobie:

— Więc podróż naprawdę rozpoczęta, więc zobaczymy nareszcie Czarny ląd i doświadczymy, jak się podróżuje po Afryce; ujrzemy stepy, dziewicze lasy, wioski murzyńskie ukryte w gąszczach, przypatrzmy się nieznanym ludziom i nieznanemu życiu!

Dla ludzi, mających jaką taką żylkę podróżniczą, są to istotnie niemałe ponęty. Łączy się do nich poczucie nieograniczonej swobody. Bo przecie, minąwszy Bagamoyo, będziemy już tylko na Bożej i własnej woli — i na koniec, poczucie władzy. Przyjemność, jaka płynie z tego ostatniego poczucia, była dla nas czemś tak niespodzianem, że nie odrazu umieliśmy ją uświadomić. Jednakże tak jest! Życie ucywilizowane pochłania i niezmiernie wydelikaca tę chęć władzy, ale drzemie ona w duszy i budzi się przy pierwszej sposobności, a gdy się rozbudzi, człowiek najbardziej wykwinny, największy sceptyk i pesymista, czuje, że woli rozkazywać, choćby pod równikiem, w jakiej lichej wiosce murzyńskiej, niż słuchać w najwspanialszem z miast Europy. Taka jest natura ludzka.

Po pół godziny drogi mijamy ostatnie domy Bagamoyo. Jest godzina ósma rano, albowiem, jakkolwiek wstaliśmy bardzo wcześnie, marudziliśmy nieco przy śniadaniu i wyczekiwali na owego młodego porucznika, który miał nas odprowadzić do Kingani.

Dopiero w ostatniej chwili przysłał on nam dwóch czarnych żołnierzy i wiadomość, że z powodów służbowych musi pozostać w Bagamoyo. Upał już jest wielki, na niebie ani chmurki, przy ziemi tylko trochę mgły. Wchodzimy na drogę szeroką na metr, wydeptaną w czerwonym gruncie i porośniętą z obu stron haszczami znacznej wysokości, które tworzą jakby sztuczny, cienisty szpaler. Ale po pewnym czasie kończy się droga i szpaler, a z niemi wszelkie ślady kultury — i poczyna się okolica dzika.

Takie nagłe przejścia od cywilizacji do pustynnej głuszy widziałem już swego czasu w południowej Kalifornji, tylko, że tam pustynia pokryta jest kaktusami, tu zaś występują trawy, trzciny i krzaki. Idziemy dalej ścieżką nie szerszą nad piędź, wydeptaną przez murzynów. Siecią takich ścieżek pokryta jest cała Afryka, nawet w najdzikszych swych częściach. Tworzą je karawany, w których ludzie chodzą zawsze jeden za drugim. Trawy wokoło nas są tak bujne, że przenoszą nasz wzrost i chwilami przesłaniają nam widok. W niektórych miejscach zastępuje je jeszcze wyższa trzcina, w innych mimozy, chwytające kolcami za ubranie. Oglądam się poza siebie i widzę naprzód kołyszącą się linię pak na głowach czarnych, za nią haszcze przydrożne, któreśmy już przebyli, w dali, hen, pióropusze palm przy misji, już przysłonięte mgłą oddalenia, a obok nich, jakby plamy drgające i świetliste, utworzone przez odbicie się promieni słonecznych od białych domów miasta. Ale wkrótce wszystko to niknie nam z oczu — i gdzie spojrzeć, wszędzie jedno: krzaki i trawy, trawy i krzaki;

nad tem kopuła nieba, niezmiernie głęboka i z powodu niskiego horyzontu rozleglejsza, niż gdzie indziej. Tu i ówdzie na wyniesieniu potężne drzewo, stojące samotnie, jak nasze maćkowe grusze w polu — i pustka! Nie widać nigdzie roślin wielkolistnych, to jest palm, bambusów i arumów, więc okolica traci charakter podzwrotnikowy i wygląda, jak dzikie pastwisko. Próżno upatruję, czy z krzaków nie wychyli się głowa antylopy, lub czy chwianie się traw nie zdradzi ucieczki jakiego większego zwierza. Nigdzie nic. Tylko stada drobnych ptasząt przelatują falistym lotem nad rozłogami; czasem przyjdzie powiew i pohyli zieloną ich toń, a ta zamigoce płowo i srebrniecpod słońce — wszędy przestronno i powietrznie. Ko loryt okolicy zimniejszy tu, niż w Zanzibarze, bo składają się przeważnie na niego dwie barwy: zielona i błękitna. Słońce wybiło się już wysoko i pali niemiłosiernie. Na siatkowych podkoszulkach mamy tylko białe, płócienne katanki; nie niesiemy nic, prócz manierek z wodą, lunetek teatralnych i parasolek, bo strzelby niosą za nami murzyni, a mimo tego, jesteśmy złani potem.

Cienia mało. Schodzimy zwolna coraz niżej, ponieważ zbliżamy się do łożyska Kingani. Kępy trzciny trafiają się coraz częściej, grunt poczyną pachnieć rozgrzanem błotem; wreszcie zatrzymujemy się nad obszerną kałużą, w której ginie nasza ścieżka.

Kilka minut odpoczynku. Kałużę przechodzi się w najszerszem odkrytem miejscu, bo jedną i drugą stronę ciągnie ona daleko, tworząc nieprzebyte, porośnięte trzcunami bagnisko. Z brzegu, na którym za-

trzymaliśmy się, wygląda ona, jak zapadłe jeziorko. Śpiąca woda pokryta jest miejscami rżesą, miejscami rośliną, podobną do naszego grzybienia, o liściach tarczowatych, płaskich i prześlicznych liljowych kwiatkach, które odbijają się w nieruchomej toni, jak w zwierciadle. Po brzegach stoi mur trzciny, między którymi kręcą się ptaki wielkości naszych wróbli, upierzone fioletowo i czerwono. Czasem który usiedzie na smukłym źdźble, a ono ugina się pod nim i kołysze go, przyczem piórka mieniają się metalicznie i migocą blaskiem drogich kamieni.

Siadamy na plecach askarisów i przeprawiamy się na drugą stronę. Woda dochodzi im do pasa, ale dno widocznie jest twarde, bo idą z łatwością. Po drugiej stronie ten sam obraz: trawy i trzciny! Jesteśmy już niedaleko Kingani, której wyglądam z niecierpliwością, będzie to bowiem, nie licząc Nilu, pierwsza rzeka afrykańska, jaką zobaczę.

Wechodzimy w trawy jeszcze wyższe, całkiem zasłaniające świat. Dziwi mnie ciągle brak wszelkich zwierząt, ale we dnie, nawet w głębokich lasach afrykańskich, panuje wszędzie takie samo milczenie. Natomiast nocą niebezpiecznie byłoby przechadzać się po tych ścieżkach, choćby w towarzystwie i ze światłem. Lecz oto spotykamy jakieś żywe istoty, bo na przeciw nadciąga karawana. Dziwny i oryginalny widok. Są w niej sami czarni. Na przedzie idzie murzyn, przybrany jakby w olbrzymią szarą perukę. Jest to przednia część puszystej i grzywiastej skóry pawjana. Murzyni noszą takie skóry na głowach jako strój; wyglądają w nim istotnie malowniczo, ale nadzwyczajnie.

czaj dziko. W obu rękach trzyma ów murzyn kij, rozszczepiony na końcu, z zatkniętym w rozszczepieniu listem. Trzyma go na wysokości twarzy w sposób tak uroczysty, jakby szedł na czele procesji. Przypuszczam, że czyni to tylko ze strachu, na widok białych ludzi, wykazując się tym listem, jakby paszportem, i że w razie deszczu chowa go jakoś lepiej. Za nim postępuje długim korowodem około ośmdziesięciu lub więcej ludzi, niosących kły słoniowe. Niektóre są tak ogromne, że dwóch murzynów dźwiga jeden. Karawana musi iść zdaleka, może aż od Wielkich Jezior, bo ludzie wyglądają inaczej niż nasi, daleko bardziej dziko. Wydają się też niezmiernie lękliwi. Na okrzyk „nyuma!“ (zatrzymaj się!) cała karawana nietylko się zatrzymuje, ale zeskakuje z wąskiej ścieżki w trawę, czyniąc nam wolne przejście i zachowując postawy pełne bojaźni i uszanowania. Być może zresztą, że gdyby spotkanie nastąpiło dalej, np. o jaki miesiąc drogi od Bagamoyo, nie okazałoby tyle grzeczności.

Przechodzimy zwolna, przypatrując się im ciekawie. Jest kilku przybranych w takie same wspa-
niałe skóry pawjanów, jak i przewodnik; inni prawie nadzy, mają kawałki drzewa lub słoniowej kości w nozdrzach, uszach, wargach. Bierze nas ochota kupić parę takich małych peruk. Ale niema możno-
ści: naszych perkalów dopiero co zapakowanych, nie opłaci się odpakowywać, pieniędzy ze sobą nie mamy, a gdybyśmy wzięli skóry na kwitek od misjonarzy, u których została nasza gotowizna, czarni sądziliby, że im je poprostu odebrano. Mówiąc nawiasem, była to jedyna sposobność, bo takich pysznych pawjano-

wych grzyw nie mogliśmy znaleźć później nigdzie, ani w karawanach, które spotykaliśmy w dalszym pochodzie, ani u Hindusów w Bagamoyo i Zanzibarze.

Gdym widział tych ludzi, przyszło mi na myśl, że jednak murzyni afrykańscy stanowią podatny żywioł dla cywilizacji. Dowodem nietylko powstawanie wielkich państw, jak Uganda i Onyoro, nietylko rolnictwo, którem od wieków zajmowała się większa część pokoleń, ale także wysoce rozwinięty ich instynkt handlowy.

Całą Afrykę przebiegają karawany czarnych, niosąc nad brzegi kość słoniową, kauczuk, piasek złoty i wszystko mniej więcej, co ląd wydaje. Murzyni nietylko handlują, ale rozumieją interesa handlowe. Jeśli bronią przejścia przez swoje terytoria, to głównie z obawy, by udział w handlu i korzyści z niego płynące nie wymknęły się z ich rąk. Podobnego uzdolnienia próżnoby szukać u innych nieucywilizowanych ludów. W pospolitej mowie zwiemy murzynów dzikimi, tak, jak mieszkańców wysp oceanu Spokojnego, Australji, lub czerwonoskórych Indian Ameryki. Tymczasem jest między nimi ogromna różnica, bo gdy te ostatnie ludy żyją tylko z żerowania i myślistwa, murzyni tworzą wrzędzie mniej lub więcej zorganizowane społeczeństwa rolnicze, pasterkie lub handlowe. Tamci unikają cywilizacji, kryjąc się w głębi lasów i stepów; ci jej szukają, przynosząc na brzegi płody swej ziemi. Tamci od niej giną; ci, dostawszy się w warunki zbyt trudne i złożone, cierpią może w pierwszych pokoleniach, wkońcu

jednak przyzwyczajają się do niej i uczą się rozszerzać z pomocą jej środków byt własny.

Powiedziałem już wyżej, że niema żadnych widoków, by narody europejskie, które dziś dzielą się Afryką, mogły skolonizować ją i pozakładać takie nowe państwa, jak na przykład Stany Zjednoczone północnej Ameryki. Ale kto wie, czy nie potrafią uczynić tego na wspólną z czarnymi. Klimat, który nie pozwala pracować białym ludziom, okaże się nie równie łaskawszym dla mieszkańców — być więc może, iż kiedyś, po upływie wielu a wielu lat, powstaną tu państwa mulatów francuskich, niemieckich i włoskich — państwa związane z metropolją, przystosowujące naszą cywilizację do miejscowych warunków.

W podzwrotnikowej Ameryce klimat nie odpowiadał lepiej białym ludziom, niż afrykański, a jednak powstały tam państwa ucywilizowane, których mieszkańcy zdołali się zaaklimatyzować dlatego, że istnieje w nich znaczna domieszka krwi indyjskiej. Może taka będzie przyszłość owych kolonij angielskich, francuskich, włoskich i niemieckich w Afryce. Prawdopodobnie też metropolje potrafią uniknąć niemiłosiernego wyzysku kolonij i wytworzą taki wzajemny stosunek, by obie strony widziały korzyść w związku.

Ale to odległa przyszłość. Tymczasem wracam na ścieżkę wiodącą do Kingani. Dwie do trzech godzin drogi pieszej oddziela Bagamoyo od M'toni, to jest miejsca przeprawy na rzece. Przez cały ten czas nie spotkaliśmy w czasie pochodu ani jednej chaty murzyńskiej. W prawo i lewo, jak okiem sięgnąć, nie było najmniejszego śladu osad ludzkich.

Nie wiem, czy tę pustkę należy przypisać niezdrowemu położeniu, czy też niedawnemu panowaniu Arabów i ustawicznym pościgom za niewolnikami; kraina zdaje się zresztą żyzna. Drzew mało; gdzie nigdzie tylko, jak wspomniałem, olbrzymie samotne boababy patrzą z góry na chwiejne morze traw i haszczów; natomiast bujniejszej trawy nie widziałem nawet w Nebrasce. Idzie się częstokroć, jak korytarzem, nie widząc nic przed sobą; im zaś bliżej rzeki, tem gęszcz większy, bardziej zbity.

Pilno nam było pod jakikolwiek cień, bo słońce poczęło już rzucać niemal prostopadłe promienie. Koło jedenastej przybyliśmy do M'toni. Na spotkanie nasze wyszedł biały człowiek, poborca u przeprawy. Mieszka on tu w sąsiedztwie kilku chat murzyńskich, niewidując całemi tygodniami Europejczyków. Gdyśmy przyszli, miał atak febry, co łatwo było poznać z wypieków na jego twarzy i błyszczących oczu. Przybycie nasze zdawało się jednak sprawiać mu przyjemność. Zaprosił nas niezwłocznie pod werandę i poczęstował kurą, którą wydobyl z kociołka, zawieszonego nad ogniskiem. My wzajem częstowaliśmy go winem, które pił, jak człowiek mający gorączkę.

Upał był coraz większy. Weranda poborcy skła dała się ze wspartego na czterech patykach trzcino- wego dachu, mającego może dwa metry, nie dawała więc dostatecznej ochrony przed słońcem. Poborca spędzał jednak pod nią całe dnie, bo pod jego cera- towym namiotem był taki żar, że chwili jednej nie można było wytrzymać.

Namiot stał tuż nad brzegiem niezbyt wysokim,

ale schodzącym prostopadle w wodę, co utrudniało przystęp krokodylom. Jest ich tu widocznie bardzo dużo, bo gdy któryś z nas spytał Niemca, czyby nie można się w rzece wykapać, ten w odpowiedzi porwał się za głowę i zapowiedział, że nie pozwoliliby na to, choćby mu przyszło użyć przemocy. Mówiąc nawiasem, przemoc nie była po jego stronie, mieliśmy bowiem w karawanie więcej ludzi, niż było ich w całym M'toni. Tymczasem rozbijano nasz namiot i składowano obok niego paki. Namiot kupiłem jeszcze w Egipcie; był on płócienny, zatem bardziej przewiewny od ceratowych, które znów praktyczniejsze są z tego względu, że nie przemakają i nie stają się po dżdżu cięższe. W południowych godzinach bywa jednak i pod płótnem tak gorąco, że lepiej jest sypiać pod gołym niebem, w zaroślach, lub w cieniu drzew.

Podczas śniadania kazałem małemu Tomaszowi filtrować wodę. Mieliśmy filtr Pasteur'a, złożony z trzech rur z białej glinki, zamkniętych gumowymi pistonami i połączonych zapomocą mniejszych gumowych rurek z jednej strony z flaszką, z drugiej z pompką. Rury owe, mające ściany bardzo porowate, zanurza się w wiadrze z wodą i zapomocą pompki wyciąga się z nich powietrze; wówczas woda, przenikając przez drobnouche pory do środka, oczyszcza się i spływa kroplami do flaszki. Gdy mały Tomasz począł ciągnąć za rączkę pompki, nasi ludzie otoczyli go zaraz wokoło, dziwiąc się nieznanemu narzędziu i gubiąc się widocznie w domysłach, do czego ono ma służyć. Dopiero gdy biała i brudna woda z wiadra okazała się we flaszcze zupełnie czystą,

zdziwieniu nie było końca. Tomasz pokazał w uśmiechu swoje zaostrome zęby, inni stali pochyleni, z rękoma wspartymi na kolanach, wytrzeszczając oczy i przypatrując się przeciekaniu wody. Zdumienie rosło. Jedni uderzali się dłońmi po udach, drudzy wybuchali radosnym śmiechem. Nie wątpię, że wszyscy byli przekonani, iż to my wymyśliliśmy to cudowne narzędzie — i prawdopodobnie zyskaliśmy w tej chwili opinię nie tyle jakich czarowników. Opinia ta podnosiła naszą powagę i mogła nam się przydać w przyszłych stosunkach z naszymi ludźmi.

Niemiec opowiadał nam tymczasem swoje dzieje. Jak wielu dziś ludzi, tak i on szukał chleba w Afryce. Dużo przeżył i dużo widział. Służył pod Gordonem, potem był parę lat w państwie Kongo. Chorował na febrę nieskończoną ilość razy. M'toni nazywał podłą i najbardziej febryczną dziurą na świecie i wogóle nie był zadowolony ze swego obecnego losu. O rzece Kingani wyrażał się z pogardą, zapewnił nas jednak, że hipopotamów zobaczymy w niej, ile sami zechcemy, i że niech się tylko ściemni, usłyszymy z pewnością, jak uchodząc przed słońcą falą, napływającą z oceanu w czasie przypływu, będą ciągnęły w górę rzeki.

W M'toni jest szalupa żelazna, którą się przeprowadzają karawany, idące w głąb lądu lub wracające do Bagamoyo. Przeprowa kosztuje jedną pezę, równającą się mniej więcej francuskiemu sou. Karawany idące z wnętrza lądu i nie mające gotowizny, płacą za powrotem. Przez rzekę przeciągnięta jest lina, i wzdłuż tej liny posuwają łódź, zatem przeprowa odbywa się bez wioseł, których M'toni wcale nie ma.

Ponieważ mieliśmy pozwolenie na wycieczkę tą szalupą, więc owi askarisowie, których dał nam porucznik v. Bronsart, przynieśli za nami wiosła i obsady. Ale że w południowych godzinach niepodobna puszczać się na rzekę, więc postanowiliśmy rozpocząć polowanie o trzeciej. Tymczasem o trzeciej pokazało się, że askarisom sprzykrzyło się czekać, i że, nie mówiąc nie nikomu, wrócili sobie do Bagamoyo, razem ze wszystkimi przyrządami. Poborca zredagował zaraz do porucznika v. Bronsart obszerny raport, z którym wysłałem jednego z naszych ludzi. Biedni askarisowie wrócili nazajutrz świtaniem, z minami bardzo rzadkimi. Poborca utrzymywał, że obaj dostali w Bagamoyo kije.

Ale polowanie pierwszego dnia przepadło. Później przekonałem się, że chcąc polować na „kiboko“ (hipopotamy), nie potrzeba wcale łodzi. Dość jest iść brzegiem w górę, albo w dół rzeki, by widzieć głowy, wychylające się z wody, Jest to nawet lepszy sposób, bo hipopotamy płoszą się i usuwają przed łodzią, tak, że strzela się do nich zwykle o sto lub więcej metrów, idąc zaś brzegiem i ukrywając się w krzakach, można strzelać bliżej i widzieć dokładniej, co się ze zwierzyną stało. Prawda, że częstokroć błotnisty brzeg utrudnia posuwanie się naprzód.

Pierwszy dzień zeszedł mi na przypatrywaniu się Kingani. W M'toni jest ona mniej więcej szerokości Sekwany. Białe jej wody posuwają się dość leniwie. Jak cała okolica, tak i rzeka, niema charakteru egzotycznego. Wystawiałem sobie, że ujrzę wody, ujęte w ramę dziewiczych lasów, palmy przeglądające

się w toni, liany zwieszono w kwiecistych festonach nad falą, wielkie liście i różnobarwne ptaki pływające po powierzchni — wszystko zacieśnione, dziwne, wybujałe. Tymczasem nic z tego. Rzeka płynie w pustej okolicy, wśród dość niskich, choć spadzistych brzegów, pokrytych krzami blado-zielonej barwy. Brak temu afrykańskiego kolorytu, chociaż słońce pali niemiłosiernie; brak także podzwrotnikowej bujności, bez której nie umiemy sobie wyobrazić rzek strefy gorącej. Krze są wprawdzie wysokie i bardzo gęste, gdzie niegdzie poplątane i zbite, ale zawsze są to zarośla, nie drzewa — że zaś na całym widnokręgu nie widać nic innego, więc okolica czyni wrażenie ubóstwa, połączonego z dzikością i pustką.

Jest jakaś wyraźna sprzeczność między tym strasliwym upałem, jaki panuje przez cały dzień, a bladym kolorytem kraju. Wydaje się, jakby te rzeczy nie przyszły jeszcze do równowagi, i jakby ta pierwotna ziemia wychyliła się tak niedawno z łona błotnistych wód, iż nie zdołała dotychczas ubarwić się drzewami i kwieciami.

Natomiast jest w Kingani jakiś urok tajemniczości. Gdy się patrzy w górę rzeki, ma się wrażenie, że ta leniwa fala nadchodzi z jakiejś mrocznej krainy, leżącej poza granicą znanego świata. W miejscach niższych woda zalewa zarośla, tworząc pod ich sklepieniem całkiem niedostępne, ciemne łachy, doły i drzemiące jeziora, prawdziwe mateczniki dla wszelkiego rodzaju gadów o bezmyślnych czaszkach, przygasłych oczach, a strasliwych paszczach — dla krokodyłów, żółwi i pytonów, które tam, wśród śmiertelnych wy-

ziewów, lęgną się, grzeją, drzemią i pożerają wzajemnie. Szczególniej drugi, północny brzeg Kingani, jest tak niski, że w czasie pory dżdżystej stanowi jedno wielkie jezioro — w najsuchszej zaś tylko ludzie bywali zdołają tamtędy dobrze przeprowadzić.

Słońce staczało się zwolna ku haszczom; rzeka przybierała barwę świecącej miedzi. Nasi ludzie stali wzdłuż brzegu, rozproszeni na małe grupy, rozprawiając głośno, jak zwykle rozprawiają murzyni. Ponieważ horyzont jest tu wyjątkowo niski, przeto niemal całe ich postacie rysowały się na tle nieba, skutkiem czego wydawali się bardzo wysocy. Poszedłem do namiotu, by wydać na wieczerzę, przy której kucharz nasz, M'sa, miał po raz pierwszy popisać się ze swoim kulinarnym talentem, ale wróciłem niebawem na brzeg, gdyż w jednej z grup poczęto wołać: „Mamba! mamba!“ (krokodyl). Przy wieczornem świetle nie mogłem nic dojrzeć, choć murzyni pokazywali mi palcami miejsce, w którym krokodyl miał się znajdować. Widziałem tylko coś, jakby ciemną plamę przy brzegu, ponieważ jednak słońce już zachodziło, i krze nadbrzeżne rzucały wydłużone cienie na rzekę, cała jej powierzchnia popstrzona była w pasy ciemne, złotawe i miedziane. Miałem żywą ochotę strzelić po raz pierwszy w życiu do krokodyla — ale tymczasem świat zmierzchnął nagle, rzeka zagasła, i noc nadeszła tak szybko, jak tylko pod równikiem nadchodzi.

Pobórca czuł się bardziej chory i poszedł pocić się pod namiot, co mu zresztą musiało pójść łatwo, gdyż gorąco tam było jak w łaźni. My dwaj zasiadliśmy do wieczerzy, złożonej z konserwów i herbaty,

gdy naraz od rzeki doszedł nas plusk wody i chrapanie. To hipopotamy usuwały się już w górę rzeki przed napływającą z oceanu słoną falą. Porwawszy strzelby, pobieглиśmy do worów z solą, złożonych nad samym brzegiem i zasiadłszy na nich, staraliśmy się coś rozeznąć w ciemności. Przez chwilę panowała zupełna cisza, potem znów rozległo się chrapanie i ciężkie oddechy, podobne do stękania. Zdawało się to bardzo blisko, zaledwie o kilkanaście kroków, ale noc była bezksiężycowa, wszystko zlewało się w wielkie, ciemne masy, i żadnych określonych kształtów niepodobna było wyróżnić. Przy brzegach czarno było, jak w piwnicy, śródkiem leżały na rzece wielkie, żelazne plamy, po których przebiegały od czasu do czasu nieco błędne błyski, spowodowane widocznie przez ruch fali, poruszanej przez hipopotamy. Plusk wody i stękania rozlegały się w głębokiej ciszy coraz wyraźniej. Czuć w nich było ociążałość i lenistwo wielkich mas mięsa; zdawało się, że olbrzymie zwierzęta stękaają z wysilenia, i że z trudem przychodzi im dźwigać swoje ogromy w górę rzeki. Z początku słyszeliśmy te odgłosy tylko w dwóch miejscach, potem nadpłynęło widocznie jeszcze kilka hiposów, bo pomruk i westchnienia odzywały się ze wszystkich stron i trwały ciągle, jakby cała gromada uznała za stosowne nie posuwać się dalej. Siedząc na worach i tamując oddech, wpijaliśmy chciwie oczy w ciemność, by choć cokolwiek rozeznąć. W błotach po drugiej stronie zagrały chóry żab jakimś dziwnem rzechotaniem, podobnem do głosów ludzkich. Było to, jakby niespokojna, śpieszna rozmowa we wsi, w której się

coś stało, ale nikt nie wie dobrze co, i jeden przez drugiego gorączkowo wypytuje. Można było przysiąc, że się słyszy podniesione głosy ludzkie. Chwilami rozmowa milkła, jakby się zmieniała w nasłuchiwanie — i czyniła się cisza, którą znów przerywało ciężkie stękanie olbrzymich płuc. Było w tem coś potężnego i wychodzącego poza wszelkie warunki, w jakich się człowiek zwykle obraca. Miało się wrażenie jakiejś przedpotopowej, nieprzygotowanej jeszcze pod życie ludzkie krainy, w której wszystko jest dziwne i potworne.

Wpadłem na myśl, czyby nie można strzelać, oświeciwszy rzekę zapomocą drutu magnezowego, którego zwój wzięliśmy ze sobą, mówiono mi bowiem, że hipopotamy nie lękają się światła. Pomysł jednak okazał się do niczego. Drut rozbłysnął wprawdzie na sekundę jaskrawem białem światłem, ale, ledwie zapalony, odrywał się od zwoju, padał na ziemię i gaś, poczem właśnie czyniło się jeszcze ciemniej. Przesiedziawszy na worach jeszcze ze dwie godziny, wróciliśmy wreszcie do namiotu, który oświecony wewnątrz, wyglądał zdala, jak papierowa chińska latarka. Na wstępie wyrzuciliśmy ropuchę, która, siedząc między łózkami na worku podróżnym, patrzyła na nas osowiałemi oczyma, jakby niezadowolona z naszego widoku. Pod namiotem duszno było nie do wytrzymania. Popodnosiwszy brzegi i urządziwszy przewiew, położyliśmy się spać, ale komary, które już nad rzeką zasmakowały widocznie w naszej krwi, nie dały nam oka zmrużyć. Gdy i zgaszenie latarni nie pomogło, wyszedłem przed namiot, gdzie

przynajmniej przeciągał od czasu do czasu wiatr. Kilka razy zbliżyłem się jeszcze do rzeki, by posłuchać hipopotamów, poczem zasiadłem na myśliwskim krzeselku, przed namiotem, z postanowieniem spędzenia w ten sposób nocy.

W całym M'toni nie było już ani jednego światła, nie licząc lucioli, które obficie pojawiły się nad brzegiem i latały w ciemności, jakby gwiazdki błędne. Rozmowa żab trwała ciągle. Ludzie nasi leżeli pokotem przy namiocie, z głowami wspartymi na pakach. Mimo upału, była w powietrzu taka wilgoć, że ubranie na mnie stało się mokre. Tkwi w tej wilgoci cikliwy zapach błota, które nocą oddaje cały żar, jaki wchłonęło we dnie. Oddycha się tu z trudnością, tętna biją ciężko — i mimowoli czuje się, że tu febra krąży nad człowiekiem, jak sęp nad trupem.

Koło północy rzeka i błota poczęły dymić, wstała mgła i przesłoniła cały świat. Zapaliwszy fajkę, której dym zniechęcał nieco komary, starałem się uporządkować wrażenia. Nagromadziło się ich sporo! Pożegnanie się z misjonarzami, pochód na czele karawany przez ową niską, podobną do dzikiego pastwiska okolicę, przybycie do M'toni, następnie Kingani, noc, hipopotamy — i to wrażenie jakiejś potwornej, przedpotopowej krainy! Nie mogłem w żadnym razie powiedzieć: *Diem perdidit*. Myślałem też, jak bardzo odżywczą rzeczą są podróże, nie tylko dlatego, że w ów dzbanek życiowy, napełniony najczęściej octem i żółcią, wkłada się nowe a przyjemne wrażenia, ale jeszcze i z tego powodu, że człowiek przyprowadza do równowagi swe siły fizyczne i umysłowe. W na-

szych miastach żyjemy życiem przeważnie umysłowem, zatem nader jednostronnem; książki, wrażenia od sztuki, krytyka i refleksja — oto zakłęte koło, w którem się świat nasz kręci. Wobec tego czynności nasze zewnątrz stają się niemal automatyczne. Wstajemy rano, ubieramy się, spożywamy śniadanie i obiad, nie myśląc o tem zupełnie, jak automaty, w sposób wiecznie jednaki i jednostajny. Cierpi na tem zdrowie, żywotność i energja, a nawet i siła umysłu. Szczególniej wszelkiego rodzaju artystom przynosi taka jednostronność ogromne szkody, żyjąc bowiem tylko książką i refleksją, dochodzą do tego, że wkońcu nie otrzymują żadnych bezpośrednich wrażeń. Mógłbym wskazać całe tuziny poematów lub powieści, w których i natura i namiętności odczuwane są jedynie przez książki, jako sposoby literackie. Ile jest warta taka sztuka, czerpana nie z żywych źródeł, ale z drugiej ręki, nie potrzeba mówić. Trudno jest doradzać komuś podróż na anemję talentu, i nie myślę tego czynić, ale to pewna, że zapobiega ona automatyzmowi fizycznemu i umysłowemu, daje bowiem codzień inne warunki, zmusza do energii, styka bezpośrednio z naturą i z pierwotnymi ludźmi, których namiętności nie są spowite w konwencjonalne powijaki.

I wreszcie wypoczywa. W miastach człowiek się przeciwstawia otoczeniu — na morzach zaś i w lasach stapia się z niem. W wyrażeniu, że szum drzew i fale morza kołyszą i koją, jest mniej retoryki, niżby się mogło zdawać. Lasy, stepy i ocean są w stosunku do duszy ludzkiej, rodzajem nirwany...

Na podobnych rozmyślaniach przerywanych drzemką, zesła mi znaczna część nocy. Wreszcie znużenie mnie zmogło, więc rzuciwszy się na łóżko pod namiotem, zasnąłem, na wzgardę moskitom, smacznie i twardo, choć nie na długo, bo o świcie mieliśmy ruszyć na rzekę. Wsiedliśmy do łodzi właśnie, gdy słońce wyrzało od strony Bagamoyo na widnokrąg. Dzień czynił się pogodny; mgła znikła bez śladu; gładka toń mieniła się w odbłyски stalowe i różane, jakimi mieni się muszla perłowa. Potem przysły poranne promienie słońca, jasne, jakby wykapanie, rozpały w skry wielkie krople rosy na trawach i ozłocy rzekę. Kraj w rzeźwym świetle porannem wyglądał weselej, niż poprzedniego dnia. Na brzegach, w miejscach, gdzie woda była płytka i cicha, czaple i inne jakieś ptaki całkiem białe, może warzęchy, przechadzały się poważnie, przeglądając się w przezroczu. Na niektórych krzakach pochylonych nad wodą, zwieszały się całe grona gniazd tkaczów, których tyle tu jest wszędy, ile u nas wróbli. Całe ich stada przelatywały z brzegu na brzeg, błyskając pod słońce żółtymi piórami.

Ciężka żelazna szalupa posuwała się zwolna, chociaż płynęliśmy w dół rzeki. Przez czas jakiś nie widzieliśmy nic, prócz ptaków, gdy nagle, na jakie sto metrów przed łodzią, z gładkiej powierzchni buchnął naprzód słup rozpylonej wody, i tuż potem ukazała się czarna, ogromna, jak kufer, głowa. Po strzale moim, prawdopodobnie chybionym, głowa ta znikła pod wodą, lecz po kilkunastu minutach ta sama, lub inna, znów ukazała się na powierzchni.

Przywitaliśmy ją nowemi wystrzałami, poczem, za ledwie zdążyliśmy nabić, ukazały się dwie naraz, w znacznej jednak odległości. Kazaliśmy naszym wiosłarzom posuwać się jeszcze wolniej i czynić mniej hałasu, wiosła bowiem chrobotwały głośno przy żelaznej łodzi.

Rzeka rozszerzała się coraz bardziej, a nakoniec wpłynęliśmy na wody, rozlane tak szeroko, że tworzyły jakby rodzaj jeziora, na którym już zdala ujrzeliliśmy całe stado hipopotamów. Odległość była jeszcze tak znaczna, że miałem czas wziąć szkła teatralne, które przez całą podróż nosiłem na sobie i przypatrywać się do woli.

Głowy leżały płasko, jedno profilem, drugie zwrócone wprost ku nam. W jasnem świetle widać je było doskonale. Gdyby nie grzmiące oddechy, których odgłos dochodził aż do nas i nie rozpylone wodotryski, wybuchające co chwila z nozdrzy, można było, patrząc gołemi oczyma, wziąć te głowy za odłamy czarnych skał, wystających nad wodę. Zbliżyliśmy się jeszcze bardziej. Zwierzęta wreszcie zwróciły na nas uwagę, bo w stadzie uczynił się ruch. Niektóre głowy zanurzyły się cicho pod wodę, inne obróciły się ku łodzi, chrapiąc i strzygąc uszyna. Posuwaliśmy się teraz bardzo powoli, by drganie łodzi nie przeszkadzało w strzelaniu. Miałem ze sobą szpringerowski sztucer, kaliber 12, w którego lewą lufkę wkładałem pocisk ekspansywny na wypadek, gdybym na brzegu lub na mieliźnie ujrzał całe zwierzę i mógł strzelać pod łopatkę — a zaś w prawą, kulę zakończoną stożkiem stalowym. Do głów można strzelać tylko taką,

gdyż ekspansywna rozwija się na skórze, nie przebijając kości.

Gdy więc chwila odpowiednia nadeszła, strzeliłem do najbliższej głowy z prawej lufki, tym razem z lepszym, niż sądziłem skutkiem, albowiem zwierzę poczęło burzyć po wystrzale wodę. Przechyliwszy się nieco przez burtę, przypatrywałem się skutkom strzału, gdy zaszedł epizod, który mógł przybrać niebezpieczny dla nas obrót.

Z pod wody wychyliła się tuż przy nas potworna głowa z otwartą paszczą i podniosła się, jakby chcąc chwycić kłami za burtę. Trwało to jedno mgnienie oka, tak, że miałem zaledwie czas zmierzyć. Na nie szczęście, mając myśl nabitą tem, że do głowy można strzelać tylko kulą stalową, pociągnąłem za cyngiel wystrzelonej przed chwilą lufki, gdy zaś Tyszkiewiczowi siedzącemu z drugiej strony, szerokość łodzi nie pozwoliła strzelić, napastnik uszedł bezkarnie. Uczuliśmy tylko silne wstrząśnienie łodzi, o której wręgę potwór otarł się pod wodą grzbietem, widocznie w tym celu, by ją przewrócić. Wynurzył się on następnie o kilkadziesiąt kroków prawie do połowy ciała, i wówczas posłałem mu natychmiast kulę, po której schował się już na dobre.

Gdybyśmy, zamiast w ciężkiej i żelaznej szalupie, siedzieli w jakiej lekkiej i wywrotnej pirodzie, prawdopodobnie cała podróż nasza skończyłaby się w Kingani, do brzegów bowiem było po obu stronach dość daleko — a przytem w wodach tych znajduje się mnóstwo krokodylów. Nie widzieliśmy wprawdzie podczas tej wycieczki ani jednego, poborca jednak zarę-

czał, że niepodobieństwem byłoby dopłynąć do brzegu bez spotkania się z niemi.

Po dwóch jeszcze strzałach do „kiboko“, zabraliśmy się do powrotu z powodu innego niebezpieczeństwa. Oto, gdy słońce wzniesie się już wysoko, promienie jego tak palą, i odbicie się ich od wody tak jest rażące, że łatwo dostać uderzenia słonecznego. Godzina była dziesiąta, po której w Afryce trzeba już znajdować się pod dachem namiotu lub w cieniu drzew. W czasie pochodów nie idzie się także dłużej: zwykły dzień karawany obejmuje czas od piątej rano do dziesiątej; przez resztę dnia należy stać i chować się przed słońcem. W razie konieczności jednak, można uczynić drugi marsz od czwartej do szóstej.

W czasie powrotu poborca opowiadał nam, co wiedział o hipopotamach. Strzał do tego zwierzęcia wydaje się łatwy a jest trudny, bo naprzód odległość na wodzie łudzi oko, a powtórę, głowa leży zawsze płasko i nie przedstawia zbyt wielkiej powierzchni do strzału. Niezmiernie także trudną rzeczą dostać po strzale hipopotama.

Żywotność takich potężnych istot jest ogromna, i zwierz, choćby doskonale trafiony, zawsze znajduje dość siły, by zanurzyć się pod wodę a następnie wypłynąć w jakimś niedostępnym dla łodzi, zacienionym kącie, wśród zalanych zarośli, gdzie zdycha dopiero po upływie wielu godzin.

Natomiast dostaje się go prawie zawsze, gdy się go strzela w czasie jasnych księżycowych nocy, na lądzie, na który wychodzi dla żeru. Atakuje on

wówczas strzelca, zwłaszcza, jeśli się znajduje dalej od rzeki, ale ruchy jego są tak powolne, że ataków nie jest zbyt groźny. Murzyni zabijają hipopotamy zapomocą harpuna, najczęściej jednak łapią je w doły.

Wracając, mieliśmy słońce z tyłu, przed sobą zaś rozświecone przestrzenie wody i zarośli. W miejscach, gdzie przez płytką toń przeglądało czerwone dno, rzeka płynęła jakby roztopionym chryzolitem. Podziwiałem przezroczystość powietrza nad Kingani. Było ono przejasne, a jego głębia poprostu kryształowa. Nie posiadam wzroku wyjątkowo bystrego, a jednak w znacznej odległości widziałem najdokładniej każdy listek, każdą odmianę piór na piersiach wodnych ptaków. Przedmioty dalsze nie wydawały się też wiele mniejsze od bliższych. Perspektywa tu zupełnie inna, niż u nas. To przezrocze powietrza tłumaczy się, jak przypuszczam, jego wilgotnością. W czasie dalszych pochodów przekonałem się, że na przykład mokre ubranie rozwieszone na słońcu, wysycha tu daleko powolniej, aniżeli w naszych klimatach.

Po powrocie nastąpiło śniadanie i sen. Nieco przed czwartą wyruszyliśmy powtórnie na hipopotamy, ale tym razem w górę rzeki. Głowy znów pokazały się dość obficie, raz zaś na ławicy piaszczystej ujrzelśmy całe zwierzę.

Na strzał było zbyt daleko, ale towarzysz mój odfotografował je, zanim namyśliło się zejść, zdaje się jednak, że z powodu oddalenia, bezskutecznie, albowiem na fotografiach rzeki Kingani, które mi

przesłał za powrotem do kraju, nie mogę znaleźć hipopotama. Mnie znecierpliwiło polowanie z łodzi, przed którą zwierzęta ukazują się zbyt daleko, i z której strzał jest, z powodu jej ruchu, niepewny. Postanowiliśmy wyjść w suchem miejscu na ląd i posuwać się dalej krzakami. Sposób okazał się dobry.

Wkrótce na zakręcie rzeki spostrześliśmy dwie głowy, zwrócone ku sobie nozdrzami, zanurzające się i wynurzające co chwila, jakby dla zabawy. Przykłękawszy, wymierzyłem z największą starannością i pociągnąłem za cyngiel. Tym razem byłem pewny swego strzału, jakkolwiek narazie nie mogłem ocenić jego skutku.

Jakoż w półtorej godziny później, gdyśmy już wrócili do M'toni, murzyni nasi, włóczący się nad rzeką, ujrzeli hipopotama, toczonego na dół przez wody. Tłumacz Franciszek począł wołać:

— *Blessé! Blessé!*

I istotnie zwierz musiał być mocno postrzelony, dobrowolnie bowiem nie schodziłby w dół rzeki, właśnie wówczas, gdy wszystkie inne, unikając słonej fali, ciągną w przeciwną stronę. Murzyni śledzili go czas jakiś, idąc brzegiem, dopóki nagle ciemność nie przykryła ładu i rzeki.

Wieczorem brat Oskar przysłał nam z Bagamoyo jeszcze pięciu pagazich i kilka słów pożegnania. Na jutro postanowiliśmy do dnia wyruszyć, ze względu na wyjątkowo niezdrowe położenie M'toni. Gdyby który z nas dostał febry zaraz na początku podróży, dalszy jej ciąg byłby co najmniej bardzo utrudniony, jeśli nie zupełnie niepodobny.

Zresztą M'toni i jego hipopotamy mogliśmy z łatwością jeszcze odwiedzić po powrocie do Bagamoyo, jest to bowiem zaledwie kilka godzin drogi i na podobną wycieczkę nie potrzeba najmować karawany. Tymczasem mieliśmy iść w kraje wyższe i zdrowsze, wśród których płynie bystra Wami. Jakoż po złe przespanej, z powodu moskitów, nocy, pożegnaliśmy się z poborcą i przeprawiwszy się na drugi brzeg tą samą żelazną szalupą, ruszyliśmy długim węzłem przez błota, trzciny i zarośla w dalszą drogę.

14

Wschodnio-afrykańskie pomorze. — Rzeki. — Niże rzek. — Roślinność. — Pory roku. — Massika i Vouli. — Fauna. — Owady. — Ptaki. — Zwierzęta czworonożne. — Ludzie. — Wioski. — Formy rządu. — Murzyni i Niemcy.

Tak mało obciążałem dotychczas moje opowiadanie geografją, że obecnie pozwolę sobie powiedzieć kilka słów o tej części Afryki, choćby dlatego, by dalszy ciąg mojej wycieczki był dla czytelników zrozumialszy.

Wschodnio-afrykańskie posiadłości niemieckie rozciągają się na znacznej części wybrzeża, mniej więcej od 4-go do 11-go stopnia szerokości południowej. W głębi lądu ograniczają je Wielkie Jeziora: Nyanza, Tanganayka i Ukerewe, czyli Wiktorja-Nyanza. Kraj, mało wyniesiony nad poziom morza u brzegów, wzdyma się ku środkowi we wzgórze, z początku niezbyt wielkie, potem coraz wynioślejsze, aż wkońcu spiętrza się w pasma gór, za któremi ciągnie się ku jeziorom obszerna wyżyna stepowa. Pasma owe przerywane, bardzo nieregularne, idą jednak przeważnie z północy na południe i stanowią rozdział wód. Rzeki, biorące początek na zachodnich pochyłościach, toczą się przeważnie do Wielkich Jezior, te zaś od wschodniej ścian y zraszają obficie niskie pomorze i wpadają do oce-

anu. Rzeka Ro-Wouma oddziela na południu posiadłości niemieckie od portugalskiego Mozambiku. Idąc ku północy i pomijając mniejsze spływy, trafiamy pod ósmym stopniem szerokości na znacznieszą ze wszystkich rzek afrykańsko-niemieckich, Rufidźji. Powstaje ona ze zlewu dwóch innych, noszących nazwy Ulanga i Ruaha. Na utworzonem przez nie międzyrzeczu mieszkają właśnie owi Wahehe, którzy w ostatnich czasach znieśli ekspedycję niemiecką, wysłaną pod wodzą Żelechowskiego. Rufidźji jest już wspaniałą, szeroką na kilka tysięcy metrów rzeką, która przy ujściu tworzy obszerną, błotnistą deltę, nieustępującą pod względem żyzności, nilowej. Kingani i Wami, między którymi przebyłem kilka tygodni, są daleko od Rufidźji mniejsze. Można by je nazwać siostrami, obie bowiem biorą początek na wschodnich stokach gór U-Sagara i zbliżając się coraz bardziej do siebie, wpadają do oceanu naprzeciw Zanzibaru. Wyżej nad nimi jest jeszcze rzeka Pangani, która wypływa z gór Kilima-Ndżaro, i w górnym swym biegu odgranicza posiadłości niemieckie od angielskich.

Oto i lista skończona. Góry, w których powyższe rzeki biorą początek, zatrzymują wiatry, wiejące od oceanu i przeciążone wilgocią. Z tego powodu wyższe czuby są prawie ustawicznie pokryte mgłą i chmurami, stąd także powstaje nagła i wielka różnica między dalszem płaskowzgórzem, które ma klimat suchy, a pomorzem, na którym padają dżdże tak obfite, że roczny opad wynosi, według Reclus'a, przeszło trzy metry. Ponieważ wiatry wiejące na pomorzu, przychodzą przeważnie z rozgrzanych przez słońce równikowych prze-

strzeni oceanu, przeto wschodnie wybrzeże ma klimat bardzo gorący, gorętszy o cztery stopnie od położonych pod tą samą szerokością brzegów nadatlantycznych. — W owem gorącu i wilgoci życie roślinne rozwija się potężnie. Kraina należy do najżyźniejszych na świecie. W Zanzibarze manjok daje cztery zbiory do roku, na stałym zaś lądzie plantacje drzew kawowych, bawełnianych, chinowych i rozmaitych innych, udają się wybornie. Niże rzek pokryte są, po największej części, dziewiczemi lasami, wśród których znajduje się w obfitości drzewo kauczukowe. Sykomory, tamaryski, olbrzymie euforbije, akacje, mimozy, drzewa kalebasowe i boababy, wznoszące się nad gęstwiną haszczów i traw, ocieniają, jak okiem sięgnąć, całą krainę. Niż rzeki Rufidżi ma być pokryty zbitym lasem, przez który nawet siekierą trudno sobie utorować drogę, drzewa bowiem i zarośla powiązane są jeszcze lianami, dochodzącemi czasem do grubości uda ludzkiego. Niektóre wioski, przez które zdarzyło mi się przechodzić, toną tak dalece w gąszczu drzew i zarośli, że o kilkanaście kroków od wejścia nie można się jeszcze domyślać mieszkań ludzkich, chyba, że je zdradzi zapach dymu lub widok czarnych, wybiegających na przyjęcie białego gościa. W niektórych miejscach dżungle są wprost nie do przebycia. Trawy dochodzą do czterech metrów wysokości i przysłaniają całkiem świat.

Brzegi Kingani, w tem zwłaszcza miejscu, gdzieśmy ją przebyli po raz pierwszy, są wyjątkowo smutne — wogóle jednak widok kraju jest wesoły, zwłaszcza, gdy się dojdzie do pierwszych wzgórz, z których oko obej-

muje szerokie przestrzenie. Widzisz wówczas pod sobą morze drzew, traw i kwiatów. Niektóre drzewa obsypane są kwieciami czerwonym, inne białem lub lila, a na tle ciemnej zieloności lub w przeciwstawieniu do prawie całkiem czarnych cieniów, rzucanych przez konary na podłoże, każda barwa wydaje się żywszą i jaskrawszą. Nad drzewami roje kolorowych ptaków, o piórach zmatowanych jak aksamit, albo połyskujących jak metal. Wszędzie pełno dziwnych nawoływań, podobnych do głosów ludzkich lub miauczenia kotów. Powietrze przesyccone mnóstwem upajających zapachów, które przepływają jak strumienie na tle ogólnej woni wilgotnych traw, przygrzanych słońcem. Dalsze przedmioty mało tu przysłonięte są mgłą oddalenia, w której u nas zanurzają się, jakby w subtelnej, błękitnej kąpieli. Tu, jak już wspomniałem przy opisie Kingani, wszystko jest wyraźniejsze, a głębie przestrzeni, zapewne z powodu kryształków wilgoci, zawieszonych w powietrzu, daleko przezroczystsze.

Dwie są pory dżdżyste w tych krajach. Jedna, zwana massiką, zapowiada się przerywanymi dżdżami już w lutym, a poczyną się na dobre w pierwszych dniach kwietnia i trwa dwa miesiące; druga, zwana vouli, panuje od października do końca roku. Ale i wówczas niebo nie zaciąga się na stałe szarą oponą; raczej wiatr żenie nawałne, nabrzękle dżdżem chmury, które uderzają wzajem o siebie, pękają nakszałt beczek z wodą i zatapiają ziemię ulewą. Lecz w przerwach między ulewami przychodzi co chwila jasność słoneczna, rozświeca zmoczoną okolicę i rozbłyskuje w tysiącznych kropłach rosy. Jest to pora najbujniejszej

szego wzrostu traw, trzciny i dżungli. Kraj nappełnia się kałużami, rzeki wzbierają; błota — takie naprzykład, jakie przechodziłem nad Kingani — zmieniają się w nieprzejrzone jeziora. Ruch karawanowy ustaje, bo gdy i ścieżki rozmiękną, nie masz nigdzie drogi możliwej. Czarni zamykają się w chatach; na polach panuje cisza, przerywana jeno pluskiem dżdżu po kałużach i jeziorkach. Cała kraina staje się państwem nawałnic, wody i febry.

Dopiero, gdy deszcze ustaną, wszystko budzi się do życia. Kobiety wychodzą z motykami w pole, mężczyźni wyganiają trzody na wyżyny; ścieżki czernią się od karawan, ciągnących z głębi ku pomorzu lub z pomorza ku Wielkim Nyanzom i niosących kły słoniowe, perkale, paciorki, skóry, słowem wszystko, na czem polega handel Czarnej ładu.

Oczywiście, że kraina tak bujna musi posiadać odpowiednią faunę. W wilgoci i gorącu rozwiela się przedewszystkiem świat owadów. Opisywałem już ów obiad w Bagamoyo, w czasie którego ćmy i żuki, najrozmaitszych kształtów i wymiarów, były o nasze twarze, a muchy i komary wpadały tuzinami do naszych kieliszków. Co do moskitów, i w Zanzibarze i na pomorzu są one bardzo dokuczliwe, nie stanowią wszakże takiej plagi, jak w niektórych krajach południowej Ameryki.

Spędziliśmy jednak kilka tygodni pod namiotem; przychodziło nam często, tak jak nad Kingani, nocować nad brzegami rzek, w pobliżu błot i kałuż; cierpieliśmy porządnie, ale nie dochodziliśmy do rozpacz, ani też nie dostawaliśmy od ukąszeń „koma-

rowej gorączki“, jakiej dostaje się nieodmiennie w Panamie lub niżej, nad brzegami Orinoko i innych rzek amerykańskich. Żeglując po afrykańskich, trzeba się raczej wystrzegać ós, o których tyle powiada Stanley, i których gniazda zwieszają się, nakształt wielkich bibulastych róż, nad wodą. Kto nie chce mieć skóry wyprawionej w jednej chwili na jaszczur, ten musi starannie omijać podobne róże, mające więcej kolców od naturalnych.

Skorpionów spotykaliśmy dużo. Nieraz na postojach trafiało się mnie lub memu towarzyszowi wkłęcać w ziemię napiętkami butów nader okazałe figury, wcale nie mniejsze a dwa razy grubsze od krewetów, jakie się jada nad morzem. Wogóle niebezpiecznie jest tu siadać na trawie, na pniach drzewnych lub na kamieniach, nie opatrzywszy wprzód starannie miejsca. Kto siada zbyt prędko, temu może się przygodzić, że zerwie się jeszcze prędzej. Z tem wszystkim nie zdarzyło się ani razu, żeby który z nas lub z naszych ludzi, którzy sypiali wprost na trawie, został ukąszony; jest to więc niebezpieczeństwo, od którego łatwo się uchronić.

Prawdziwą plagą Afryki są mrówki i termity. W głębi kraju spotykaliśmy co chwila wysokie na kilka metrów kopce termitów. Czasem na ścieżkach, wśród traw, przechodziliśmy przez całe wojska mrówek, którym także milsza jest wydeptana droga od zarośniętej. Dla nas, przybranych w trzewiki i skórzane nagolenniki, nie przedstawiało to wielkiej trudności, ale murzyni nasi, ćwiczeni po bosych nogach, wyprawiali takie skoki, że każdy szympans mógłby

im pozazdrościć. Mrówki są tu wszędzie, wnikają wszędzie, gryzą ludzi, drzewa, domy, trawy, objadają z mięsa zabite lub zdechłe stworzenia, wojują z każdą żywą istotą i wytepiają się same między sobą. Mała biała mrówka, draży ściany; wielka czerwona kasa, jak pies, pozostawiając nadto bolesne, długo nie gojące się bąble; wielka czarna współzawodniczy z nią w kąsaniu. Obie włożą na drzewa i — wedle tego, com słyszał i czytał — spadają naksztalt siarczystego dżdżu na przechodzących ludzi. Na szczęście o tym ich zwyczaju mówię tylko na wiarę innych podróżników, głównie zaś Stanleya, i miło mi, że mogę powołać się w tym względzie na cudze, nie własne świadectwo.

Dla wszelkiego rodzaju zapasów żywności najniebezpieczniejsze są małe, czarne mrówki. Budząc się rano pod namiotem, znajdowaliśmy szyjki naszych butelek z winem i manierek całkowicie przez nie oblepione. Miałki cukier, mimo, iż zamykaliśmy go nader starannie w blaszanej puszcze, stał się wkońcu, jak mówią Anglicy, *half and half* (pół na pół). Z początku staraliśmy się wygarniać mrówki, słodząc kawę lub herbatę, później stało się to zupełnem niepodobieństwem. Gryzły one nasze suchary, ze szczególniejszą zaś zaciekłością cisnęły się do ekstraktu mlecznego Liebiga. Musieliśmy przy otwarciu puszek przelewać mozolnie zawartość do butelek i korkować szczelnie, mimo tego na każdym korku zbierały się góry tych owadów.

Kąpiąc się w kałużach przy wsiach murzyńskich, spostrzegałem często na liściach nadwodnych lub na brzegu rodzaj liszek, długich, jak wskazujący palec,

z wierzchu całkiem czarnych, spodem opatrzonych mnóstwem nóg żółtej barwy. Napełniały mnie one wstrętem i obawą, brałem je bowiem za stonogi, o których jadowitości opowiadano mi po misjach. Później jednak widziałem, jak nasi ludzie zgarniali ręką z karku te robaki i ciskali je w wodę, bez jakiejkolwiek dla siebie szkody.

Co do much tse-tse, te zabójcze są tylko dla zwierząt. Mówiono mi, że woły, usłyszawszy ich brzęczenie wpadają w popłoch. Ludziom ukąszenie ich nie szkodzi więcej od ukąszenia komara. Za rzeką Wami liczba ich powiększa się. Często widywałem tse-tse, siadające na naszych kapeluszach, gdy zabezpieczeni cieniem drzew, kładliśmy je na ziemi obok nas. Jedną zabiłem i starałem się zachować, ale mi się pokruszyła w drodze. Słyszałem, że gdzie kraj staje się uprawnym, tam mucha tse-tse znika zupełnie.

Rozkoszą świata owadów są motyle. Towarzysz mój zbierał je i przywiózł do Europy zapas znaczny. Nad trawami, w lasach, w wioskach murzyńskich, w pobliżu wód i na wzgórzach, porośniętych mimozami, jest ich pełno. Niektóre dochodzą do znacznych rozmiarów, inne są tak drobnouchne, że gdy unoszą się nad trawami, wyrażenie: „jasna mgła motylów“ da się ściśle do nich zastosować. Barwy żółte, szafir, fiolet i purpura mieniają się na ich skrzydłach, zahaftowanych prócz tego w arabeski białe, złote lub perłowe. Często, gdy siedzą na źdźbłach lub między liśćmi, można je poczytać za kwiaty, i dopiero, gdy się wyciągnie rękę, kwiat ulatuje nagle w jasność powietrzną, jakby był od samego powietrza lżejszy.

W państwie gadów królem jest krokodyl. Zamieszkuje on w znacznej liczbie rzeki i utrudnia bardzo przeprawy. Za mego pobytu nie słyszałem o wypadkach z ludźmi, jednakże, przy nieopatrności murzynów, muszą się one często przytrafiać. Na spokojnych wodach można się napatrzyć do woli krokodylom: dość jest stanąć cicho nad brzegiem, by po niejakiem czasie ujrzeć nad gładką powierzchnią trzy punkta, posuwające się zwolna naprzód. Te punkta są to wyniosłości nad oczami i wyniosłość na końcu paszczy. W rzece Kingani nie zdarzyło mi się widzieć dokładnie krokodyłów, ale nad Wami napatrzyłem się im do woli. Często też wyłazą one z wody i leżą po całych dniach na ławicach piaszczystych lub w błocie, same błotem umazane, do zgniłych pni podobne. Można czekać cały dzień, nim się dostrzeże jakiś ruch: leniwe poruszenie głowy, łap lub ogona. Jest w tem lenistwie coś złowrogiego, zwłaszcza że w razie przestachu lub gdy potwór ujrzy zdobycz, zmienia się ono w ruchy tak błyskawicowe, że niepodobna oprzeć się zdumieniu. Kształty tych olbrzymich płazów elementarne, jakby przynależne do jakiejś innej, przedpotopowej epoki, zdają się uosabiać plugawe i ślepe okrucieństwo. Zresztą bezmyślność ich jest równie pozorną, jak lenistwo, często bowiem urządzają one na inne zwierzęta zasadzki, dowodzące, że w tych spłaszczonych czaszkach, obok okrucieństwa, mieszka chytrłość i rozwaga.

Węży w Afryce jest mniej, niż w Nowym świecie. Po prawdzie, przez całą podróż spotkałem jednego, chociaż na polowaniach często zbaczaliśmy z wyde-

ptanych ścieżek i przedzierali się przez wysokie trawy i zarośla. W zaroślach jednak znajdują się gatunki bardzo jadowite, a obok nich pytony, dochodzące czasem do tak olbrzymich wymiarów, że opowiadania o nich, jakkolwiek pochodzące z ust wiarogodnych, wydały mi się fantastyczne.

O dużych jaszczurach, zwanych legwanami, dość pospolitych w Egipcie, nie słyszałem w tutejszych stronach. Małe jaszczurki, salamandry, kameleony i tym podobny drobiazg rad trzyma się mieszkań ludzkich. Pełno ich w Zanzibarze, Bagamoyo i po wszystkich misjach i to nie tylko na zewnętrznych, prażonych słońcem murach, ale i w pokojach, tak, że wszędzie stanowią konieczny ornament pułapu. Może są nawet pożyteczne przez to, że niszczą owady, w żadnym zaś razie nie są szkodliwe i poufałości w pożyciu z ludźmi nie posuwają aż do wchodzenia do łózek.

W ciemnem błocie, w oczeretach, w kałużach i jeziorach rozkoszują się miliony żab. Rzechocą tu one inaczej, niż u nas, nie łączą się bowiem w wielkie chóry, podnoszące jakby gwarną modlitwę do księżyca, ale odzywają się pojedynczo, nierytmicznie. Gdy mnóstwo takich głosów zbiega się, słychać jakby taką niespokojną rozmowę, o jakiej wspomniałem przy opisie M'toni. Liczne gatunki zamieszkują na drzewach, odmierzając monotonnem kumkaniem godziny nocy. Pod namiotem znajdowaliśmy często ropuchy powolne, pełne melancholji, rzekłbyś, zmartwione własną brzydota. Nad Kingani jedna zachodziła do naszego namiotu tak uporcezywie, jakby nam chciała

zwinąć po nocy jakąś smutną tajemnicę lub czynić jakoweś wyznanie — może, że niegdyś była boginką tych wód, nim za liczne psoty i grzechy została zaklęta w kształt tak szpetny. Ale ponieważ bezwzględna brzydota nie budzi współczucia, wyrzucaliśmy ją bez ceremonji i bez litości.

Ptaków moc wszędzie nieprzebrana. Rzeczpospolita to bardzo niespokojna, wrzaskliwa, ale najmiłsza dla oczu. Aby oddać każdemu, co mu się należy, muszę począć od strusiów. Na pomorzu odznaczają się one tem, czem polskie mosty, to jest, że ich niema. Niegdyś było inaczej, przed niedawnym jednak czasem niewyrozumiałym tym ptakom widocznie nie podobał się handel ich piórami, wskutek czego przeniosły się na suchsze, pustsze i obszerniejsze wyżyny, ciągnące się z tamtej strony gór U-Sagara. Być może także, iż samo pobrzeże było dla nich za wilgotne. Podobno nieco w głębi, na północ od rzeki Wami, można jeszcze czasem spotkać małe stadka, ale i tam nie widzieliśmy nietylko stadek, ale nawet ich śladów.

Ptactwo błotne stanowi prawdziwą ozdobę rzek tamtejszych. W miejscach płytkich, na brzegach, pod zwieszonemi nakształt arkad gałęziami drzew, przechadzają się w cieniu kuligi, kulony, czaple, żórawie, warzęchy, baki i inne jakieś gatunki, których nazwać nie umiem, jedne o upierzeniu śnieżno-białem, inne różowawe, pstre lub wronie. Żywe kolory ich piór wdzięcznie odbijają się w zacienionej wodzie, nadając krajobrazowi zarazem dziewiczy i egzotyczny charakter.

Właściwych wodnych, to jest kaczek, gęsi i nurów, mniej jest, niż brodzących. Z ziarnojadów, w gajach i w kępach drzew często trafia się pentarka, niezem nie różna od hodowanej tu i ówdzie w naszych kurnikach. Nie spotykałem tam jednak nigdzie tych ptaków w stanie swojskim, jakkolwiek po wsiach murzyńskich trzymają dużo drobiu, a zwłaszcza kur. Prócz pentarek, strzelaliśmy w drodze ptaki wielkości indyczek, tylko daleko wysmuklejsze, o szarem upierzeniu i na wysokich nogach. Przed zerwaniem się, które im, tak jak i dropiom, nie przychodzi łatwo, chroniły się szybką ucieczką na piechotę. Rosół z nich smakował nam lepiej, niż z pentarek.

Na pojedynczych, wielkich drzewach widywaliśmy tukany, albo przynajmniej ptaki wielce do nich podobne, z potężnymi, pustymi wewnątrz dziobami. One to właśnie nawoływały się głosami, podobnymi do miauczenia kotów. Były nader ostrożne i z trudnością dały się podchodzić. Trzeba je było strzelać bardzo zdaleka, co prowadziło za sobą częste pudła.

Murzyni, których bawi strzelanina, a którzy posiadają wogóle wzrok niezmiernie bystry, pokazywali nam co chwila nowe ptaki, wołając: „ndege! ndege!“ (ptak). Zdaje się, że tem mianem oznaczają wszystkie skrzydlate istoty.

Do najpiękniejszych ptaków w tej części Afryki należą tak zwane przez misjonarzy „wdowy“. Drobne ich ciało okryte jest pierzem czarnem, połyskliwem, natomiast główka, gardło, grzbiet i długie zwieszane piórka w ogonie mienią się wszystkimi barwami drogich kamieni, i ptaszyna wygląda coraz inaczej,

stosownie do tego, jak na nią pada światło. Papugi zielone, zwłaszcza tak zwane nierozdzielne, są tu bardzo pospolite; szare z czerwonymi głowami widziałem tylko w stanie swojskim, pochodzą one bowiem z okolic bliższych Wielkim Jeziorom. Zarośla roją się od ptaków, podobnych do naszych sojek i krasek, o piórach przeważnie błękitnych; koło wioski zdarzyło mi się strzelać białoceglaste gołębie, tak małe, jak nasze dzierlatki. Nieznanych w nauce gatunków jest tu jeszcze mnóstwo, na dowód czego mógłbym przytoczyć, że z egzemplarzy, przywiezionych przez mego towarzysza, ornitologzy zaledwie kilka umieli nazwać.

A ileż dopiero musi być takich, o których nikt nie słyszał, między owym drobiazgiem, kręcącym się w trawach, oczeretach i głębiach zarośli. Są kraje śliczne, jak na przykład Riviera włoska, które jednak, po dłuższym pobycie, sprawiają smutne wrażenie z powodu zupełnego braku ptaków. Afryka, a przynajmniej ta jej część, o której mówię, na ich brak uskarżać się nie może. Jej lasy, gaje i stepy żyją; wzrok podróżnego spostrzega wszędzie ruch i kolory, a uszy napełniają się świegotem i pokrzykiwaniem, któremi kraj brzmi od rana do wieczora.

Przechodzę do zwierząt ssących. W pochodach mało się ich widuje. Murzyni ciągną długim sznurem, to śpiewając, to nawołując się wzajemnie, i płoszą wszystko, co się znajduje na drodze. Zresztą, wszelki zwierz unika i tak ścieżek, któremi ciągną karawany. Chcąc polować, należy rozbić namiot gdzieś przy wodzie, zdala od dróg i wiosek, w okolicy pustej,

lesistej i stać na miejscu przez kilka tygodni. Wówczas dopiero nabiera się przekonania, że cały ten kraj wygląda, jak olbrzymi ogród zoologiczny. Jednakże niektóre gatunki, zbyt natarczywie przez ludzi ścigane, cofnęły się od wybrzeża w niedostępne głębie środkowych lasów. Słoni, których całe stada żyją jeszcze na stokach Kilima-Ndżaro, niema wcale w okolicach przyległych do oceanu. Bawołu nie spotkaliśmy ani jednego, może z tej przyczyny, że w tym właśnie czasie wyniszczyła je jakoby zupełnie epidemia. Zresztą jest to zwierz dość jeszcze pospolity. Tylko hipopotamom dobrze zawsze na pomorzu, to też zamieszkują setkami wszystkie rzeki, kąpiąc się i igrając cały dzień, a wychodząc na żer w nocy. Murzyni mało na nie polują. Ze skóry hipopotamów robią wprawdzie w Zanzibarze laski; kły zastępują poniekąd do wyrobów kość słoniową, nie są to jednak artykuły zbyt poszukiwane w handlu, i z tego powodu zwierz, mało tępiony, rośnie i mnoży się w spokoju. Czasem, w chwilach złego humoru, przewraca jaką pirogę murzyńską i przecina kłami czarnych, ale najczęściej, ukryty pod wodą, puszcza sobie wesoło nosem bańki i fontanny, bardzo ze swego losu zadowolony. Na stepach i na podgórzach mieszkają liczne gatunki antylop. Z tych antylopa-krowa przechodzi wielkością naszego łosia. Uzbrojona jest w potężne rogi, skrócone przy nasadzie, jak śruba, dalej proste. Na polowaniach może być niebezpieczna, ranna bowiem rzuca się na strzelca. Na nieszczęście dla siebie, zatrzymuje się przed nim na pięć lub sześć kroków, aby się oddać zdumieniu — zapewne nad

własną odwagą. Wówczas należy jej koniecznie w łeb strzelić, inaczej bowiem rzuca się powtórnie i nądziewa myśliwca na rogi.

Najniebezpieczniejszym jednak, nie licząc słonia, jest afrykański bawół (*Bos Cafer*); uderza on często-kroć na człowieka, nawet niezaczepiony; czasem atakuje całe karawany, powodując w nich niesłychane zamieszanie. Serpa-Pinto pisze, że w niektórych częściach Afryki ścieżki karawanowe są usiane mogiłami ludzi, zabitych przez bawoły.

Nosorożec jest także swego rodzaju paliwodą, choć ostatecznie, mimo ogromu i siły, jest to figura humorystyczna, wygląda bowiem, jakby miał szlafrok na wyrost, i jakby go opadały pewne, poniżej leżące, części ubrania. Ta ostatnia okoliczność tamuje jego ruchy. Po pierwszym strzale ratuje się ucieczką, poczem rzuca się nagle i zapalczywie na napastników, ale z powodu przyrodzonej głupoty, atakuje pierwszy lepszy przedmiot. Kamień, termitiera, krzak, drzewo — wszystko mu jedno: co na placu, to nieprzyjacieli! Nosorożce trzymają się zawsze zdala od ścieżek i wogóle rzadkie są już na pomorzu, a raczej są tylko przechodnie, najczęściej stare samce, które wskutek nieporozumień domowych zmuszone zostały szukać sobie spokoju z tej strony gór.

Wracając do antylop, prócz owej wielkiej, o której wspomniałem, żyje antylopa bejsa, dochodząca do rozmiarów naszych jeleni. Antylopy skoczki przebiegają stępy w stadach, po kilkanaście sztuk. Nazwę swą zawdzięczają temu, że pasąc się, podskakują ustawicznie, jakby podrzucane sprężyną. Najpospo-

litszą jest antylopa „gnu“, mająca kształty konia, a głowę byka. Jest to zwierzę z pozoru dość straszne o dzikim spojrzeniu i strasznym łbie, w rzeczywistości jednak łagodne i płochliwe. Istnieje również gatunek antylop, spędzających większą część życia w wodzie. Nakoniec w lasach leżących w pobliżu jezior, żyje antylopa karłowata (*nanstragus*), prawdziwa miniaturowa w rodzaju antylop, smukła, zgrabna, nie większa od pokojowego pieska. Była ona niegdyś pospolitą i w Zanzibarze.

Na północ od rzeki Kingani, niedaleko od ujścia, widziałem na błotach, przez które wypadło mi przechodzić, ślady całych stad zebra. Czasem w pochodach, murzyni pokazują na odległych wzgórzach coś, co zdala, w słońcu, podobne jest do suchych, obnażonych z kory i liści drzew. Gdy jednak karawana zbliży się na wiorstę lub więcej, mniemane one drzewa zaczynają się kołysać, poruszać i wkrótce giną między gajami akacyj. Są to żyrafy. Rzadko spotyka się je pojedynczo, najczęściej po kilka lub kilkanaście sztuk. Odnaczają się one wielką czujnością, tak, że łowy na nie liczą do najtrudniejszych.

W zwierzęta gryzące ta część Afryki jest dość ubogą. Nie widzieliśmy wcale zajęcy, które, jak slyszalem, są dość liczne w kraju Somali; króliki też nie stanowią tu takiej plagi, jak w Australji i w niektórych krajach Ameryki. Naszych wiewiórek niema, w lasach natomiast trafiają się oposy i lemury. Ze szczurowatych przywiozłem kilka okazów bardzo ciekawych, które darowano mi w misji Mandera. Są to „*macrocelides*“, szczury, których pyszczek kończy

się trąbką. Jeden gatunek o sierści ciemno-bronzowej, z trąbką długą na cal, należy podobno do nader rzadkich.

W Zanzibarze, w Bagamoyo i po misjach widywaliśmy wszędy oswojone małpy, sądziłem więc, że jest ich w kraju bardzo wiele, tymczasem w ciągu całej naszej wycieczki w głębi, trwającej jednak parę tygodni, nie spotkaliśmy żadnej. Natomiast, gdy po nocach przesiadywałem, wedle mego zwyczaju, przed namiotem, wsłuchując się w głosy okoliczne, dochodziło mnie częstokroć z zarośli jakby przytłumione szczekanie. Murzyni, zapytywani, co by za zwierzę odzywał się takim głosem, odpowiadali stale: „kima“ (małpa). Misjonarze w Manderze potwierdzili również, że istnieje w tych stronach pewien gatunek szczekającej małpy, trzyma ona się jednak w głębokich gąszczach, zupełnie niedostępnych, wskutek czego można długo mieszkać w kraju i nie zobaczyć ani jednego egzemplarza. Przypuszczam na swoją rękę, że może to być zwierzę nocne, tak jak lemury.

Prawdopodobnem jest, że i inne gatunki ukrywają się w gąszczach, chroniąc się w ten sposób przed upałem i przed ludźmi; wogóle nie musi ich być na pomorzu wiele, skoro nie spotkaliśmy żadnej, nawet wówczas, gdyśmy dla polowania schodzili z utartych ścieżek i na kilka dni pogrążali się w zarośla i step zupełnie dziki. Być może, iż wdzięczna małpeczka, *Colobus-Kirkii*, która wyginęła już całkowicie w Zanzibarze, znajduje się jeszcze na przyległym wybrzeżu stałego lądu, ale prawdziwie małpie kraje zaczynają się dopiero za górami, na wyżynie i wedle Wielkich Jezior.

Lew bywał niegdyś tak pospolity na całym wybrzeżu wschodnio-afrykańskim, że, jak pisze Reclus, całe wioski musiały się przenosić, by uniknąć zbyt liczego i niebezpiecznego sąsiedztwa. Dziś trafia się jeszcze, ale nie tak często. O jednym, który w czasie naszego pobytu w Zanzibarze podbierał osły w Bagamoyo, wspominałem już poprzednio. Ojciec Stefan opowiadał mi też o wypadku, jaki zdarzył się pewnemu botanikowi w samym ogrodzie misyjnym. Zastrzeliwszy kukułkę na palmie, wczłagnał się ów botanik w rosnące pod drzewem krzaki, by odnaleźć swą zwierzynę, gdy nagle ujrzał przed sobą ogromną, grzywiastą głowę lwa, który widocznie przebudził się z poobiedniej drzemki. Botanik zdrętwiał, lew również. Ale władcy zwierząt przyszło prawdopodobnie na myśl, że istota, która sobie tak włązi na czworakach do jego komyszy, musi być pewna siebie, dał więc susa w tył i pierzchnął; w ten sposób spotkanie nie doprowadziło do bliższej znajomości.

Wogóle jednak spotkanie lwa, również jak i innych drapieżnych, przy świetle słonecznem należy do wyjątkowych zdarzeń. W Afryce jest tak: w dzień można wszędzie chodzić, w nocy nigdzie, nawet po własnym ogrodzie, o ile nie jest otoczony wysoką palisadą. Ja i mój towarzysz słyszeliśmy ryk lampartów w wielkim sadzie kokosowym misji w Bagamoyo, a po naszym wyjeździe pantera rozdarła tam psa, tuż przy kaplicy, o kilkadziesiąt kroków od domu. Zato w czasie całej podróży raz tylko, w czasie noclegu w Gugurumu, słyszałem stękanie lwa. Wszystkie drapieżne, jako to: lwy, pantery, lamparty, serwale,

hieny i t. p., kryją się podczas dnia w gęstwinach, przez które same tylko umieją się przedrzeć wśród lian, krzów, zarośli i korzeni drzew, niskimi przechodami, mającemi kształt ciemnych kurytarzyków. W nocy wszystko to wychodzi na żer. Murzyni powiadają, że światło niebardzo je odstrasza. Być może, że tylko z tej przyczyny karawany nie podróżują nocami — inaczej bowiem, przy świetle księżyca, nie trudnoby było trzymać się ścieżki, a pochód w ciemnościach przyjemniejszy byłby, niż pod spiekotą słoneczną.

Nakoniec kilka słów o ludziach. Mieszkańcy tych stron należą wszyscy do ogromnego szczepu Bantu, zamieszkującego Afrykę niemal od równika, aż do ostatnich południowych jej krańców. W samych posiadłościach niemieckich dzielą się oni na liczne narody i narodziki, wielce od siebie różne pod względem uobyczajenia, a nawet i języka, jakkolwiek przypuszczam, iż wszystkie owe narzecza wywodzą się od jakiegoś dawniejszego wspólnego języka Bantu, między wszystkimi bowiem istnieją obok różnic i cechy wspólne, które owo przypuszczenie potwierdzają. Wszędzie niemal zgłoska U oznacza kraj, Ma lub Wa liczbę mnogą, a stąd ludzi danego kraju. Mówi się zatem: Uhehe i Wahehe, Usagara i Wasagara, Uganda i Waganda, Uhenge i Wahenge. W języku Ki-Suahili, którym mówią w Zanzibarze, istnieją zupełnie te same formy. Oczywiście nie jest to reguła bez wyjątku, często zatem nazwa kraju oznacza zarazem i ludzi, lub odwrotnie. Najbardziej rozpowszechniony jest język Ki-Suahili. Gdzie tylko docho-

dzą drogi karawanowe, tam można się nim rozmówić. Mówią nim ludzie jeszcze za jeziorami i wzdłuż biegu rzeki Kongo, prawie aż do oceanu Atlantyckiego. Cust liczy ten język do dwunastu najczęściej rozszerezonych na świecie.

Mieszkańcy pomorza, aż do gór, stanowiących rozdział wód między jeziorami i oceanem, zajmują się przeważnie rolnictwem. Uprawiają głównie manjok, którego korzenie dają wyborną mąkę, ryż i sorgo, rodzaj prosa. Z drugiej strony gór, na stepowem płaskowzgórzu, mieszkają ludy pasterskie, między którymi najpotężniejsi są Massai. Ludzie z samego pobrzeża, czyli Suahili, zajmowali się od najdawniejszych czasów handlem. Oni to sami, lub pod wodzą Arabów, zapuszczali się do Wielkich Jezior — oni osiedlili wyspy: Mafję, Zanzibar i Pembę. W Zanzibarze pomieszczeni się naprzód zapewne z jakimiś pierwotnymi mieszkańcami, którzy w nich wsiąknęli bez śladu, następnie z mieszkańcami wysp Komoro, Seszelów i z Arabami. Język ich, pod wpływem tych obcych pierwiastków, zmienił się nieco, nasiąknął, zwłaszcza wyrazami arabskimi, nietylko jednak mowie arabskiej nie ustąpił, ale ją zatopił do tego stopnia, że sami Arabowie, w stosunkach z Hindusami, Malgaszami, Somalisami, a nawet Europejczykami, używają tylko języka Ki-Suahili.

Ciż Suahili, przyjąwszy od Arabów mahometanizm, rozszerzyli go w pobrzeżnych krajach Uزامo, Usigua i Usambara. Dalsze ludy żyją w fetyzyzmie. Uobyczajenie ich jest zależne od tego, czy siedzą bliżej lub dalej — nie od wybrzeża, ale od

dróg karawanowych. Są miejscowości bardzo odległe, w których mieszkańcy noszą tkaniny europejskie, żyją w porządnym wioskach i nie zdumiewają się na widok białych ludzi; trafiają się znów wioski, leżące niedaleko od wybrzeża, ale na uboczu, wśród lasów, zupełnie dzikie, gdzie murzyn chodzi nago lub pokrywa nagość za pomocą traw, nosi „pelele“, t. j. kawałki drzewa w wargach, żyje w szałasach i umyka, jak dzikie zwierzę, w gęstwinę, na wieść o zbliżaniu się obcych.

Podobne różnice mogą zachodzić w jednym i tym samym narodzie. Naprzykład murzyni z Uzaramo, żyjący w bezpośrednim sąsiedztwie z Bagamoyo Dar-es-Salam, są ludźmi tak ucywilizowanymi jak Zan-zibarycy — dalsi zaś, siedzący w rozmaitych zapadłych kątach, między mniejszemi przytokami Kingani, żyją dawnem pierwotnem życiem. Kto sobie przypomni, że i u nas, w takiej naprzykład puszczy Białowiejskiej, można znaleźć ludzi, którzy nigdy nie wychylili się z lasów i prócz własnej parafji nie widzieli innego miasteczka, ten łatwo rozumie, że podobne stosunki mogą tem bardziej zdarzać się w Afryce.

Wsie, które widziałem, budowane są po największej części w ten sposób, że chaty otaczają obszerny majdan, wyskubany z trawy i dobrze udeptany. Chata królewska, większa od innych, stoi często na środku majdanu, pod obszernem drzewem, pod którem odbywają palawery, to jest narady starszyny. W posiadłościach niemieckich zwyczaj ten ustał siłą rzeczy, dawniej jednak w każdej osadzie trzeba było spędzać całe godziny na układach o pozwolenie przeje-

ścia terytorjum i o okup (*hongo*), który królikowie nakładali na karawany.

Chaty są lepione z gliny i chróstu, zawsze okrągłe, ze spiczastym trzcinowym dachem, który schodzi nisko i mocno wystaje nad ścianę, w tym celu, by stanowił ochronę przed słońcem. W chatach niema nic, prócz glinianych naczyń do wody i łóżek. Łóżko (*kitanda*) składa się z drewnianej ramy, wspartej na czterech patykach, wyplatanej naukos wąskimi paskami skóry. Gdy się przychodzi do wsi, czarni wynoszą zaraz takie kitandy i sadzają na nich białych podróżnych, następnie przynoszą w darze jaja, czasem kury lub kozy. Oczywiście, za te podarki trzeba umieć okazać wdzięczność, wskutek której zapasy amerykani (*perkalów*) i hindustani (*chustek indyjskich*) zmniejszają się raptownie.

Naczynia gliniane, tam, gdzie mi się zdarzyło widzieć, nie mają żadnych osobliwych rysunków, ornamentów, słowem, nie odznaczają się niczem. W wioskach, pogrążonych w fetysyzmie, dziwił mnie także brak bożków, wyrobionych z drzewa, gliny lub kości słoniowej. Amulety noszą prawie wszyscy — i amuletem jest byle co; ząb krokodyla, pazur lamparta, birka drewniana, często krzyżyk. Gdy murzyn nosi krzyż na piersiach, nie zawsze znaczy to, by był chrześcijaninem: uważa on go poprostu za potężny ochronny amulet białych, którym się zabezpiecza od uroków i złych postronnych wpływów.

Broń stanowią łuki, dziryty i noże. Kształty ich bywają najrozmaitsze i tak np., łuki narodu Mafiti są wielkości człowieka, tarcze zaś, ze lwiej skóry,

mają metr długości. Dziiryty najczęściej kończą się niewielkiem i wąskim ostrzem, ale u Massai ostrza są wyjątkowo ogromne i wyglądają, jak obosieczne kosy, osadzone sztorcem na drągach. Wogóle, broń we wszystkich narodach ze szczepu Bantu nie da się porównać z przepysznyimi wyrobami Somalisów, których włócznie, tarcze ze skóry hipopotama, a zwłaszcza noże mogą stanowić ozdobę każdego muzeum.

A jednak narody, objęte dzisiejszemi posiadłościami niemieckimi, odznaczały się wielką wojowniczością, a niektóre, jak np. Ma-Konda i Wehehe, zamieszkali na południu, odznaczają się nią dziś jeszcze; również mieszkańcy kraju Ugogo, leżącego z tamtej strony gór Użagara, i najwaleczniejsze ze wszystkich północne pokolenia Massai. Niemcom nieraz jeszcze wypada poskramiać wojenne humory rozmaitych pokoleń, co zresztą wychodzi na korzyść plemion spokojniejszych i mniej licznych, nad któremi groźni są siedzi znęcali się dawniej bez litości.

Formy rządu są najrozmaitsze. Oczywiście dla wszystkich pokoleń biały „M'buana Kuba“ z Bagamoyo jest władcą, którego, zależnie od jego osobistego uroku, mniej więcej się boją i mniej więcej uznają. Dla odleglejszych jednak pokoleń jest on poniekąd istotą mityczną, wskutek czego zrywają się tam od czasu do czasu między miejscowemi królikami wojenne wichury. Królikowie owi rządzą czasem nieograniczenie, czasem ze spółudziałem starszyzny. Są jednak narody, w których władza monarchiczna nie jest znaną, i do takich należą potężni Massai. Ci żyją życiem klanowem i tylko w razie wojny wybierają

między najslynniejszymi wojownikami wodza, który czasowo sprawuje władzę dyktatorską. W innych narodzikach, bardzo rozdrobnionych, każda wioska ma swego króla, który w stosunku do władzy niemieckiej gra taką rolę, jak u nas wójt w stosunku do administracji.

Wszystko to jednak, od czasu zagarnięcia kraju przez Niemców, rozprzega się, zmienia i przerabia na inną modłę. Misje przyczyniają się w równym stopniu do tych zmian, które ogólnie biorąc, wychodzą na korzyść czarnym. Dawniej gnębili ich własni królikowie, wycinali ich w pień potężniejsi sąsiedzi, zagarniali w niewolę Arabowie. Nigdzie zdanie: że najszcześliwsze są te narody, które nie mają historii — nie okazało się większym fałszem. Cała ta kraina była jedną gehenną cierpień, krwi i łez ludzkich. Człowiek był literalnie człowiekowi wilkiem, bo go pożerał. Dziś to ustało wszędzie, dokąd dosięgnęła ręka i energja niemiecka. Dziś taki nasz przyjaciel, jegomość Muene-Pira, jeśli czasem skosztuje jeszcze ludzkiego befsztyku, to czyni to rzadko i w największej tajemnicy, poczem, dręczony niepokojem, wysyła na wszelki wypadek krowę w podarunku do Bagamoyo. Przed kilkunastu jeszcze laty przyjmował on bezbronnego ojca Stefana, przewracając dziko oczyma i przysuwając dzidę do jego piersi; dziś staruszek, na widok dwóch białych, przestępuje z nogi na nogę, śmieje się, znosi pombe, miód leśny i dopiero upewniwszy się, że to nie Niemcy przyszli do niego w gości, powie pod namiotem z tajemniczą miną: *Daki*

akuna msuri! akuna msuri! (Niemcy nie dobrzy, nie dobrzy!)

Nie bierze jednak w rachubę tego, że gdyby nie sąsiedztwo o parę dni drogi od Bagamoyo, toby może jego kości już dawno hieny rozniosły po polach, albowiem i on sam i jego wierni poddani są ostatnim szczątkiem licznego niegdyś narodu U-Doe, który przed niewielu laty został rozbity w zawierusze wojennej, wytępiony, pozjadany lub zaprzędany w niewolę.

XV.

Dalszy pochód. — Porządek pochodu. — Suchy step. — Kikoka. — Kałuża z wodą. — Madi-bunduki. — Południe. — Koloryt kraju. — Tukany. — M'sa. — Wioska. — Zarząd zapasami. — Pierwszy królik. — Wzajemne podarunki. — Nasi ludzie. — Dzieci po wsiach. — Chaty. — Pogoda.

Dzień jasny i pogodny. Od strony oceanu stado rozdartych, wystrzępionych chmurek, jakby kto porozwieszał na niebie pierzaste liście palmowe, zresztą błękit przeczysty i głęboki. Odesławszy dwóch pożyczonych askarisów i przeprawivszy się przez Kingani, zanurzamy się w las trzcin i haszczów. Ścieżka wąska, miejscami błotnista. Obok, tu i ówdzie, kałuże lub doły pełne cuchnącego nawozem i surowizną błota, rozrobionego nogami hipopotamów.

Idziemy w następnym porządku: naprzód mały Tomasz z dwoma aparatami fotograficznymi na głowie, za nim my, potem murzyni, niosący nasze strzelby, reszta zaś pagazich rozciąga się, jak zwykle, długim sznurem. Często nad wysokim oczeretem widać tylko paki, chwiejące się na głowach; czasem krze i trzciny zasłaniają zupełnie karawanę, która z powodu trudności drogi rozciąga się coraz bar-

dzie, tak, że idący na końcu pozostają o kilkaset kroków za nami. Na okrzyk: „Aya!“ — który najbliżsi murzyni powtarzają skwapliwie, nadając sobie zaraz jakby prawo rozkazywania pozostałym — wszystko się śpieszy, zbiega i czyni łańcuch zwartszy.

Przez pierwsze pół godziny drogi otacza nas gąszcz, nadzwyczaj zbity z powodu lian, które, przerzucając się z jednego krzaka na drugi, wiążą je niby tysiącami cieńszych i grubszych powrozów. Błoto jednak staje się coraz mniejsze i suchsze. Widocznie wychodzimy z przestrzeni, które Kingani zalewa w czasie massiki i vouli. Gdzie niegdzie trafiają się już drzewa, których nie widzieliśmy wpobliżu łożyska; z niektórych krzaków zwieszają się owoce wielkości i kształtu naszych dyń. Haszcze rzedną i rzedną, a nakoniec poczyną się step suchy, rozłożysty, na nim rzadkie mimozy, miejscami kępki krzewin, obsypanych czerwonym, jak krew, kwieciem — i trawa w pas.

Naokół nie widać ani zwierząt, ani większych ptaków. Słońce poczyną już dopiekać, ale po stepie przeciąga od czasu do czasu wiatr. Po godzinie drogi przychodzimy do wioski Kikoka i zajmujemy ją z tem większą łatwością, że niema w niej żywej duszy. Nic nędzniejszego niepodobna sobie wyobrazić. Jest tu ośm szałasów, skleconych z trawy i chróstu, tak niskich, że dochodzą nam zaledwie do pasa. W środku stoi samotne, niezbyt wielkie drzewo mangowe — i oto wszystko. Gdyby nie owo drzewo i gdyby nie łodygi ananasów, niewątpliwie zasadzonych ręką ludzką, możnaby mniemać, że jest to czasowe obo-

zowisko; ale w dali widać także kilka krzów bananowych, widocznie więc mieszka tu stale jakaś bieda afrykańska, która, na wieść o zbliżaniu się białych, drapnęła w pobliskie zarośla. Tłumacz Franciszek objaśnia mnie zresztą, że ludzie ci uciekli prawdopodobnie nie przed nami, ale przed ową ekspedycją, która nieco pierwej poszła do kraju U-Zagara — i że uciekli ze strachu, żeby ich nie wzięto jako tragarzy. Niemcy czynią to często — bo zresztą niema innego sposobu; jakkolwiek zaś murzynom, zniewolonym do obowiązku tragarzy, płacą sumiennie, ci, bojąc się dalekich wypraw a przedewszystkiem wojny, wolą na samą wieść o wyprawie dawać za każdym razem nurka w nieprzebyte gąszcze, w których przesiadują następnie po kilka tygodni. Na pytanie, dlaczego chaty w Kikoce są tak nędzne, tłumacz odpowiada mi, że mieszka tu *le petit monde*. Domyślałem się i sam, że nie *grand monde* — jednakże nie mogłem się niczego więcej dopytać, choć później przekonałem się, że to jest nędza wyjątkowa, i że wszystkie inne wioski są nierównie porządniejsze.

Kałuża z wodą do picia znajduje się w Kikoce, natomiast woda w niej trąci utopionym kotem, jest zaś barwy i gęstości czekolady. Błogosławiłem swój pomysł zakupienia i zabrania w drogę kilkudziesięciu butelek wody sodowej. Była ona wprawdzie prawie ciepła, ale przynajmniej nie miała nic wspólnego ani z czekoladą, ani z kotem. Murzyni nasi przyjmowali z wdzięcznością opróżnione butelki, strzelanie zaś korków bawiło ich stale. Stworzyli nawet

nazwę na tę wodę, mianowicie zwali ją *madi-bunduki*, (woda-strzelba).

Ponieważ jednak na wodzie sodowej nie można gotować, jedliśmy śniadanie, zgotowane na miejscowej i to niefiltrowanej. Chcąc nafiltrować dostateczną ilość wody do gotowania, trzeba by temu poświęcić całe godziny, przyszedłszy zaś na postój, chce się człowiekowi jeść prędko i następnie iść spać na czas największego upału. Woda taka przegotowana staje się mniej szkodliwą i po jednorazowym lub nawet kilkakrotnem użyciu niekoniecznie prowadzi za sobą dysenterję — smakuje jednak źle. Nie smakowała nam szczególnie w kawie, która ugotowana na niej, była czarna, jak smoła, nawet po dodaniu wyciągu mlecznego.

Godzina jedenasta. Przychodzi owa pora jasnego blasku i milczenia, w której cały świat aż bieleje z żaru. Po śniadaniu idziemy spać w cień drzewa mangowego, którego zbite liście nie przepuszczają ani jednego pasemka światła. Budzimy się przed trzecią, rzeźwi, wypoczęci i postanawiamy ruszyć dalej, gdyż w Kikoce niema co robić, a oznajmiamą nam, że po kilku godzinach trafimy na większą i porządniejszą wioskę, w której są aż dwie kałuże dobrej wody. Uważam z przyjemnością, że ludzie są chętni, bardzo o nas troskliwi i posłuszni na każde skinienie. Po śniadaniu słali nam na wyścigi legowiska z suchych traw pod mangiem, teraz zaś, ledwie przebrzmiała komenda: „Aya!“ — kołki namiotu zostały wyrwane, sam namiot zwinięty, paki w mig powiązane palmowymi sznurami — tylko ruszać.

Idziemy stepem. Gorąco jest bardzo, ale świat nie tak już śmiertelnie biały, jak w godzinach południowych. Samo słońce staje się bardziej złote i nasycą złotem przestworze; trawy, krzaki, drzewa i sterzące tu i ówdzie kopce termitów, są jakby pociągnięte przezroczystą, bursztynową powłoką, skutkiem czego niebo wydaje się błękitniejsze, a okolica wesejsza. Zupełnie nasz gorący letni dzień! W niektórych miejscach wysokie, płowe trawy są też tak podobne do łanów dojrzałych zbóż, iż się ma złudzenie naszej wsi. Zdaje się, iż lada chwila z drugiego końca ładu rozlegnie się: „Oj! ta dana! oj, dana!“ — zabrzękną sierpy, albo ukażą się czerwone chusty na głowach dziewczek, najętych do żniwa. Oddychamy powietrzem suchem i zdrowszem, bo błota Kingani zostały już daleko za nami. Wszystko to wprawia nas w doskonałe usposobienie. Podoba nam się podróż i kraj. Rzeczywiście staje się on coraz piękniejszy. Step wznosi się nieznacznie, a naokół widać wszędy wesołe, niezbyt gęste gaje, rysujące się z nieporównaną czystością na błękicie. Czasem są to zarośla, pokrywające znaczniejsze przestrzenie; czasem kępy drzew, złożone z kilkunastu lub kilkudziesięciu sztuk. Zbliża kraj wygląda, jak wykwinny park; zdaleka, jak jeden wielki las; ale w miarę, jak się posuwamy, drzewa się rozstępują, i ukazuje się wolna przestrzeń; widzimy sykomory olbrzymiej wielkości, pod których cieniem kilkudziesięciu ludzi może znaleźć z łatwością schronienie. Między kępami drzew przelatują w świetle stadka tukanów. Gdy zapadną, słychać w gałęziach ogromnie głośną rozprawę, zu-

pełnie jakby to była jakaś komisja, rewidująca afrykański drzewostan. Po zbadaniu jednej kępy, przelatują na drugą — i tam znów narada. Na ścieżce zabijamy dwa duże ptaki z rodzaju grzebiących; mają one szare upierzenie, nogi bardzo wysokie, lot nieskory. Kucharz M'sa obarcza się niemi z przyjemnością, zapewniając nas, że to „nyama msuri“ (mięso dobre).

Idąc dalej, spotykamy coraz częściej draceny i euforbje. Te ostatnie mają kształt świeczników o kilku lub kilkunastu ramionach, podniesionych do góry. Sztywność i powaga ich żłobkowanych gałęzi odbija dziwnie od fantastycznej płataniny lian. Zauważyłem, iż wszędzie tu panuje nadzwyczajna mieszanina drzew. Prawie nigdzie nie można zobaczyć kilkunastu sztuk jednego gatunku, stojących obok siebie. Tak samo jest i z krzakami: prawie każdy ma inny kształt, inną korę, inne liście i owoce.

Słońce zniża się ku zachodnim wzgórzom. Burztynowy odbłysek niknie na wypukłościach pni, na brzegach liści i zmienia się w czerwono-złoty. Wierzchołki ramion euforbij zapalają się, jak świece; w przestworzu rumiana przejrzystość i słodycz wieczorna. Często to można widzieć i u nas, że gdy w lecie, po dniu pogodnym, nastaje wieczór pogodny, zwiastun gwieździstej nocy, w całej naturze jest jakby dobry humor, jakby radość z życia i otucha. Krzewy, drzewa i ptaki zdają się mówić: „Dzień nam zeszedł dobrze, a teraz zmówimy sobie: „Wszystkie nasze“ i utniemy drzemkę aż miło“.

Taki właśnie wieczór, łagodny i świetlisty, czynił

się też nad nami. Słońce stało się wielkie, jak koło; dolny jego obręb dotykał już wzgórzy — i lada chwila miało się całe za nie usunąć.

Od niejakiego czasu szliśmy zaroślami, w których utonęła ścieżka. Nagle, w największym gąszczu, spostrzegamy pod siecią lian częstokół i rodzaj bramy, utworzonej z niskich pni. To już wioska. Wyprawa wojenna widocznie tędy nie przechodziła, bo ludność jest na miejscu. Wchodzimy. Środkowy dziedziniec zapełnia się naszymi ludźmi, którzy zdejmują ciężary z głów i składają je na ziemi. Kobiety i dzieci otaczają nas z ciekawością, ale i z pewnym strachem. Mężczyźni wynoszą nam z chat swe łóżka, wypłatane paskami skóry, czyli tak zwane kitandy, na których siadamy, czekając, zanim rozbiją nam namiot i złożą nasze własne, polowe łóżka.

Długi pochód zmęczył nas porządnie. Chciałoby się wyciągnąć i odpoczywać, ale podróżnik, przyszedłszy na nocleg, ma jeszcze dużo zajęć. Trzeba wskazać miejsce na namiot, przypilnować ludzi, którzy go stawiają, pootwierać paki, wydać kawę, herbatę, mąkę i konserwy; następnie, ze względu na słabość natury ludzkiej a zwłaszcza murzyńskiej, pozamykać skrzynie, zawierające takie rzeczy, jak cukier, sól, wino lub koniak. Wszystko to trwa dość długo i męczy nie mniej od pochodu. Naturalnie, oczy mieszkańców wioski śledzą każdy ruch białego człowieka, co z początku bawi, ale później zawadza i drażni.

Zapadła noc, i rozniecono ogniska. Płomień rozświeca niskie dachy zabudowanych w krąg chat, przed którymi stoją lub siedzą grupy murzynów,

mężczyzn i kobiet. Ludzie są wysocy i silni. W czerwonym blasku, który modeluje wybornie tęgie muskuły ich piersi i ramion, wyglądają, jak posągi wykute z czarnego marmuru lub wyrzeźbione w hebanie. Mężczyźni i kobiety mają tylko przepaski na biodrach, można więc dokładnie przyglądać się kształtom, zwłaszcza, że wszystko to, zapatrzone na nas, trzyma się nieruchomie, i tylko oczy, w których odbija się blask ognia, zwracają się za nami.

Tymczasem nadbiega królik wioski, który dotychczas, mimo ciemnej nocy, bawił gdzieś w polach, i nadbiega z widocznym przestachem, stanąwszy bowiem przed nami, zrywa z głowy chustę, którą miał okreconą czuprynę, i wyciąga się jak żołnierz, słuchający rozkazu. Znać, że Bagamoyo o dwa dni drogi. Przyjazne: „yambo!“ rozprasza jednak jego obawy, mianowicie też uspokaja go widocznie nieobecność między naszymi ludźmi askarisów, zbrojnych w karabiny z bagnetami. Zdaje się, że ta ostatnia okoliczność, nie zmniejszając jego usłużności, wprawia go w dobry humor, gdyż oddaliwszy się na chwilę, przyprowadza w podarunku kozę, a nieco później przynosi nam kilkanaście jaj, które zresztą, jak się okazało, wszystkie były zalęgnięte.

Oczywiście, wychodząc, okazemy mu wdzięczność pod postacią kilku dotis kolorowego perkalu, narazie zaś dajemy mu szklankę wina, po której wypiciu trzyma oczy wzniesione w górę, jakby w uniesieniu. Niema w tem zresztą nic dziwnego, bo i nam dwufrankowy burgund wydaje się niebiańskim nektarem. Królik, wypiwszy jedną szklankę, nie śmie

prosić o drugą, patrzy natomiast na butelkę oczyma tak pełnemi miłości, jak na młodą narzeczoną. Ale wina mamy wogóle mało, zresztą życie po naszym odejściu mogłoby mu wydawać się zbyt szare — więc przez samą filantropję nie chcemy się domyślić, o co mu chodzi.

Zasiadamy do obiadu, którego główną potrawę stanowi jeden z ptaków, zabitych w czasie pochodu. Duża skrzynia z konserwami służy nam za stół, dwie inne mniejsze za krzesła. Nie ubliżając sławie „365 obiadów“, jest rzeczą więcej niż wątpliwą, czy nasz M'sa pomienione dzieło czytał, albowiem talent jego kulinarny polega głównie na wrzucaniu do wody wszystkiego, co ma wydane, i następnie na mieszaniu pierwszym lepszym patykiem w tej wodzie — aż do skutku. Z trudnością także przychodzi mu odróżnić smalec od ekstraktu mlecznego Liebiga, skutkiem czego kilkakrotnie podał nam herbatę dość oryginalnie przyprawioną.

Z tem wszystkiem zdaje się być bardzo rad z siebie i uśmiecha się, widząc, jak zajadamy ptaka, którego podał nam w zawiesistym wodnym sosie, poszarpanego na drobne, nakształt klusków, kawałki. Dla nas zaś istotnie, co na placu, to nieprzyjacieli. Długi pochód, oryginalność podróży, nowe widoki i dobre humory dają nam niepośledni apetyt. Szczególniej smakują nam jarzyny w konserwach, jako to: zielony groszek, szparagi, marchewka. Przyszłym podróżnikom nie mogę dość polecić tego rodzaju zapasów, gdyż w gorących krajach czuje się wstręt do mięsa, podczas gdy jarzyny jada się chciwie.

Godzina jest już późna. Ogniska powoli gasną, i ludność, która aż dotąd gapila się i otwierała usta na widok białych ludzi i ich nieznanych przyborów, chowa się pod okapy chat. Idziemy spać za jej przykładem, ale w Afryce, w wiosce murzyńskiej, łatwiej się położyć, niż usnąć. Naprzód, sypia się dużo w dzień, w czasie najgorętszych godzin, więc jesteśmy wyspani, powtórę gryzą komary, po trzecie owa darowana koza, przywiązana nieopodal naszego namiotu, daje znać towarzyszkom o swem przykrem położeniu beczeniem tak przeraźliwym, że aż w uszach dzwoni. Leżę, odpoczywam i rozmyślam.

Ludzie nasi, wyspani równie jak my a daleko bardziej przyzwyczajeni do pochodów, nie myślą nawet o odpoczynku. Tłuką przy ognisku kasawę w stępie i rozprawiają, jak kumoszki na jarmarku. Słyszę niewyczerpane dowodzenia i spory, kończące się zawsze przeciągłem: „aa!“ — pełnem jakby zdziwienia i oburzenia. Jestem przekonany, że gadają o byle czem, aby tylko gadać, a tymczasem gwar ich zlewa się z beczeniem kozy w stały, nieznosny harmider. Od czasu do czasu podnoszę skrzydło namiotu i każę im być cicho; wówczas każdy powtarza pośpiesznie: „Tss! tss! M'buana Kuba“ — jeden daje drugiemu sojki w brzuch — i przez czas jakiś panuje milczenie, ale po chwili poczynają się szept, potem półgłówna rozmowa — nie upłynął kwadrans — już zapomnieli o wszystkim — i znów gwar, jak w szkole.

Ostatecznie więcej mnie to bawi, niż gniewa, bo lubię naszych ludzi. Pierwszego dnia wydawali

mi się wszyscy tak do siebie podobni, że nie mogłem jednego od drugiego odróżnić; teraz, po kilku dniach, spędzonych nad Kingani, rozpoznaję z łatwością każdego i po większej części wiem, jak się który nazywa. W drodze prędko też zaznaczają się różnice charakterów i temperamentów.

Bruno, chrześcijanin, naczelnik karawany, jest porządnym człowiekiem, nie wiem tylko, czy w danym razie miałby dość powagi, bo za dużo rozprawia. Tłumacz Franciszek, również chrześcijanin, mniej mi przypada do smaku. Uważa on się za dygnitarza dlatego, że nosi tylko latarnię, nie licząc strzelb mego towarzysza, i że jest tłumaczem. Tymczasem jego francuzczyzna jest tak zsuahilizowana, że prawie jej nie rozumiemy. Ma on przytem ten talent, że go nigdy pod ręką niema, gdy go potrzeba.

Moimi ulubieńcami są: wspomniany wyżej M'sa i Simba. M'sa ma zachowanie u murzynów z powodu resztek, które po nas zjada i którymi obdziela swoich zauszników. Śmieje się ustawicznie, po nocach zaś dosiada do Bóg wie której godziny przy ognisku i wsparty łokcie na kolanach, śpiewa przez nos zawsze jedno wkołko: „M'buana Kuba, m'buana Ndogo, Bagamoyo, wengi rupia“ i t. d., co wedle przekładu Franciszka, znaczy: „Pan starszy i pan młodszy dadzą w Bagamoyo mnóstwo rupij“. Poetyczna ta nadzieja wsparta jest zresztą na fakcie, wszyscy bowiem nasi ludzie dostali w Bagamoyo tylko zadatek, a w drodze biorą cztery dotis perkalu na życie, zapłaćeni zaś zostaną dopiero za powrotem.

Simba nosi część namiotu. Murzyni są powszechnie weseli, ten zaś przewyższa wszystkich. Imię jego znaczy: lew — ale jest on raczej błaznem karawany. Ciągłe coś opowiada, i ludzie, idący koło niego, wybuchają ustawicznie śmiechem. Leczę go na oczy wodą cynkową, za co zdaje się żywić dla mnie wdzięczność. Jest to chłopak chętny i łagodny.

Sulimue, który nosi moje strzelby, ma tę wadę, że się nas boi. Zwłaszcza z początku, gdy kiwnął o strzelbę, nadlatywał z widoczną obawą. Starałem się ośmielić go łagodnością. Musiał on być w dzieciństwie niewolnikiem jakiegoś Araba i może potulność jego datuje się od tych czasów. Wogóle Frère Oscar dobrał nam porządných ludzi.

W Kairze spotkałem kogoś znajomego, wracającego z Mozambiku, z nad rzeki Zambeze. Nie robił on większej podróży w głąb kraju od nas, a mimo tego ludzie tak mu umykali, że musiał stać nad nimi nawet wówczas, gdy pilnowanie przedstawia najmniej uroku. My nie mieliśmy przez cały czas wycieczki ani jednego deztertera. Oczywiście, że gdybyśmy szli na przykład do kraju Massai, byłoby pewnie inaczej. Wszyscy prawie podróżnicy narzekają na konieczność czuwania dzień i noc nad tagarzami, którzy zostawieni choć na chwilę bez dozoru, zmykają zaraz, gdzie który może.

Tłumaczy się to tem, że czarni są po większej części i łatwowierni i tchórze. Gdy idą daleko, opowiadają sobie niesłychane rzeczy o okrucieństwie i waleczności plemion, zamieszkujących w głębi lądu — i nastrajają się wkońcu tak, że gotowi są

zmykać z lada powodu. Co prawda, zwykli podróżnicy afrykańscy są to kupcy, albo geografowie, którzy nie podróżują tak, jak my, dla wrażeń artystycznych, ale dla handlu lub odkryć, i ci istotnie idą w kraje odległe, w których wielu pagazich ginie z samych tylko trudów i niedostatku.

Ranek! Królik przychodzi ofiarować nam swe usługi, przedewszystkiem zaś oddaje nam tę, że rozpedza gromadę dzieci, która już zebrała się koło namiotu. Nie pomaga to jednak na długo, bo po chwili dzieciarnia otacza nas znów kołem. Gdzie spojrzeć, widać krągłe, wełniste główki, wytrzeszczone oczy, palce zanurzone w ustach i wypukłe, czarne brzuchy na cienkich nogach.

We wszystkich wioskach bywa tak: mężczyźni po większej części widzieli białych i dlatego okazują się najmniej natrętni; kobiety są już ciekawsze, dla dzieci zaś przybycie białego, to dziwowisko nad dziwowiskiem. Z początku chowają się ze strachu... chciałem powiedzieć: za suknie, ale dla ścisłości powiem: za kształty matek; następnie przypatrują się zdaleka, potem zbliżają się coraz bardziej, a po kilku godzinach nie pozwalają odetchnąć. Nasz namiot, broń, sprzęty, my sami i wszystkie nasze czynności — to jeden szereg pysznych, bezpłatnych widowisk. Chcesz nieszczęsny człowieku obejrzyć chaty, gromada idzie za tobą; zbliżasz się do wyjścia, gromada idzie za tobą; zatrzymujesz się, dzieciarnia zatrzymuje się; idziesz dalej, dzieciarnia w trop. „Czarne aniołki, idźcież wkońcu do licha!“

Są chwile w życiu, jeśli nie całych narodów,

to przynajmniej pojedynczych ludzi, w których ci ludzie życzą sobie zostać sami. A tu ani rady! Odwracasz się wreszcie, marszczysz brwi i wykrzywasz się najokropniej. Na ten widok wszystko pierzcha — ale ile oczu spogląda na ciebie z zarośli i lian, o tem wiedzą tylko gąszcze.

Dzień nie czynił się zbyt pogodny. Na niebo wytaczały się mleczne obłoki, podobne do wzdętych żagli, takie, jakie w tych stronach skrapiają ziemię krótką, ale obfitą ulewą. Znałem je jeszcze z Zanzibaru, gdzie uważają je za zapowiedź massiki. Wstaliśmy nieco późno, więc postanowiliśmy wyruszyć dalej dopiero po południu, a tymczasem obejrzeć wioskę. Jest ona większa, niż nam się wczoraj pociemku zdawało, albowiem, prócz chat, otaczających wyskubany z trawy dziedziniec, inne jeszcze kryją się w gąszczu. Wszystko razem otacza częstokół, który za dawnych czasów zabezpieczał zapewne wioskę od napadów ludzkich, teraz broni kozy od napaści lwów i lampartów. Chaty są dość obszerne, plecione z chróstu i gliny, okrągłe, z trzcinowym, w kształcie parasola, dachem, spuszczone nisko i tworzącym nad ścianą obszerny okap. Wewnątrz mało sprzętów: kitandy, motyki do kopania manjoku, wielkie naczynia z czerwonej gliny do wody, gdzie nigdzie parę dzirytów, wspartych o ścianę — i to wszystko.

Jest to pora najsuchsza, roboty w polach ukończone, więc cała ludność znajduje się w wiosce. Kobiety i mężczyźni siedzą w głębokim cieniu, pod okapami i wyplatają maty. Biodra ich poprzewiaży-

wane są kawałkami perkalów, często bardzo jaskrawych, co sprawia, że z cienia wychyla się mnóstwo plam barwnych. W pojedynczych grupach, w pozach i ruchach przy wyplataniu mat, jest dużo malowniczości. Całość, widziana na tle wielkich drzew i głębokich zarośli, tworzy jakby sielankę murzyńską i mogłaby służyć za motyw do ciekawego obrazu, gdyby ją ktoś pojął i oddał czysto artystycznie.

W polach i w domu pracują przeważnie kobiety. Mężczyźni robią tylko to, co im się podoba, a że najczęściej podoba im się nie nie robić, więc mają łatwe życie. Prawdopodobnie zajmują się jednak nieco kowalstwem, jak świadczą zrudziałe żelazne szczerbrychy, walające się tu i ówdzie po ziemi, wedle chat. Może także, w chwilach dobrego usposobienia, biorą udział w pasieniu kóz lub w pracach koło roli, np. przy wypalaniu traw pod uprawę sorgo i kasawy. Bądź co bądź, ponieważ w tych stronach nie tylko nie bierze się posagu za żoną, ale się za nią płaci, młodzi ludzie muszą w jakiś sposób zarabiać.

W wiosce niema ani jednej krowy; kozy i kury stanowią cały dobytek. Prawdopodobnie mucha tse-tse czyni tu niemożliwą hodowlę wielkich bydłał rogatych — wogóle bowiem murzyni zajmują się nią chętnie, a kraj zdaje się być jakby umyślnie dla niej stworzony. Tysiące wołów mogłoby się wypasać na tych stepach, nie zajętych przez nikogo i porośłych dzunglami. Ludzie nasi mówią nam, że pierwsze stado zobaczymy dopiero w Muene-Pira, u króla ludożerców U-Doe, a ojca naszego małego Tomasza.

Znaleźliśmy tu dwie sadzawki: w jednej woda

jest biała, zła do picia, w drugiej wyborna. Ma ona smaczek bananowy, kolor zaś bursztynu, tak jakby ktoś dodał do niej parę kropel czarnej kawy. Barwa owa zostaje jej nawet po przedestylowaniu. Obie sadzawki pogrążone są w głębokim cieniu drzew i zarosły, więc obie mają wodę stosunkowo zimną. Kąpiel odświeżyła nas wyśmienicie, chociaż rozbieraliśmy się z nieprzyjemnem wrażeniem, na liściach bowiem, zwieszonych nad wodą, było mnóstwo owych długich na kilka cali czarnych robaków, które, sądząc po liczbie nóg, poczytywałem za stonogi. Bruno jednak brał je w rękę, nie były więc jadowite.

Deszcz nie przychodził; widocznie massika jeszcze nam nie groziła. Obłoki to zbiegały się, przesłaniając słońce, to rozbiegały, tworząc szpary, przez które przedzierał się ostry blask. Step gasł i rozpalał się kolejno — i był, jak morze, w którem odbijają się wszystkie zmiany na niebie.

Wracając z kąpieli, oglądaliśmy w pobliżu wioski grób poprzedniego jej naczelnika. Był on ocieniony daszkiem z suchych traw, mającym kształt grzyba. Pod spodem, na samej mogiłce, zaledwie wzniesionej nad powierzchnię, stały naczynia z resztkami mąki manjokowej.

Murzyni, są to ludzie nader praktyczni, przypuszczam więc, że te ofiary na grobach zmarłych składają nie przez pobożną pamięć, ale wychodząc z zasady, że kto się naje, ten śpi. Dyktuje je, inaczej mówiąc, obawa, aby nieboszczyk nie wychodził nocami z mogiły i nie szkodził mieszkańcom. Dowodzi to jednak wiary w przyszłe życie.

Koło trzeciej dałem hasło do zwijania namiotu i pakowania skrzyń. Pozostało tylko okazać miejscowemu władcy naszą perkalową wdzięczność, co też i uczyniliśmy ku wielkiemu jego zadowoleniu. Na odchodnem wprowadłem w zdumienie nie tylko dzieci, ale całą ludność, zapaliwszy fajkę zapomocą szkła palącego.

Widocznie niewielu jeszcze białych przechodziło przez tę wioskę. Królik, wedle zwyczaju afrykańskiego, odprowadził nas aż do granicy swej posiadłości.

XVI.

Pochody. — Jak należy podróżować? — Dzień karawany. — Brak wody. — Pombe. — Dalszy pochód. — Przybycie do Muene-Pira. — Król Muene-Pira. — Ludożerstwo. — Pombe. — Wizyta pod namiotem. — Historia plemienia Udoe. — Opuszczamy ludożerców.

Niepodobna opisywać wszystkich pochodów, albowiem często nie różnią się one od siebie prawie niczem. Wstaje się zwykle o 5-tej rano i wyrusza się przed wschodem słońca. Po drodze strzelanina do ptaków i krótkie wypoczynki w cieniu drzew. O dziesiątej namiot ma być już rozbity, i obóz winien stać aż do następnego świtu. To się nazywa dzień karawany. Pochód pięciogodzinny nuży zaledwie — i kto podróżuje w ten sposób, może przez długi czas oprzeć się febrze, albo nawet całkiem jej uniknąć. Na nieszczęście, o ile nie idzie się wzdłuż rzeki, często niepodobna zastosować się do tych przepisów. Postój musi wypaść nad wodą, inaczej bowiem niema na czem gotować, trzeba więc iść, póki się nie trafi na strumień lub kałużę. Strumieni jest wogóle bardzo mało: rzeki afrykańskie prawie nie mają przytoków, kałuże zaś wysychają od upa-

łów, a w takim razie niema innej rady, jak iść po południu dalej, póki się na wodę nie trafi.

Ponieważ podróżowaliśmy w najsuchszej porze roku, więc zdarzało nam się to ustawicznie. Wysyłailiśmy nieraz naprzód ludzi, niosących namiot, by nam go rozbili w miejscu, gdzie miała się znajdować kałuża, i przygotowali wszystko do postoju, tymczasem, gdyśmy nadeszli, czarni wychodzili z gąszczów naprzeciw nas z wydłużonemi twarzami, mówiąc: „Madi apana!“ (wody brak).

Łatwo zrozumieć, w jaki humor wpada po otrzymaniu takiej wiadomości człowiek zlany potem, zdyszany, napół upieczony, któremu drżą nogi, biją tętna w skroniach i język wysycha w ustach. Ale niema rady. Trzeba, po przespaniu najgorętszych godzin, rozpiąć podartą przez mimozy parasolkę i wlec się dalej. Dobrze, gdy się ma zapas w manierce, a wodę sodową w skrzyni, ale gdy to wszystko wyjdzie, droga staje się nieznośna. Nie umilają jej nawet nowe widoki, gdyż kraj na znacznych przestrzeniach jest jednostajny. Wszędzie ten sam step, gąszcze, fantastyczne firanki lian, gaje lub samotne drzewa, które zdaleka wydają się być zbitym lasem, w rzeczywistości zaś stoją jedno od drugiego o kilkanaście kroków, tak, jak jabłonie na normandzkich łąkach.

Niedaleko Muene-Pira ludzie nasi spróbowali po raz pierwszy postąpić samodzielnie. Zdarzyło się, że ja i mój towarzysz pozostaliśmy dla polowania z kilkoma murzynami wtyle, resztę zaś pagazich wystaliśmy naprzód z rozkazem niezatrzymywania

się aż u starego króla ludożerców, u którego mieliśmy spędzić noc. Tymczasem, doszedłszy do pewnej wioski, leżącej nad Muene-Pira, dowiadujemy się ze zdziwieniem, że nasi ludzie rozbili już w niej namiot i przygotowali wszystko do postoju.

Co się stało? Bruno, wysłany naprzód, wyjaśnia wkrótce sprawę. Oto w wiosce odbywa się uroczystość „pombe“. Jest to piwo, wyrabiane z ziarn rośliny sorgo. Murzyni wyrabiają tyle tego napoju, że żadna wioska nie jest w stanie wypić swoich zapasów, że zaś „pombe“ kwaśnieje po dwóch dniach, trzeba przeto wezwać na pomoc sąsiadów, którzy oczywiście nie odmawiają sąsiedzkiej usługi i zebrawszy się tłumnie, piją na umor, bębnią równie zapalczywie i tańczą dopóty, dopóki ostatnia kropla „pombe“ nie zostanie pochłoniętą.

Trafiliśmy właśnie na taką uroczystość. Gdyśmy zbliżyli się do wioski, przeszło trzystu czarnych wyszło na nasze spotkanie. Stanęli oni murem, jakby chcąc nam zagrozić drogę. Była godzina może piąta po południu; słońce zeszło już nisko i oblewało ich czerwonawem światłem, w którym wyglądali dziko i malowniczo. Był to widok prawdziwie afrykański. Szczepy, zamieszkujące pomorze, odznaczają się silną budową; widziałem więc muskuły piersi i ramion poprostu muzealne. Większa część posiadała przepaski perkalowe, niektórzy jednak mieli biodra otoczone suchemi trawami. Wielu nosiło „pelele“ w wargach; spostrzegłem także wiele czupryn, ułożonych bardzo sztucznie w róg nad czołem, wedle

zwyczaju, przyjętego u narodu U-Zaramo. Broni, z wyjątkiem kilkunastu dzirytów, nie spostrzegłem.

Cała ta czereda była w stanie podniecenia pod wpływem pombe. Zdaleka słyszeliśmy gwar, okrzyki i śmiechy, które jednak ucichły, gdyśmy się zbliżyli. Nasi ludzie spoglądali niespokojnie z poza pleców tłumu, niepewni, czy im pozwolimy zostać i korzystać z gratki, jaka się przytrafiła, czy też każemy ruszać dalej.

Obaj czuliśmy się mocno zmęczeni, był to bowiem drugi pochód tego dnia, i słońce już prawie zachodziło. Brała nas ochota zostać, choćby dlatego, by się przypatrzeć tańcom i uczie czarnych, ale nie mogło to być. Koniecznem było pokazać przy tej pierwszej sposobności ludziom, że muszą się stosować do naszej woli i spełniać ściśle rozkazy. Brałiśmy jeszcze i to na uwagę, że w razie pozostania, popiliby się z pewnością pombe, i że mogłaby wyznikać stąd jakaś kłótnia lub bijatyka między nimi a miejscową ludnością, a w takim razie, zamiast odpoczywać po długich pochodach, trzebaby sądzić, wymierzać kary itp.

Mitręga i tak nas wprowadziła w zły humor. Gniew, z jakim wydaliśmy rozkazy, by ruszać dalej, był wprawdzie nieco udany, ale zmieniłby się niechybnie w rzeczywisty i bardzo dla naszych ludzi dotkliwy, w razie najmniejszego z ich strony oporu. Murzyn jednak pojęcie służby łączy dziś jeszcze z pojęciem niewoli i nie opiera się rozkazom nigdy. Trzeba było widzieć gorączkowy pośpiech, z jakim skrzynie zostały podniesione na głowy, i z jakim całą kara-

wana ruszyła naprzód w step. Niewątpliwie żal było pocziwcom serdecznie smakowitego pombe, ale pocieszali się myślą, że skończyło się na rozkazach, nie na kijach, a co który tymczasem chłypnął, to chłypnął.

Między zgromadzonymi na uroczystość pombe znajdowało się zapewne wielu mieszkańców Muene-Pira, gdyż byliśmy już w granicach U-Doe, i obie wioski należały do tego samego narodu. Nasz Tomek może już i zapomniał trochę drogi do rodzinnego gniazda, ale prowadził nas dobrze i szybko inny kilkunastoletni wyrostek, który się do nas przyłączył. Droga była daleka, i trochęśmy w duszy żalowali, że nie wypadało nam zostać w poprzedniej wiosce. Do Muene-Pira przyszliśmy prawie zupełnie pociemku i również pociemku zabraliśmy znajomość ze starym królem, noszącym toż samo imię, co wieś.

Byliśmy tedy nakoniec u ludożerców. Ale czasy się zmieniły nawet dla nich. Stary król nie przyjmował nas już z dzidą w rękę, ale z najwidoczniejszym strachem. W pomroku nie mogłem rozeznąć jego rysów, ale widziałem czarną, wysoką sylwetę, w ciągłych ukłonach i podrydach, oraz słyszałem jego głos, przerywany co chwila uprzejmem „chi, chi, chi!” — które miało oznaczać radość z przybycia gości, a oznaczało niepokój. Wspomniałem już, że starowinka, folgując dawnym przyzwyczajeniom, kupuje od czasu do czasu, w największym sekrecie, niewolnika i urządza sobie z niego fileć, *sauce naturelle*, stąd sumienie jego nigdy nie jest czyste,

i stąd w każdym białym widzi sędziego, który przybywa z Bagamoyo, aby zrobić z nim ostateczny obrachunek.

Mówiąc nawiasem, w każdej wiosce, do której zdarzyło nam się przyjść, pierwszym uczuciem, z jakim nas witano, był strach. Być może, iż to jest pozostałość z dawnych, arabskich czasów, gdy polowano jeszcze na niewolników; być może także, iż przyczynia się do tego surowość niektórych, pomniejszych komendantów niemieckich, a zwłaszcza nadużycia, jakich dopuszczają się względem murzynów czarni askarisowie, w czasie przechodów wojennych; bądź co bądź jednak, pod dzisiejszem panowaniem murzyn powinien być pewniejszy własnej skóry, niż pod dawniejszem, i ów strach, jaki wszędzie wzbudza biały człowiek, nie da się całkowicie wytłumaczyć powyższemi tylko przyczynami.

Co do mnie, sędzę stanowczo, że jest on najlepszą ilustracją do tego, co powiedziałem wyżej, mówiąc o psychologii czarnych i o ich stosunku do tych warunków życia, które przynosi ze sobą cywilizacja. Prawa jej i przepisy, choćby były najprostsze, są dla czarnego zawsze nadto złożone, skutkiem czego nigdy on nie jest pewny, czy czegoś nie zbroił, i czy nie spadnie na niego jakaś kara. Jedynie jak najmniejsza liczba biurokratycznych rozporządzeń, częste stosunki z białymi i prace misjonarzy mogą położyć koniec temu psychicznemu niepokojowi, w którym żyją pierwsze, stykające się z cywilizacją, pokolenia.

Co do Muene-Pira, dawniej trzeba było układać się z nim całemi godzinami o „hongo“ (myto za

przejście przez terytorjum), urządzać ceremonję mieszania krwi itp. Dziś, stary królik nie śmiał nawet zrazu przy nas usiąść. Dopiero gdy mały Tomasz uspokoił go, że nie przyszedłszy na żadne sądy, stał się nieco poufalszy, ale i wówczas gościnność jego nie przestała mocno graniczyć z uniżonością.

Sądziłem, że będę świadkiem rozczulającej sceny między synem a ojcem, tymczasem Tomasz i stary ledwie, że zwrócili na siebie uwagę. Nie jestem nawet pewien, czy sobie powiedzieli: „yambo!“ czy też kiwnęli tylko głowami.

Misjonarze wytłumaczyli mi później, że murzyn wogóle czei matkę bez porównania więcej, niż ojca, o którym wyraża się poprostu: „Mąż mojej matki“.

Jest to oczywiście skutek wielożeństwa. Matka daje wszelkie starania dziecku i przedewszystkiem swoją miłość, ojciec zaś, jeżeli zwłaszcza jest naczelnikiem wioski i posiada pięć lub sześć żon, zapewne nie zawsze umie odróżnić własne owoce żywota od innej, kręcącej się wśród chat, czarnej dzieciarni, której w chwilach złego humoru rozdaje kopnięcia nogą w okolice najlepiej od złamania kości zabezpieczone.

Jakoż tenże sam Tomasz czekał tylko na nasze pozwolenie, by polecieć witać się z matką, nazajutrz zaś był prawdziwie uszczęśliwiony, gdyśmy podarowali mu dla niej piękną, perkalową chustkę hindustani, drukowaną w czerwone pawie.

Jeszcze nasz namiot nie stanął, i nie zapalono ognisk, gdy papa Muene przyniósł nam własnoręcznie pić. Wiedząc od misjonarzy, że ich niegdyś

częstował z czaszki ludzkiej, obmacałem starannie w ciemności naczynie, które mi podał, i dopiero, przekonawszy się, że to tykwa, nie głowa, przechyliłem je do ust. Był w niem miód leśny, bardzo chłodny, ale tak pełen gąsienic, że go odsunął ze wstrętem, dając znać zapomocą gestów gospodarzowi, by zachował dla siebie samego takie przysmaki. Natomiast pombe, zawarte w drugim naczyniu, wydało mi się rozkosznym napojem. Teraz zrozumiałem, dlaczego ludzie nasi woleli narazić skórę, niż nie zatrzymać się w poprzedniej wiosce.

Po dwóch, a właściwie trzech pochodach, byłem spragniony nadzwyczajnie, to też przez długi czas nie mogłem oderwać ust od naczynia. Zaspakajałem za jedną drogą głód i pragnienie, albowiem pombe nie tylko było chłodne, nie tylko kwaskowate, jak rozczyn razowego ciasta, ale w smaku przypominało chleb, było zaś gęste, jak żur, którym żywi się nasz lud na Mazurach. Barwie jego nie mogłem się w ciemności przyjrzeć, ale w tej chwili była mi ona zupełnie obojętna, również jak i to, że od czasu do czasu przesuwają się przez moje gardło kawałki nieco zwartsze, nieznanego mi pochodzenia.

Towarzysz mój raczył się nie gorzej ode mnie, co widząc Muene — rad, że nam dogodził — począł podskakiwać z radości, jak Dawid przed arfą, powtarzając: „Pombe msuri! pombe msuri!”

Rzeczywiście nigdy żaden napój nie odświeżył nas tak prędko; nie rozumieliśmy tylko, jakim sposobem murzyni mogą upijać się pombe, które w gruncie rzeczy nie jest niczem innem, jak rozrobionem

na rzadko i zaledwie nieco sfermentowanem ciastem. Można to chyba objaśnić tem, że czarnym, zamieszkałym nieco dalej od wybrzeża i nieprzyzwyczajonym do naszych napojów spirytusowych, byle co w głowie zawraca.

Po zaspokojeniu pragnienia zajęliśmy się obiadem, a następnie Muene-Pira przyszedł w odwiedziny pod nasz namiot, wraz z dwoma synami, z których starszy, dwudziestokilkuletni murzyn, odznaczał się istotnie wielką pięknoscią i rozumnym wyrazem twarzy. Ten też miał prawdopodobnie objąć rządy po ojcu — gdyż pokazało się, że nasz Tomek jest Bóg wie którem z rzędu dzieckiem. Jako naszemu słudze, nie przyszło mu nawet na myśl wejść pod namiot; było tam i tak dość ciasno, albowiem oprócz trzech przybyszów, nadszedł i Franciszek, którego musieliśmy zawołać, jako tłumacza. Dwaj synowie siedli obok Franciszka na ziemi, ojciec na mojem polowem łóżku — i poczęła się rozmowa, przerywana co chwila okrzykami podziwu na widok różnych europejskich przyborów. Stary zachowywał się przytem mniej powściągliwie od synów, albowiem porywał się za głowę, uderzał się po udach, pisał lub wybuchał śmiechem nad każdą nieznaną sobie rzeczą.

Teraz dopiero mogłem mu się dobrze przypatrzeć. Był to człowiek sześćdziesięciu lub siedmdziesięciu lat wieku, wysoki, barczysty. Nosił małą, siwiejącą bródkę; czupryna jego nieco przerzedzona na wierzchu, tworzyła jakby wełniany wałek naokoło głowy. Twarz niespokojna a śmiejąca się ciągle,

nie czyniła przyjemnego wrażenia. W nosie i uszach nie miał żadnych ozdób. Synowie jego byli przepasani tylko w biodrach, on zaś ubrany był w rodzaj długiej koszuli z żółtawej dymki, z jakiej angielscy żołnierze noszą mundury w gorących krajach. Wogóle wyglądał bardzo brudno.

Poczęstowałem go winem; ale, gdy nalawszy następnie drugą szklankę, podałem ją domniemanemu następcy, staruszek odebrał mu ją natychmiast i wypił sam, wychodząc zapewne z zasady, że nie tak nie uszlachetnia duszy młodzieńczej, jak wstrzymywanie się od rozkoszy.

Nie pozwoliliśmy mu jednak okazywać stale w ten sposób rodzicielskiej miłości dla synów. Dwie szklanki wina wprowiły go i tak w wyśmienity humor. Stał się nadzwyczaj gadatliwy i skłonny do politycznych zwierzeń, których nie powtarzam, bo już o nich wspominałem. Miałem wielką ochotę spytać się go, jak dawno jadł człowieka, ale wzbudziłoby to w nim obawę i nieufność, więc wolałem się wstrzymać i słuchać jego opowiadań o historii narodu U-Doe. Wprawdzie w przekładzie Franciszka, niewiele można było z tego zrozumieć — jednakże coś zrozumiałem, a reszty dopełnili misjonarze.

U-Doe byli kiedyś narodem i licznym i wojowniczym, ale zostali prawie zupełnie wytępieni przez jeszcze potężniejsze szczepy Uzambara i przez wojny domowe. Dawniej mieszkali o wiele wyżej, na północnym brzegu Pangani. Tu, gdzie siedzą obecnie, przyprowadził je dopiero Muene-Pira, przez co ocalił resztki od zagłady. Było już ich tak niewiele, że

zdołali założyć kilka zaledwie wiosek. Miejscowe pokolenia U-Zigua i U-Zaramo patrzyły okiem bardzo niechętnem na ową imigrację. Powstała znów zawierucha wojenna w całym międzyrzeczu, utworzonem przez Kingani i Wami.

Arabowie, do których niby kraj należał, nie chcieli położyć jej końca, z tego prostego powodu, że ich to mało obchodziło a nawet przyczyniało im korzyści, cena bowiem niewolników spadła w Zanzibarze. Ale stary Muene-Pira, mając ludzi wyćwiczonych przez ustawiczne wojny, odpierał mniej więcej zwycięsko wszelkie napady i nie pozwalał się wyrugować.

U-Doe posiadali także i tę wyższość nad przeciwnikami, że kwestja intendentury, nad którą łamią sobie dziś wszyscy głowy w Europie, dla nich nigdy nie istniała, zjadali bowiem poprostu poległych i jeńców — i w ten sposób wojna żywiła wojnę. Zostawiono ich też wkońcu w spokoju, tem bardziej, że ziemie, które zajęli, były poprzednio puste. Od tej chwili zaczęły się dla Muene-Pira lepsze czasy. U-Doe, w starych swych siedzibach, byli narodem pasterskim, sprowadzili więc ze sobą trzody, których hodowlą zajmują się do dziś dnia. Trzody mnożyły się, mimo much tse-tse, i w ten sposób Muene-Pira stolica i Muene-Pira król, poczęli zwolna porastać w pierze. Ale powodzenie psuje. Nie wiem, czy w imię tradycji, czy w imię higieny, nakazującej, jak wiadomo, rozmaitość pokarmów, począł teraz Muene zaczepiać pierwszy sąsiadów i czynić wyprawy po ludzkie mięso, które ostatecznie lepiej smakowało i jemu

i jego wojownikom od wołowiny. Wywołało to nową burzę, która niewiadomo, jakby się skończyła dla szlachetnego szczepu U-Doe, gdyby nie to, że przyszli Niemcy i położywszy rękę na wszystkich, zmusili tem samem zacnego staruszka, by, o ile mu nie smakuje wołowina, został wegetarjaninem. *Inde irae.*

Godnem jest uwagi, iż U-Doe nie zjadali jakoby nigdy białych. Brat Oskar mówił mi, że istnieje między nimi wiara, iż gdyby zjedli białego, to krajby zginął. Podług mnie, rzecz ta musi się wspierać na jakimś smutnem doświadczeniu. Może niegdyś zjedli, naprzykład, jakiegoś dziennikarza, który im stanął kością w gardle; może uczonego, po którego spożyciu wszystkie miejscowe środki okazały się bezskuteczne, a może poetę, po którym panowały powszechne mdłości...

Jednem słowem „coś w tem musi być“, jak mówiła pewna cnotliwa dama, ilekroć zdarzyło się jej widzieć młodą mężatkę, rozmawiającą ze znajomym mężczyzną. Dla podróżników rzecz ta zostanie na zawsze tajemnicą, ale zarazem i poręką, zwłaszcza, jeśli podróżnik należy także do piszących.

Wizyty w kraju U-Doe trwają widocznie niezmiernie długo. Godzina upływała za godziną, spać chciało nam się coraz bardziej, a tymczasem Muene tkwił ciągle w naszym namiocie. Synowie jego siedzieli również, jakby w ziemię wrosli. Zapaliłem wreszcie nić magnezjową, sądząc, że taki ogniotrysk z jednej strony uwieńczy pięknie naszą gościnność, z drugiej będzie hasłem do odejścia dla gości. O, jakżem się omylił! Nić rozbłysła wprawdzie jak

słońce i spadała brylantowemi łzami na ziemię, stary podwinał, co duchu, nogi pod siebie i począł krzy-
czeć głosem przerażonej papugi: „aka! aka! aka!“ —
wszelako ciekawość wzięła w nim górę nad strachem,
i rozbawił się do tego stopnia, że ani myślał od-
chodzić. Czas jakiś czekaliśmy jeszcze cierpliwie na
zakończenie odwiedzin, ale napróżno. Co było robić?
Nie byliśmy pewni, o ile poklepanie po łopacie
przedstawiciela prześwietnego kraju U-Doe i poka-
zanie mu drzwi namiotu będzie zgodne z etykietą,
w tymże kraju obowiązującą, trzeba się jednak było
uciec wreszcie do tego radykalnego środka.

Noc tę przespaliliśmy, z powodu znużenia, bardzo
mocno. Ranek przyniósł nam dowód, że Muene-Pira
nie obraził się wczorajszemi wyprosinami, albowiem
we drzwiach namiotu spostrzegliśmy dużą dzieżę
glinianą, napełnioną po brzegi pombe. Jakaś ręka
postawiła ją tam, kiedyśmy jeszcze spali. Ale zachwyt
nasz nad pombe zdołał już przez noc ochłonać. Zra-
ziła nas może brudno-szara barwa napoju, może
widok kilkunastu mniejszych lub większych owadów,
które znalazły w nim śmierć przedwczesną, dość, że
zawoławszy Brunona, oddaliśmy całą dzieżę naszym
ludziom. Nie potrzebuję dodawać, że została przy-
jęta i opróżniona z rozkoszą.

Dopiero przy świetle dziennem spostrzegliśmy,
że wioska Muene-Pira leżała po większej części
w zgliszczach. Nie mogły to być skutki dawnych
wojen, gdyż ślady pożaru były zupełnie świeże.
Nawet wielkie drzewa, stojące na majdanie, nosiły
na konarach znaki ognia. Pożar ten wszczął się

wskutek huraganu, który rozmiótł ogniska i porzucił głównie na trzcinowe dachy. Wszystkie chaty spłonęły, ale dla czarnych niewielkie to nie-szczęście; w kraju nie brak przecie ani gliny, ani chróstu. Jakoż w gęstwinie drzew wznosiły się już liczne nowe chaty.

Muene-Pira jest dużą osadą, posiadającą kilkaset głów. Ludzie U-Doe różnią się od sąsiadów zaostrzonymi przednimi zębami. Zęby te są osadzone nieco skośnie, ale mniej, niż u okolicznych U-Zaramo i U-Zigua, wskutek czego kąt ich twarzowy jest nieco prostszy. Dzieci nie widziałem nigdzie tak pięknych. Były one też śmielsze, niż w innych wioskach, i na skinienie chętnie się zbliżały. Rozczulał nas zwłaszcza jeden malec, może dwuletni, który z wielką ufnością puszczał się ku nam na swoich chwiejnych jeszcze nóżkach i zbliżywszy się, obejmował łapkami nasze nogi, uważając je widocznie za podpory, stworzone umyślnie na to, aby mały, czarny dżentelmen, miał się w danym razie czego uchwycić. Z niemniejszą też ufnością wkładał do ust wszystko, co od nas dostawał. Matka owego malca, chodząc za nim, uśmiechała się z taką tkliwością, jak wyrafinowana, biała kobieta. Była w tym uśmiechu duma z rezo-lutności dziecka i zarazem obawa, żeby się nie uprzykrzyło. Inne dzieci siedziały czarnym wianuszkim koło naszego namiotu, podziwiając nas całemi godzinami, w milczeniu i ze skupioną uwagą.

Wogóle wioska, mimo zgłiszczów, czyniła wrażenie ładu i zamożności. U-Doe są też zamożniejsi od sąsiadów. Rolą zajmują się mniej od nich — tyle

tylko, by mieć dostateczną ilość sorgo na wyrób pombe. Posiadają natomiast trzody. Od czasu wyjścia z Bagamoyo tu po raz pierwszy widzieliśmy stado garbatych, ociężałych zebu. Widocznie w tej okolicy mucha tse-tse nie jest tak liczną, jak gdzie indziej.

Zabawiliśmy w Muene-Pira do trzeciej popołudniu. Ludziom naszym chciało się bardzo zostać jeszcze na jeden nocleg, albowiem wszędzie po chatach znajdowały się niedopite resztki pombe. Bruno próbował nam nawet nieśmiało tłumaczyć, że po drodze nie znajdziemy wody, ale odpowiedziałem mu, że jeśli jej niema, to tak dobrze nie będzie jutro, jak dziś — i kazałem ruszać.

XVII.

Wioska Tebe. — Karaluchy. — Brzegi Wami. — Boecklinowski obraz. — Las dziewiczy. — Przejście rzeki. — Sposoby przeciw krokodylom. — Las z drugiej strony rzeki. — Widok Mandery.

Kraj znów jednostajny na znacznych przestrzeniach, tylko coraz bardziej pogarbiony we wzgórze. Pochody również jednakie. Cały urok podróży w tem, że się idzie w strony nieznane, dziewicze, puste, że widać wciąż dalszy widnokrąg, że człowiek zagłębia się coraz bardziej w przestrzeń bez końca — i że żyje się życiem nowem, wolnem od tych wszystkich przegródek, które ograniczają swobodę w miastach.

Co chwila, mimowoli, nasuwa się na myśl ten ustęp z „Farysa“ :

Tu natura, snem ujęta,
Nigdy ludzkich stóp nie słyszy ;
Tu żywioły drzemią w ciszy
Jak niepłoszone zwierzęta,
Których stado nie ucieka,
Widząc pierwszą twarz człowieka.

Gdy się ze szczytu wzgórza spogląda w dal, zdaje się, że przed nami puszcza i puszcza. Złudzenie! Drzewa tam stoją rzadko, tylko mniejsze zarośla

tworzą zbite szmaty gąszczów, rozrzucone tu i owdzie między wielkimi drzewami. Doliny, w których zbiera się wilgoć, porośnięte są tatarakiem, nieraz dwa razy tak wysokim, jak człowiek. Ludzie, pełznąć ścieżką nakształt mrówek, pogrążają się w tę zieloną toń, jakby w jezioro — i tylko po chwianiu się trzciny można poznać, że nurkuje wśród nich karawana.

Rankami na źdźbłach i liściach zbiera się obfita rosa: ubrania nasze przemakają w niej do nitki, a nagie plecy i ramiona murzynów świecą się, jakby dopiero co wyszli z kąpieli. Zresztą i im i nam sprawa to tylko przyjemność, bo gdy ranny powiew przychodzi na mokrą skórę lub mokre ubranie, czyni się człowiekowi chłodno, a w tym klimacie katar nie grozi, zwłaszcza, gdy się jest w ciągłym ruchu.

Idąc tak, to dolinami, to po wzgórzach, przychodzimy wreszcie do wioski Tebe, skąd już tylko jeden dzień drogi do Mandery. Ułożyliśmy między sobą zamiar zabrania króla Tebe, który jest z zawodu myśliwcem, ale w wiosce niema nikogo, prócz bajecznej wielkości karaluchów.

Z pustych chat przychodzą one pod nasz namiot, jak celnicy, i badają nasze rzeczy tak dokładnie, że jednego znajduję nazajutrz w lufce od strzelby. Przenocowawszy, ruszamy o pierwszym brzasku dalej i koło godziny ósmej stajemy nad Wami. Jest to druga z kolei afrykańska rzeka, przez którą mamy się przeprawiać.

Brzegi Wami pokryte są w tem miejscu nie

przez zarośla na podobieństwo wybrzeży Kingani, ale przez prawdziwy las dziewiczy. Rzeka bieży wartko środkiem koryta, bliżej zaś brzegów łamiej jej obieg ogromne głazy, wskutek czego rozdziela się i tworzy niewielkie zalewy, napełnione niemal stojącą wodą. Wysokie piramidy drzew przeglądają się spokojnie w tych zalewach, które, odbijając razem i błękit nieba, wydają się bezdenne.

Upięcia lian, poprzerzucane z drzewa na drzewo, zwieszające się — i tuż nad wodą i dalej, w głębi — tworzą pozór kotar nad drzwiami mrocznych świątyń leśnych. We wnętrzu ich światło jest uroczyste i przyćmione, jakby przechodziło przez gotyckie okna; pnie drzew mająceję nakształt kolumn w ołtarzach, głąb całkiem jest zakryta dla oka: wszędy spokój, milczenie; wody ocembrowane murem drzew — dziwne, prawie mistyczne zacisze!

Pogrążony w niem człowiek mniema, że wdziera się w jakąś tajemnicę i że kogoś obraża. Wszelka nadprzyrodzona istota wydałaby się tu rzeczywistości, tak, jak w obrazach Boecklina. Mimowoli słuchasz, czy w głębinach leśnych nie rozlegnie się krzyk driady. Zdaje ci się koniecznie, że tu ktoś czasem śmieje się, woła, i że gdy żadne oczy ludzkie nie szpiegują lasu i rzeki, wówczas z pod firanek lian wysuwają się jakieś nadzwyczajne twarze, naprzód oglądają się bystro naokół, a potem dziwaczna rzesza wyskakuje z gęstwiny i pluska się rozkosznie w zacienionych wodach.

Gdzie niegdzie z drzew kapią kwiaty, i tuż nad zwierciadłem wodnem leżą w cieniu płatki krwawe

lub różowe. W miejscach, gdzie lasu nie podszywa zbita gęstwina krzaków, widać grunt czarny i wilgotny, podobny do ziemi, używanej w cieplarniach; wyżej nad nim wisi leciuchna koronkowa zasłona paproci, jeszcze wyżej pnie pookręcane jakby okretowemi linami i wreszcie jedna wielka kopuła liści zielonych, czerwonych, złotych, wielkich i małych, o kształtach wachlarzy, mieczy, piór, ostrzów od włóczni.

Las składa się, jak zwykle podzwrotnikowe, z wszelkiego rodzaju drzew: rosną tu palmety, draceny, drzewa gumowe, sykomory, tamaryszki, mimozy — jedne przysadkowate i grube, drugie strzeliste, całe w smukłych pędach. Czasem niepodobna rozpoznać, jakie liście do którego drzewa należą, bo wszystko to miesza się ze sobą i z liśćmi lian, przepycha się, obejmuje, idzie w zapasy i przyniata, by tem swobodniej dostać się do światła.

Tam, gdzie las jest podszyty, na krok nie widzieć nie można. Człowiek w tych dziewiczych ostępach, gdzie każda paproć wznosi się nad nim jak baldachim, maleje we własnych oczach i wydaje się sam sobie lichym ślimakiem, który niewiedomo dlaczego tam załazł.

Stoimy długo i w milczeniu nasycamy się widokiem. Ale wreszcie czas przeprawić się przez rzekę. Chwila to mniej ponętna, ponieważ Wami słynie ze swoich krokodyłów. Na wszelki wypadek biorę na przód rewolwer i strzelam pięciokrotnie w nurt, poczem bez dłuższych namysłów, zstępuję w towarzystwie kilku czarnych do wody.

Przede mną idzie Kirshali i Franciszek, za mną Sulimue, Simba i M'kamba. Bardzo lubię murzynów wyznaję jednak, iż w tej chwili z pewną satysfakcją przypominam sobie, że krokodyłe lubią ich także i że wogóle czują większy pociąg do czarnego mięsa, niż do białego.

Przeprawa istotnie nieznośna. Woda, która w porzeżnych zalewach jest prawie stojąca, czyni się we właściwym korycie rzeki niezmiernie wartka. Poniekąd zabezpiecza to od krokodyłów, ale utrudnia pochód. Pomnąc, że kogo nurt porwie i stoczy na głębsze i spokojniejsze wody, tego krokodyłe znajdują z pewnością, opieram się z całych sił na dziurze, który wziętem od jednego z pagazich, a mimo tego postępuję z wielkiem wysileniem.

Nareszcie dziurę pęka mi w rękę; chwytam za kark Franciszka i trzymając się go, brnę dalej. Dno rzeki zavalone jest podwodnymi głazami. Raz wynurzam się po kolana, to znów zapadam prawie po piersi. Miła rzecz, stojąc na podwodnym głazie, szukać nogą przed sobą gruntu, z tą nadzieją, że może w dziurze siedzi jakie lichy, które ułapi za łydkę.

Nakoniec jednak dostajemy się na spokojniejszą wodę, a z niej na niską skałę, za którą jest już tylko maleńki i płytki zalew, stykający się wprost z lasem. Śmieję się teraz ze wszystkich krokodyłów, ale zarazem klnę nieco przeprawę, albowiem zmęczyłem się i poobcierałem sobie nogi o ostre podwodne kamienie. Chcąc widzieć, jak przeprawa pójdzie memu towarzyszowi i reszcie pagazich, wychodzę na skałę, ale tu czeka mnie nowa, przyjemna

niespodzianka. Przez podeszwy bosych nóg mogłem wyczuć, do jakiego stopnia stojąca w pełnym świetle skała jest rozpalona, zato siadłszy, zerwałem się co prędzej i uciekłem w las, w cień drzew i paproci.

Murzyni muszą mieć jednak znacznie grubszą skórę, nasz M'sa bowiem siedział sobie w chwili później spokojnie na tym samym głazie, i nie zauważyłem, żeby się zmienił w grzanek.

Towarzysz mój przebrnął rzekę w towarzystwie kilku czarnych, z powodzeniem równem mojemu, poczem spoglądaliśmy obaj na resztę przepływających się ludzi.

Widok to bardzo zajmujący. Murzyni idą jeden za drugim ze skrzyniami na głowach. W miejscach, gdzie woda jest głębsza, podnoszą je przez ostrożność do góry i wówczas ze wzniesionemi ramionami wyglądają, jakby ofiarowali niebu zawarty w skrzyniach dobytek.

Naokół wzburzona ruchem woda gra w słońcu; czarne, nagie ciała to wynurzają się prawie zupełnie, to chowają się prawie do ramion, a nad tonią widać tylko sznur skrzyń, które zdają się same przepływać przez rzekę.

Ci, co już się przeprawili, brodzą po płytkich zalewach lub grupują się w cieniu drzew. Wszędy słychać głosy, śmiechy, nawoływania, pustynia ożywia się i rozbrzmiewa gwarem ludzkim: wreszcie wszyscy zbierają się po tej stronie, natomiast tamten brzeg puścicje, fala wygładza się, wielkie plamy światła i cienia układają się do dawnych granic i wspaniały obraz odzyskuje swój zwykły dziewiczy charakter.

Ubrawszy się, idziemy dalej. Nieznaczna ścieżynka wiję się wciąż wśród lasu, w głębokim cieniu. Gałęzie i liście tworzą w górze sklepienie, przez które słońce nie przenika.

Twarze nasze wyglądają zielonawo, a ciała murzynów, jakby zoksydowane, szerniały ze starości brzozy. Na prawo i na lewo słyhać czasem łopot skrzydeł pentarek lub innych ptaków, których nie można dojrzeć oczyma.

Czasem który zagwiżdże, jak nasz kos, lub zawoła jak dziecko; gdzie niegdzie zaszeleści coś w paprociach, gdzie niegdzie zakołyszają się upięcia lian — zresztą powaga, spokój i mrok.

Nagle las urywa się, jak nożem uciął. Oczy nasze mrużą się pod nadmiarem światła. Przed nami kraj jasny i wesoły: rozległe wzgórza kąpią się w blasku; zdaleka widać gromady drzew, jak przy naszych wsiach. Na jednym wzgórzu, hen daleko, coś bieli się, niby domek, niby kapliczka.

Nagle Bruno zbliża się do mnie i ukazując na ów bielący się przedmiot, mówi:

— Mandra! Mandra!

XVIII.

Mandera. — Miłe wrażenia. — Wypoczynek. — Sąd polubowny. —
Wpływ misjonarzy. — Wymowni murzyni. — Nasi ludzie. —
„Wielki świat“. — Pochód do M'Pongwe.

Mandera jest małą misją, położoną na granicach kraików U-Doe i U-Sigua. Mieszka w niej tylko trzech księży: przełożony, ksiądz Korman, ojciec Enderlin i brat Aleksander. Dom jest niski, zbudowany z takich samych materiałów, jak chaty murzyńskie, a różniący się od nich tylko tem, że jest obszerniejszy, prostokątny, opatrzone kwadratowymi otworami, zastępującymi okna, a wreszcie wytynkowany w środku. Obok domu wznosi się mała budowla, obejmująca salkę jadalną i kuchnię — dalej rodzaj długiej szopy, w której mieszkają, uczą się i modlą dzieci. Kraniec dziedzińca zajmuje wioska murzyńska, złożona z kilkunastu chat. Pierwotnie miano widocznie zamiar założyć tu wielką misję, w którejby czarna ludność mogła znaleźć ochronę w razie niebezpieczeństwa, wszystkie bowiem budynki, dziedzińce i ogród misji, otoczone są wykopanym w kwadrat rowem. Na środku każdego boku kwadratu wznosi się piętrowa wieża, zbudowana z kamienia i opatrzona strzelnicami.

Wieżę te stanowią bramy misji. Po obu brzegach rowu zasadzone są agawy i kaktusy, które, rozrósłszy się zczasem, utworzyły prawdziwe wały liści twar dych, koleczastych i sterczących, jak bagnety. Ni zwierz, ni istota ludzka, nie zdoła się przez nie przedrzeć. Ktoby nawet potrafił przeskoczyć pierwszy wał, ten znajdzie się w głębokim rowie i będzie miał przed sobą wał drugi, jeszcze szerszy i wyższy. Warownia taka, przy lada obronie z wież, byłaby trudna do wzięcia nawet dla regularnych żołnierzy, cóż zaś dopiero dla nagich murzynów lub nawpół nagich Arabów?

Dawniej misja, jako położona wśród plemion ludożerczych i niemal pod ręką Arabów, musiała często chronić swe owieczki przed rozmaitemi wilkami; dziś, choć warownia jeszcze się wzmocniła przez rozrost agaw, zabezpiecza tylko kozy misyjne przed panterami, zamieszkującymi lesiste brzegi Wami.

Po trudnych pochodach, po noclegach wśród wiosek murzyńskich, ta kultura, którą tu spotykamy, czyni głębokie i przyjemne wrażenie. Ubogo wszędzie bardzo, ale na każdym kroku znać pracę. Oto domy, bądź co bądź, europejskie, oto aleje cienistych mangów, palmy kokosowe, których nie widzieliśmy od czasu wyjścia z Bagamoyo, różne inne owocodajne drzewa, grzędy warzywa, a nawet i kwiatów.

Trzeba doświadczyć, co to jest podróż po Afryce, żeby zrozumieć, jak taki widok może uradować, zwłaszcza, gdy na wstępie witają podróżnika rozjaśnione twarze takich samych, jak i on, ludzi. Mile nam się także uśmiecha myśl o odpoczynku i o tem,

że przez parę dni nie będziemy zmuszeni zajmować się szafarstwem, kłopotać się o obiady, wieszczę — i sypiać w prawdziwych łóżkach, rozebrani.

Przyjęcie, jak wszędzie, tak i tu serdeczne i uprzejme. Podczas obiadu poznajemy się bliżej z gospodarzami. Przełożony ojciec Korman jest to człowiek lat czterdziestu kilku, jasnowłosey, drobny, chudy, o twarzy zmęczonej, na której widoczne są ślady febry. Pochodzi on również, jak O. Enderlin i jak większość misjonarzy, z Alzacji. Wpływ klimatu znać na nim na pierwszy rzut oka, bo mimo swej nadzwyczajnej ruchliwości, wygląda, jak człowiek, który niedawno powstał z łóżka po ciężkiej chorobie. Wogóle jednak czuje się zdrow i chodzi po górach — (o czem się kosztem własnych nóg później przekonałem) — jak antylopa.

Księżda Enderlina podtrzymuje młodość. On jeden wygląda tak czerstwo, jakby mieszkał w Europie, ale też nie wiem, czy liczy trzydzieści lat życia. Najstarszy wiekiem w misji jest brat Aleksander. Pamiętam jego smutny uśmiech, jakim odpowiedział na pytanie mego towarzysza: czy nie jest chory? Jakoż z podróży misyjnej, którą przed niedawnym czasem odbył, przywiózł on febrę, i ta nie opuszczała go odtąd, co nie przeszkadzało mu spełniać codziennych obowiązków przy dzieciach, zajmować się nami i pracować przy budowie kościołka, którego Mandera dotąd nie posiada.

Widocznie jednak czuł się bardzo słabym i przewidywał śmierć, wskutek czego nie mógł się oprzeć nostalgji. Wyobrażam sobie, że myśl o śmierci, tak

daleko od swoich, musiała go napełniać wielką do nich tęsknotą. Wszystko to było jakby wypisane na jego twarzy, pełnej zresztą rezygnacji. Był to człowiek wyształcony, zajmował się dużo zoologią i botaniką, dostarczał do muzeum ciekawych okazów i umiał je przyrządzać. Wyznaję, że dziwiło mnie nieco skromne stanowisko brata, jakie zajmował w misji, ale o powody nie chciałem pytać.

Gdyśmy opuszczali Mandere, brat Aleksander czuł się nieco zdrowszy. Potem nie miałem o nim wiadomości.

Pierwszy dzień zeszedł nam szybko. Zażywaliśmy wczasu, to śpiąc, to siedząc na biegunowych krzesłach pod werandą i spoglądając na zatopiony w świetle ogród. Gawędka z księżmi skracala godziny między obiadem a wieczrą. Podczas małej przechadzki, przed zachodem słońca, przybiegły dzieci z misji z oznajmieniem, że „nioka“ (wąż) siedzi między dylami, przygotowanymi pod budowę gmachu kościoła. Ponieważ nie spotkałem dotąd węża w Afryce, wziąłem strzelbę i poszedłem. Dzieci poczęły wyciągać dyle z wielką odwagą i nakoniec wyparowały z nich nieszczęśliwą „niokę“, którą wystrzał śrutem rozerwał na dwoje, tak, że drugą połowę znalazłem o kilkanaście kroków od pierwszej. Rzecz przytem godna uwagi, że gdy przednia część przestała się ruszać zaraz po wystrzale, druga wila się gwałtownie przeszło pół godziny. Był to wąż długi mniej więcej na metr, czarny, z dwiema podłużnymi pręgami od głowy do ogona. Ubarwieniem przypominał pijawkę. Brat Aleksander mówił mi, że należy on

do gatunku bardzo jadowitego; na nieszczęście, skóra była tak porwana, że nie mogłem jej zachować.

Noc przyniosła mi doskonały wypoczynek, na-przód dlatego, że spędziłem ją rozebrany, w łóżku, a powtóre, że od Adenu nie mieliśmy ani jednej tak chłodnej. Manderą leży już na znacznej wysokości nad poziomem morza, kraj bowiem podnosi się stopniowo coraz wyżej od samego oceanu, a po przejściu Wami, idzie się do samej misji zupełnie pod górę. Czułem się zdrów i gotowy do dalszych trudów, natomiast towarzysz mój, który nocował w jednej z wież kamiennych, nadszedł blady, niewyspany i oświadczył, że całą noc spędził, jak król Popiel, na zaciętej walce z olbrzymiemi szczurami, które miały gniazdo w samym jego łóżku i wzięły go widocznie za „nyamę“ (zwierzynę), przeznaczoną na natychmiastowe spożycie. Brat Aleksander wypowiedział im zaraz zato wojnę, w której, mimo cudów waleczności z ich strony, wyparł je z łóżka i z wieży na dzikie pola.

Z rana tegoż dnia mieliśmy dowód, jak wielki wpływ wywierają misjonarze na okoliczną ludność. Koło godziny dziesiątej przyszła cała gromada murzynów sądzić się o kobietę. Domyślałem się wprawdzie, że to nie są chrześcijanie, między chrześcijanami bowiem tenby się uważał za właściciela kobiety, który wziął z nią ślub, sądziłem jednak, że to ludzie z najbliższej okolicy. Tymczasem, gdzie tam! Przyszli oni o cztery dni drogi. Dwaj młodzi murzyni stanęli, jako strony sporne; równie młoda, i mówiące nawiasem, wcale przystojna murzynka, jako przedmiot

sporu, ojciec jej, jako osoba oskarżona, że pobrała zadatki od stron obu — i wreszcie pięciu lub sześciu innych czarnych, jako świadkowie.

Patrzyłem na tę scenę sądu z wielką ciekawością. Ojciec Korman zasiadł przed werandą, czarni stanęli przed nim szeregiem i mówili kolejno. Oczywiście, nie rozumiałem ani słowa, prócz wykrzyknika: „O M'buanam Kuba!“ od którego każdy zaczynał przemowę; podziwiałem jednak łatwość, z jaką wszyscy się wyrażali, obfitość słów i siłę akcentów. Nie zdarzało się też, by sobie wzajem przerywano, tylko, gdy jedna strona mówiła, druga, przeciwna, zapomocą uderzenia dłonią o dłoń, wznoszenia oczu i wyciągania ramion w górę, zdawała się wzywać wszechmocne nieba, by nie ścierpiały dłużej kłamstw tak potwornych. Panna mówiła także długo i obficie, przymykając chwilami oczy, jakby się chciała napaść własną wymową.

Ksiądz Korman wysłuchiwał wszystkich w milczeniu, następnie zadał jeszcze kilka pytań i wreszcie wygłosił wyrok, przysądzający czarną piękność jednemu z przeciwników. Ten, nie tracąc chwili, objął dłonią jej kark, i cała czereda odeszła pod cień szopy, aby wypocząć po długiej drodze. Nie słyszałem najmniejszego szemrania, nie widziałem żadnych objawów niezadowolenia ze strony przegrywających. Sprawa, po kilku cichych słowach księdza, skończyła się, jakby ją kto nożem uciął, co mnie tem bardziej dziwiło, że przecie misjonarze nie mają żadnej władzy wykonawczej. Jest to wprost dowód ze strony czarnych ślepego zaufania w większą mądrość

i w większą sprawiedliwość. Ksiądz Korman mówił mi, że taką rolę sędziego pokoju przychodzi mu odgrywać bardzo często, i że nigdy nie zdarzyło mu się, aby jego wyroku nie uznano za ostateczny.

Był to dzień urzędowych przyjęć, albowiem może w godzinę później przyszła zkolei do mnie deputacja od naszych ludzi z prośbą, bym im wypłacił po kilkanaście pezas (sou) na życie. Franciszka nie było między nimi, więc wyrozumiawszy przez brata Aleksandra, o co chodzi, odpowiedziałem, że mi jest wszystko jedno, czy dam im teraz, czy dopiero w Bagamoyo; żałuję jednak, żem na pagazich nie najał Zanzibarytów, ci bowiem są bądź co bądź mężami, teraz zaś widzę, że mam do czynienia z głupimi dziećmi, które nie wiedzą nawet tego, że w Manderze nie można dostać za pieniądze. Wzmianka o Zanzibarytach była widocznie szczególnie bolesną dla miłości własnej naszych ludzi, albowiem, gdy brat przetłumaczył im moje słowa, zawstydzili się niezmiernie i odeszli natychmiast — przez całą zaś następną drogę nikt się już o nic nie upominał. Bruno przyszedł znów po chwili i tłumaczył się, że on niczego nie chciał, do niczego nie należał i że nie jest taki głupi, jak inni.

Uwzględniając nawet wszelkie warunki naszej podróży, które czyniły ją dla murzynów stosunkowo łatwą, nie wyobrażam sobie, żeby gdziekolwiek na świecie można znaleźć ludzi łatwiejszych do prowadzenia, wrażliwszych na każde słowo i chętniejszych. Jestem przekonany, że podróżnik, któryby złożył swą karawanę np. z egipskich Arabów, byłby zmu-

szony codzien uciekać się do pomocy kija, a kto wie, czy i nie do rewolweru. Tymczasem z naszymi ludźmi nie potrzebowaliśmy prawie głosu podnosić. Oczywiście, że taki stosunek zmniejsza o połowę trudności i kłopoty podróży. Istnieje mniemanie, że najwierniejszych pagazich znaleźć można na stałym lądzie; Zanzibaryci-mahometanie mniej są łatwi do prowadzenia, jednakże sprężysty człowiek da sobie z nimi radę, a przytem znajdzie między nimi ludzi bardziej przywykłych do służby u białych.

Przez cały pierwszy dzień pobytu w Manderze, nasi pagazisowie, siedząc pod werandą szopy, szyli koszule z białego perkalu, który otrzymywali jako codzienną zapłatę na życie. Nazajutrz poubierali się w nie i chodzili po Manderze z tak pysznemi minami, jak pawie, spoglądając z góry na miejscową ludność i udając „wielki świat“. Zresztą w Manderze dobrze im się działo, albowiem kasawy był dostatek, i mogli ją jeść z solą, za którą przepadają, ale która wogóle należy do przedmiotów takiego zbytku, na jaki lada murzyn nie może sobie codziennie pozwolić.

W Manderze spędziliśmy całe dwa dni, aby zupełnie dobrze wypocząć. Zeszły one bardzo szybko na oglądaniu misji i rozmowach z księżmi. Ojciec Korman potwierdził nam to, co już słyszeliśmy od brata Oskara w Bagamoyo, że przybyliśmy w porze dla polowania najgorszej. Był to marzec, zatem na południowej półkuli koniec lata, czas największych upałów i wysychania kałuż, podczas którego zwierza cofa się w góry, by w chłodnych wąwozach znaleźć

ochronę przed spiekotą. Szczególniej zebra, antylopy i bawoły, które żyją nie w gąszczach, ale na otwartych łąkach, szukają wówczas stron mniej gorących, za nimi zaś ciągnie rzesza drapieżników. W okolicach rzek można jednak znaleźć małe stadka, a ojciec Korman upewniał nas, że idąc w stronę góry M'Pongwe, która właśnie miała być ostatecznym celem naszej wycieczki, będziemy z pewnością widzieli antylopy.

Ponieważ zdrowie służyło nam dotąd wcale nieźle, mieliśmy żywą ochotę dotrzeć przynajmniej do gór U-Zagara, położonych jeszcze o ośm lub dziesięć dni drogi od Mandery, ale ze względu na spóźnioną porę roku, musieliśmy wyrzec się tej myśli. Massika mogła się lada dzień rozpocząć, a w czasie massiki zwierz chroni się w gąszczu, człowiek pod dachy chat, karawany nie chodzą, kraj jest cały w dżdżu, w błotach i wyziewach, na które naraża się ten tylko, kto podejmując podróż ogromną, nie może jej ukończyć w porze suchej. Jedyne sposoby byłby przeczekać w jakiej misji porę dżdżystą i po jej przejściu puścić się dalej, ale to mogą czynić, albo ludzie, którzy z podróży zrobili sobie wyłączny zawód życia, albo ci, którzy nie zostawili nikogo w domu.

Przytem polowania mogliśmy znaleźć w drodze powrotnej, w miejscowości Gugurumu, położonej w kraju zupełnie nie zamieszkałym, na północ Kingani, niedaleko od jej ujścia. Znajduje się tam kałuża z wodą słodką, że zaś na kilka mil wokoło niema innej, a woda w Kingani jest już z powodu bliskości

morza słona, przeto wszelki zwierz, żyjący w okolicy, musi przychodzić do owej kałuży, jako do jedynego poidła. Książd Korman namawiał nas koniecznie, byśmy, wracając, rozbili na kilka dni namiot w Gugurumu lub w pobliskiej Karabace; my zaś oczywiście postanowiliśmy pójść za tą radą.

Tymczasem czekała nas jeszcze wycieczka w górę rzeki Wami, aż do podnóży M'Pongwe, z których wypływa mała rzeczka M'sua, wpadająca aż do Lungerengere, jedynego przytoku Kingani. Dowiedzieliśmy się też z przyjemnością, że O. Korman zamierza wziąć udział w tej kilkudniowej wyprawie.

Jakoż, popołudniu następnego dnia, wyruszyliśmy we trzech, w towarzystwie naszych ludzi i pewnego królika sąsiedniej wioski, który znany był O. Kormanowi, jako biegły myśliwiec. Przed wyjściem posłaliśmy polecenie do Tebego, aby przyszedł do Mandery i czekał tam na nasz powrót w tym celu, aby nas poprowadzić następnie do Wianzi i Ibrahimu, pięknych wiosek, położonych nad Wami, na drodze do Gugurumu.

XIX.

Drugie przejście Wami. — Polowanie. — Upał. — Antylopa Kudu. — Dziki królik. — Nocleg w lesie. — Szafarstwo. — Pentarki. — Powrót wśród gorąca. — Bliskość massiki. — Nadzieje myśliwskie.

Po raz drugi przeszliśmy Wami w innem miejscu, ale w równie lesistem i równie pięknem. Ponieważ noc się zbliżała, rozbiliśmy namiot tuż nad brzegiem, na małej polance, otoczonej drzewami. W trawie były skorpiony, kazaliśmy więc wyskubać ją do cna na przestrzeni kilkunastu kroków i w ten sposób zabezpieczyliśmy się od niepożądanych gości. Noc nam zeszła spokojnie; hipopotamów nie słyszeliśmy wcale, albowiem Wami, mająca bieg nader wartki, posiada ich wogóle mniej, niż Kingani. Idąc brzegiem, natrafia się wprawdzie od czasu do czasu na ich ślady, i może być, że bliżej oceanu, tam, gdzie rzeka rozlewa się szerzej i płynie spokojniej, znajduje się ich więcej. W okolicy Mandery olbrzymie te zwierzęta stały się rzadkie jeszcze i dlatego, że misja częstokroć urządzała na nie polowanie, jak tego dowodzi kilkanaście czaszek, znajdujących się na składzie u brata Aleksandra. Łapano je najczęściej w doły, i jest to niemal jedyny sposób, by

zwierzę dostać, albowiem postrzelone, ginie prawie zawsze, nie wiadomo gdzie.

Świtaniem porzuciliśmy Wami. Ponieważ chcieliśmy po drodze polować, więc pominawszy wszystkie udeptane ścieżki, poszliśmy w kierunku M'Pongwe, naprzelaj przez wzgórze. Prowadził nas O. Korman i ów królik, który poprzedniego dnia przybył do Mandery. Ten ostatni był pysznym typem murzynamyśliwca. Suchy, niewielki, o wydatnych muskułach i dzikiem spojrzeniu, miał w sobie coś z rysia albo pantery. Słyszał on w okolicy, jako niestrudzony łowiec i, co jest między murzynami bardzo rzadkie, jako dobry strzelec. Musiał też być istotnie dobrym, jeśli trafiał ze swego karabina, pochodzącego z przed laty przynajmniej pięćdziesięciu.

O szóstej rano, zaledwie słońce zeszło, upał zrobił się odrazu okrutny. By zająć jak największą przestrzeń okolicy, poszliśmy szeroką ławą, jeden od drugiego na dwieście lub więcej metrów. Popamiętam tę wyprawę długo, albowiem, jak żyję, nie widziałem człowieka, chodzącego tak po górach, jak O. Korman. Zdawało mi się, że ma skrzydła. Zaledwie zobaczyłem go u stóp wzgórza, już był na jego wierzchu. Dziki królik leciał również, jakby go wiatr gnał. Zarówno przez miłość własną, jak i dlatego, by nie rozrywać łańcucha, staraliśmy się iść na jednej linii z nimi, ale przychodziło nam to z największym wysileniem. Posuwanie się naprzód przedstawiało ogromne trudności. Czasem przegradzały drogę wąwozy, wprowadzie nie głębokie, ale o ścianach prostopadłych, na które trzeba się było wdra-

pywać; czasem doliny, pokryte wysokim na kilka metrów tatarakiem; na wzgórzach tamowały pochód trawy lub gorsze od nich kolczaste mimozy. Trzeba było jednak lecieć.

Przyszło mi do głowy zmęczyć ojca Kormana i jego dzikiego przyjaciela, i w tym celu począłem biec naprzód jeszcze prędzej od nich, ale gdy upłynęła jedna godzina, potem druga, a ich moje wysiłki zdawały się tylko podniecać, dałem za wygraną i zetknąwszy się z nimi w otwartym miejscu, oświadczyłem kategorycznie, że nie mając ani ich filigranowej postawy, ani skrzydeł, nie pójdę w ten sposób dalej.

Zresztą taki pochód na złamanie szyi był rzeczą dla polowania wprost szkodliwą, albowiem człowiek, nie mogący tchu złapać ze zmęczenia, musi chybić do każdej zwierzyny, choćby nawet strzelał blisko. Jakoż ojciec Korman przekonał się sam o tem, spudłowawszy w chwilę później do pięknej antylopy-skoczki. Utrzymał wprawdzie, że ją postrzelił, ale krwi nie można było odnaleźć.

Niebawem ujrzałem na skłonie wzgórza mego towarzysza, podnoszącego do twarzy swój ciężki, dziesięciokalibrowy karabin. Po wystrzale, który zahuczał jak z armaty, mignęła mi w pełnym biegu olbrzymia antylopa Kudu i skryła się w tej samej chwili w mimozach. Stojąc o jakie trzysta metrów, widziałem wszystko, jak na dłoni, i ponieważ strzał był bliski, byłem pewien, że nie jest chybiony. Jakoż, zbliżywszy się, sam widziałem rzuty farby na trawach i mimozach. Wysłaliśmy zaraz ludzi za

śladem, sami zaś ruszyliśmy naprzód, albowiem całe stadko złożone z pięciu sztuk, pojawiło się na dalszych wzgórzach.

Przekonaliśmy się jednak, że bez jakiegokolwiek naganki polowanie jest wprost niemożliwe, zwłaszcza, gdy czujność zwierza jest już rozbudzona. Ilekroć weszliśmy na jakie wzgórze, tylekroć o trzysta lub czterysta metrów widzieliśmy nasze antylopy, które pasły się niby spokojnie, ale co chwila podnosiły głowy i strzygąc uszyna, zdawały się nam oznajmiać, iż nas widzą i czują, w chwilę zaś później całe stadko oddalało się w lekkich podskokach naprzód, by znów zatrzymać się na odległości dwóch, albo trzech strzałów. Widok tych wspnianych zwierząt, cwałujących na tle wzgórz pokrytych zielenią i drzewami, był pyszny. Płowe grzbiety i białe brzuchy to rozbłyskiwały w świetle, to przygasały w cieniu. Zdawało mi się, że widzę stado jeleni w jakimś przepysznym angielskim parku.

Stary samiec zatrzymywał się zawsze pierwszy i zwracając ku nam głowę, zbrojną w potężne, śrubowate rogi, patrzył przez chwilę, jakby się chciał upewnić, czy dzieli go od nas dość przyzwoita odległość — poczem zaczynał się paść spokojnie. Słuch antylop musi być doskonały, bo nieraz kryły nas przed nimi to gąszcze, to wyniosłości gruntu, a jednak stadko usuwało się zawsze w porę. Próbowaliśmy je obejść, ale i to nie pomogło. Nie wiem, jak długo trwałby ten niefortunny pościg, gdyby wreszcie antylopom nie sprzykrzyła się zabawa, i gdyby

po upływie pewnego czasu nie zniknęły nam całkiem z oczu.

Tymczasem słońce wzbiło się wysoko, i upał stał się okrutny. Trzeba nam było co prędzej schronić się pod namiot, by uniknąć uderzenia słonecznego. Z tem w Afryce nie wolno żartować. Doszliśmy jeszcze jednak do najbliższego lasu i tam czekaliśmy na ludzi, którzy też wkrótce nadciągnęli z namiotem i skrzyniami.

Na szczęście, znaleziono tuż wodę w wąwozie leśnym, więc mogliśmy stanąć. Z polowania odnieśliśmy w tym dniu tę tylko korzyść, iż naprzód widzieliśmy antylopy, bez których Afryka nie przedstawia się we właściwym charakterze, a powtóre, że idąc naprzekaj ku M'Pongwe i idąc szalenie, zrobiliśmy ogromny kawał drogi, równający się przynajmniej dwom zwykłym pochodom.

Teraz należał nam się odpoczynek, lecz niestety stawały nam na przeszkodzie obowiązki szafarskie. Ludziom, którzy tego nie zaznali, wyda się to może rzeczą błahą, a tymczasem tego rodzaju zachody stanowią najprzykrejszą stronę podróży. Niektóre skrzynie zamknięte są na kłódki — dobierajże kluczy. Konserwy są wprowadzić w rogoży, ale kartki z blaszanych puszek poodklejały się od gorąca i wilgoci — zgadujże, co która puszka zawiera? Otwierać trzeba puszki samemu, bo jeśli to powierzysz murzynowi, wycisnie ci na ziemię całą zawartość, wraz z sosem. Tłumacz poszedł w las, i niema go, kucharz zaś nie rozumie ciebie, a ty kucharza, jeśli więc chcesz jeść choć trochę lepiej, jeśli nie

chcesz, by ci wsypał herbaty do jarzyn, cukru do serdelków, soli do kawy, musisz wszystkiego sam pilnować — i siedzieć przy ogniu na czterdzieści kilka stopni.

Podczas naszego poobiedniego snu nadeszli ludzie, których wysłałem za antylopą, postrzeloną przez mego towarzysza. Znaleźli ją leżącą w kałuży krwi, ale na ich widok zerwała się i uciekła, pomimo, że jeden z czarnych strzelił do niej z karabina. Dalsze poszukiwania nie doprowadziły do niczego. Przypuszczając, że jednak nie mogła pójść daleko, postanowiłem wysłać za nią jeszcze raz świtanie. Liczyłem, że jeśli nawet pantery doduszą ją w nocy, zostanie w najgorszym razie dla nas kawał świeżego mięsa. O brzasku królik-myśliwiec poszedł z kilkoma naszymi pagazisami, i znów powtórzyła się wczorajsza historia: znaleziono antylopę w kałuży krwi — i tak samo zerwała się i poszła. Wzmianka ta da u pojęcie myśliwym o nadzwyczajnej żywotności wielkich zwierząt afrykańskich. Antylopa mogła być źle strzelona, miała jednak w sobie kulę ze sztucera k. 10 i farbowała, jak sam widziałem, nadzwyczaj obficie, a jednak po upływie doby nie tylko żyła, ale nawet nie stężała i zdołała się ratować ucieczką.

W lesie, na którego skraju rozbiliśmy namiot, a zwłaszcza na polanie przed namiotem, pokrytej rzadkimi drzewami, było dużo pentarek, które dostarczyły nam smacznego, świeżego mięsa. Nazajutrz, po usilnych pochodach wśród dżdżu, dotarliśmy do M'Pongwe. Jest to góra niezbyt wyniosła, podobna do leżącej na ziemi wypukłej tarczy. Kształtem

przypomina zakopiańską Gubałówkę, jest od niej jednak o tyle mniejsza i mniej rozległa, że może być jeszcze zaliczoną do wzgórz. Łańcuch nieprzerwany podobnych, z różnicą rozmiaru, wyniosłości ciągnie się w kierunku zachodnim, aż do gór U-Zagara, tworząc kraj piękny, falisty, pokryty bukietami drzew nieraz olbrzymich, ale na niezmiernych przestrzeniach jednostajny.

Wiosek w tej stronie prawie niema. Pustka tu wielka i cisza taka, że gdy wiatr nie kołysze traw, usłyszysz oddech własnych zmęczonych piersi. Tkwi w tem niepospolity urok. Ziemia, drzewa, przestrzeń, powietrze, blask — słowem, wszystkie żywioły zdają się tu tworzyć jedną duszę, bardzo monotonną, ale nieskończoną i jakby pogrążoną w śnie. Ci, którzy choć raz w życiu uczuli nostalgię za nieskończonością i bezwzględny spokojem, mogą w takiej okolicy znaleźć to, czego napróżno szukali gdzie indziej.

Z wyniosłości widzieliśmy od czasu do czasu Wami, którą rozpoznać łatwo po ciemnych wstęgach dziewiczego lasu, pokrywającego oba jej brzegi. Spędziliśmy nad jej brzegiem jeszcze jedną noc, po czem, przebywszy ją po raz trzeci, odprowadziliśmy ojca Kormana do Mandery.

Wyszliśmy, wbrew obyczajowi, przyjętemu przez karawany, późno, bo koło godziny dziesiątej; przyszliśmy zaś do Mandery o drugiej, że zaś dzień był pogodny, niebo bez chmurki, więc drogę odbywaliśmy wśród największego upału, jakiego w Afryce zaznałem. Pod naszą szerokością trudno sobie wyobrazić, do jakiego stopnia dochodzi gorąco na tych wzgórzach,

wystawionych na prostopadłe promienie słoneczne. Chwilami zdawało mi się, że to jest chyba dzień wyjątkowo upalny. Z nieba leciał żywy ogień. Płuca nasze wciągały powietrze wprost łaźnie. Póki szliśmy lasem, można było jeszcze wytrzymać, ale gdy dotarliśmy do wyniosłości, na których murzyni mają zwyczaj wypalać trawę przed nadejściem mas-siki, sądziłem, że lada chwila któryś z nas padnie.

√ Szklista, czarna ziemia była tak rozpalona, jak trzon pieca. W dodatku, jak zwykle w godzinach południowych, nie było najmniejszego powiewu; liście na drzewach wisiały nieruchomie, euforbie zdawały się tracić swą sztywność i roztopiać w żarze. Gdyby nie wilgoć powietrza, żadna roślina nie mogłaby wytrzymać takiej strasznej temperatury; ale dla człowieka ta wilgoć czyni upał jeszcze nieznośniej-szym.

Zły byłem na siebie i na ojca Kormana, bo w gruncie rzeczy ani on, ani my, nie mieliśmy żadnego powodu do pośpiechu. Ale w podróży często się to trafia, że idzie się, choćby pod grozą śmierci, dlatego tylko, że się wyruszyło, albo przez miłość własną. Nikt nie chce pierwszy powiedzieć: „Nie pójdę dalej!“ — tymczasem o krok dalej człowiek może paść, jakby rażony piorunem.

Ostatnim tchem przywlekliśmy się do Mandery a zwłaszcza koniec drogi, gdy już misję było widać, jak na dłoni, był najstraszniejszy. Towarzysz mój przyszedł z silnym bólem głowy, który jednak minął wkrótce w zakrytych i przewiewnych izbach misji. Obaj dopiero koło godziny 4-tej po południu, po do-

brym wypoczynku i obiedzie, odzyskaliśmy dawną rzeźkość. Pod wieczór przyszły też chmury, które zakryły słońce, i wiatr ochłodził znacznie powietrze.

Brat Aleksander mówił nam, że te chmurne wieczory i ranki, przy dniach wyjątkowo znoјnych, są zapowiedzią massiki. Jakoż miała nadejść lada dzień, a z nią nieunikniony koniec podróży. Ponieważ dotąd żaden z nas, mimo wszelkich wysiłków i nieostrożności, nie zachorował poważniej, zaczęliśmy się już przechwalać wzajemnie i uważać się za ludzi wyjątkowo uzdolnionych do podróży afrykańskich.

Manderę opuściliśmy na drugi dzień po południu, obdarzeni przez pocziwych misjonarzy licznymi okazami ptaków. Zabranie ich nie przedstawiało żadnej trudności, bo nasze zapasy zmniejszyły się znacznie. Wino, jak również woda sodowa, były wypite niemal do kropli, tak, że niektórzy nasi ludzie nie mieli prawie nic do niesienia.

Zamiarem naszym było teraz dotrzeć wielkimi i śpiesznymi pochodami na północ rzeki Kingani, do Gugurumu, odległego o jeden dzień drogi od Bagamoyo, i zostać tam dopóty, dopóki nawalne dżdże nie uczynią pobytu pod namiotem niemożliwym.

XX.

Małe wioski. — Digwasu. — Trudny pochód nad Wami. — Położenie wioski. — Olbrzymie drzewo. — Krokodyl. — Zabity krokodyl. — Król Brahimu. — Pochód do Brahimu. — Długa droga. — Kobiety pracujące. — Postój w lesie. — „Bahari”. — Gugurumu. — Noc. — Gorączka. — Febra. — Stękanie lwa.

Kilka mniejszych wiosek bezimiennych lub których nazw nie zapamiętałem, a następnie Digwasu, v Tebe, Wianzi, Brahimu — oto główne punkta wytyczne naszej obecnej drogi, nie licząc postojów w miejscowościach niezamieszkałych ale posiadających wodę. Naprzód przeszliśmy małą łachę Wami, J otoczoną pysznym, dziewiczym lasem, i zanocowaliśmy w niewielkiej i zupełnie pustej wiosieczce. Króla Tebe, który podczas naszej wyprawy do M'Pongwe nadzedł był do Mandery, wyprawiliśmy jeszcze przed jej opuszczeniem do Brahimu z rozkazem, by tam czekał na nas i przygotował sobie wszystko, co mu będzie potrzebne na drogę do Gugurumu i dłuższy tamże pobyt. Do Digwasu dotarliśmy na drugi dzień. Droga wypadła nam prawie ciągle wzdłuż Wami, wśród okolicy lesistej i nader malowniczej. Był to pochód trudny a nawet niebezpieczny. Przeszło godzinę posuwaliśmy się gliniastym wrębem, szero-

kim zaledwie na stopę, mając z jednej strony tuż przy ramieniu prostopadłą ścianę brzegu — z drugiej, bezpośrednio pod nogami, spokojny już w tem miejscu i głęboki nurt Wami. Tam, gdzie wręb pochylał się, lub gdzie zagradzały popłatane korzenie drzew, trzeba było dokładać wszelkich usiłowań, by nie pośliznąć się i nie wpaść w wodę, z której ratunek byłby, ze względu na wielką ilość krokodylów, prawie niepodobny. Raz wraz nad gładką tonią widzieliśmy wynurzające się trzy czarne punkta, które nie były czem innem, jak końcową wyniosłością paszczy i wyniosłościami nad oczyma krokodyla. Widok ten dodawał nam dziwnie ochoty do trzymania się rękoma i nogami naszego wrębu, a gdy w niektórych miejscach glina usuwała się nam nieco z pod nóg, usiłowaliśmy posuwać się lekko, jak zefir. W takich warunkach każdy odkryje w sobie niebywałe talenta ekwilibrystyczne.

Z niewielką też przyjemnością myślałem, że koniec końcem, trzeba będzie jeszcze raz przejść w bród tę malowniczą rzekę, i wyznaję, że życzyłem sobie w duszy, by była mniej malowniczą, ale zato i mniej obfitą w krokodyle. Na szczęście, w wiosce Digwasu znajdowała się piroga, którą przejechalśmy na drugi brzeg bez żadnego wypadku i nawet bez widzenia złowieszczych czarnych punktów.

Wioska leży na polanie wśród gąszczy, o kilkadziesiąt kroków od rzeki. Okrągłe chaty otaczają majdan, na którym pod wspaniałą mimozą odbywały się niegdyś palawery (narady). Było to, jeśli nie najgrubsze, to najrozłożystsze drzewo, jakie widziałem

w Afryce. Może zresztą myłę się, nazywając je mimozą; w każdym razie miało ono delikatne pierzaste liście, podobne do liści mimozy. Olbrzymia jego korona zacieniała kilkadziesiąt metrów naokół. Namiot nasz, stojący tuż obok pnia, wydawał się, jak biały płatek kwiatu. Ludzie pomieścili się wszyscy, nie wyłączając miejscowych, którzy tu, jak wszędzie, przyszli się na nas gapić.

Po południu, wzięwszy strzelbę, poszedłem nad rzekę, w nadziei, że uda mi się strzelić do krokodyla. Jakoż uszedłszy może pół kilometra, spostrzegłem znane mi już z poprzedniego pochodu trzy punkta, poruszające się wolno nad wodą. Wymierzywszy najstaranniej między dwa górne, pociągnąłem za cyngiel. Ponieważ strzelałem dość blisko i w warunkach zupełnie dogodnych, nie spodziewałem się chybić; po strzale jednak głowa znikła natychmiast pod wodą, pozostawiając mnie na pastwę wątpliwości. Oczywiście, że tego rodzaju polowanie nie przedstawia wiele uroku. Po niejakiem czasie chciałem już wrócić i zmieniając sztucer na zwykłą strzelbę, pójść na ptaki, gdy w tem nadbiegło kilku naszych ludzi, z Franciszkiem na czele, dając mi znać, że na drugim brzegu aż dwa krokodyle wylazły na piaszczystą zaspę, prawie naprzeciwko wioski.

Wróciwszy, przekonałem się, że mówią prawdę. Widocznie nikt w Digwasu nie poluje na te płazy, albowiem leżały one sobie spokojnie na zaspie, ani dbając o krzyki i rozprawy naszych ludzi, którzy prawie wszyscy zgromadzili się nad brzegiem. Obie sztuki były jeszcze niedorośle. Wybrawszy większą,

posłałem jej pod łopatkę kulę, zakończoną stalowym stożkiem. Zwierz podskoczył po strzale na jakiś metr w górę i rzucił się w wodę; po upływie jednak kilku minut wychynał o kilkadziesiąt kroków dalej na mieliźnie, na której było go doskonale widać. Simba ofiarował się zaraz iść po niego, ale nie pozwoliłem mu uczynić tego póty, póki przez szkła teatralne nie spostrzegłem, że krokodyl, który od pewnego czasu otwierał konwulsyjnie paszczę, przestał ziewać i odwrócił się białawym brzuchem do góry. Wówczas poszedł Simba i kilku innych, ale i mnie i ich czekała jeszcze niespodzianka. Oto krokodyl odwrócił się znów, i umknąwszy pod sam brzeg, jął się nie dawać. Czarni poczęli teraz koło niego tańcować, pilnując starannie własnych tydek, i trwało to przeszło pół godziny. Złapali go wreszcie na wić, z której urządzili stryczek, i przyciągnęli go na ten brzeg jak psa, z takim impetem, że woda warczała naokoło.

Gdy go przywlekli przede mnie, już nie żył. Obejrzawszy trupa, przekonałem się, że kula ze stalowym końcem nie tylko przebiła pancerz, ale przeszła nawylot, a mimo tego płaz żył jeszcze przeszło pół godziny. Jakoż krokodyla, strzelanego w wodzie lub też przy niej, nie dostaje się, równie jak hipopotama prawie nigdy; mego zaś dostałem wyjątkowo szczęśliwym trafem, mianowicie dlatego, że załazł na płytkie wody.

Murzyni ponieśli go w triumfie do wioski i złożyli przy naszym namiocie.

Pod zachód słońca obaj z towarzyszem chodzi-

liśmy na ptaki. Zabiłem między innemi dwie papugi, z których wszelako znalazłem tylko jedną — i gołębia, z gatunku prawdopodobnie najmniejszego, jaki istnieje na kuli ziemskiej. Śliczna to ptaszyna, upierzona biało i ceglasto, nie jest większa od naszej dzierlatki. Chciałem koniecznie zachować jej skórę, ale nie mając potrzebnych narzędzi i środków przeciwnilnych, nie mogłem tego dokazać.

Pomyślne rozwiązanie sprawy z krokodylem zdawało mi się równie pomyślną wróżbą na Gugurumu; poszedłem więc w dobrym humorze. Nie mogłem jednak usnąć, bo murzyni nasi tłukli znów całą noc kasawę, M'sa zaś, zasiadłszy w kuczki przy ogniu, śpiewał przez nos swoje wieczne: „M'Buana Kuba, Bagamoyo, wengi rupia“ itd.

Nazajutrz przyszedł Brahimu, król wioski Brahimu, dziwna jakaś figura, rozmawiająca ustawicznie głośno sama ze sobą lub wybuchająca nagle śmiechem bez żadnego powodu. Zrobił mi wrażenie warjata. Wyprawiłem go zaraz do domu, by tam zatrzymał Tebe-myśliwca, sami zaś ruszyliśmy na noc do Wianzi, uganiając się po drodze niepomyślnie za pentarkami. Pod wieczór przyszły znowu chmury, ale wiatr rozegnał je niebawem.

Śpieszno nam było do Gugurumu, więc nie szczędziliśmy nóg, zwłaszcza, że zdrowie dopisywało nam ciągle. Termometr do mierzenia ciepłoty ciała, w który każdy jadący do Afryki musi być zaopatrzony, wykazywał temperaturę 36° z czemś — marną i anemiczną, jak na Europę, ale normalną i najpożądańszą w Afryce. Wobec tego mieliśmy

ochotę pozostać w Gugurumu tak długo, żeby nawet zarwać coś i z massiki i przypatrzeć się, jak ona wygląda.

Noclegi w gęszczach mniej nas teraz orzeźwiały, bo schodziliśmy znów na niskie pomorze, gdzie noce bywają parne i gorące. W czasie pochodu jednak chmury przesłaniały od czasu do czasu słońce, co przynosiło nam niewypowiedzianą ulgę.

W Wianzi dogoniliśmy króla Brahimu. Następnego dnia służył on nam za przewodnika do własnej siedziby. Idąc na przodzie krokiem bardzo szybkim, przez całą drogę rozprawiał ze sobą głośno, machając rękoma i wybuchając od czasu do czasu śmiechem. Był to olbrzymi pochód, gdyż wyszedłszy o szarym brzasku, doszedłem do Brahimu koło pierwszej. W końcu byliśmy niemal tak strudzeni, jak w czasie pościgu za antylopami pod M'Pongwe. Co wioska, myśleliśmy, że to już koniec pochodu, tymczasem na pytanie: „Brahimu karibu?“ (czy Brahimu blisko?) murzyni odpowiadali nam ciągle: „bali“ (daleko!).

Zauważyłem jedną rzecz. Oto, gdy przechodząc koło wiosek, spotykaliśmy kobiety, pracujące w polach opodal wsi, te na widok obcych ludzi, rzucały w popłochu wszystkie narzędzia i ratowały się ucieczką. Pochodzi to jeszcze z dawniejszych czasów, w których polowano na niewolników, i w których kobiety stanowiły łup najpożądany.

W Brahimu widziałem jedną w czasie całej podróży murzynkę, która mogła uchodzić za ładną. Była to dziewczyna lat około piętnastu. Tebe-myśli-

wiec przyniósł ją przed nas na plecach, albowiem dotąd nie widziała białych i bała się ich najokropniej. To też objawszy go rękoma i nogami, spoglądała przytulona do jego karku, jak ciekawe, ale zarazem przerażone zwierzątko. Kształty jej były jeszcze prawie dziecinne; czupryna, nieułożona w sztuczne uczesanie, jeżyła się olbrzymią strzechą kręconych włosów, co ją nawet szpeciło, albowiem głowa wydawała się przez to dwa razy tak wielką, jak być powinna. Dzika ta piękność oswoiła się jednak wkrótce dostatecznie.

Brahimu gniewał mnie, ciągle bowiem rozmawiał ze sobą, jeśli zaś zwracał się ku nam, powtarzał wiecznie jeden wyraz „diwai!“ (wina), wyciągając przytem ręce i kiwając niemi, jak dziecko, które się czegoś napiera. Sami piliśmy już wodę z koniakiem, albowiem została nam tylko jedna butelka wina chinowego, które wykrzywiało usta goryczą. Chcąc ukarać natręta, nalałem mu pół szklanki tego specjału. Wypił, oblizał się, powiedział „msuri“ (dobre) i prosił o więcej. W końcu nawymyślałem mu od żebraków i kazałem pójść precz.

Apteka moja była tego dnia w robocie, albowiem, prócz wina chinowego, wydawałem z niej ricinus. Wieczorem zachorował nasz pagazi M’Kamba; przyszedł do mnie szary, popielaty, znękany, trzymając się oboma rękoma za brzuch. Wymiarkowawszy z tego gestu, co go boli, dałem mu pięć ogromnych kapsulek, które zgryzł w zębach, jak śliwki. Po spożyciu, ten także oświadczył, że lekarstwo jest „msuri“. Na drugi dzień zdrów był, jak lew i niósł swoją pakę

z najlepszą miną. Jadąc do Zanzibaru, słyszałem, że ricinus jest pod tą szerokością prawie trucizną, ale misjonarze zaprzeczali temu stanowczo, i przekonałem się na M'Kambie, że mieli zupełną słuszość.

Z Brahimu poszliśmy dalej mniej więcej pustym krajem. Dwa pochody oddzielało nas jeszcze od Gugurumu. Postanowiliśmy dokonać obydwóch jednego dnia. Pierwszy postój wypadł nam w krzakach ogromnie gęstych, nad kałużą, mającą wodę cuchnącą, koloru kawy z mlekiem. Ponieważ mieliśmy iść dalej, nie kazałem rozpinąć namiotu, i obaj z towarzyszem położyliśmy się w cieniu krzów. W wielkim kapeluszu, używanym w czasie pochodów, nie można, śpiąc, oprzeć o nic głowy, nawdziałem więc lekką, płócienną czapeczkę i usnąłem twardo, a tymczasem słońce obeszło kawał drogi, tak, że promień jego, wyjrzawszy z boku przez liście, padł mi na czoło. Obudziłem się zaraz, ale już z bólem głowy, który następnie wzmacniał się z każdą chwilą. Mokra chustka włożona pod kapelusz, przyniosła mi jednak znaczną ulgę. Koło godziny drugiej, zatem przed zwykłym terminem, w którym się wyrusza w południowy pochód, murzyni sami poczęli się zbierać, albowiem do Gugurumu było jeszcze daleko, a trzeba nam stanąć koniecznie przed zachodem słońca. Po przejściu kilkunastu kilometrów, mój ból głowy minął zupełnie, czułem jednak jakiś niepokój w całym ciele, i opanowała mnie niezwykła ociężałość. Z trudnością utrzymywałem się na przodzie karawany. Przede mną szedł Tebe-myśliwiec i jak na złość przyspieszał ciągle kroku, spoglądając przytem ustawicznie na słońce.

Kraj spadał coraz niżej tarasami. Na jednym z nich Tebe zatrzymał się i ukazując palcem w przestrzeń, jaśniejącą niezmiernym blaskiem, rzekł:

— Bahari! (morze).

Wyraz obleciał wraz całą karawanę i wzbudził radość powszechną. Podróż nie była ani zbyt długa, ani zbyt uciążliwa, a jednak nietylko murzyni, nie umiejący ukryć żadnego wrażenia, ale i my patrzyliśmy ze wzruszeniem w dal, na ów błyszczący szlak wodny. Zdało mi się, jakby ktoś otworzył przede mną wrota do domu, za którymi wszystko, com widział, wszystkie owe góry, rzeki, lasy, wioski murzyńskie, noclegi pod namiotem pokryją się zaraz błękitną mgłą oddalenia i staną się wspomnieniem.

Było mi jakoś coraz bardziej nieswojo. Chwilami zdawało mi się, że mam gorączkę. Przyśpieszyliśmy teraz jeszcze bardziej kroku i biegliśmy jak do ataku. Słońce schodziło za nami coraz niżej, a cienie nasze stawały się coraz dłuższe. Już się wreszcie miało zupełnie pod zachód, gdy nagle, w pustem polu, Tebe-myśliwiec stanął, ludzie zatrzymali się za jego przykładem i poczęli zdejmować ciężary z głów i ramion.

— Co to znaczy? — spytał Franciszka.

— Gugurumu! — odpowiedział tłumacz.

Ach! to więc jest Gugurumu? Sądziłem, że ta nazwa coś oznacza, jakąś wioskę, jakąś osadę, złożoną choć z kilku chat — tymczasem naokół nie było widać żadnych śladów ludzi — step i step, jak okiem sięgnąć; gdzieś niedaleko bukiety drzew, zresztą pustka.

Ale pokazało się, iż wśród traw jest dół, a w nim

na dnie nieco wody, a raczej zupy, gęstej, żółtej, błotnistej. Ludzie po długim pochodzie rzucili się na nią chciwie. Chciałem bronić, ale Bruno uspokoił mnie, twierdząc, że woda, ledwie wyczerpana, napływa znowu z pod ziemi. Była to prawda. Jest tu widocznie podziemne źródło. Ta okoliczność czyni z Gugurumu i jego okolic jedno z najlepszych terytoriów myśliwskich na całym pobrzeżu, wszystkie bowiem inne wody okoliczne, nie wyłączając Kingani, płynącej o kilkanaście kilometrów na południe, są już z powodu bliskości morza słone. Wszelki zwierz musi przyjść do tej jedynej dziury, zawierającej słodką wodę. Że zaś okolica jest zupełnie niezamieszkała, więc zwierząt jest mnóstwo. Szczególniej dziki, zwane ndiri, znajdują się tu w wielkiej obfitości.

Przy wyskubywaniu trawy pod namiot widziałem skorpjony, przynoszące zaszczyt swojemu rodzajowi, bo tak wielkie jak krewety. Kilka wkręciliśmy obcasami w ziemię. Po ustawieniu namiotu wydałem jeszcze na wieczerzę, ale czułem się coraz gorzej. Ból głowy wrócił mi, a w kościach, zwłaszcza w kolanach, doznawałem łamania. Tymczasem noc zapadła szybko, i na niebo wytoczył się księżyc w pełni. Zrzuciwszy z siebie kapelusz, ładownicę, manierkę i lornetkę teatralną, począłem obchodzić zdala namiot, by ochłodzić głowę w powiewie nocnym i pozbyć się owego łamania w kościach, które mimo dwóch pochodów, nie pozwalało mi usiedzieć na miejscu.

Ale zaledwie oddaliłem się na kilkadziesiąt

kroków od ogniska, Tebe-myśliwiec i Franciszek pojawili się jak cienie za mną.

— M'Buanam Kuba, tu nie można oddalać się od ognia.

Wróciłem. Było mi coraz gorzej. Ni siedzieć, ni leżeć, ni stać, chyba ze skóry wyskoczyć. M'sa podał wieczerzę, ale nagle uczułem nieprzewyciężony wstręt do jada. Założywszy termometr, przekonałem się, że temperatura mego ciała wynosi 39.5. Była to gorączka ogromna, jak na Afrykę, w której 37 st. uważa się za stan nienormalny.

Wziąłem notatnik, który nie opuszczał mnie nigdy, i przy blasku ognia zapisałem wielkimi literami pod datą dnia: „Febrā“. W czas jakiś później poczęła się w głowie mojej walka między przyzwyczajeniem do uświadamiania wszystkiego a gorączką. Ważyło się to na tę, to na ową stronę. Nie dałem się jednak — i mimo chwilowych halucynacyj rozmawiałem wogóle jak człowiek przytomny. Pamiętam, że umyślnie nie założył drugi raz termometru, bo mi przyszło na myśl, że jeśli zobaczę 40 stopni lub więcej, wtedy zrozumieć, że już niema rady, i poddam się ostatecznie chorobie, a nie chciałem się poddać, tylko ją przełamać i wrócić do domu.

Zdawałem sobie także sprawę, że w Gugurumu ona mnie zmoże, ale gdy znajdę się w Bagamoyo, pod opieką misjonarzy, to się nie dam. W tym celu zawołałem natychmiast Bruna i przykazałem mu, by jutro, skoro świt, połowa ludzi była gotowa do drogi, bez namiotu, tylko z mojem łóżkiem, na którem mnie poniosą w razie potrzeby.

Towarzysz mój chciał koniecznie wracać wraz ze mną. Przedstawiłem mu, aby tego nie czynił, że w drodze nic mi nie pomoże, a przecie w ciągu jednego dnia dotrę do Bagamoyo pod doświadczoną opiekę ojca Stefana. Po długich namowach stanęło na tem, że jeśli jutro będę się czuł zdrowszy, to zostanie i skorzysta z polowań w Gugurumu, jeśli nie, to pójdzie ze mną.

Potężna doza chininy podcięła tymczasem moją gorączkę. Przyszło tylko osłabienie i zupełna obojętność na wszystko, posunięta do tego stopnia, że gdy w nocy siedząc przed namiotem na myśliwskim krzeselku usłyszałam stękanie lwa, nie uczyniło ono na mnie żadnego wrażenia, nie rozbudziło ani moich instynktów myśliwskich, ani instynktu samozachowawczego. Prosto należałam jakby do innego świata. Przypuszczałbym nawet, że owo stękanie było halucynacją mego słuchu, ale było ono zbyt wyraźne i głębokie; zresztą wszyscy ludzie nasi słyszeli je także. Widocznie zwierzę zbliżyło się do wody, a ujrzawszy nagle ogień, poczuwszy dym i wyziewy ludzkie, objawił owem grzmiącym stękaniem swoje niezadowolenie z obecności nieznanych przybyszów. W Gugurumu lwy nie tylko są przechodnie, jak w Bagamoyo, ale mieszkają tu stale. Dowodzi tego sama nazwa miejscowości, która w języku ki-suahili oznacza: ryk lwa. Na nieszczęście, właściwego ryku nigdy nie słyszałam, ani tu, ani w czasie całej podróży.

Nazajutrz atak przeszedł, zostało mi tylko ogromne osłabienie. Stało się to teraz dla mnie jasnem, że dostałem tego rodzaju złej febry, której dwa ataki

można przeżyć, ale trzeci zabija zawsze. Uczyniłem postanowienie pozwolić sobie co najwyżej na drugi, a nie dostać wcale trzeciego. W tym celu, by łatwiej dotrzymać obietnicy, choć ledwo nogi wlokąc, ruszyłem nazajutrz świtanie do Bagamoyo.

XXI.

Karabaka. — Pochód przez błota. — Przeprawa przez Kingani. — Step. — Las palmowy. — Reszta sił. — Misjonarze. — Noc. — Drugi atak. — Osłabienie. — Lekarstwa. — Wizyta Wissmana. — Statek „Wissman“. — Morze. — Przejazd do Zanzibaru. — Szpital.

Po godzinie drogi zaszedłem do Karabaka. Jest to nazwa, oznaczająca raczej okolicę, niż jakąkolwiek ludzką osadę, znalazłem tam bowiem tylko jedną opuszczoną i zrujnowaną chatę murzyńską. Może być zresztą, że murzyni przychodzą tu i osiedlają się na jakiś czas w ciągu roku, widziałem bowiem wzgórza, na których trawa była wypalona. Lubo zmęczony mocno, nie chciałem się zatrzymywać w owej chacie, z obawy, by nie opanowało mnie zupełne osłabienie. Z Karabaka przechodziliśmy wąwozy, szerokie na kilkanaście stóp, wypełnione grzęzkiem, słonem błotem. Ludzie zapadali w nie głęboko. Dla mnie było niepodobieństwem rozbierać się i ubierać się za każdym przejściem, kazałem się więc przenosić. Simba, który mnie przenosił, zapadał się wskutek zdwojonego ciężaru jeszcze głębiej, chwiał się i dosłownie: jęczał pode mną. Ale wygramoliwszy się na brzeg, poczynął się zaraz śmiać z radości, że nie spuścił swego M'Buana Kuba w błoto.

Każdy inny — nie murzyn — byłby kłął na czem świat stoi.

Na jednym z wyniesień, leżących już blisko Kingani, widziałem największy baobab, jaki zdarzyło mi się spotkać w całej podróży. Pień miał z pewnością kilkanaście łokci obwodu. Zdała wydało mi się, że widzę lamparta, przyczajonego między gałęziami, ale gdy, wzięwszy sztucer, przysunął się bliżej do drzewa, pokazało się, że to był kawał pstrej, nastroszonej kory.

Zaraz potem wszedłem na wielkie błota, utworzone przez rzekę i morze. Ciągną się one na kilkanaście kilometrów, aż do właściwego koryta Kingani, oddzielonego jednak od nich pasem karłowatych krzów. Dzień był na moje nieszczęście, bezchmurny; koło godziny w pół do 8-ej słońce poczęło mocno przypiekać, a oprócz tego raził nieznośny blask promieni, odbitych od szklącej powierzchni błota. Przez czas jakiś kazałem się nieść na mojem polowem łódku, ale był to zły sposób. Wyziewy ciał murzyńskich dusiły mnie, a słońce piekło jeszcze mocniej. Po chwili wróciłem znów do podróży na piechotę.

Jak okiem sięgnąć, widziałem tylko błota i błota, częścią zalane płytką, słoną wodą, częścią odkryte, ale przesiąknięte wilgocią i błyszczące. Pochód przez odkryte był najtrudniejszy, za każdym bowiem krokiem przylepiały mi się do trzewików ogromne gruzły iłu, ważące po kilka funtów; wyczerpywało mnie to do reszty; wkońcu musiałem zdjąć trzewiki i dalszą drogę odbywać boso. Tak szedłem w gorączce, trudzie

i pragnieniu, albowiem wkrótce wypróżniłem zarówno moją manierkę, jak i flaszki, które mieli ze sobą murzyni. Pragnienie dokuczało mi tem bardziej, że naokół widać było wodę. Gdzie niegdzie, wśród tego świata błot, sterczały nakształt wysp miejsca suche i wyższe, pokryte nieprzeniknioną gęstwiną. Czasem powierzchnia ich obejmowała więcej, niż kilometr kwadratowy. Tam, w cieniu, szukałem wypoczynku, ale po chwili trzeba było znów iść błotem, na którym żaden liść nie osłaniał głowy. Po drodze, na gładkiej powierzchni iłu, widziałem mnóstwo wyciśniętych jak najwyraźniej śladów wielkich zwierząt; były tam tropy hipopotamów, dzików-ndiri, antylop, zebra, giraf i lampartów, wszystkie zmierzające do owych wysp, pokrytych gęstwiną. Mimo choroby i wyczerpania, żał mi było opuszczać te miejsca, i z zazdrością myślałem o towarzyszu, który pozostał w Gugurumu, przy jedynem w okolicy poidle. Obiecywałem sobie nawet w duszy, że, jeżeli w misji przyjdę zupełnie do zdrowia, to jeszcze tam wrócę, bodaj na kilka dni. Zły byłem też na siebie, że nie rozpoczął podróży od Gugurumu, co mogłem doskonale uczynić.

Upał był coraz większy. Szedłem też z coraz większą trudnością i myślałem, że błota nigdy się nie skończą. Nie wiem, jaka jest ich szerokość, przypuszczam jednak, że pokrywają one przestrzeń bardzo rozległą. Nakoniec jednak dotarłem do haszczów, obrastających właściwe koryto rzeki. Widziałem znów między nimi dziwne krzaki, wydające owoce, podobne

do naszych dyń. Droga była i tu błotnista bardzo, ale o tyle lżejsza, że się szło cieniem.

Nagle stanęliśmy nad rzeką. Była ona w tem miejscu dwa razy tak szeroka, jak w leżącym powyżej M'toni. Na przeciwnym brzegu ujrzałem chatę, z tej zaś strony murzyni moi znaleźli pirogę, długą, ale nadzwyczaj wąską i w dodatku dziurawą. Gdym w nią wszedł, woda poczęła tryskać przez otwór w dnie, jak fontanna. Mimo tego moi ludzie zapakowali się do owej pirogi wszyscy odrazu, alem ich przepędził, pozwoliwszy zostać tylko trzem wiosłarzom. Po zatkaniu jako tako dziury, odbiliśmy od brzegu. W czasie przeprawy trzymałem strzelbę w pogotowiu, myślałem bowiem, że gdyby jakiemu hipopotamowi, albo nawet porządnemu krokodylowi, podobało się trącić w naszą pirogę, przewróciłaby się natychmiast do góry dnem. Hipopotamy nie lubią wprawdzie słonej wody; sam sprawdziłem w M'toni, że umykają przed morską falą w górę rzeki; ale na słonem błocie, przez które dopiero co przeszedłem, widziałem między innymi także ich ślady, mógł więc się który zdarzyć i w rzece.

Przełynęliśmy jednak szczęśliwie. Wysiadłem na brzeg potężnie chory i z przykrością myślałem, że do Bagamoyo jest jeszcze ze dwie godziny drogi, którą trzeba będzie przejść w czasie największego znoju. Tymczasem odesłałem pirogę po ludzi, którzy zostali na tamtym brzegu, sam zaś pośpieszyłem do chaty, by się schować przed skwarem. W chacie nie było żywego ducha, jednakże po rozmaitych sprzętach odgadłem, że przemieszkuje w niej biały czło-

wiek lub ucywilizowany murzyn. Znalazłem między innemi rzeczami dwie kwadratowe duże blaszanki, takie, w jakich u nas przechowują naftę, napełnione — o rozkoszy! — słodką wodą. Nie wiem, jak ona tam długo stała, dość, że wydała mi się boskim nektarem. Nadomiar pomyślności, szukając szklanki w torbie podróżnej, odkryłem na jej dnie kilkanaście małych, zielonych cytryn, o których zapomniałem zupełnie, a które jeszcze w Manderze wsypał mi brat Aleksander. Sok ich, wyciśnięty do wody, orzeźwił mnie i dodał mi sił do dalszego pochodu.

Przebywszy kilka parowów, napełnionych błotem, weszliśmy w kraj o tyle wyższy, że leżący poza łożyskiem rzeki. Otoczył nas teraz płowy step, lekko falisty, na którym samotne, przysadziste drzewa zdawały się drzemać w spiekocie słonecznej. Od wschodniej strony, w której wysoki widnokrąg odcinał się twardą linią od błękitu nieba, przychodził od czasu do czasu powiew morski. Okolica zdawała mi się znajomą. Nakoniec, może po godzinie drogi, ujrzałem na krańcu wzroku coś, jakby ciemną wstęgę. Ludzie poczęli zaraz na ten widok rozprawiać gwarnie, mnie zaś serce zabiło żywiej: poznałem las misji i Bagamoyo.

W miarę, jak posuwaliśmy się naprzód, nad ową ciemną wstęgą jęły rysować się coraz wyraźniej bogate pióropusze palm. Miły widok, zwłaszcza dla człowieka chorego! Odległość była jeszcze znaczna, ale przebiegliśmy ją, sami nie wiedząc kiedy. Ścieżka zmieniła się w drogę. Zamiast płowego stepu, otoczyły nas zielone plantacje kasawy i bananów —

świat inny, gościnniejszy, strojny i pełen śladów pracy ludzkiej.

A oto i nieprzejrzone rzędy kolum palmowych; w górze, nad nami, szum wielkich liści, na dole migotanie światła i cieniów. Doszedłem — ale resztą sił. Mimo wszelkich wysiłków i energii, uczułem nagle, że nie pójde dalej, chyba każe się zanieść. Wstyd mi jednak było pojawić się przed misją na noszach. Na szczęście, jeden z moich ludzi wiedział o ukrytej tuż przy drodze studni, obok której znalazł się pod drzewem orzech kokosowy, osadzony na długiej tyczce. Przyniesiono mi w nim wody czystej i chłodnej, która znów postawiła mnie na nogi.

Było tego lasu jeszcze dwa lub trzy kilometry. Pamiętam, że wydawał mi się niesłychanie rozległy. Nareszcie jednak dostrzegłem białe mury misji i w chwilę później znalazłem się, wraz z ludźmi, przed werandą.

Misjonarze sypnęli się na moje spotkanie, witając mnie serdecznie i dopytując z niepokojem o towarzysza, który został w Gugurumu. Ja udałem, że jestem zdrowszy, niż byłem; w istocie w tej chwili uczułem, że wygram sprawę z moją febrą. Zasiadłszy na płóciennem krześle pod cienistą werandą, wypoczywałem rozkosznie, popijając wino i spoglądając na znajome twarze, domostwa i ogród. Brytany misyjne przyszły także witać się ze mną i pokładły swe olbrzymie łby na moich kolanach. Miałem, bezmała, takie wrażenie, jakbym się urodził i wychował w Bagamoyo. Wpadłem w dobry humor i animyślał iść do łóżka.

Ojciec Stefan zaprosił mnie niebawem do swego domku na obiad. Przed samem jedzeniem dostałem ogromną porcję chininy, skutkiem czego podczas obiadu trzymałem się niezle. Dopiero, gdy przyszło mi powstać, uczułem, że blednę, i że siły mnie opuszczają. Takie stany chorobliwe bywają bardzo dziwne. Miałem więcej niż uczucie, bo prawie pewność, że jeśli się nie przemogę i znów siądę, to nie powstanę więcej. Oczywiście, przemogłem się, i wraz z ojcem Stefanem wyszliśmy do ogrodu. W godzinę później poszedłem spać i zasnąłem kamiennym snem.

Znacznie po północy przyszedł drugi atak febry. Zbudziłem się z ogromną gorączką, nie mogłem jej jednak zmierzyć, bo termometr wysunął mi się z rąk i potłukł się na drobne szczątki. Na stole znalazłem przygotowaną dozę chininy i nalewkę na jakieś zioła, które O. Stefan daje na ochłodzenie gorączki. Smakowała mi owa herbata tak wybornie, iż zdawało mi się, że piję zdrowie.

Do rana mającylem jednak trochę. Chwilami widziałem podwójne przedmioty; chwilami miałem wrażenie, że usuwam się z łóżkiem w przepaść, to znów, że mój pokój jest jakimś namiotem tak wielkim, jak cały świat.. Szczekanie brytanów na werandzie przyprowadzało mnie jednak do przytomności. Przypominałem sobie wtedy, że jestem w misji, rozpoznawałem pokój i palącą się na stole lampę.

Nad ranem oprzytomniałem zupełnie i postanowiłem nie tylko wstać, ale i ubrać się, jak człowiek ucywilizowany. W kufrze, który pozostawiłem zamknięty w misji, wszystko zapleśniało od wilgoci,

a trzewiki zmieniły się w zielone gaje. Mimo tego, ubrawszy się, wydałem się sam sobie szczytem mody. Bóg jeden wie, ilem potrzebował wysiłków, by się zmienić na strojnisia, ale czyniłem to w mniemaniu, że to jest akt walki z chorobą. Wogóle wydobywałem z siebie w tej walce dużo odporności, bo koniecznie chciałem wrócić. Wiedziałem, że z trzeciego ataku się umiera — ale nie pozwoliłem sobie nawet na przypuszczenie, że trzeci przyjdzie. Może być, V że trochę dlatego nie przyszedł.

W ciągu dnia wrócił mój towarzysz z resztą ludzi. Sam nie był także zdrow a przytem niepokoił się o mnie. W Gugurumu postrzelił dzika-ndiri, którego w pierwszej chwili wziął za lwa.

Po wspólnym obiedzie u O. Stefana, doznałem znów uczucia, że jeśli nie powstanę z mego krzesła, to umrę. Oblał mnie całego lodowaty pot. Koło czwartej wieczorem przyszedł w odwiedziny Wissman. Nie miałem siły wstać; ani nawet rozbudzić się zupełnie, widziałem go jednak przez żaluzje okna. Jego tęga postać i twarz łagodna a zarazem czerstwa, przejęła mnie zdziwieniem, tem bardziej, że świeżo wracał z odległej wyprawy przeciw klanom Massai. Urywki z jego opowiadań o tej wyprawie dochodziły z werandy do moich uszu. Uczynił on na mnie wrażenie człowieka niepospolitych sił i energii. Zresztą zdrowie jego było pozorne. W czas jakiś V po moim odjeździe zapadł i on na ciężką febrę, na którą musiał szukać rady w suchem i wzmacniającem powietrzu egipskiem.

Tymczasem przyniósł nam dobrą wiadomość, że

statek jego imienia odchodzi pojutrze z Bagamoyo do Zanzibaru. Postanowiłem korzystać z tej okoliczności, głównie dlatego, że wszystko, co przyspieszało mój powrót, wyłączało możliwość trzeciego ataku. Bagamoyo jest mniej zdrowe od Zanzibaru, który bądź co bądź, ma klimat morski. Mogłem przytem znaleźć tam schronienie w szpitalu Sióstr francuskich. Szpital ten ma okna wychodzące na ocean, tak, że dzień i noc oddycha się w nim świeżem i słonawem powietrzem morskiem. Jest on zarazem urządzony z daleko większym komfortem, niż wszystkie hotele; ludzie przybywający ze stałego lądu, udają często febrę, byle się do niego dostać, pod nieporównaną opiekę sióstr i na stół chorych, złożony z najlepszych rzeczy, jakie Zanzibar posiada.

Jakoż czwartego dnia w południe, po pożegnaniu się z misjonarzami i załatwieniu rachunków z ludźmi, znaleźliśmy się na pokładzie parowca „Wissmann“. Było to prawdziwe szczęście, że nie potrzebowaliśmy jechać arabską daną. Byłem bardzo osłabiony, odczuwałem jednak w pełni tę odmianę, jaka musi uderzyć każdego, kto po wędrowce na stałym lądzie znajdzie się nagle na morzu. Tam zielone i płowe barwy pochłaniają jasność słoneczną, widnokrąg zamknięty jest wzgórzami — tu, jeden blask, jedna nieskończoność barwy błękitnej na górze i w dole — jasno, przestronie, powietrzno! Człowiek z rozkoszą oddycha, z rozkoszą wyciąga strudzone pochodami nogi i odczuwa radość ze spoczynku i życia.

Cztery godziny drogi, jedna butelka szampana, i oto już nad jasno-błękitną tonią poczyna się pod-

nosić najprzód wieża z latarnią, następnie pałac sułtana, dom konsulatu angielskiego i wreszcie cały szereg budowli patrzących oknami na morze. Zanzibar! Stajemy i lądujemy. Po chwili cała czereda czarnych niesie moje pakunki do szpitala. Ogarnia mnie woń gwoźdзикów, sandału i suszonego rekina, którą pachnie cały Zanzibar. Niedawno jeszcze to miasto i ta wyspa, pokryta mangami, wydały mi się szczytem egzotyczności; teraz patrzę na te kąty, jakbym je znał oddawna, i jakby nie miały dla mnie nic nowego. Dzwonię do szpitala, gdzie już czekają na mnie, bom przez ojca Ruby uprzedził o mojem przybyciu. Furta otwiera się, i widzę blade, łagodne twarze sióstr, otoczone skrzydłami białych kornetów. Przy słońcu, które się zniża i złoci kornety, twarze te wyglądają, jakby wycięte z obrazów Fra-Angelica. W ogrodzie szpitalnym pełno drzew, po białych murach spływają kwiaty wiciokrzewu i groszków; wszędy jakaś zacisza. Czuję, że mi tu będzie dobrze, i że wypocznę ciałem i duszą. Zachód słońca coraz bliżej, niebo coraz czerwieniejsze — i poczynają dzwonić na Anioł Pański...

XXII.

Zmiany w Zanzibarze. — Żniwo śmierci. — Pobyt w szpitalu. — Widoki. — „Pei-Ho“. — Przebieg choroby. — Godziny południowe. — Wyspa umarłych. — Pokój w szpitalu. — Statek. — Pożegnanie. — Odjazd. — Zmiana wrażeń.

W Zanzibarze zaszły podczas naszej nieobecności znaczne zmiany. Konsul generalny, Evan Smith, wyjechał wraz z żoną na stały pobyt do Maroko, gdzie został mianowany pełnomocnikiem angielskim; piękna pani Jameson, powierzwszy bratu nieboszczyka męża zbieranie dalszych dowodów przeciw Stanleyowi, wróciła do Europy; ośm innych osób, mniej lub więcej nam znanych, umarło. Gdy towarzyszył mój poszedł zmienić pieniądze do angielskiego banku, dowiedział się, że w domu wybuchła epidemiczna febra, i że trzech jedyni urzędnicy bankowi byli już od kilkunastu dni na pobliskiej wysepce, czyli na cmentarzu. Na mnie, który miałem dwa ataki, nie uczyniło to miłego wrażenia. Wówczas dopiero zrozumiałem jasno, że z temi klimatami niema co żartować — i, położywszy uszy po sobie, postanowiłem wracać pierwszym statkiem do Europy.

Wszystkie te wiadomości dochodziły mnie przez mego towarzysza, który z naszego dawnego hotelu

zachodził do mnie codziennie. Dowiedziałem się od niego także, że „bibi Klara“ jeszcze wyładniała, że pani Lazarewiczowa czyni po dawnemu mężowi przy kłótniach o Klärchen wyznania iście afrykańskiej szczerości, a pan Lazarewicz utrzymuje bardziej stanowczo, niż kiedykolwiek, że wie tylko o tem, co je i pije, a poza tem nic nie wie, nic nie rozumie i o niczem nie chce wiedzieć.

Z misjonarzy żaden nie ubył i żaden nie zachorował. Tak oni, jak i inni znajomi, odwiedzali mnie często w szpitalu, z którego przez kilka dni wcale nie wychodziłem, przyszło bowiem na mnie osłabienie tak wielkie, że ledwie na kilka godzin dziennie mogłem się podnosić z łóżka. Wydychywałem zarazem i febrę i zmęczenie. Dano mi śliczny, narożny pokój, w którym przemieszkuję, w razie choroby, Msgr de Courmont. Jedno z moich okien wychodziło na palmy, rosnące w ogrodzie i poza murem, drugie na ocean, przytykający tak bezpośrednio do szpitala, że w czasie przypyływu fale biją o jego mury, zbudowane z rafy koralowej. W oknie tem przesiadywałem całymi godzinami, bo widok morza krzepił mnie nadzwyczajnie i wzmacniał na duchu. Zdawało mi się, że widzę przed sobą otwartą drogę do domu. Morze czyni zawsze takie wrażenie na ludziach, którzy po dłuższej z niem rozłące, wracają wreszcie na brzegi.

W ramie okna widziałem raz wraz przepływające statki, z białymi żaglami w słońcu, lub też opatrzone w pławice łodzie krajowców. Oddychałem przeczystym powietrzem. Biały pokój napełniał mi się

blękitem i jasnością przestrzeni. Wszystko w połączeniu z wygodami i nadzwyczaj troskliwą opieką, wywołało we mnie ten nastrój nerwów, który jest potrzebny do oparcia się chorobie. Odpoczywałem, jak nigdy. Po kilku dniach począłem żyć życiem niemal roślinnem, w którem samo istnienie odgrywa większą rolę od uświadamiania wrażeń.

Zbliżywszy się dobrze do okna, mogłem oczyma objąć ogromną przestrzeń oceanu, a na niej i ową wysepkę, na której się grzebią biali. W godzinach południowych, gdy piaski jej pałały w słońcu silniej, niż zwykle, zdawała się ona przybliżyć, zapraszać na spoczynek jeszcze doskonalszy i nęcić, jak syrena. Śmierć szła od tej Wyspy Umarłych przez morze i pojawiała się nie w kirze, jak gdzie indziej, lecz w niezmiernym blasku, skutkiem czego w jej ciszy było więcej słodkiego smutku, niż grozy.

Sypiałem dużo w dzień, wstawałem zaś dodnia. Prawie codziennie widywałem wschód słońca na oceanie. Brzask, jak już wspomniałem, nie istnieje tu wcale. Noc blednie nagle. Na szklistych grzbietach fal pojawiają się dwie lub trzy szerokie błyskawice, jakby ktoś wodę oświecał z pod spodu, i słońce wyskakuje z toni śliczne, rzeźwe, rzekłbyś: po smacznym śnie wypoczęte. Świat rozpala się jakby na skinienie czarodziejskiej laski. Barwy występują odrazu. Przed chwilą był bezkształt ciemności, a oto wraz odkrywa się dal morska: widzisz okręty, łodzie, ludzi, mowy, wszystko skapane w świetle. Miałem nieraz wrażenie, że przyszedł wiatr i zwał noc jednym podmuchem. Niema tu tych smug złotych, zielonych

i różanych, któremi u nas wypełnia i pieści oczy zorza poranna, ale w tem szybkim przejściu od pomroki do światła jest natomiast ogromna siła. Dzień przychodzi, jak mocarz, i skręca kark nocy w mgnieniu oka.

Bawił mnie ranny ruch przed oknami szpitala. W czasie odpływu przychodzili o wschodzie murzyni, mahometanie i murzynki, czynić nakazane przez koran ablucje. Potem gromady piróg wyjeżdżały na połów ryb. Morze bywało czasem zupełnie wygładzone; łodzie i ludzie odbijali się w toni, jak w lustrze, tworząc obrazy podobne do jasnych akwarel weneckich, przedstawiających okolice Kiodżji lub Lido. Cała gromada, płynąc gęsto od brzegu, rozpraszała się zwolna na przestworzu, i łodzie, zmieniając się w coraz drobniejsze plamki, topniały wreszcie w oddaleniu i błękiecie.

Byłem z każdym dniem zdrowszy. Siostry karmiły mnie chininą nawet przy 37° gorączki, ale głównie przyczyniało się do polepszenia mego stanu to, że dzień i noc oddychałem morskiem powietrzem. W izbie tak położonej trudno nie przyjść do zdrowia. Były wprowadzie i w niej jaszczurki na pułapie, bo tego w Zanzibarze uniknąć trudno; wojowałem i tu z mrówkami, bo wojuje się z niemi w całej Afryce; ale wogóle, po wycieczce pełnej trudów, ten pokój czystouchny, biały, wygodne łóżko ze śnieżną muślinową moskitierą, krzesło na biegunach, słowem, wszystko razem wzięte, wydawało mi się szczytem wygody; jadałem przytem, jak Lukullus, nie konserwy,

ale wyśmienite świeże potrawy i owoce, o jakich świat nie słyszał.

Czasem ktoś umierał w mieście lub w szpitalu, alem się dowiadywał o tem dopiero wówczas, gdy pod wieczór spostrzegał na rumianej toni samotną łódź, płynącą powolnym, miarowym ruchem, w stronę Wyspy Umarłych. Było kilka osób ciężko chorych, między niemi pewien młody Niemiec, któremu raniiony dzik-ndiri wypruł jednym uderzeniem kłów wewnętrzności. Schodząc do ogródka, spotykałem też innych kolegów szpitalnych, o twarzach przezroczystych i białych, jak papier, wyspanych do szczętu przez anemję. Niektórzy wyglądali z utęsknieniem statków, wracających do Europy; inni wyglądali śmierci.

Co do mnie, miałem ustawicznie jeden niepokój, mianowicie, by statek francuski „Pei-Ho“, na którym mieliśmy wrócić do Suezu, nie odszedł jakim dziwnym zbiegiem okoliczności beze mnie. I jestem przekonany, że gdyby się tak stało, nie znalazłbym już w sobie tej woli, z jaką opierałem się chorobie, i dostałbym trzeciego ataku. Już na tydzień przed terminem prosiłem towarzysza, by zakupił bilety, mimowoli bowiem przypuszczałem, że febra nie może przyczepić się do człowieka, który już zapłacił za powrotną drogę. Są to dziwactwa nerwów; ale dowiedziałem się później, że podobne względy grają ogromną rolę w rozwoju choroby i stanowią często o życiu lub śmierci chorych.

Czując się coraz lepiej, począłem po tygodniu wychodzić. Pierwszego dnia zataczałem się po Mna-

zimoi, jak pijany; drugiego szło lepiej; następnie wychodziłem codzień do sklepów indyjskich po sprawunki. Rozniosło się też po mieście, że w szpitalu jest biały, który kupuje skóry i broń, skutkiem czego czarni znosili rozmaite okazy do mego pokoju. Przychodzili szczególnie Somalisowie, znosząc przepyszne noże, włócznie i tarcze ze skóry hipopotama. Przy targach miewałem jednak jeszcze chwile chorobliwego zniecierpliwienia, zwłaszcza gdy próbowano mnie oszukać zbyt bezczelnie. Zrzucałem wówczas ze schodów przekupniów i towary.

Massika dawała znać o sobie prawie codziennie. Nadlatywały czasem obłoki białe, okrągłe, wydęte i pękały nad miastem, zlewając je strumieniami dżdżu. Pewnego dnia ulewa złapała mnie na rynku, tuż przy komorze celnej, gdzie poszedłem zobaczyć nowe transporty kłów słoniowych. W jednej chwili rynek zmienił się w jezioro, wszystkie zaś wąskie uliczki, wychodzące ku morzu, w rwące potoki. Przemokłem do nitki i wróciłem do szpitala w strachu, że dostanę trzeciego ataku. Na szczęście, skończyło się na niczem. Dostałem tylko wieczorem silnego bólu głowy, który jednak po dobrej dawce chininy ustąpił zaraz.

Ładunek mój zwiększał się codziennie. Kupiłem kilka tuzinów pysznych mat madagaskarskich, skórę lamparcią, ogromny róg nosorożca i wiele innych rzeczy. Kły słoniowe okazały się tak drogie, że musiałem się ich wyrzec.

Na pięć dni przed przybyciem „Pei-Ho“ uczułem się nagle gorzej. Bolała mnie głowa i wszystkie

kości, w nocy miałem nieco gorączki. Wziąłem się znów za bary z chorobą, tem bardziej, że to był piętnasty dzień od jej początku, to jest termin, w którym najczęściej dostaje się trzeciego ataku. Później rzadko on przychodzi, jeżeli zaś człowiek zapada na nowo po dniach dwudziestu, to się ataki liczą na nowo.

Szesnastego dnia obudziłem się z otuchą. Byłem zdrowszy, lubo bardzo rozdrażniony. Biali Bracia, których misja sąsiaduje ze szpitalem, kończyli budowę pawilonu, który dla powietrza wzniesli prawie w morzu. Murzyni od czasu mego przybycia ubijali kafarami dach tego pawilonu, wyśpiewując przytem jakąś pieśń, ogromnie dziką, ale w rytmie zastosowaną do uderzeń kafarów. Czarni nie pracują inaczej. Otóż z początku pieśń ta nietylko mnie nie drażniła, ale z powodu owego jednostajnego rytmu usypiała mnie w ciągu dnia. Teraz stała się dla mnie męką. Uciekałem ze szpitala, by jej nie słyszeć.

Zacząłem ogromnie tęsknić za statkiem. Od rana do wieczora wyliczałem dnie i godziny. Chcąc być gotów w każdej chwili, zabrałem się do pakowania. Była to robota nielada, zwłaszcza przy zanzibarskiej temperaturze. Dżdże nie zmniejszały upałów, zwiększały tylko parność powietrza. Czasem w ciągu dnia nie było poprostu czem oddychać. W południe szpital zapadał w śmiertelną ciszę i smutek. Doznawało się wówczas dziwnego uczucia, że nad miastem wisi jakaś katastrofa — i gdy zegary były wśród powszechnego milczenia dwunastą, zdawało się, że niebawem pocznie się dziać coś złego. Koło trzeciej po południu czyniło się znośniej, ale noce były jeszcze

parniejsze od dni. Człowiek, zamiast wypoczywać, przewraca się bezsennie do rana. Często też wstawałem i patrzyłem na grę księżyca po falach w czasie przypływu.

Jest to niezdrowa pora roku. W mieście panowała febra. Dziwnym trafem Anglicy zapadali na nią daleko częściej od Niemców. Mówiono mi, iż to śmierć owych trzech urzędników z banku orientального podziałała na nich tak, że łatwiej poddawali się chorobie. Niektórzy po jednym lub dwóch atakach czekali, jak zbawienia, przybycia „Pei-Ho“. Gotowi byli rzucić wszystko i wracać.

Przeziębienie się w Zanzibarze nie jest rzeczą łatwą, a jednak dokazałem i tej sztuki. Zmęczony się nad miarę przy pakowaniu, stanąłem na przeciągu na korytarzu szpitalnym i zaraz prawie uczułem dreszcz w całym ciele. Pod wieczór dostałem silnego kataru, który przeszedł mi dopiero na morzu.

Tegoż dnia dowiedziałem się z radością, że nasz zacny ojciec Stefan nietylko przyjechał z Bagamoyo, ale jedzie do Europy tym samym statkiem, który miał nas zabrać. Nazajutrz przyszedł mnie odwiedzić. Zauważyłem, że przez te kilka dni pożółkł i wymizerniał. W aksamitnej piusce na głowie, był, mimo swej chudości i przezroczystej cery, tak podobny do Leonarda da Vinci, jak żywy portret.

Nadzieja zobaczenia Francji napełniała go radością. Mówił, że spodziewa się odzyskać zupełnie zdrowie i wrócić już potem na resztę dni do misji. Ale jeszcze raz w życiu chciał zobaczyć rodzinne strony i pozwolenie na wyjazd uważał jako łaskę ze

strony Msgra de Courmont i nagrodę. Należała mu się ona słusznie. Nikt tak nie pracował, jak on, nikt tylu lat nie spędził na stanowisku, nikt nie przeszedł tylu febr, nikt nie zjednał sobie takiej czci u ludzi wszystkich odcieni skóry. W Zanzibarze znano ojca Stefana doskonale. Anglicy, Niemcy, Arabowie, Hindusi, Malgasze i Suahili — wszystko skłaniało przed nim głowy. Ja cieszyłem się z jego wyjazdu i ze względów czysto egoistycznych, trudno byłoby bowiem na całym świecie znaleźć towarzysza tak pełnego słodyczy, prostoty i opowiadającego ciekawsze rzeczy.

Brat Oskar przyjechał z nim także, by go wyprowadzić w drogę. Ten żelazny pracownik zdrów był, jak zwykle, zauważyłem w nim jednak trochę smutku. Prawdopodobnie ozwała się w nim nostalgia, właśnie z powodu odjazdu O. Stefana. Ale kolej jego jeszcze nie przyszła — i Bóg wie, kiedy miała nadejść.

Od kilku dni wiał południowy musson, w czasie którego przyjeżdżają do Zanzibaru madagaskarscy Malgasze, a Somalisy wracają do swych niegościnnych komyszy. Dla nas był to także wiatr pomyślny, mieliśmy bowiem jechać na północ.

W wigilię dnia, w którym oczekiwano „Pei-Ho“, dostałem nieco gorączki. Była to już jednak prawdopodobnie gorączka, płynąca z oczekiwania, nie z febr. Nie spałem całą noc. Jeszcze srebrne taśmy od gwiazd drgały na fali, gdy zasiadłem już w oknie z lornetką w rękę, chcąc koniecznie widzieć przybycie „Pei-Ho“, który miał wejść na kanał o świcie. Jakoż, ledwie noc zapadła w morze, a pierwsze promienie rozświe-

ciły wody, ujrzałem w dali szarą plamkę, która, zwiększając się stopniowo, zmieniła się wreszcie w ogromny pióropusz dymu. Nie miałem już wątpliwości, że zbliża się wielki parowiec, nie byłem tylko pewny, czy to jest „Pei-Ho“, ten, na który czekam. Tymczasem zwolna zarysowały się maszty i reje, a następnie i czarne pudło statku poczęło się wynurzać z pod wody. Wpobliżu wyspy wywieszono chorągiewkę na głównym maszcie, której jednak, z powodu blasku, nie mogłem rozpoznać. W pół godziny później statek wspaniały i ogromny, jak lewjatan, przesunął się opodal mego okna. Wyznaję, że gdym na przodzie jego, wedle dzioba, wyczytał: „Pei-Ho“, krople zimnego potu wystąpiły mi na czoło, i uczyniło mi się prawie słabo. Byłem jeszcze chory, a przytem stęskniony ogromnie do swoich.

Chciałem zaraz żegnać się z pocziwami Siostrami i jechać. Tymczasem nadszedł mój towarzysz z oznajmieniem, iż w agencji powiedziano mu, że statek przyjmuje podróżnych dopiero nazajutrz, to jest w dniu wyruszenia. Jednakże o dziesiątej pojechaliliśmy obaj, bez pakunków, by obejrzeć kabiny i zamówić sobie dobre miejsca. Po długim pobycie w Zanzibarze i na stałym lądzie, ów komfort europejski, zwierzciadła, złocenia, aksamity, wygoleni stewardowie we frakach i białych krawatach, czynią prawie onieśmiałające wrażenie. Taka to pełnia cywilizacji, tak się od tego odwykło, tak się przywykło do nagich czarnych skór i prostackiego życia! Natomiast krętanina na statku, widok pomostu, masztów, rej, sznurów, drabin, napełnia człowieka radością.

Powrót przestaje być życzeniem tylko, a staje się czemś realnem. Życie okrętowe rzuca się w oczy. Aż dziwnie pomyśleć, że za dwanaście dni będzie się już w Suezie, a po przebyciu kanału na wodach europejskich. W pierwszej chwili prawie się nie chce temu wierzyć.

W samo południe wróciliśmy do miasta. Zwykle o tej porze kanał bywa pusty, ale przybycie statku zmienia wszystko. Naokół mrowiło się od łodzi, czarnych wiosłarzy i białych kapeluszy Europejczyków. Ci nawet, co zostają, ci, którzy nie mają kogo odprowadzać, jadą na okręt, by choć przez chwilę odechnąć życiem Europy.

Wróciwszy, zamówiłem sobie łódź i kilkunastu czarnych drapichrustów, którzy mieli przenieść do niej moje pakunki. Resztę dnia zeszło na wizytach. Po południu pożegnałem Siostry, przyczem miałem jakby wyrzut sumienia, że z taką radością opuszczałem te ciche istoty, które okazały mi tyle troskliwości i dobroci, a dla których niema innego odjazdu, jak chyba na ową Wyspę Umarłych. Byłem jeszcze u Msgra de Courmont i ojca Le Roy, a wieczorem na Mnazimoi, by ostatni raz ogarnąć oczyma ów bogaty egzotyczny krajobraz, z którym nazajutrz miałem się pożegnać, prawdopodobnie na zawsze. Słońce zachodziło pogodnie. W spokojnych lagunach, napełnionych po brzegi przez przyływ, odbijały się palmy i drzewa mangowe; w głębi wyspa przedstawiała się, jak jeden wielki bukiet, piętrzący się na czerwonawem tle nieba. Jużem się był oswoił z tym widokiem, teraz jednak uderzył mnie na nowo jego przepych i dzi-

waczna fantastyczność, tak rozbijała, że niepodobna niemal do rzeczywistości, ale raczej do sennych i przytem gorączkowych widzeń.

Wróciwszy do szpitala, dowiedziałem się, że na naszym „Pei-Ho“ umarł już jeden z podróżnych. Był to Anglik, przedstawiciel wielkiego domu handlowego w Zanzibarze. Będąc mocno chorym, wyczekiwał statku, jak zbawienia, i wskutek usilnych starań konsulatu wyrobił sobie prawo przeniesienia się na pokład natychmiast po przybyciu statku. Myślał, że w ten sposób odejmie się febrze, ale trzeci atak znalazł go w kabinie i dobił. Mówiono mi później, że biedaczysko tak bał się tego trzeciego ataku, że go właśnie dlatego dostał.

Noc spędziłem bezsennie. Nazajutrz o godzinie siódmej byłem już na statku, wraz ze wszystkimi memi pakunkami. Po chwili przybył mój towarzysz. Rozgospodarowawszy się jako tako w kabinie, wyszliśmy znów na pokład, na którym panował zwykły przed wyjazdem rozgardjasz. Zdawało mi się, że cały Zanzibar dał sobie *rendez-vous* na pomoście. Europejczycy, zarówno mężczyźni, jak kobiety, Arabowie, Hindusi, murzyni, którzy przywieźli pakunki, i majtkowie francuscy — wszystko to kręciło się w nieopisanem zamieszaniu, wśród stosów skrzyń, kufrów, krzeseł okrętowych, beczek, baryłek i t. p. Całe szeregi nagich Suahili wносиły węgiel kamienny, lód, zapasy mięsa, jarzyn i owoców. Statek tak był obłożony przez feluki, krypy, łodzie i łódki, że naokół jego brzucha utworzyła się jakby ruchoma wyspa. Z łódek, które dopiero nadpływały, wioślarze wrzesz-

czeli ze zwykłą murzynom gwałtownością o dostęp — ci, co przybyli pierwsi, nie chcieli się ustępować; stąd wrzaski, przekleństwa, machanie wiosłami i rwetes, jak na jarmarku. Dla mnie nie było już w tem nic nowego, kto jednak widzi po raz pierwszy w życiu podobny odjazd, sądzi, że ludzie poszaleli, i że jedynymi rozsądnymi istotami są mewy, które, obojętne na cały rwetes, pławią się w powietrzu na rozłożonych skrzydłach, bacząc tylko na to, czy na falach nie okażą się jakoweś przydatne do zjedzenia resztki.

Na pomoście nie brak także pożegnań, nawoływań, uścisków, łez. Każdą osobę, która odjeżdża, odprowadzają prawie wszyscy znajomi. Ciasno tak, że niema się gdzie ruszyć. W natłoku widzę ojca Stefana, którego odprowadza Msgr de Courmont, brat Oskar i wszyscy prawie misjonarze, nie wyłączając przełożonego braci Białych i ojca Ruby. Kogo tylko poznałem w mieście lub w szpitalu, ten tu jest, albo jako podróżny, albo jako żegnający kogoś z bliskich.

Między innymi jest i syn Muene-Pira, mały Tomasz, którego towarzysz mój zabrał ze sobą, jako służącego; do Zanzibaru, a który teraz przyjechał z rzeczami na statek. Przedzieram się przez tłum do niego, chcąc mu pozostawić po sobie jeszcze jakąś pamiątkę pod postacią białej i nowej rupji; ale Tomasz tak jest zdziwiony ogromem i wspaniałością statku, że moją rupję przyjmuje niemal mechanicznie i zamiast dziękować, szepcze z wytrzeszczonymi oczyma: „O, M'buanam Kuba! msuri! msuri!“ W życiu swoim Tomek widział tylko niemiecki parowiec

„Wissman“ — i zapewne w głowie mu dotąd nie powstało, by takie potworne „pirogi“ mogły pływać po morzu.

Ale oto pierwsza świstawka! Na jej głos ruchoma wyspa szalup, otaczających statek, łamie się i rozprzega. Najpierw oddalają się kropy, które przywiozły węgiel kamienny — i przedzierają się między czołnami, zostawiając po sobie obszerne, zaprószone pyłem węglowym kanały, na które wnet wciskają się łodzie osobowe. Na pomoście tętno rozmów przyspiesza się jeszcze, bo już czasu niewiele. Druga świstawka! Rzeka ludzi białych i czarnych spływa po schodach statku ku wodzie. Między wioślarzami gwar jeszcze większy, przepychanie się i niemal bójka o to, kto się pierwszy dostanie do schodów. Rzeka płynie i płynie: rój chustek powiewa z dołu, takież rój odpowiada im z pomostu. Patrząc przechylony przez burłę, widzę tu i owdzie oczy zalane łzami, wzniesione w górę — i twarze smutne. Ci, co się tu żegnają, nie wielką mają nadzieję zobaczyć się jeszcze w życiu. Rozhuśtana fala podnosi czasem łodzie, jakby chciała jeszcze raz zbliżyć ludzi. Białe chustki powiewają ciągle, migocąc w jaskrawem świetle nakszałt błyskawic, ale naokół statku czyni się coraz większa pusta przestrzeń. Trzecia świstawka! Słychać szum wody, uderzanej powolnemi obrotami śruby, i naraz łodzie, postacie ludzkie, domy, wybrzeża i palmy poczynają się lekko odsuwać.

Dziwne uczucie ogarnia człowieka, który nikogo z bliskich tu nie zostawia, a do najbliższych wraca. Składa się na nie radość z powrotu, głębokie zado-

wolenie, że trudy się skończyły, i że z tych zabójczych krain wyniosło się całą skórę, a nakoniec wielkie zdziwienie, jak jedna rzeczywistość zaciera drugą i podstawia się za nią w mgnieniu oka. Oto zaledwieśmy ruszyli, widać jeszcze doskonale miasto, pałac sułtański, domy, kiście palm i ciemne głębie mangów, jeszcze powiew od wyspy przynosi zapach sandału i gwoździaków, a już to wszystko wydaje się niemal ułudą. Czemś rzeczywistym jest statek, morze, ta droga, w którą dążymy, a tamto — majak, sen.

Widzenie błękitnieje z każdą chwilą: domy i palmy zasuwają się pod wodę; tylko wieża sułtańska sterczy długo wśród lazurów, bo gdy nawet zarysy jej zaczynają się już roztopiać, świeci jeszcze woddali, jak słup blasku.

Na statku poczyną się zwykłe codzienne życie. Mnóstwo osób siedzi, a raczej leży w grubym cieniu płóciennego dachu na rozkładanych krzesłach. Śruba bije wodę w przyspieszonym tempie. Za statkiem ciągnie się szlak piany, za duszą ludzką nic pamięci. Łąd zmienia się w chmurkę, w mgłę i wreszcie ginie z oczu, a naokół jeno dwie otchłanie: wody i powietrza.

XXIII.

Na oceanie. — Dzieci. — Podróżni. — Stara Francja. — Noce. — Statek. — Przód okrętu. — Arka Noego. — Życie na statku. — Człowiek w morzu. — Ratunek. — Jedziemy dalej. — Noce na pokładzie. — Przylądek Guardafui. — Aden. — Dziwna burza. — Obok. — Murzyni. — Widok ziemi. — Pallas-Atene. — Morze Czerwone. — Suez. — Koniec.

Pierwszego dnia trzymamy się na pełnem morzu. Massika, która na stałym lądzie rozpoczęła się już, wedle zapewnień ojca Stefana, od tygodnia, tu jakoś wcale nie daje nam się we znaki. Niebo bez chmur, pogoda ciągła, w nocy tylko spada rosa obfita. Statek jest pyszny. Jeśli wszystkie francuskie, należące do „Messageries Maritimes“, wyglądają tak samo, to ani angielskie, ani niemieckie nie mogą się z niemi porównać. Osób jest mnóstwo; w pierwszej klasie niema ani jednej wolnej kabiny. Jadą Francuzi, Anglicy, Niemcy i całe chmary dzieci. Trzeba wiedzieć, że dzieci, urodzone w pasie zwrotnikowym oceanu Indyjskiego, muszą być między czwartym a dziesiątym rokiem wywiezione na pewien czas do Europy — inaczej mrą. Łatwo zrozumieć, ile każdy statek zabiera ich z tych krain, które posiadają da-

wniejsze osady białych. „Pei-Ho“, jako statek francuski zabrał ich przeszło kopę, naprzód z wyspy Réunion, potem z Ile de France (St. Maurice), która, jakkolwiek angielska, posiada ludność francuską, następnie z Madagaskaru, następnie z Comoro, a wreszcie i z Zanzibaru, gdzie jest kilka znacznych domów handlowych francuskich. Dorośli i mali przesiadują cały boży dzień na pokładzie, bo w salonie i w kabinach jest tak gorąco, że schodzi się tam tylko na obiad. Jaki stąd powstaje jarmark, to zrozumie i odczuje tylko ten, kto w podobnych warunkach podróżował przez dni dwanaście. Dzieci są wszędzie, płaczą się pod nogami, włączają pod krzesła, włączają na kolana tym, którzyby chcieli czytać lub rozmawiać, kręcą się, wiercą, płaczą, śmieją się, krzyczą, ściągają maty z krzeseł, słowem, panują wszechwładnie i okrutnie. Chcesz zażyć przechadzki na pokładzie, niema możliwości, bo bobezajdom przyszło do głowy wziąć się za ręce, zająć całą szerokość pomostu i śpiewać chórem; chcesz się przedrzemać, ani mowy o tem, gdyż nagle uszy rozdziera ci takie wycie, jakby na statek napadła cała horda ludożerców. Z krzesłami — rozpacz! Wybrałeś sobie miejsce cieniste, rozkoszne, przylepiłeś bilet za krzeselku i myślisz, że ci go nikt nie zajmie. Gdzie tam! Ledwieś się ruszył, siadło pięcioro; wróciwszy, nie znajdziesz nietylko biletu, ale i krzesła — a raczej znajdziesz je gdzieś w kącie, o sto kroków dalej, na drugim końcu statku. Prócz tego tłok na pokładzie ustawiczny, albowiem za dziećmi chodzą obok matek i nianie: czarne, czekoladowe, żółte, rodem z Réunion, z St. Maurice,

z Madagaskaru, z Szeszelów i Comoro. Nawołują one dzieci we wszelkich możliwych dialektach murzyńskich, z czego czyni się wieża Babel, od której głowa pęka.

Nie wierzę w ludzi, którzy naprawdę nie lubią dzieci, kto zaś ma swoje, ten zawsze gotów rozczulać się nad cudzemi — ale że aniołeczki, zwłaszcza, gdy ich większa liczba znajdzie się razem w ciasnocie, bywają czasem mocno dokuczliwe, temu zaprzeczyć się nie da. Utrapienie bywało z niemi takie, że ludzie o powiększonych śledzionach wpadali chwilami w rozpacz, i pewno niejednemu przychodziło do głowy, iż król Herod był to jednak wielki król i wielka postać dziejowa, niesłusznie przez historję sponiewierana.

Z tem wszystkiem podróż zapowiadała się doskonale. Na statkach francuskich panuje wesołość; ludzie poznają się łatwo i bawią się spolem chętnie. Humory w czasie pogody zawsze są wyborne. Kobiet jedzie dużo, a niektóre z nich, zaraz na pierwszy obiad, występują w strojnych tualetach. Towarzystwo jest ze wszech miar ciekawe, albowiem prócz cudzoziemców, składa się na nie przeważnie Francja kolonialna, zupełnie różna od dzisiejszej Francji przeżytej, „dekadenckiej“ i zarazem oportunistycznej. Te Kreolki o twarzach smagłych, ogromnych warkoczach i powłóczystem spojrzeniu, to świat Bernardina de St. Pierre, Chateaubrianda, Lamartina, może Balzaca, bynajmniej zaś nie Bourgeta lub Maupassanta. Ta fala jeszcze do nich nie doszła, a przynajmniej nie miała dotąd czasu urobić ich dusz, skutkiem czego w Paryżu będą grały role naiwne lub sentymentalne.

Mężczyźni, ze swoją młodzieńczą wiarą w tego rodzaju ideały, które w departamencie Seine et Oise złożono już oddawna na strych między rupiecie, będą również anachronizmem. Łatwo przewidzieć, że tak te panie, jak i ci panowie nie zdołają się w metropolji żyć z ludźmi, że spotka ich dużo rozczarowań, zawodów, a może dużo goryczy, i że po jakim roku będą wracali co tchu na swoje wyspy, oblane falą oceanu, na których oddycha się szerzej i zdrowiej.

Tymczasem na statku stanowią oni towarzystwo ciekawe, sympatyczne i nader ochocze. Zaraz pierwszego dnia wieczorem są tańce i koncert, gdyż pianino mamy pod dachem na pokładzie. Oto tu można słusznie powiedzieć, że się płąsa — jeśli nie na wulkanie — to nad otchłanią. Jesteśmy na pełnem morzu i mamy dziesiątki tysięcy stóp głębi pod sobą. Dziwnie wygląda ta gromadka ludzi, oświecona jasno elektrycznem światłem i skacząca wesoło na tym statku, zabłąkanym wśród pomroki i pustki. Noc jest pogodna, toń spokojna, lecz wzdyma ją przyływ nocny, wskutek czego słyszać szum cichy, ale potężny, dochodzący jak zoddali. Na tle tych ogromnych westchnień morza, rytmicznych uderzeń śruby, rozbrzmiewa jakiś stary walczyk Lannera, którego dźwięki, nie mając się o co odbić, wydają się tak nikłe, drżące i przygłuszone, jakby ktoś grał na zeszlowiecznym szpincie. Jest coś smutnego, a zarazem i komicznego w przeciwstawieniu się tego drobnouchnego światka — ogromowi i powadze oceanu, ale co prawda, tak samo przecie przeciwstawia się cała nasza ziemia owym niezmiernym kosmicznym przestrzeniom,

wśród których żegluje, jak statek, w dal jeszcze głuchszą i mniej wiadomą.

Tymczasem zabawa trwa w najlepsze. Pary tańczące, to wychylają się na światło elektryczne, które odbija się w rozmarzonych oczach Kreolek i rozjaśnia ich twarze, to zbliżają się do burt, pogrążonych w mroku. Panie te mają suknie — nie od Wortha, ani od M-me Laferrière, i po większej części nie słyszały o zasadzie, że dobry gorset więcej jest wart od dobrej figury — ale niektóre są zupełnie ładne, mają w sobie coś egzotycznego, coś z gibkości lian — i widocznie szalenie lubią się bawić. O godzinie jedenastej jeszcze dźwięki Offenbachowskiego kontredansa odbijają się o zadziwione uszy rekinów, jeśli zaś nie odbijają się, to tylko dlatego, że rekinów nie mają uszu. Dopiero o północy tłum na pokładzie przerzedza się — i damy schodzą do kabin.

Nie czyni się jednak zupełnie pusto, albowiem wiele osób woli nocować na świeżem powietrzu, niż w dusznych kabinach. Termometr wskazuje wprawdzie i na pomoście 32°, ale jest powiew. Przykrą stronę takiego noclegu stanowi tylko wilgoć, tak przesycająca powietrze, że wkrótce ubranie staje się prawie zupełnie mokre, a burty, nad które dach płócienny nie sięga, są jakby złane wodą.

Koło godziny pierwszej gasną lampy elektryczne, pokład pogrąża się w mroku, wśród którego widać powyciągane na krzesłach postacie ludzkie. Morze fosforyzuje nieco za statkiem i szumi silniej, jednakże kołysania niema żadnego. W ciemnych przepaściach nieba świeci Krzyż południowy; od strony lądu księ-

życ ściele na toni szeroki gościniec, połyskujący złotawo. Idąc ku przodowi statku, widzę między czarnemi zarysami lin, nisko nad samym dziobem okrętowym, zanurzoną nawpół w oceanie Wielką Niedźwiedzicę, którą witam, jak starą znajomą.

Takie kołatanie się nocne po pokładzie ma dla mnie wiele uroku. Słucha się do jakiej trzeciej sennego szumu morza, błądzi się oczyma po nabijanych gwiazdami szlakach, ale i na pomoście dostrzega się wiele ciekawych rzeczy, czysto ludzkich. Jedzie np. z nami jakaś para, która widocznie świeżo się pobrała. On wygląda jak tęgi, smagły cygańczuk, ona ma oczy antylopy. Żyją oboje, jak pustelnicy, nie znają się z nikim, nie należą do zabaw i widocznie są po uszy w sobie zakochani. Teraz oto siedzą na pomostku, wedle rudla, patrzą — czasem na złotawy gościniec blasków, czasem sobie w oczy — i milczą lub rozmawiają półgłosem, zapewne o „rzeczach anielskich“. Nakoniec, gdy czyni się bardzo późno, ona kładzie mu poprostu głowę na piersi i usypia, jak dziecko. Aż źle patrzeć!... Ale niema rady! Podróż, podzwrotnikowe noce, nieznane korowody gwiazd, odległe morza, wszystko to ma i samo przez się nieprzeparty czar, nawet dla zupełnego samotnika...

Nazajutrz o godzinie dziewiątej pierwsza fala dzieci zalewa pokład i natychmiast napełnia go radosną wrzawą. Gdy się je widzi po dniu, w jasnym świetle porannem, litość człowieka bierze, i gotów im pozwolić na wszystko. Klimat wycisnął już swoje piętno i na tych małych istotach. Twarzyczki ich są blade i jakby podstarzałe, białka oczu żółtawe, wargi

bezbarwne. Śmieje się to wszystko i skacze, ale śmierć zdaje się chodzić za niemi, jak niańka. Tylko patrzeć, jak wyciągnie po które ręce. Właśnie dlatego wywożą je z tych zabójczych krain. Już samo powietrze morskie działa na nie, jak balsam.

Pogoda cudna. Morze, jak turkusowy obrus, bez jednej fałdy. Dobrze mi już znane stada srebrnych, latających ryb podnoszą się z wody i to rozbłyskują w słońcu, to rozbłękitniają się w modrości powietrza. Idę na przód statku, by obejrzeć jadącą tam menażerję. Po drodze widzę podróżnych drugiej i trzeciej klasy, między którymi są Arabowie, Indusi a nawet Somalis z Obok. Od ostatniego masztu poczyną się istna arka Noego. W bocznych klatkach jadą woły i krowy okrętowe, które wysuwają przez pręty ku wychodzącym swe wilgotne nozdrza, ze śliną, zwieszoną nakształt stalaktytów u pyska; w niektórych ogrodzeniach tłoczą się barany, napęlniając uszy podróżnych melancholicznym bekiem, a ich nozdrza wyziewami potu. Środkiem pełno kojców z kurami, bażantami i pentarkami, które spożyjemy, zanim dojedziemy do Suezu. Na pakach przy burtach siedzi, podobny do japońskich posążków, cały naród mały, rysując się prawie czarno na błękitnem tle morza. Tam dopiero rozgardjasz! Jedne się gimnastykują, drugie ciągną sąsiadki za ogony, trzecie biją się po twarzach, wysuwając przytem na znak gniewu pyszczki, złożone w trąbkę, a jednocześnie mrugając oczyma i drapiąc się po bokach. Między niemi siedzą tu i owdzie stateczne małpozwierze z Madagaskaru, trzymając się zdala od wrzawy, jakby oburzone, iż im

kazano jechać w tak niedobranem towarzystwie. Papug i wszelkiego drobniejszego ptactwa zatrzesienie. Oczy tu cieszą się, ale uszy cierpią srodze.

Przed odejściem kupuję pięknego małpozwierza, koloru wiewiórki, pozostawiając go zresztą aż do Suezu pod dotychczasową opieką. (Miła ta istota, która — mówiąc nawiasem — dała mi się potem w Egipcie i w dalszej drodze nieźle we znaki, cieszy się dotąd pożądanem zdrowiem, obrasta przed zimą gęstem futrem, podczas zimy zaś zakrapia się wszystkim, czego może się dorwać. Wódka kolońska, spirytus do palenia, wino — wszystko jej jedno. Gdy się dorwie flaszki, przechyla ją do pyszczka, zanim kto zdąży jej odebrać — przy której to czynności zamienia z odbierającym pewną ilość policzków, stojącą w stosunku prostym do wypitego płynu.)

„Pei-Ho“ jest dzielnym statkiem, daleko szybszym od angielskich i niemieckich. Tamte potrzebują na odbycie drogi między Suezem a Zanzibarem dni czternastu, on tylko jedenastu, a przy niepomysłnych wiatrach czternastu. Kto ma możność wyboru, temu radzę wybierać zawsze wszelkie statki francuskie, albowiem przewyższają one inne także i pod względem urządzeń, kuchni i wszelkich wygod. Tylko wielkie parowce, pełniące służbę między Europą a Stanami Zjednoczonymi, są jeszcze zbyt kowniej urządzone. „Pei-Ho“ ma przedewszystkiem przez całą długość jeden pomost, co pozwala podróżnym odbywać dłuższe po pokładzie przechadzki, w ciągu zaś dnia bawić się pod dachem w rozmaite gry, skracające niezmiernie drogę. Dobry humor i uprzejmość

oficerów, załogi i służby uprzyjemnia ją także znacznie. Wogóle żyje się tu tak, jak w pierwszorzędnym paryskim hotelu, z tą jeszcze różnicą, że dbają tu nie tylko o zaspokojenie potrzeb, ale i przyjemności podróżnika. W wielkim salonie cały dzień stoją na stołach spotniałe karafki, napełnione lodowatą wodą, obok wino czerwone i białe, rum, cukier miałki, stopy cytryn, pomarańcz i mandarynek, by każdy, kto chce, mógł sobie przyprawić limonjadę. Łatwo zrozumieć, jaką stanowi to rozkosz w takich klimatach, w których pragnienie dokucza ustawicznie. Dopłaty osobnej za to niema, wszystko obejmuje cena biletu, nie wyłączając wina obiadowego, za które na innych statkach liczą osobno.

Przy obiedzie służba napełnia ustawicznie szklanki lodem. Na miejsce wypitych butelek stawia natychmiast drugie; po obiedzie roznoszą kawę i koniak. Owoców zawsze w bród, z wyjątkiem mangów, które po dwóch dniach zaczynają się psuć. Nad stołami, nie tylko w pierwszej, ale nawet i w drugiej klasie, wiszą indyjskie „punkhas“, to jest kwadratowe, wielkie wachlarze, które, poruszane podczas jedzenia przez czarną służbę, roznoszą chłód pożądany. Do przyjemności podróży należy i to, że w głębi salonu znajduje się biblioteka, napełniona nie wyłącznie biblijami, tak jak na niektórych angielskich statkach, ale książkami wszelkiej treści.

Drugiego dnia po wyruszeniu z Zanzibaru zapowiadają nam, że przed północą przebędziemy równik. Uroczystości żadnych nie będzie, obchodzą je bowiem tylko statki, jadące z półkuli północnej. Pod

zachód słońca na niebie jest nieco chmur, które w miarę, jak się ściemnia, przechodzą szybko przez wszystkie tony stopionego złota i miedzi, zanim szczer nieją zupełnie. Chwiejby niema żadnej, ale morze wygląda posępniej, aniżeli zwykle.

Przychodzi noc. Na niebie zapalają się gwiazdy, na pomoście lampy elektryczne. Po obiedzie tańczą, jak i wczoraj, a nawet z większą ochotą, gdyż termometr pokazuje tylko 30°, różnica więc od temperatury dziennej jest dość znaczna.

Nocuję na pokładzie, a raczej leżę na płóciennem krześle, nawpół drzemiąc, nawpół rozmyślając, gdy wtem, koło godziny drugiej, rozlega się w połowie pokładu krzyk przeraźliwy. Przybiegłszy na miejsce, widzę gromadę ludzi, która powiększa się z każdą chwilą, i słyszę trwożne głosy, wołające o ratunek. Szczegółów nie mogę się zrazu dopytać, i dopiero ktoś z załogi objaśnia, co się stało. Oto jeden z podróżnych drugiej klasy, Niemiec z Zanzibaru, dostawszy trzeciego ataku febry, skoczył w gorące do morza. Statek staje, ale nim zdołano go zatrzymać, człowiek, jeśli nie zmiażdżyła go śruba, został już jakie kilkadziesiąt metrów za nami. Przebiegamy teraz na tył okrętu, skąd będzie można widzieć ratunek. Zanim jeszcze statek stanął, kapitan kazał wyrzucić w morze pływak, mający kształt koła, który umyślnie zapalono. Pływak unosi się teraz, jak wieciec ognisty, na fali, rozświeca wodę i oddala się szybko. Spuszczają także i szalupę. Tymczasem coraz więcej ludzi, zbudzonych nagłą ciszą, wychodzi na pokład. W nocnych, białych gielzach, przy zga-

szonych lampach, wyglądają oni, jak widma. Wszystko ciśnie się za koło sternicze i spogląda w trwodze na toń.

Morze jest barwy ołowiu, poorane w brózdry zupełnie czarne. Gdzie niegdzie chmury rzucają na fale wielkie ciemne plamy; gdzie niegdzie przez szczeliny obłoków przedziera się posępne, rozpiechłe światło zodjakalne i srebrzy pomarszczoną wodę. Myśl, że tam, w tych czarnych brózdach, został człowiek z otehlanią pod nogami, a nocą nad głową, napienia grozą i uciskiem. Ognisty wieniec zaledwie już błyszczy w oddali i pomroce — zdaje się, że tam ktoś chodzi z latarką po owej niezmiernej samotni i szuka tej nieszczęsnej głowy w załamaniach fal. Ale kto ją znajdzie! Może zresztą już ją znalazły rekiny? Na pokładzie czyni się taka cisza, że słysząc ponure, podobne do łkań, bełkotania fali naokół nieruchomego statku. Wszystkie oczy wyteżone w ciemność, wszyscy słuchają, czy zoddali nie zawoła jakiś głos. Czekamy z biciem serca na łódź, która szuka nieszczęśliwego, a która oddawna znikła nam z oczu. Dziwna rzecz! Tego człowieka nikt nie znał, przez te dwa dni chorował on zamknięty w kabinie — nikt go nie widział, a jednak, gdyby go teraz łódź odwiozła, nastąpiłby wybuch radości, i posypałyby się datki nie tylko dla załogi, ale i dla niego samego. Na morzu, w takich chwilach, serce ludzkie otwiera się i staje się miłosierne.

Czekamy przeszło godzinę — wreszcie słysząc w oddaleniu chrobot wiosł. Czyni się jeszcze ciszej, nakoniec w pomroce poczyną się rysować sylwetka łodzi. Kapitan przechyla się przez burtę i pyta:

— Znaleźliście ?

— Nie! — odpowiadają z dołu.

Ludzie zaczynają się rozechodzić. Łódź windują na pałaki, po chwili zaś śruba bije już po dawnemu wodę, i jedziemy dalej. Tylko za kołem sterniczem widzę na ciemnem tle nocy wysoką postać O. Stefana. Stoi on tuż przy poręczy i żegna tę tragiczną pustkę, wśród której fala rzuca trupem topielca.

Nazajutrz dzień cudny, morze jakby uśmiechnięte — wieczorem tańce i muzyka.

Lekki musson południowy popychał nas przez całą drogę, skutkiem tego jechaliśmy i szybko i jak po stole. Po dwóch dniach zbliżyliśmy się znacznie do brzegu, tak, że prawie ciągle widzieliśmy ląd po lewej ręce. Widok to mało ponętny. Pobrzeże Galla jest niskie i zachodzące piaszczystą płaskością w morze. Wyżej na północ, na pobrzeżu Somali, piętrzą się gdzie niegdzie wzgórza, jakoto Hajarab, a jeszcze wyżej Bhar-el-Khasain. Statek nie przechodzi tak blisko, by gołym okiem można coś było rozpoznać, ale przez lunetę morską kraj wydaje się bezpłodny i smutny, jak śmierć.

Dopiero mijając przylądek Guardafui, przesunęliśmy się tak niedaleko od wybrzeża, że widać każde załamanie skały. Róg ten opisywałem już poprzednio, wraz z jego ponuremi, czarnymi skałami, o które dzień i noc bije i roztrąca się morska potęga. Dzień był śliczny, cichy, a jednak u stóp skał, jak okiem sięgnąć, bieliły się wstęgi spienionych ukropów. Następnego dnia wieczorem ujrzelśmy Aden.

Dziwna rzecz, do jakiego stopnia wszystko na świecie jest względne. Gdy jechałem w tamtą stronę, to spieczone słońcem Aden przedstawiało mi się jako jakaś dziewiąta ziemia, za dziesiątą granicą, gdzie pieprz rośnie, i skąd jeden na dziesięciu wraca. Teraz wydaje mi się ono końcem egzotycznej podróży — sienią Europy. A oto ocean już przebyty, te zaś pięć dni morza Czerwonego, to jedno nic. Suez, Kair, Aleksandrja i Brindisi — to prawie jedna linja z Warszawą i Zakopanem!

Statek bawił w ostoji adeńskiej pięć lub sześć godzin. Braliśmy węgiel i lód. Był czas na zobaczenie cystern, nie mogłem wszelako tego uczynić, bo febra znów mnie wzięła w obroty. Wiedząc, że to nie może już być atak poprzedniej, tylko jakaś marna nowa edycja, niewiele sobie z niej robiłem, nogi jednak gięły się pod mną, głowa się kręciła, i nie miałem siły zejść do łodzi. Młodzi podróżni pojechali prawie wszyscy, wprawdzie nie do cystern, ale do miasta, z którego wrócili późno, każdy z wiązką wspomnień o czarnych, jak węgiel, abisyńskich pięknościach.

Statek ruszył podczas głębokiej nocy. Między Aden a Obok zaskoczyła nas dziwnego rodzaju burza. Wiei nie było najmniejszej, tylko deszcz lał tak potworny, że podobnego nigdy w życiu nie widziałem. Już nie sznury wody, ale całe rzeki łączyły niebo z morzem. Zdawało się, że po takim potopie, zatoka musi wezbrać i zalać wszystkie pobrzeżne kraje. Niebo wyładowywało przytem całą elektryczność, jaka się w niem od zeszłej wiosny ze-

brała. Białe, zielone i krwawe błyskawice rozdzierały co chwila ciemność tak grubą, że prawie namacalną. Grzmot nie ustawał wcale, przetaczał się tylko ze straszliwym hukiem, jakby tysiąca dział, między Azją i Afryką. Chwilami miałem wrażenie, że strop nieba zarywa się nad wodami.

Statek stanął. Jedyne zresztą niebezpieczeństwem, jakie mu groziło, była możność zderzenia się w ciemnościach z jakim innym. Zatoka Adeńska roi się zawsze od parowców. By zapobiec nieszczęściu, świstawka poczęła się odzywać co chwila, jakby na alarm, a oprócz tego poczęto dąć w syrenę. Mimo łoskotu gromów i szumu ulewy, słyszeliśmy podobne głosy, dochodzące nas od innych statków. Wszystko to zlewało się w jeden koncert ponury, jak ta noc, ale tak dziki i potężny, że mógłby wtórować sądowi ostatecznemu.

Staliśmy kilka godzin. Do Obok statek dotarł dopiero następnego dnia po południu. Co za ziemia wygnania! — i czego tu chciał wrzący, zacięty Aszynow? Brzeg jałowy, niski; nigdzie zieloności ni drzewa. Tu i owdzie tylko w brózdach piasku widać szare kępy salsolaceów, wyglądających zdala, jak brudna pleśń. Domy stoją w szarej pustyni, na skwarze słonecznym, spieczone, smutne, czyniące razem wrażenie jakiegoś tymczasowego obozowiska. Jediną rzeczą wesołą, na której zatrzymuje się wzrok, jest trójkolorowa chorągiew, powiewająca na domu komendanta.

Somalisy otaczają statek, nakształt stada delfinów, nurkując za pieniżkami, rzucanemi z pokładu

w wodę. Widowisko to powtarza się w każdym afrykańskim porcie i w końcu staje się nudne. Ale w owych odległych stronach spotykają nieraz wędrowca niespodzianki, wówczas, gdy ich zupełnie nie oczekuje. Przed chwilą chciałem już wziąć książkę i odwrócić się od tej niewartej widzenia ziemi, gdy naraz oczom moim przedstawia się jeden z najdziwniejszych obrazów z całej podróży.

Oto od brzegu odrywa się duża łódź i dąży ku „Pei-Ho“. Na przodzie widać Somalisów, których polyskujące czarne grzbiety to zginają się, to prostują, zgodnie z uderzeniami wiosel — z tyłu zaś, koło rudla, stoi na tle błękitnej roztoczy, ni mniej, ni więcej, tylko biały posąg Pallas-Atene.

Ma się już pod wieczór, i słońce czyni się czerwone. W blaskach jego świeci hełm bogini i białe fałdy szaty, spływające miękko do jej stóp. W rękach córki Zewsa nie widać, ściśle mówiąc, włóczni „o miednem ostrzu“, ale złożoną parasolkę, którą podpira się, jak laską. Wszystkie lornetki i wszystkie oczy z pokładu wpatrują się w nią, jak w tęczę; ona zaś zbliża się, wysmukła, uśmiechnięta i wzrokiem wzniesionym w górę szuka jakiegoś szczęśliwego Odyssa między podróżnymi.

Łódź staje wreszcie przy schodach, bogini wstępuje na pokład — i czar... nie pryska. Hełm bogini nie jest wprawdzie hełmem greckim, ale angielskim, fałdy szat nie załamują się w marmurze, ale we flaneli, bogini zaś okazuje się być „śmiertelną mieszkanką padołu“ — ale zarazem Paryżanką czystej krwi, tak wykwintną i tak pełną uroku, że mniejsza o cały

Olimp. Dowiadujemy się, że piękna pani jest żoną jednego z oficerów francuskich, komenderujących w Obok; przybyła ona w odwiedziny na pokład do znajomych — i do Europy z nami nie wraca. Tem gorzej dla „Pei-Ho!“ Może nasze czarnowłose, smagłe Kreolki są rade, że ich mężowie nie będą długo patrzeli w te oczy koloru mórz południowych i na te kasztanowate włosy, przeświecające złotem na zgięciach. Zjawisko natomiast, im krócej trwa, tem mocniej zostaje w pamięci.

Po dwóch godzinach postoju ruszamy dalej i następnego ranka budzimy się już daleko za Wrotami Łez, na falach Czerwonego morza. Podróż dłuży się teraz. Chciałoby się być mewą, prześcignąć statek i lecieć, jak wiatr. Po pięciu dniach widzimy wprost przed dziobem małą plamkę mgły, która zmienia się stopniowo w obłok, w chmurę, nakoniec w ciemne zarysy górskiego lądu. To Sinai! Wpływamy do zatoki Sueskiej. Ląd widać teraz ciągle z obu stron. Po lewej ręce drgają w słońcu płowe, jak lew, piaski pustyni egipskiej. Jeszcze parę godzin, a Suez wychyli się ku nam z wód.

Tu urywają się i moje notatki.

SPIS RZECZY.

	Str
LIST I. W Neapolu. — Oczekiwanie. — Wigilja. — Schliemann. — „Ravenna“. — Podróż. — Morze. — Cieśnina Messyńska. — Podróżni. — Dwa dni chwiejby. — Ranek. — Pogoda. — Damietta . .	1
LIST II. Port-Saïd. — Miasto. — Ławice. — Nil i morze. — Przyjazd. — Arabowie. — Krętanina. — Kanał. — Pustynia. — Jej charakter. — Stary Testament . .	12
LIST III. Nocna wycieczka do Piramid. — Noce wschodnie. — Różnica widoków. — Piramidy. — Sfinks przy świetle księżyca. — Pustynia. — Nokturn . .	20
LIST IV. Zawód. — Rozmyślania. — Suez. — Miasto i port. — Widoki. — „Bundesrath“. — Wyjazd	28
LIST V. Zatoka Sueska. — Temperatura. — Niemcy. — Mały parowiec. — Zachód słońca. — Noc. — Synai. — Pobrzeża. — Zwrotnik. — Latarnie. — Bab-el-Mandeb. — Wiatr. — Zatoka Adeńska. — Aden	42
LIST VI. Ocean. — Przylądek Guardafui. — Harem. — Ryby latające. — Nadzwyczajne zjawisko. — Wrażenie. — Światło zodiacalne. — Nowe gwiazdy. — Upał. — Uroczystość równikowa. — Wypadek na kanale. — Ziemia. — Brzeg Zanzibaru. — Roślinność. — Miasto. — Widok. — Komora. — Hotel. — Mieszkańcy	61

	Str.
LIST VII. Rodzina Lazarewiczów. — Abdalla i Nasibou. — Goście hotelowi. — Podróżnicy. — Wieczory. — Mnazimoja. — Za Mnazimoją. — Stado dziewcząt. — Riva. — Pałac. — Hindusi. — Hindusi i Arabowie. — Targowiska owoców. — Manga. — Banany. — Małpi chleb. — Gojawy. — Papaja. — Dzielnica murzyńska. — Język suahili. — Mahometanizm	81
LIST VIII. Listy i znajomości. — Fraki i białe krawaty. — Obiady. — Wspomnienia powieści Mérego. — Pani Jameson. — Tipu-Tib. — Redbreast. — Audjencja u sułtana. — Sala. — Nieregularni	109
LIST IX. Sewa-Hadzi. — Misja Braci Białych. — Dzieci. — Misja Główna. — Msgr de Courmont i O. Le Roy. — Rady i narady. — Klimat i jego skutki	124
LIST X. Ksiądz Le Roy. — Przeszkody. — Misje w głębi lądu. — Przykrości. — Wycieczka z księdzem Ruby. — Dzieci. — Wioski w głębi wyspy. — Spoczynek. — Kąpiel i śniadanie. — Godziny upału. — Wizyta u Araba. — Etykieta arabska. — Powrót. — Dobre wieści	134
LIST XI. Kupowanie zapasów. — Co potrzeba brać? — Omyłki. — Przejazd. — Lunch. — Ładowanie. — Bagamoyo. — Wielka misja. — Ogród czy las? — Dom. — Przełożony. — Brat Oskar. — Śniadanie. — Wieść o Wissmanie. — Ogrody misji. — Urządzenia. — Misja i czarni. — Murzyni chrześcijanie i mahometanie. — Noc bezsenna	153
LIST XII. Ostatnie przygotowania. — Brat Oskar. — Nasi ludzie. — Ceregile przed wyruszeniem. — Bagamoyo. — Wissman. — Psychologia czarnych. — Życie w Bagamoyo. — Dośny. — Mrówki. — Obiad w klubie oficerskim. — Owady	173
LIST XIII. Wyruszenie z Bagamoyo. — Wątpliwość. — Widoki przydrożne. — Ścieżki. — Zarośla. — Dzikie pola. — Przejście kałuży. — Spotkanie karawany. — Skóry pawjanów. — Widoki Europejczyków	

	w Afryce. — M'toni. — Poborca. — Rzeka Kin- gani. — Krokodyl. — Blaski na rzece. — Wyprawa szalupą. — Hipopotamy. — Atak. — Powrót. — Druga wyprawa. — Dwie głowy. — Hipopotam toczony w dół rzeki. — Zachód słońca. — Idzie- my dalej	189
LIST XIV.	Wschodnio-afrykańskie pomorze. — Rzeki. — Nize rzek. — Roślinność. — Pory roku. — Massika i Vouli. — Fauna. — Owady. — Ptaki. — Zwie- rzęta czworonożne. — Ludzie. — Wioski. — Formy rządu. — Murzyni i Niemcy	215
LIST XV.	Dalszy pochód. — Porządek pochodu. — Suchy step. — Kikoka. — Kałuża z wodą. — Madi-bun- duki. — Południe. — Koloryt kraju. — Tukany. — M'sa. — Wioska. — Zarząd zapasami. — Pierwszy królik. — Wzajemne podarunki. — Nasi ludzie. — Dzieci po wsiach. — Chaty. — Pogoda	240
LIST XVI.	Pochody. — Jak należy podróżować? — Dzień karawany. — Brak wody. — Pombe. — Dalszy po- chód. — Przybycie do Muene-Pira. — Król Muene- Pira. — Ludożerstwo. — Pombe. — Wizyta pod namiotem. — Historia plemienia Udoe. — Opusz- czamy ludożerców	257
LIST XVII.	Wioska Tebe. — Karaluchy. — Brzegi Wami. — Boecklinowski obraz. — Las dziewczycy. — Prze- ście rzeki. — Sposoby przeciw krokodylom. — Las z drugiej strony rzeki. — Widok Mandery	272
LIST XVIII.	Mandera. — Miłe wrażenia. — Wypoczynek. — Sąd polubowny. — Wpływ misjonarzy. — Wy- mowni murzyni. — Nasi ludzie. — „Wielki świat“. — Pochód do M'Pongwe	279
LIST XIX.	Drugie przejście Wami. — Polowanie. — Upał. — Antylopa Kudu. — Dziki królik. — Nocleg w lesie. — Szafarstwo. — Pentarki. — Powrót wśród gorąca. — Bliskość massiki. — Nadzieje myśliwskie	289

	Str.
LIST XX. Małe wioski. — Digwasu. — Trudny pochód nad Wami. — Położenie wioski. — Olbrzymie drzewo. — Krokodyl. — Zabity krokodyl. — Król Brahimu. — Pochód do Brahimu. — Długa droga. — Kobiety pracujące. — Postój w lesie. — „Bahari“. — Gugurumu. — Noc. — Gorączka. — Febra. — Stękanie Iwa	298
LIST XXI. Karabaka. — Pochód przez błota. — Przeprawa przez Kingani. — Step. — Las palmowy. — Reszta sił. — Misjonarze. — Noc. — Drugi atak. — Osłabienie. — Lekarstwa. — Wizyta Wissmana. — Statek „Wissman“. — Morze. — Przejazd do Zanzibaru. — Szpital	311
LIST XXII. Zmiany w Zanzibarze. — Żniwo śmierci. — Pobyt w szpitalu. — Widoki. — „Pei-Ho“. — Przebieg choroby. — Godziny południowe. — Wyspa umarłych. — Pokój w szpitalu. — Statek. — Pożegnanie. — Odjazd. — Zmiana wrażeń	321
LIST XXIII. Na oceanie. — Dzieci. — Podróżni. — Stara Francja. — Noce. — Statek. — Przód okrętu. — Arka Noego. — Życie na statku. — Człowiek w morzu. — Ratunek. — Jedziemy dalej. — Noce na pokładzie. — Przylądek Guardafui. — Aden. — Dziwna burza. — Obok. — Murzyni. — Widok ziemi. — Pallas-Atene. — Morze Czerwone. — Suez. — Koniec	336

